SAMORZĄD – NADZIEJE I ZAGROŻENIA

Biblioteka UE Śląsk

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

INFORMATOR KULTURALNY

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 11 (133) • ROK XII • LISTOPAD 2006

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN 1425-3917 11 >

9 771425 391608

W dyskusji „Przy stole Śląska": MICHAŁ CZARSKI, ZYGMUNT FRANKIEWICZ, ANDRZEJ KLASIK, ANDRZEJ STANIA, MAREK S. SZCZEPAŃSKI



Wielki jubileusz BOGDANA PAPROCKIEGO

Dlaczego na Śląsku nie ma miliarderów

Rozmowa z MARKIEM MIGALSKIM

JAN F. LEWANDOWSKI – Centrum Sztuki Filmowej: dzieje idei

KATARZYNA SADURA: Matrix w realu



Foto: Krzysztof Lisiak

W 99. roku istnienia Teatr Śląski w dniu 7 października br., wyróżnił „Pegazami Teatru Śląskiego" prezydenta Katowic Piotra Uszoka i Tadeusza Kijonkę, redaktora naczelnego „Śląska". „Pegaza" otrzymał również wybrany w plebiscycie publiczności najpopularniejszy aktor sezonu teatralnego 2005/2006. Został nim Andrzej Warcaba, związany z tą sceną od 1986 roku. Ostatnio można było oglądać go w „Rzeźni" Mrożka, „Intrydze i miłości" Schillera, „Mayday", „Domu przeznaczonym do wyburzenia", „Antygonie w Nowym Jorku" oraz w „Dzieleniu przez zero".

Na zdjęciu: Andrzej Warcaba z „Pegazem Teatru Śląskiego" przyznanym mu przez publiczność.



Foto: Zbigniew Sawicz

Katowicki Oddział Związku Polskich Artystów Fotografików obchodzi 60-lecie istnienia. W gronie jego założycieli znalazła się Halina Holas-Idziakowa (na zdjęciu). Była pierwszym delegatem warszawskiego ZPAF na województwo katowickie. Szczyci się legitymacją ZPAF nr 53!

(Więcej o jubileuszowej wystawie na str 80.)

Nagrodę Lux ex Silesia, ufundowaną przez metropolitę górnośląskiego abp. Damiana Zimonia, przyznawaną osobom, które w swojej pracy wnoszą „trwały wkład w kulturę duchową Górnego Śląska", została przyznana w tym roku dziennikarce Polskiego Radia Katowice Annie Sekudewicz, mistrzyni reportażu radiowego, laureatce Prix Italia w roku 2004 (wraz z Anną Dudzińską). Gratulujemy.



Foto: Zbigniew Sawicz

Filmoteka Śląska, Zespół Promocji Filmu i Kina oraz Zespół Produkcji i Usług Filmowych, także dwie nowoczesne sale kinowe, gdzie poza repertuarem bieżącym gościć będzie kino europejskie znalazły miejsce w nowo otwartym Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach.

Uroczystego przecięcia wstęgi – taśmy filmowej w dniu 6 października br. dokonali: dyrektor Silesia-Film Zbigniew Brzeziński, Piotr Uszok – prezydent Katowic, Krystyna Doktorowicz – dziekan WRTV UŚ i marszałek województwa śląskiego Michał Czarski (wszyscy na zdjeciu).

(Więcej o CKF w artykule J. L. Lewandowskiego na str. 58).



Foto: Foto. Tomasz Żak/internet www.silesia-region.pl

KOMPANIA PIWOWARSKA

1629 TYSKIE BROWARY KSIĄŻĘCE

SPONSOR „ŚLĄSKA"

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 11 (133). Rok XII. LISTOPAD 2006 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 032-253-62-21
e-mail: slask@neostrada.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

JERZY LUCJAN WOŹNIAK
marketing i prenumerata

MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 032-206-82-71.

DTP: STP „KorGraf", 40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032-354-09-88, 032-781-06-48

Druk: PW „Tolek"
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł., półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Pismo wspierane finansowo przez ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane przez URZĄD MIASTA KATOWICE

Zrealizowano w ramach PROGRAMU OPERACYJNEGO PROMOCJA CZYTELNICTWA ogłoszonego przez MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W kolorze:
● „Jestem" – wystawa Okręgu Katowickiego ZPAP, BWA Katowice (str. A) ● ONEIRON (str. B) ● 60 lat Okręgu Śląskiego ZPAF – wystawa fotografii (str. C) ● Znaki i Twarze Miasta – Karczma Śląska jak nowa (str. D).

Fotografia na okładce:
Zbigniew Sawicz

W NUMERZE:

Rozmowa z senator Krystyną Bochenek **POLACY NIE GĘSI...** 4
Dyskusja „Przy stole Śląska" **SAMORZĄDNOŚĆ – SZANSE I ZAGROŻENIA** 6
Adam Dziurok, Łucja Marek **MATKA BOSKA NIECHCIANA** 13
Rozmowa z dr. Markiem Migalskim **ROK POLITYKI AD HOC** 18
Jarosław Juszkiewicz **DLACZEGO NA ŚLĄSKU NIE MA MILIARDERÓW?** 20
Katarzyna Sadura **MATRIX W REALU** 22
Harry Duda **WIERSZE** 26
Grzegorz Sztoler **KAMOJÓWKA ZE ŚLĄSKIMI GRATAMI** 28
Rozmowa z dr. Waldemarem Szenderą **PARTNERA DLA MUZEUM** 31
Maciej Miziura **GRÓB DZIECKO** 32
Renata Rudzka-Zwoźniakowa **WIERSZE** 35
Tadeusz Kijonka **ŚPIEWAK NATCHNIONY** 36
Rozmowa z dr Łucją Ginko **MAMY STRATEGIĘ** 42
Przemysław Lipecki **PIŁSUDSKI BEZ PIETY** 46
Wiktor Kamiński **GLIWICKIE URODZINY RÓŻEWICZA** 49
Renata Putzlacher **WIERSZE** 50
Rozmowa z Barbarą Horawianką **URODZIŁAM SIĘ NA MIKOŁOWSKIEJ** .. 52
Krystyna Heska-Kwaśniewicz **Z ELEUSIS DO AUSCHWITZ** 55
Jan F. Lewandowski **CENTRUM SZTUKI FILMOWEJ – DZIEJE IDEI** 58
Wiesława Konopelska **JESTEM, CZYLI JESTEM** 64
Rozmowa z Andrzejem Urbanowiczem **POWRÓT DO KRĘGU ONEIRON** 65
Janusz Styczeń **WE WSZYSTKIM BĘDĘ PANA SŁUCHAŁ** 66
Wiesława Konopelska **HISTORIA FOTOGRAFIĄ PISANA** 80
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY 81
OBLICZA RUDY ŚLĄSKIEJ 96
ŚLĄSKI MIESIĄC 2
LISTY 4
POZA KADREM
Feliks Netz **PLAC ZBAWICIELA** 25
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański **INNY: MIĘDZY APROBATĄ A KASACJĄ** 44
EKOLOGIA
Jolanta Karmańska **DRZEWA W MIEŚCIE** 60
Rozmowa z doc. dr Lidią Sieją **ZASYPIĄ NAS?** 61
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek **GERARD CIEŚLIK – CHORZÓW – HAJDUKI** 62
POCZET DOWÓDCÓW POWSTAŃ ŚLĄSKICH
Zdzisław Janeczek **KAROL GRZESIK (1890-1939)** .. 63
POD PATRONATEM „ŚLĄSKA"
Krzysztof Karwat **IUSTITIA ET INDUSTRIA** 68
MUZYKA
Karol Bula **EKSPANSJA ŚLAZAKÓW** 69
Andrzej Linert **„ALKANGRAN" I MOZART** 70
Magdalena Dziadek **MIĘDZY NUTAMI** 71
KSIĄŻKI
Ewa Pilarz **ŚWIATŁOCIEŃ** 72
Magdalena Boczkowska **UCIEKAĆ PRZED PRZEZNACZENIEM** 73
Krzysztof Kwaśniewski **KULTURA MIĘDZY ŻYWIOŁEM I ŁADEM** 74
Paweł Majerski **PARYŻ ZNÓW SPALONY** 75
Izabela Mikrut **MŁODY, GENIALNY** 75
Jerzy Lucjan Woźniak **POEZJA NIEUJARZMIONA** 76
Daria Weps **100% ŻYCIA** 76
Agnieszka Nęcka **SZTUKA INTERPRETACJI** 77
Bogdan Widera **KRÓTKO O KSIĄŻKACH** 78
PODKOPKI 79
NOTATNIKI KULTURALNE
Wiesława Konopelska **KATOWICE** 90
Jan Picheta **BIELSKO** 92
Elżbieta Kot **CZĘSTOCHOWA** 93
Janusz Wójcik **OPOLE** 94
Jacek Sikora **ZAOLZIE** 95

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH" S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.
www.ruch.com.pl

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

■ SZEF Ruchu Autonomii Śląska – Jerzy Gorzelik, poprosił ministra edukacji Romana Giertycha, by wprowadził w szkołach lekcje nauczania o regionie: prawdziwe, interaktywne lekcje, a nie edukację na papierze.

■ KATOWICKI prokurator, 38-letni Przemysław Piątek, który w śląskim oddziale IPN-u prowadził śledztwo w sprawie zamachu na papieża Jana Pawła II, od 1 września będzie zastępcą prokuratora generalnego, czyli wiceministrem sprawiedliwości; będzie nadzorował pion sądowy w całej prokuraturze.

■ OPUSZCZONE budynki kopalni „Mikulczyce" ożyły za sprawą nowego gospodarza. Damian Kaczmarczyk uratował zabytkowy obiekt dawnej cechowni przed ruiną i produkuje tutaj organy. Jest tym samym właścicielem największego zakładu budowy organów w Polsce.

■ JACHT „Stary" jako pierwszy w historii naszego żeglarstwa przepłynął w tym sezonie z Oceanu Atlantyckiego na Spokojny wzdłuż północnych wybrzeży Kanady i Alaski. Trzech studentów Politechniki Śląskiej, jeden ze Śląskiej Akademii Medycznej, absolwent AWF-u oraz filmowiec stanowią razem sześcioosobową załogę.

■ NOWY rok szkolny rozpoczęło 4 września 700 tys. uczniów, 71 tys. nauczycieli. Organizacja uroczystej wojewódzkiej inauguracji przypadła w tym roku gimnazjum w Ogrodzieńcu. Połowa krzeseł dla VIP-ów była pusta...

■ PROFESOR Kornel Gibiński, nestor śląskiej medycyny, został 4 września honorowym obywatelem Katowic.

■ SZALIKOWCOM umawiającym się na stadionowe zadymy mogą być przedstawione zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej! Śląscy prokuratorzy jako pierwsi w kraju chcą wykorzystać antymafijne przepisy do walki z pseudokibicami.

INSTYTUT Pamięci Narodowej umorzył śledztwo w sprawie deportacji tysięcy Ślązaków do b. Związku Sowieckiego w 1945 r., bo osoby za nią odpowiedzialne, z Józefem Stalinem na czele, już nie żyją. A więc nie ma sprawy? Nawet mocno popularyzowanej pamięci?

■ PIERWSZY prorektor ds. dydaktycznych Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej w latach 2001-2005 prof. dr hab. inż. Mieczysław Stanisław Machnio zmarł 2 września.

■ CENTRALNY Szpital Kliniczny w Katowicach od 7 września nosi imię Profesora Kornela Gibińskiego. Stało się to w dzień 91. urodzin Profesora. Patron – wybitny internista, nestor śląskich lekarzy był wielce wzruszony i uradowany.

■ DWUNASTU z siedemnastu dyrektorów kopalń wchodzących w skład Kompanii Węglowej SA zmuszono do rezygnacji ze stanowisk. Wszyscy to górniczy emeryci.

■ PO dwóch miesiącach zwłoki minister Roman Giertych zgodził się 7 IX by Marian Drosio został śląskim kuratorem oświaty.

■ PONAD 130 najbardziej znanych europejskich internistów spotkało się 8 IX na Walnym Zgromadzeniu Europejskiej Federacji Medycyny Wewnętrznej.

■ AKTORKA Teatru Śląskiego w latach 1969-2001 Maria Wilhelm, zmarła 6 września.

■ GRUPA radnych z klubu „Razem dla Zabrza" poprosiła Donalda Tuska, szefa Platformy Obywatelskiej, by w ich mieście partia nie używała hasła „Razem". – Może to wprowadzić w błąd wyborców – mówią radni.

■ ŚLĄSKIE Towarzystwo Filmowe odmówiło zaopiniowania kandydatury Cecylii Gasz-Płońskiej na szefa Silesii Film. Mimo to zostanie ona jej dyrektorem.

■ PO sześciu miesiącach w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych 11 IX zakończyły się prace nad największym pomnikiem Chopina na świecie. Odlew wykonany z brązu waży 25 tony i ma 6 metrów wysokości. Jest prawie o metr wyższy od Chopina z warszawskich Łazienek. Z gliwickiej odlewni monument pojedzie do Szanghaju, gdzie stanie w jednym z centralnych parków miejskich.

■ URODZIŁA się w Łagiewnikach pod Bytomiem, ukończyła szkołę podstawową w Nakle Śląskim i wyjechała z Polski. 12 września Kaya Mirecka ukończyła 82 lata i tego dnia została patronką Zespołu Szkół w Nakle Śląskim. Przyczynił się do tego były prezydent Aleksander Kwaśniewski, powiązany z nominatką przez swą żonę. Kaya Mirecka założyła w Waszyngtonie Centrum Kultury Polskiej. Razem z Fundacją Jolanty Kwaśniewskiej organizuje wakacje dla polskich dzieci. Skorzystało już z nich ponad 170 małych Polaków.

■ PARAFIANIE ustrońskiej parafii pw. Dobrego Pasterza ks. Alojzego Wencepela będą dostawać 50 zł miesięcznie na każde nowo urodzone dziecko. Becikowe będzie wypłacone do chwili, gdy dziecko pójdzie do szkoły!

■ POLITECHNIKA Śląska bez „przodownika pracy". Wincenty Pstrowski, zabrzański górnik z kopalni „Jadwiga", wykreowany na inicjatora peerelowskiej idei współzawodnictwa pracy przestał być oficjalnym patronem Politechniki Śląskiej.

■ PRZEZ ponad dwieście lat – od 1792 roku – hrabiowie Saint Genois d'Anneaucourt byli właścicielami leżącego pod Bielskiem Jaworza. To oni wystarali się o status uzdrowiska dla niego, wybudowali wille, dom zdrojowy, kręgielnię, otworzyli przypałacowy park dla kuracjuszy. Dlatego gmina pięknie odrestaurowała cmentarzyk dawnych właścicieli Jaworza. Znajduje się tu 20 mogił, z których najstarsze sięgają XVII wieku.

■ OFIAR katastrofy nie stać na walkę z Międzynarodowymi Targami Katowickimi. Wiesława Kamczyk, przedostatnia żywa osoba wydobyta z gruzów MTK, wycofuje pozew przeciwko Targom. Powód? Nie stać jej na zapłacenie 7,5 tys. zł opłaty sądowej, mimo że zostanie kaleką do końca życia. Inne ofiary katastrofy są w podobnej sytuacji, tak jakby to one były winne katastrofy.

■ PANI Ella Schlothauer z Alfeld w Niemczech była 14 IX milionową pasażerką, którą odleciała w tym roku z lotniska w Pyrzowicach.

■ SZKODY w naszym województwie spowodowane suszą sięgają 97,2 mln zł! Śląski Urząd Wojewódzki poinformował, że w stu gminach poszkodowanych jest prawie 19 tys. gospodarstw rolnych. W każdym straty wynoszą 30 proc. plonów. Śląscy rolnicy potrzebują milionów w różnych formach pomocy, o które wystąpił 15 IX wojewoda śląski do ministra rolnictwa i rozwoju wsi.

■ KRAJOWY Zarząd Gospodarki Wodnej w Warszawie przydzielił 8 mln zł na przygotowanie planów rozbudowy i rozbudowę Kanału Gliwickiego, po którym już niedługo będą pływały barki z węglem i statki turystyczne.

■ W BĘDZINIE 15 września odeszła na wieczną wartę druhna Wanda Łętek. Harcmistrzyni Rzeczypospolitej, wieloletni pracownik oświaty i działaczka harcerska. Żyła 91 lat.

■ CORAZ więcej osób po 40. i 50. roku życia rozpoczyna naukę w liceach dla dorosłych w naszym województwie. Większość musi nadrobić braki w wykształceniu, bo grozi im utrata pracy, pozostali chcą dorównać swoim dzieciom.

■ HRABIA Hubert von Tiele-Winckler przyleciał 17 IX do Katowic. Jego brat, baron Claus-Peter z małżonką Fryderyką wizytuje Śląsk od dwóch dni. Przyjechali na zaproszenie ks. Tadeusza Szurmana, biskupa diecezji katowickiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego w związku ze 150. rocznicą położenia kamienia węgielnego pod budowę ewangelickiej katedry. Hrabia i baron są potomkami Franza Wincklera, jednego z założycieli Katowic. Polskę musieli opuścić w 1945 r. Hrabia Hubert – nestor rodu – tytułowany jest również „panem na Katowicach, Miechowicach i Mosznej".

■ OD 21 IX można wędrować pierwszym Szlakiem Papieskim w Beskidzie Żywieckim. Ma 44 km a zaczyna się i kończy w centrum Węgierskiej Górki, tuż przy obelisku poświęconym Janowi Pawłowi II, a odsłoniętym również 21 września.

■ BYŁY szef śląskiej policji Mieczysław Kluk jest najwyższym rangą polskim oficerem oskarżonym o korupcję i związki z mafią. 22 września stanął przed sądem. – To dla nas dzień wstydu – mówili śląscy policjanci.

■ DOTYCHCZASOWY dyrektor Telewizji Katowice, 42-letni Maciej Wojciechowski, od 26 września będzie kierować pierwszym programem publicznej telewizji, przejmując obowiązki Małgorzaty Raczyńskiej, dotychczasowej dyrektorki TVP 1.

■ BIELSKI dworzec zmienił swoje oblicze po gruntownej renowacji w 2001 r. Wcześniej był wstydliwą ruderą. Dlatego bezdomni nie mogą już w nim nocować. Jest zamykany na noc.

■ POCHODZĄCY z Szopienic Jan Steler był projektantem torów saneczkowych na igrzyskach w Grenoble, Sapporo, Lake Placid, Albertville, Lillehammer i Salt Lake City. W Polsce zapomniany, bo opuścił ją w 1959 r. Zmarł 12 sierpnia a 25 września jego prochy spoczęły na cmentarzu przy ul. Francuskiej w Katowicach. Zaczynał jako ładowacz dołowy na „Kleofasie", by poprzez technikum i studia na Politechnice Warszawskiej zostać architektem, m.in. współprojektantem warszawskiej dzielnicy MDM. Ale jego pasją były bobsleje, skeleton i saneczkarstwo. Od 1998 r. był honorowym prezesem Polskiego Związku Sportów Saneczkowych.

■ GÓRA Żar zaczyna robić furorę wśród szybowników i pilotów z całego świata. Przyjeżdżają tu doskonalić swoje umiejętności, bo podobnych warunków próżno szukać na innych lotniskach. W Międzybrodziu trenują nawet piloci potężnych boeingów.

■ PROKURATOR Dariusz Kawalec z katowickiej Prokuratury Okręgowej stracił stanowisko po tym, jak odmówił wszczęcia dochodzenia przeciwko sędziemu skrytykowanemu przez ministra Zbigniewa Ziobrę. – To kara za niezależność – mówią śląscy prokuratorzy.

■ ZRUJNOWANY zespół klasztorno-pałacowy w Rudach zostanie uratowany. 10 mln zł dała na ten cel Unia Europejska. Renowacja rozpocznie się na początku przyszłego roku. Pocysterskie opactwo niszczeje od 1945 r. Wtedy wkraczająca Armia Czerwona splądrowała i podpaliła wiekowy kompleks. Mieszkańcy w ciągu kilku lat odbudowali kościół, ale pałac i klasztor stopniowo popadły w ruinę.

■ PO dwunastu latach służby Jacek Pikuła oddał klucze od Skrawka Nieba, placówki w Katowicach, przygarniającej dzieci rodzin, które nie radziły sobie z wychowaniem. Kiedyś był to drugi dom dla setki dzieci. Szkoda Skrawka, szkoda Jacka.

■ ZAMIAST zapowiadanej dotacji na niedokończone Akademickie Centrum Medyczne resort zdrowia da Śląskiej Akademii Medycznej pieniądze na całkiem nowy, 400-łóżkowy szpital – Centrum Kliniczne Śl. AM w Zabrzu. Fatalne ACM to dziś wietrzejący, niszczejący gmach na granicy Zabrza i Gliwic.

■ GDY sierpniowy „ŚLĄSK-i miesiąc" już się drukował, nadeszła spóźniona wiadomość, że 24 sierpnia br. zmarł Herbert Hupka.

KRONIKARZ

„Gloger" dla „Śląska"

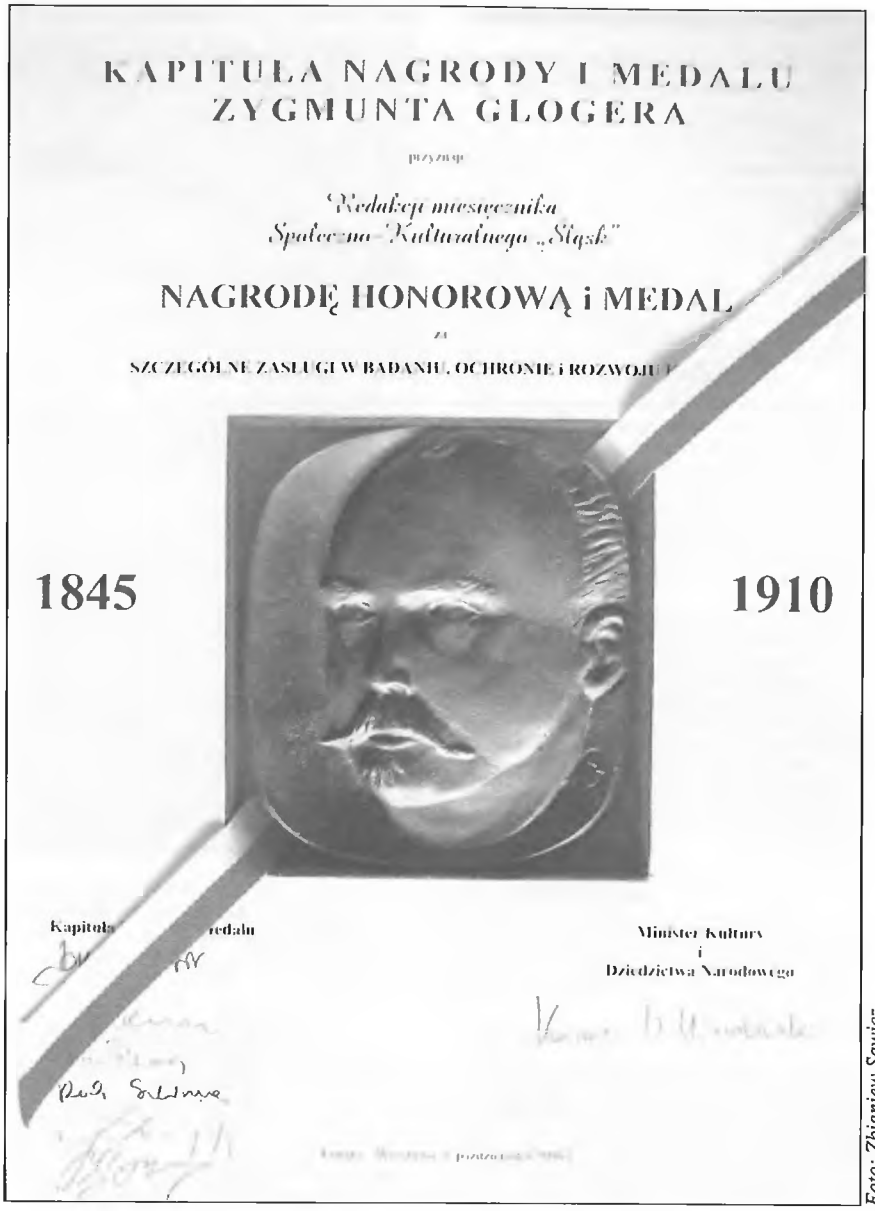


Foto: Zbigniew Sawicz

Na uroczystości jubileuszowe zasłużonej „Stopki" jechałem do Łomży z mieszanymi uczuciami. Miał tam być redaktor naczelny, jednak perypetie zdrowotne wykluczały odbycie tak uciążliwej podróży, toteż delegował niżej podpisanego. I tak z Warszawy autobusem („za piaskiem lasek, za lasem piasek") dotarłem do Łomży, na pogranicze Podlasia i Mazowsza, niektórzy mówią jeszcze, że Kurpiów, by uczestniczyć w dwudniowych uroczystościach (20-21 października br.) z okazji Jubileuszu 25-lecia Społecznego Stowarzyszenia „Stopka" oraz w akcie wręczenia nagród i wyróżnień XVII edycji Konkursu Zygmunta Glogera, którego kapituła obraduje od lat pod przewodnictwem tej miary uczonego co profesor Janusz Tazbir.

Cała uroczystość zorganizowana z rozmachem – wespół z partycypującym co roku w łomżyńskiej imprezie Ministerstwem Kultury – emanowała zaangażowaniem prowadzących ją ludzi i temperaturą intelektualną obrad. Rangę tych spotkań wyznacza niewątpliwie patronat Zygmunta Glogera, wielkiego syna Ziemi Podlaskiej (1845-1910), historyka, etnografa i archeologa, organizatora i pierwszego prezesa Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, twórcy fundamentalnej „Encyklopedii Staropolskiej" i „Geografii historycznych ziem dawnej Polski".

Jak co roku wszystkie posiedzenia i dyskusje odbywały się w II Liceum Ogólnokształcącym im. M. Konopnickiej. Sama aula (piękna) – miejsce wszystkich dyskusji – kilka dni wcześniej otrzymała miano Hanki Bielickiej, rodowitej łomżynianki. Rozpoczęcie drugiego dnia obrad – pierwszy opisany poniżej – miało miejsce przy pomniku Z. Glogera (złożyliśmy kwiaty). Następnie ogłoszono komunikat kapituły Nagrody i Medalu Zygmunta Glogera o rozstrzygnięciu XVII edycji konkursu. Za chwilę z dumą odbierałem Nagrodę Honorową dla „Śląska". Wręczono także odznaczenia ministerialne (Barbara Raczyńska) i wojewódzkie (Janusz Krzyżewski). Zapowiedziana także sesja naukowa: POLSKA I JEJ SĄSIEDZI (z całą plejadą profesorskich autorytetów), oparta na tekstach specjalnie wydanej książki o tym samym tytule dostarczyła – w gorącym okresie perturbacji z naszymi wschodnimi sąsiadami – wiele ważnych informacji, opinii i naukowych wniosków. Nie miejsce w tym sprawozdaniu na oceny. Trzeba na to (ze względu na wagę i rangę tych dni) osobnych omówień czy analiz. Osobiście najbardziej utkwiła mi w pamięci końcowa konkluzja sformułowana przez prof. Annę Wykę, która akcentowała wspólnotę kulturową, mogącą wiele wyjaśnić i zalagodzić, ponad wszelkimi podziałami politycznymi. Również wnioski prof. Janusza Tazbira, który całą dyskusję prowadził i z wielką umiejętnością nad nią czuwał, bardzo trafiały do przekonania.

Pierwszy dzień – specjalnie odwróciłem kolejność relacji – był poświęcony „Stopce". Tonację tego dnia wyrażają dwa słowa: refleksja i rozrywka... Stanisław Zagórski (założyciel i prezes, uhonorowany *Gloria Artis* w 2 dniu) był tutaj głównym bohaterem. Jego ważkie zasługi trudno przecenić, dały bowiem liczne, soczyste i dorodne owoce. To cała gama wydanych wartościowych książek, nie licząc innych dokonań. Bawiliśmy się beztrosko w sali bankietowej wzorowo prowadzonego hotelu „Gromada", zaś do tańca przygrywała Kapela Jankiela i zespół Wesoły Lwów.

Na koniec osobista refleksja. Spotkałem miasto dynamiczne (będąc tu po raz pierwszy też byłem go ciekaw) oraz mądrych, oddanych mu ludzi z pasją. Chyba te pozytywne cechy, wyzwolone w okresie „czasów wojewódzkich" Łomży, nadal inspirują twórczo. Zresztą, czy to istotne? – ważniejsze jest ich zaangażowanie i dokonania. To dobrze rokuje dla Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka" i jego Oficyny Wydawniczej w przyszłości.

A medal Glogera – proszę spojrzeć co zawiera i jak wysoko zostały ocenione zasługi „Śląska".

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Wśród indywidualnych laureatów nagród i medali Konkursu Zygmunta Glogera widnieją także nazwiska laureatów ze Śląska. Otrzymali je w przeszłości: profesor Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej (w roku 1996), nieżyjący już profesor Adolf Dygacz (w 1998 r.) i – jako trzeci – redaktor naczelny „Śląska" Tadeusz Kijonka, uhonorowany w roku 2001. Teraz tę prestiżową Nagrodę Honorową otrzymał miesięcznik „Śląsk".

Jeszcze o Stanisławie Szukalskim

Redakcja miesięcznika
społeczno-kulturalnego „Śląsk"

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Pana Jerzego Skwary o rzeźbiarzu Stanisławie Szukalskim. Stanisław Szukalski ze swoją żoną Joan byli częstymi gośćmi w domu moich rodziców (Mariacka 33). Ja i moje dwie siostry uwielbialiśmy ich wizyty, zwłaszcza, że przychodzili ze swym psem, kudłatym owczarkiem noszącym stosowne imię: „Baca", Ten przywieziony z Kalifornii „Baca" dokonał swego psiego żywota zastrzelony przez żołnierza niemieckiego na ulicach Warszawy w 1939 roku.

Ojciec mój, Tadeusz Barylski, udostępnił Stanisławowi Szukalskiemu nasz adres jak i numer telefonu do wydawania pisma „Krak", Szukalski poruszał w nim nie tylko sprawy sztuki. Jedno ze zdań z tego „Kraka" pamiętam do tej pory: „Wielkopolska i Śląsk są najlepiej administrowanymi regionami w Polsce – dlatego we władzach centralnych w Warszawie nie ma ani jednego Wielkopolanina czy Ślązaka". Szukalski miał kłopoty z cenzurą, lata pobytu w USA pozwoliły mu na niezależną ocenę sytuacji w Polsce.

Po przybyciu do Stanów odwiedziłem Stanisława Szukalskiego dwukrotnie w jego domu w Kalifornii, w roku 1973 oraz w 1978.

Po śmierci artysty grupa jego amerykańskich przyjaciół wykonała ostatnią wolę zmarłego: by jego prochy rozsypać na Wyspie Wielkanocnej. Prochy Stanisława Szukalskiego i zmarłej przed nim żony Joan, przewieźli na Wyspę Wielkanocną Glenn Bray, jego żona Lena Zwalve, Robert Williams z żoną i Rick Griffin z żoną – i tam zostały rozsypane.

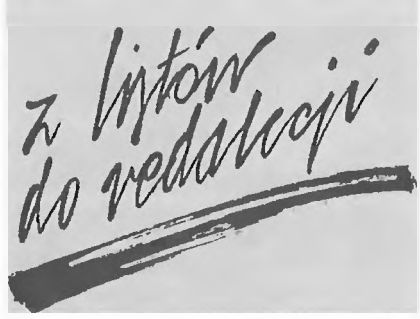
LESZEK BARYLSKI
215 Swansea Lane
BARYS2@AOL.COM

—■—

Na alarm!

Szanowna Redakcjo!

Pogratulować inicjatywy i cennych wypowiedzi w redakcyjnej ankiecie: Krajobraz i tożsamość – Śląsk w epoce postindustrialnej. Zestaw głosów obejmuje wszystkie kluczowe kwestie związane z tym rozległym spadkiem po górnictwie i hutnictwie minionych epok. A także ten ogromny zestaw obiektów, które pozostały z tego okresu. To niewątpliwie niezwykle cenne dziedzictwo kulturowe świadczące o historii tej wyeksploatowanej ziemi, które ma



wciąż zasadniczy wpływ na więzi i poczucie tożsamości rodowitych mieszkańców.

Czy jednak ocalimy i zachowamy to, co niezbędne a ważne dla krajobrazu i jego duchowych walorów. Chociażby malownicze hałdy, które jak pisze Tomasz M. Głogowski – są znakami śląskości, które od dawna inspirują artystów. Tym bardziej należy dokonać ich troskliwej ewidencji, by ocalić te obszary i obiekty, które posiadają wartość historyczną jak stara zabudowa zabytkowych miast.

I tu podzielam niepokój znakomitego artysty Romana Nowotarskiego, który stwierdził: „Stare wieże ciśnień, hale fabryczne, kopalnie, huty, młyny i rzeźnie najpierw niszczeją, będąc w kontrolowany sposób niszczone i dewastowane, by potem w częstokroć niejasnych okolicznościach za bezcen sprzedane zniknąć bezpowrotnie". Roman Nowotarski zatytułował swoją wypowiedź:„Jestem bezsilnym świadkiem". Myślę, że należy ten tytuł poszerzyć i nadać mu wymowę zbiorową i wydźwięk alarmu. Tak, nie bądźmy dłużej bezsilnymi świadkami, póki nie jest za późno, bo już teraz bezpowrotne straty są zatrważające. Twórzmy ruch obrony z myślą o przyszłych pokoleniach.

Z wyrazami szacunku
KRYSTYNA ADAMCZYK
Chorzów

—■—

Pan
Tadeusz Kijonka
Redaktor Naczelny
Miesięcznika
Społeczno-Kulturalnego
„Śląsk"

Szanowny Panie Redaktorze;

W sierpniowym numerze redagowanego przez Pana miesięcznika ukazał się wywiad, który przeprowadził ze mną redaktor Bogdan Nowicki. Jest mi bardzo miło, że redakcja zwróciła się do mnie o udzielenie wywiadu na ważny dla naszego regionu temat. Chciałbym też wyrazić swoje uznanie dla miesięcznika „Śląsk", na łamach którego stale prowadzi się dyskusję o krajobrazie i jego związkach z tożsamością regionalną.

Niestety z ubolewaniem stwierdzam, że redakcja nie dopełniła należytej staranności i opublikowała nieautoryzowany tekst, który nie tylko różni się od mojej wypowiedzi w warstwie merytorycznej ale także w warstwie językowej – stylistycznej i gramatycznej. Różnice te zmieniają sens wypowiedzi poprzez:

– użycie błędnych pojęć, które nie występują w planowaniu przestrzennym np. „plan górnictwa węgla w aglomeracji Katowic i Rybnika",

– zastosowanie sformułowań, których bym nie użył, a nawet nie rozumiem jakie mają znaczenie np. „do granic wytrzymałości estetycznej" albo „... niektórych prześcigamy w tym względzie"?

– nieuzasadnione użycie znaków np. pytajnika w zdaniu „My nie odstajemy od Europy?" itd. (...)

Po przeczytaniu tekstu wywiadu, jaki ukazał się drukiem, stwierdzam, że różnice nie są wynikiem skrótów, których ma prawo dokonać redakcja lecz wymieszania tekstu „roboczego", na który nie wyraziłem zgody z tekstem autoryzowanym.

dr hab. inż. arch. KRZYSZTOF
GASIDŁO
prof. nzw. w Politechnice Śląskiej

Od Redakcji

Szanowny
Panie Profesorze,

Jest nam niezmiernie przykro, że zamieszczony w „Śląsku" nr 8/2006 tekst rozmowy z Panem Profesorem zatytułowany „Szacunek wobec krajobrazu", w znacznym stopniu rozmija się z tekstem przez Pana autoryzowanym. Niestety, fakt ten zauważyliśmy dopiero po otrzymaniu egzemplarzy z drukarni. Było więc za późno, by interweniować w produkcję tego numeru.

Wobec tej przykrej dla Pana Profesora, jak również dla naszej Redakcji sytuacji, nawet nie próbujemy usprawiedliwiać naszego niedopatrzenia.

Przepraszamy serdecznie Pana Profesora jak i Czytelników naszego miesięcznika.

WIESŁAWA
KONOPELSKA
Sekretarz Redakcji

Pod patronatem „Śląska"
Konferencja „Z dziejów harcerstwa polskiego na Górnym Śląsku 1922-2006"
Organizatorzy: Instytut Pamięci Narodowej i Biblioteka Śląska

28 listopada 2006 r.

Część I

Godz. 10.00-13.00 moderator – dr Joanna Januszewska-Jurkiewicz – Uniwersytet Śląski.

- ✔ Otwarcie: Andrzej Sikora – dyrektor Oddziału IPN w Katowicach
- ✔ Harcerstwo śląskie w plebiscycie i powstaniach – prof. zw. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz – UŚ.
- ✔ Śląska Chorągiew Harcerek w latach 1922-1939 – lic. Barbara Bogdanowicz – UŚ.
- ✔ Męska Chorągiew Harcerska na Śląsku w latach 1922-1939 – mgr Jan Kwaśniewicz – Oddział IPN w Katowicach.
- ✔ Duszpasterstwo Związku Harcerstwa Polskiego w diecezji katowickiej w latach 1922-1939 – alumn Paweł Zieliński – UŚ.
- ✔ Harcerstwo wodne na Górnym Śląsku – mgr Maria Wróbel, mgr inż. Marcin Talarek – Krąg Instruktorski przy 6. Harcerskiej Drużynie Żeglarskiej w Rybniku.
- ✔ Dyskusja.

Część II

Godz. 15.00-16.30 – moderator dr Adam Dziurok – Oddział IPN w Katowicach.

- ✔ Województwo śląskie we wrześniu 1939 roku – działania jednostek samoobrony – dr Grzegorz Bębnik – Oddział IPN w Katowicach.
- ✔ Harcerstwo śląskie w ruchu oporu w latach II wojny światowej. Stan badań – dr Joanna Januszewska-Jurkiewicz – UŚ.
- ✔ Pierwsza konspiracja harcerska – 1939-1945 (Birkuty) – we wspomnieniach uczestnika – doc. dr Andrzej Rożanowicz.
- ✔ „Mury" drużyna harcerska w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück – hm. Władysława Sikora – więźniarka nazistowskiego obozu koncentracyjnego.
- ✔ Dyskusja.

Godz. 17.00 – 18.00 Promocja książek:

- ✔ Krystyna Heska-Kwaśniewicz: Szkice śląskie. Ludzie-sprawy-wydarzenia.
- ✔ Paweł Wieczorek: Wzgórze Rosiczki.

Prowadzi: prof. zw. dr hab. Jan Malicki.

29 listopada 2006 r.

Część III

Godz. 10.00 -13.00 moderator – dr Adam Dziurok – Oddział IPN w Katowicach.

- ✔ Tajne harcerstwo krajowe – „Szeregi Wolności" na Śląsku – mgr Adam Gryman - Oddział IPN w Katowicach.
- ✔ Wspomnienia członka „Szeregów Wolności" – Juliusz Gamża.
- ✔ Harcerstwo śląskie w latach 1945-1956 – mgr Piotr Werner.
- ✔ Związek Harcerstwa Polskiego 1956-1980 – wychowanie polityczne – red. Paweł Wieczorek
- ✔ Długa droga pomnika harcerek i harcerzy na katowickim Rynku – prof. zw. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz – UŚ.
- ✔ Z dziejów akcji ZAMONIT – hm. Krzysztof Witkowski – Komisja Historyczna Chorągwi Śląskiej.
- ✔ Dyskusja.

Część IV

Godz. 14.00-17.00 moderator – red. Paweł Wieczorek.

- ✔ Niezależne środowiska harcerskie w województwie katowickim i ich działania na rzecz odnowy harcerstwa w latach 80. XX w. – dr Joanna Januszewska-Jurkiewicz – UŚ.
- ✔ Niezależne ugrupowania i środowiska harcerskie na przełomie lat 70. i 80. z perspektywy organizatora i uczestnika – Wojciech Jerzy Poczachowski – prezes Radia Katowice S.A.
- ✔ Drogi i bezdroża harcerskiej służby 1989-2006 - mgr Piotr Koj – b. Przewodniczący ZHR.
- ✔ Duszpasterstwo ZHP w diecezji katowickiej w latach 1945-1989 – diakon Piotr Larysz – UŚ.
- ✔ Harcerski Klub Taternicki im. Gen. Mariusza Zaruskiego w Katowicach – Walenty Nendza – HKT w Katowicach.
- ✔ Dyskusja.
- ✔ Zamknięcie sesji – prof. zw. dr hab. Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Z przewodniczącą Senackiej Komisji Kultury
KRYSTYNĄ BOCHENEK
rozmawia BOGDAN WIDERA



Foto: Zbigniew Sawicz

Polacy nie gęsi...

– Tak mi się marzy, żebyś przemówiła z senackiej trybuny do wszystkich polityków, ponad podziałami, i wytłumaczyła im, że nie mówi się „przekonywujący", tylko „przekonujący" albo „przekonywający", nie mówi się „wziąść" tylko „wziąć", nie można wypowiadać zdań w rodzaju: „pośliznął się na skórce od banana, d z i ę k i czemu złamał nogę".

– Albo: „stan zdrowia pacjenta d r a m a t y c z n i e się poprawił". Nie chcę tu atakować kolegów-polityków, bo oni też mogliby zapewne przytaczać jakieś moje, mniej dla mnie radosne wypowiedzi... Pamiętajmy jednak, że rok 2006 został ustanowiony rokiem języka polskiego. Dwa tysiące szósty, a nie dwutysięczny szósty! Tak jak urodziliśmy się w tysiąc dziewięćset którymś tam, a nie w tysięcznym dziewięćsetnym i tak dalej. Ale nie chodzi o to – co powiedział 50 lat temu profesor Doroszewski – żeby wytykać błędy. Ważne jest, aby każdy z nas przez chwilę zastanowił się nad własnym językiem. I jeżeli każdy wyeliminuje ze swojej mowy jeden błąd w ciągu roku – to już jest coś. Bo język polski jest tym, co nas łączy. Po polsku się modlimy, rozmawiamy, wyznajemy miłość.

– Wróćmy do Roku Języka Polskiego.

– Pod koniec ubiegłej kadencji Senatu, jako członek komisji kultury, zaproponowałam, żeby rok 2006 był właśnie Rokiem Języka Polskiego. Wynikało to po pierwsze z moich zainteresowań – pracy dziennikarskiej popularyzującej język polski oraz z tego, że w Senacie spotkałam się z raportem Rady Języka Polskiego na temat stanu polszczyzny. Rada co dwa lata przedstawia taki raport, w którym mówi się o ochronie języka, zagrożeniach, nawet o języku poszczególnych grup zawodowych (badano na przykład żołnierzy, Kościół, teraz mają się zająć politykami i środowiskiem urzędniczym). Przy tej okazji spotkałam językoznawców, których znałam jeszcze z pracy dziennikarskiej i to właśnie nasunęło mi pomysł Roku Języka Polskiego. Muszę powiedzieć, że ta inicjatywa zyskała od razu poparcie kolegów senatorów, przede wszystkim zaś marszałka Borusewicza, który szybko wprowadził projekt do porządku obrad. Uchwałę przyjęto jednogłośnie, w ekspresowym tempie, dosłownie w przededniu Wigilii. Wydaje mi się, że w dobie globalizacji, po naszym wstąpieniu do Unii Europejskiej, trochę zaniedbaliśmy własny język. Wiem, że musimy nadrobić zaległości w nauczaniu języków obcych, nie możemy jednak zapominać o tym, co stanowi o naszej tożsamości, co nas wyróżnia nawet w tym zglobalizowanym świecie. Powinniśmy brać przykład z Francji. Może tam mają zbyt wygórowane mniemanie na temat własnej wartości...

– Zagrożenie ekspansją angielskiego wydaje się bardzo realne.

– U nas jest wielkie. Natomiast Francja stawia opór. Byłam tam podczas wakacji i, taka ciekawostka, w niezłym hotelu nie było w ogóle programów telewizji brytyjskiej. Mój mąż nie zna francuskiego, chciał więc obejrzeć jakieś wiadomości i tu szok. Nawet CNN nie mieli. To już może dzisiaj przesada, ale Francuzi są bardzo czuli na punkcie swojego języka i myślę, że dobrze by było, gdybyśmy przejęli od nich choć w części ich miłość i uszanowanie dla mowy ojców.

– Jaki był ten Rok Języka Polskiego?

– Kiedy senacka uchwala ukazała się już w Monitorze Polskim, przeczytałam w jednym z portali internetowych opinię: „kolejny Rok i znowu nic z tego nie będzie". Muszę powiedzieć, że strasznie mnie to dotknęło. Bo rzeczywiście zdarzają się w Parlamencie jakieś akcje, inicjatywy, które nie mają „dalszego ciągu", Pomyślałam więc, że warto, aby ten Rok zaznaczył się jakoś mocniej. Więc razem z kolegami przygotowałam taki krótki kalendarz obchodów senackich. 21. lutego był obchodzony Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego w całej Europie i właśnie wtedy, w sali plenarnej Senatu, odbyła się uroczysta inauguracja Roku, w której uczestniczyli nie tylko wybitni uczeni, ale i parlamentarzyści z różnych klubów, którzy walczyli o tytuł bezbłędnego klubu parlamentarnego. Zostało to dość obszernie odnotowane przez media. I od tego momentu Rok Języka Polskiego został dość szeroko zauważony w szkołach, bibliotekach, gminach. Mam cały segregator próśb o różne patronaty, o pozwolenie na wykorzystanie logo Roku z senackim orłem. W kuluarach Senatu mieliśmy wystawę przeniesioną z warszawskiego Muzeum Literatury zatytułowaną *Nobilitacje. Sienkiewicz, Miłosz, Szymborska*. Jako Senat objęliśmy swoim patronatem Kongres Polonistyki w Poznaniu, na który przyjechali uczeni z całego świata, odbył się Festiwal Języka Polskiego, a więc Dyktando (w przyszłym roku ta największa w Polsce klasówka będzie miała 20 lat) oraz – po raz pierwszy – konkurs na najpiękniej mówiącego Polaka, poza tym świetne wykłady, m.in. profesora Tadeusza Sławka, w „Spodku" zorganizowane zostały targi książki. Jako Senat ogłosiliśmy też konkursy dziennikarskie związane z upowszechnianiem kultury języka polskiego (także dla dziennikarzy polonijnych). A przed nami jeszcze w grudniu konferencja na temat języka legislacji...

– O, to bardzo potrzebna inicjatywa.

– Lec powiedział kiedyś, że już sam znak paragrafu wygląda jak narzędzie tortur. W związku z tym chcę postawić pytanie, gdzie jest ten złoty środek, który pozwala na uproszczenie języka tak, aby prawo pozostało precyzyjne, ale jednak wyrażone w „ludzki" sposób. Bo czasem jestem porażona niezgrabnością językową niektórych aktów prawnych – zdania długie na kilkanaście linijek, jakaś nadinterpunkcyjność, niezrozumiałe terminy... Nie sądzę, że po tej konferencji natychmiast coś się zmieni, ale jeśli nie będziemy na ten temat rozmawiać, to trudno liczyć na jakąś poprawę. Mamy język prawniczy i język polski. Dotyczy to zresztą wielu grup zawodowych. Lekarzy, informatyków, pracowników urzędów skarbowych.

– Na koniec zapytam, co z ustawą o języku polskim? Byłem niedawno w galerii (jak się teraz nazywa pasaże handlowe przy hipermarketach) i w wielu sklepach widziałem napisy „kids", „woman", „man". I żadnych polskich odpowiedników.

– Przyznaję, ta ustawa jest rzeczywiście „martwa". Ale trudno postawić przy każdym policjanta, który będzie wypisywać mandaty za nadużywanie angielskiego. Jeśli miałabym spointować naszą rozmowę, to mnie bardziej martwi fakt, że my w tej chwili – o czym napisał w jednym z felietonów bp Tadeusz Pieronek – zamiast w języku widzieć most, który nas łączy, zaczynamy go traktować jak narzędzie walki. Złośliwości, napaści słowne, brutalizacja wypowiedzi – to martwi mnie w tym momencie bardziej niż ta ekspansja angielszczyzny. Z nią, myślę, damy sobie radę.

– Dziękuję za rozmowę.

Dyskusja „Przy stole Śląska”

Samorządność – szanse i zagrożenia

W DYSKUSJI PROWADZONEJ PRZEZ REDAKTORA TADEUSZA KIJONKĘ UCZESTNICZYLI: MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO MICHAŁ CZARSKI, PREZYDENT GLIWIC ZYGMUNT FRANKIEWICZ, PREZYDENT RUDY ŚLĄSKIEJ ANDRZEJ STANIA ORAZ PROFESOROWIE: ANDRZEJ KLASIK, CZESŁAW MARTYSZ I MAREK S. SZCZEPAŃSKI. ROZMOWĘ PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU BOGDAN WIDERA.

TADEUSZ KIJONKA: Witam serdecznie szanownych panów przy stole Śląska, gdzie spotykamy się co jakiś czas, aby porozmawiać na różne ważne tematy. Zbliżają się właśnie wybory samorządowe, jest nowa ordynacja wyborcza, występują różne. często ostre napięcia polityczne, więc tym razem chcemy odbyć rozmowę o samorządzie i samorządności. Samorząd – jako pojęcie – oznacza organizację życia społecznego, obywatelskiego wynikającego z aspiracji grup społecznych, zawodowych, gospodarczych. Najważniejszą formą tej organizacji jest samorząd terytorialny, określający ustrój społeczny na danym obszarze. Forma, dodajmy, związana z rozwojem demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. W Polsce samorząd jest na pewno wciąż jeszcze w fazie rozwoju i organizacji, bo to dla nas doświadczenie stosunkowo niedawne. Reaktywowanie samorządu nastąpiło przecież w roku 1990, po zmianie ustrojowej. Powstał najpierw na stopniu gminy i województwa. Po nowej Konstytucji i przyjęciu nowej ustawy w roku 1999 uformował się na trzech stopniach, łącznie z samorządem powiatowym. Doszły nowe ustawy, związane także z finansowaniem gmin. W każdym razie mamy samorząd w fazie rozwoju, określania swojego zasięgu, swoich możliwości. Ta kwestia wygląda zapewne rozmaicie na różnym terenie. Inaczej gdzieś tam w Polsce, inaczej na Śląsku z jego dramatycznymi często problemami gospodarczymi, restrukturyzacją itd. W związku z tym pytanie podstawowe: jaki jest w tej chwili stan samorządu właśnie na Śląsku?

MICHAŁ CZARSKI: Ktoś kiedyś bardzo obrazowo przedstawił samorząd: to jest taki dwupiętrowy dom; parter – to samorząd gminy, pierwsze piętro – samorząd powiatu i drugie piętro – samorząd województwa. Dodał jednak, że ten dom został wybudowany bez klatki schodowej. Czyli bez komunikacji pomiędzy tymi trzema autonomicznymi samorządami. Twórcy reformy, obrońcy właśnie takiego „domu bez klatki” uważali, że to było słuszne, bo chodziło o to, aby pomiędzy tymi samorządami nie było nadmiernych powiązań i podporządkowania. Praktyka wykazuje jednak, że pewne powiązania są konieczne. Na szczęście wiele spraw zostało w tej mierze uregulowanych poza ustawą kompetencyjną, w innych przepisach, które już mówią o współpracy między poszczególnymi samorządami. Jednak taka „łączność ułomna” czasem bardzo przeszkadza, zwłaszcza w nowej sytuacji, wynikającej z perspektywy finansowania większych projektów ze środków Unii Europejskiej. W tym przypadku trzeba rzeczywistego współdziałania, to jest po prostu konieczność.

TADEUSZ KIJONKA: Ten obraz domu bez klatki schodowej jest bardzo sugestywny. Myślę, że jakiś wpływ na takie właśnie rozwiązanie miał fakt, że po likwidacji samorządów w 1950 roku przez 40 lat takiej formy organizacji życia społecznego nie było...

MICHAŁ CZARSKI: Były tylko „klatki”.

TADEUSZ KIJONKA: W dodatku mamy w pamięci doświadczenie autonomii śląskiej, stanowiącej pewien wzór historyczny, możliwy do naśladowania, choć oczywiście nie jest to takie proste.

ANDRZEJ KLASIK: Chciałbym się odnieść do słów pana marszałka. Może jednak warto mówić, że ten nasz samorząd jest „w drodze”. Może po prostu nie stworzono warunków, aby te 3 poziomy samorządu mogły ze sobą współpracować, bo jednak, patrząc na kolejne etapy reformy samorządowej, taki autentyczny samorząd powstał w gminach, bo ich kompetencje oraz możliwości finansowe są takie, że są one w stanie coś kreować. Natomiast jeśli chodzi o samorządy powiatowe i wojewódzkie (nie jestem praktykiem samorządowym, nie „zarządzam”) kompetencyjnie są, wszyscy wiemy, takimi samorządami w dużej mierze „papierowymi”. To znaczy mają kompetencje, ale ich możliwości... Wystarczy porównać budżet miasta Katowice z budżetem samorządu wojewódzkiego, żeby zobaczyć, jakim on partnerem może być dla samorządu gminy. Więc już choćby z punktu widzenia kreowania projektów...

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: To się zmienia na korzyść województw.

ANDRZEJ KLASIK: I bardzo dobrze, że się zmienia, natomiast - moim zdaniem – musi być dokończona reforma samorządowa, stwarzająca warunki partnerstwa, przy zachowaniu niezależności kompetencyjnej gmin oraz nie tworzeniu hierarchiczności. Jeżeli jednak chodzi o kreowanie procesów rozwojowych – centralną pozycję ma, również w sensie organizacyjnym, samorząd wojewódzki. Trzeba zadać inne pytanie: zasadniczą rzeczą ustrojową jest równoczesna obecność na poziomie wojewódzkim administracji rządowej i samorządowej. I tu przez cały czas „iskrzy”, bo do końca nie wiadomo, kto jest właściwie gospodarzem. Właściwie bez względu na to, kto jest akurat w „centrali”, mamy do czynienia z czymś, co w informatyce nazywa się „wirusem”. Bo stale wracają takie ciągoty recentralizacyjne, chęć upolitycznienia samorządu. I to właśnie niszczy samorząd. Jeśli nie ma jasnego podziału – krótko i precyzyjnie określonych relacji między marszałkiem a wojewodą. Pan profesor Czesław Martysz mógłby tu naświetlić tę kwestię z punktu widzenia nadzoru. To ma sens, żeby istniał nadzór prawny państwa nad legalnością uchwał samorządu, zwłaszcza wojewódzkiego. Natomiast gospodarzem powinien być na swoim terenie wojewódzki samorząd. To, co się stało za czasów poprzedniej koalicji (zaznaczam, że nie reprezentuję w tym momencie żadnej opcji politycznej), uważam za błąd. Trzeba było „przećwiczyć” decentralizację – opracować 16 pro-



Foto: Zbigniew Sawicz

Tadeusz Kijonka: ... nowa ordynacja wyborcza jest zamachem na samorządy, demokrację lokalną.

gramów operacyjnych rozwoju poszczególnych województw, tymczasem przyjęto jeden zintegrowany program rozwoju regionalnego, który był scentralizowany, a nie zintegrowany. Teraz nowa ekipa wzbudza uzasadnione obawy, że upolityczni samorządy aż do gmin. I wtedy możemy sobie wyobrazić, co się będzie działo. Przecież Ministerstwo Rozwoju Regionalnego jest w stanie wywierać presję na samorządy, „zawłaszczyć" niejako ich kompetencje decyzyjne, bo to ono decyduje, kto i ile dostanie pieniędzy.

TADEUSZ KIJONKA: Zmiana ustroju spowodowała, że mamy taki stan, jak po wyburzeniu. Zostały ruiny. Trzeba było zaczynać tworząc od nowa struktury, tymczasem niemal w każdym obszarze pozostały nawyki i schematy z czasów państwa centralistycznego.

ANDRZEJ KLASIK: Chciałem powiedzieć tylko to, że jeśli mamy dokończyć reformę samorządową, należy doprowadzić do stworzenia możliwości realizacji kompetencji na każdym z poziomów samorządowych w oparciu o wydajne źródła gromadzenia dochodów (czyli najlepsza jest sytuacja gmin). I po drugie – trzeba zdecydować, czy chcemy mieć do czynienia z województwami rzeczywiście samorządowymi.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Zacznę od bardzo prostej prawdy. 160 lat temu badacz demokracji amerykańskiej, Alexis de Tocqueville, powiedział, że demokracja nie może istnieć bez samorządności i bez gminy. I po blisko dwóch stuleciach przyznajemy mu rację. Wiemy doskonale, że ta samorządność gminna jest ułomna, ale nikt lepszej, niż to, co opisał de Tocqueville, nie wymyślił. Warto pamiętać, że samorządność gminna, i w ogóle samorządność jest immanentną cechą dobrze funkcjonującej demokracji. To pierwsza uwaga. Druga – rozmawiamy w miejscu szczególnym. Uzmysłowiłem sobie, że jesteśmy w miejscu, mieście, które miało bardzo ciekawy epizod (podkreślam, że to epizod) autonomiczny, samorządnościowy z okresu międzywojnia. Pamiętajmy, że tutaj nie było takiego miejsca niczyjego, że przecież istniał tu Sejm, Skarb Śląski oraz reguła tangenty, a więc jakiś tam ślad, do którego część współczesnych rozwiązań nawiązuje. Wreszcie trzeci ślad historyczny – kiedy powoływano gminę, mieliśmy nadzieję, że będzie to najbardziej udana reforma ustrojowa. I rzeczywiście tak się stało, co nie znaczy, że restytucja, przywrócenie gminy odbyło się bezboleśnie i ten proces został zakończony. Czego ci, którzy zajmują się lokalnością, od samorządności na poziomie regionalnym oczekują? Otóż czterech podstawowych rzeczy. Po pierwsze, że samorządność gminna, powiatowa, regionalna pobudzi mobilizację społeczną. Ona jest – muszę panów zmartwić – dosyć niska. Gdyby zmierzyć aktywność mieszkańców w województwie śląskim działaniem na rzecz gminy lub jakimkolwiek działaniem – to zaledwie 10, 15 osób na 100 w ciągu ostatnich pięciu lat zrobiło coś na rzecz inną niż własna rodzina, własny dom. To minimalnie lepiej niż wynosi średnia krajowa. Więc ta mobilizacja dopiero się jakby zaczyna. O ile w ogóle następuje. Drugi element – to decentralizacja. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że restytucja gminy rozpocznie proces decentralizacji. I tak się chyba stało. Są z nami znakomici samorządowcy, więc ewentualnie tę ocenę skorygują. Ja mam samorządowca, jak państwo wiecie, w domu. Moja żona, która pełni funkcję wiceprezydenta, zawsze powtarza: „Tak, dokonuje się decentralizacja. Decentralizacja uprawnień, przy jednoczesnej niepewnej decentralizacji finansów." Gmina, miasto otrzymuje coraz więcej zadań, zobowiązań (ostatnio „becikowe"), ale w ślad za tym nie idą stosowne środki finansowe. Więc to jest dosyć dwuznaczna decentralizacja. Trzeci element, na który bardzo w dalszym ciągu liczymy, to aktywizacja ludzi w mniejszym terenie – gminie, powiecie powinna być teoretycznie łatwiejsza niż bez funkcjonowania samorządu. I tu muszę przypomnieć, że w czasie pierwszych, już tych bezpośrednich wyborów wójtów, burmistrzów i tak dalej, ponad połowa naszych mieszkańców nie poszła do urn wyborczych. Prosty, banalny miernik tej ograniczonej aktywizacji. Wreszcie, na co bardzo liczymy, jest to, że gmina stanie się miejscem gdzie dokona się proces włączenia tych wykluczonych, że gmina ograniczy zjawisko nazywane wykluczeniem społecznym, obecne również w naszym, stosunkowo przecież bogatym województwie. Podsumowując: cztery wielkie oczekiwania od samorządności – mobilizacja, decentralizacja, uczestnictwo i ograniczenie wykluczenia społecznego.



Foto: Zbigniew Sawicz

Prof. Andrzej Klasik: Z jednej strony należy przejmować dobre praktyki, z drugiej inwestować w ludzi kreatywnych, w tym młodych.

TADEUSZ KIJONKA: I tu się pojawia pytanie: do jakiego stopnia społeczeństwo ma już świadomość, czym są samorządy?

CZESŁAW MARTYSZ: Bardzo mi się spodobało to wcześniejsze sformułowanie o ruinach. I trochę zainspirowany wystąpieniami przedmówców, chciałbym krótko przedstawić rys historyczny takiego pewnego lęku przed samorządnością. Lęku ze strony państwa, nazywanego inaczej administracją rządową. Ci, którzy od początku funkcjonują w samorządach, pamiętają, że ta działalność wiąże się z poczuciem tożsamości, znajomości historii regionu i jego problemów. Natomiast przeciętnego człowieka, który idzie do urzędu załatwić wydanie dowodu osobistego, czy świadectwa urodzenia, tak naprawdę nie interesują możliwości, czy kompetencje samorządu. On chce po prostu dostać swój dokument szybko, sprawnie. Zresztą z prawnego punktu widzenia w tych sprawach niewiele się zmieniło. Tak jak kiedyś wydawał takie dokumenty naczelnik gminy, czy prezydent miasta, tak je wydaje prezydent i dzisiaj. Bo praktycznie dotyczące tych spraw przepisy nie zmieniły się wraz ze zmianą formy ustroju. Zameldowanie, zezwolenie na budowę - no bo czym się różni pozwolenie na budowę wydane przez upolitycznionego prezydenta sprzed roku 1989 od pozwolenia wydanego przez prezydenta samorządowego dziś? Niczym. Bo prawo budowlane jest jedno.

ANDRZEJ KLASIK: Jedno się zmieniło. Dawniej petent dla władzy był nikim. Natomiast teraz prezydent miasta nie może sobie pozwolić

na takie traktowanie ludzi przychodzących ze swoimi sprawami.

CZESŁAW MARTYSZ: To jest już inny problem. Ale i dzisiaj przychodzą do mnie niezadowoleni petenci, którzy mówią, że dawniej chodzili na skargę do komitetu, a dziś nie mają dokąd iść.

ANDRZEJ KLASIK: No nie, to co pan mówi...

CZESŁAW MARTYSZ: To nie jest mój pogląd, powtarzam to, co słyszę od ludzi przychodzących do mnie.

ANDRZEJ KLASIK: To jest pogląd prawników, środowiska prawniczego.

CZESŁAW MARTYSZ: Mówię tylko, że większość ludzi – i to jest, niestety, przykre – nie bardzo wie, na czym ta zmiana ustrojowa polegała. W związku z tym nie widzi różnicy pomiędzy dawną administracją państwową a organami samorządowymi. Tym bardziej, że w wielu dziedzinach przepisy niewiele się zmieniły.

ANDRZEJ KLASIK: Wydaje mi się, że musiałby pan w tym przypadku odwołać się do wspomnianego aktu urodzenia, bo tak mogą rozumować ludzie, którzy mają lat, no, 65 i więcej.

CZESŁAW MARTYSZ: Są tacy.

ANDRZEJ KLASIK: Trzeba by więc to odnieść do określonych grup wiekowych.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Rzeczywiście, ludzie starsi nadal idą wymienić dowód do „Prezydium". Dla tej grupy obywateli rzeczywiście chyba nie ma to większego znaczenia, ale nie jest to ani większość, ani szeroki zakres załatwianych spraw.

CZESŁAW MARTYSZ: Ale ja mam akurat z tą grupą ludzi do czynienia, jako urzędnik, nie naukowiec. Są wśród nich też ci, których profesor Szczepański nazwał „prawnikami biedy". Przychodzą po zasiłek celowy, bo „im się należy", choć nie skalali się najmniejszą nawet aktywnością w zakresie szukania pracy. Są doskonale zorientowani gdzie, jaką pomoc mogą uzyskać i ją dostają. Ale wróćmy do wątku zasadniczego, bo to jest margines.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Jedno zdanie. Użyłem pojęcia „prawnicy biedy" lub „ubóstwa", ponieważ to bynajmniej nie jest margines. Obaj obecni tu panowie prezydenci wiedzą, że z każdej setki ubogich, ludzi wykluczonych aż jedna piąta to właśnie „prawnicy biedy", którym właściwie ta pomoc nie powinna się należeć.

CZESŁAW MARTYSZ: Miałem dziś posiedzenie komisji konkursowej, bo przyjmujemy ludzi do pracy. I przed wyjściem tutaj zrobiłem analizę, która wykazała, że za pół roku mamy już prawie 4000 odwołań dotyczących pomocy społecznej. 4000.



Foto: Zbigniew Sawicz

Prof. Marek S. Szczepański: ... samorządność jest w naszych gminach taka, jakie są środowiska samorządowe, które te gminy tworzą.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: A wśród nich wiele od „prawników biedy".

CZESŁAW MARTYSZ: Oczywiście. Oni mają najlepsze rozeznanie w rozmaitych przepisach...

ANDRZEJ KLASIK: To jest funkcją tego, co mówi Lepper, Giertych, nadużywania pojęcia „solidarne państwo". To wywołuje masowe pojawianie się wszystkich, którzy chcą iść na państwowy garnuszek, którzy potrzebują pomocy. Wykreowano taki typ zachowań, bo one się opłacają.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Prezydent miasta wydaje decyzję odmowną, wtedy ci ludzie idą do sądu, tam najczęściej też spotykają się z odmową, więc powiększają elektorat partii populistycznych, które obiecują, że właśnie najbiedniejszym będzie dobrze.

ANDRZEJ KLASIK: Ale to wszystko są sprawy społeczne, obywatelskie, a nie publiczne.

CZESŁAW MARTYSZ: Właśnie. Wracając do tematu – 90. rok. Gminy wówczas, mówię o nich w sensie organów administracji publicznej, były wyposażone w wiele funkcji władczych, które całkiem sprawnie wykonywały. W roku 90. wiele uprawnień tym gminom zabrano. Ja sobie to dokładnie wyliczyłem, bo miałem na ten temat referat w Krakowie. 23 ustawy. We wszystkich zostały odebrane kompetencje wójtom i przekazane kierownikom urzędów rejonowych. A więc organom rządowym. Tylko 2 ustawy przekazywały pewne kompetencje wojewody gminom, i – troszeczkę kompetencji administracji z centralnej przekazano wojewodom. A więc mieliśmy, wbrew pozorom, również w roku 90. do czynienia ze swoistą centralizacją, Prosty przykład: wójt wydawał prawa jazdy, rejestrował samochody. Co w 90. roku się stało?

ANDRZEJ KLASIK: Ale, proszę pana, my jesteśmy w regionie zurbanizowanym, a pan przenosi tu sprawy z obszarów wiejskich.

CZESŁAW MARTYSZ: Natychmiast uruchomiono porozumienia administracyjne. Między kierownikiem urzędu rejonowego a gminami. 90% kierowników zawarło takie porozumienia. Na ich podstawie funkcje, które miały być wykonywane na mocy ustawy, były wykonywane w ramach porozumienia administracyjnego. Niby nic się nie zmieniło, poza tym, że pojawiło się całe mnóstwo zadań, których przedtem w samorządzie nie było. Pojawiła się koncepcja jednolitej gminy – od małych Wyr po wielkie Katowice wszyscy wójtowie, burmistrzowie, prezydenci mieli mieć jednakowe kompetencje. Stąd w 93. roku program pilotażowy.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Nieudany finansowo.

CZESŁAW MARTYSZ: Nieudany, ale były próby różnicowania właściwości gmin na większe, mniejsze. W 95. powstała ustawa o wielkich miastach, dzięki której 46 miast nabyło uprawnienia rozszerzone. To właśnie były te ruiny, gruzy, na których podjęto próby budowania samorządności. Mówię w tym momencie o uprawnieniach decyzyjnych, nie o kompetencjach gospodarczych, infrastrukturalnych, socjalnych.

ANDRZEJ KLASIK: Ale nie można odrywać kompetencji decyzyjnych od ich przedmiotu. Przecież sprawy rozwoju regionalnego, infrastruktury – to są rzeczy najważniejsze.

CZESŁAW MARTYSZ: Dobrze, dobrze. Były i pozostały. Tylko najpierw wykonywane były samodzielnie, potem – w drodze porozumień. To są fakty prawne. W 98. roku powstał powiat. I lęk, że zabierze się gminom zadania i kompetencje, że powiat będzie organem wyższego stopnia, który gminy będzie nadzorować. Analiza ustawy kompetencyjnej z 98. roku spowodowała znaczącą decentralizację. Rzeczywiście, sporo zadań ze szczebla ministerialnego przeszła na stopień wojewódzki, z niego część przerzucono na szczebel powiatowy a także gminny. Ale to dość szybko zostało zahamowane. I ostatni etap – 2005. rok. W lipcu tego roku wchodzi w życie kolejna ustawa kompetencyjna, która decentralizuje samorząd, ale w sposób osobliwy, mianowicie przerzuca cały szereg zadań, kompetencji decyzyjnych, także gospodarczych z rąk wojewody na marszałka. Ale już w grudniu tego samego roku następuje zahamowanie tej ustawy. Bo część tych uprawnień miała przejść w roku 2006 część – w 2007, część – dopiero w 2008. Pozostaje rzecz najważniejsza: kto jest organem wyższego stopnia w stosunku



Foto: Zbigniew Sawicz

Prof. Czesław Martysz: ...jeśli wszystkie sprawy zostałyby naprawdę przekazane „w dół", samorządom, to by się okazało, że część naszych szacownych ministerstw jest po prostu zupełnie zbędna.

do decyzji marszałka przejętych od wojewody? W 90% tym organem są ministrowie. I to jest pointa tego wywodu. Bo pytam się: po co przerzucać kompetencje wojewody na marszałka, jeżeli organem nadzoru pozostaje minister? Mówiąc krótko: jeśli wszystkie sprawy zostałyby naprawdę przekazane „w dół", samorządom, to by się okazało, że część naszych szacownych ministerstw jest po prostu zupełnie zbędna. Dlatego opór jest tak silny. I dlatego boję się, czy zadania, które mają przejść w 2007. na marszałka, w ogóle przejdą. Czy nie nastąpi kolejny krok w kierunku jednak centralizacji.

TADEUSZ KIJONKA: To bardzo ważne stwierdzenie. Jaka jest więc kondycja samorządu w Polsce, w tym na Śląsku?

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Skoro jestem „wywołany do odpowiedzi", już mówię. Uważam, że pozycja samorządu jest dobra. Szczególnie w porównaniu z innymi segmentami administracji publicznej. Można to różnie mierzyć, ale takim najlepszym dla nas sposobem jest, myślę, ocena działalności różnych władz publicznych. I w tej kategorii samorządy wypadają najlepiej. Śląskie samorządy są jako całość, tak sądzę, lepsze od reszty Polski. Z czego to wynika – to już zostawiam ocenie panów. Bardziej skomplikowany jest problem z powiatami grodzkim i ziemskim. Myślę tu o takiej sytuacji: mamy na przykład niewielkie miasto Żory i powiat okoliczny. Brak tego miasta byłby dla otaczających je gmin kolosalnym ubytkiem i ograniczeniem potencjału rozwojowego. Tymczasem, moim zdaniem, powiaty są niedociążone i samorząd wojewódzki też. Dotyczy to zadań i kompetencji. Za późno doszło do tworzenia szczebli samorządu terytorialnego. Zabrakło też odwagi i determinacji politycznej. Decydenci zatrzymali się jakby wpół drogi. Utworzono wprawdzie powiaty, ale za cenę wielu kompromisów. Takim dobrym miernikiem tego, co się stało, jest procent udziału kosztów administracyjnych w budżecie. W powiatach ziemskich jest on bardzo duży. Te powiaty, administracja – one żyją często z subwencji drogowej. To jest niedobre. Należałoby, moim zdaniem, przekazać powiatom znacznie więcej zadań i kompetencji, za którymi by poszły pieniądze. Przykładem, bo o to samorządy walczą, jest Agencja Nieruchomości Rolnych. Nie wiadomo z jakich powodów utrzymywana. Dlatego, że w powiatach grodzkich mieniem skarbu państwa zajmują się prezydenci. W powiatach ziemskich jest natomiast Agencja. Następny problem: wojewoda – marszałek. Gospodarzem województwa musi być oczywiście marszałek. Problemem jest terminologia, która się utrwaliła przez całe lata historii. Bo wojewodą powinien być nazywany obecny marszałek. A nadzór państwowy powinien oczywiście istnieć, ale bez używania nazwy „wojewoda". Historycznie to stanowisko ma w świadomości społecznej wysoką rangę regionalną. Zagrożeniem jest to, co się z samorządami dzieje teraz (to zarazem dowód na to, że dobrze funkcjonują i się rozwijają). Otóż samorządy stały się cennym łupem politycznym. Kiedyś parlamentarzyści nie bardzo się samorządem interesowali, teraz natomiast zwrócili się w tę stronę, bo w społeczeństwie bardzo wzrosła ranga starosty, marszałka, prezydenta.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Chciałbym się odnieść do tej sprawy, bo widzę tu bardzo realne zagrożenie. Trudno sobie wyobrazić, że samorząd jest samoistną, samodzielną wyspą i w gminie jest znakomicie, a „góra", czyli cała ta „warszawka" funkcjonuje sobie. Samorządy są częścią szerszej rzeczywistości, niestety, stały się też częścią „łupu politycznego", nad czym bardzo ubolewam. To, co można było zaobserwować przy uchwalaniu nowej ordynacji wyborczej, to zabiegi czytelne dla socjologa, zmierzające do tego, żeby klientelę poszczególnych partii politycznych obdzielić stanowiskami samorządowymi. Obawiam się, że jeżeli tak dalej pójdzie, walka o „łupy polityczne" przyniesie bardzo negatywne skutki. Wierzę tylko w mądrość wyborców, którzy wiedzą, że nie szyldy partyjne są istotne, ale konkretni ludzie, którzy kandydują. Niestety, z badań socjologicznych z zeszłego tygodnia wynika, że nawet jeśli wystartuje w wyborach do samorządu kompletnie nieznany człowiek, ale z szyldem PIS-u, uzyska wynik całkiem przyzwoity mimo, że wcześniej nic dla samorządu nie zrobił i jest tylko „tragarzem etykiety". Wierzę jednak, że w dłuższym planie mądrość obywatelska zwycięży i wybór będzie bardziej spersonalizowany niż polityczny. Wiadomo, że klientela partyjna jest głodna stołków, głodna władzy, głodna spółek, rad nadzorczych. Przecież główni aktorzy naszej sceny politycznej już wprost o tym mówią. Ta klientela jest bardzo rozległa i od tej sytuacji nie da się oderwać Rudy Śląskiej, Gliwic, Tychów...



Foto: Zbigniew Sawicz

Zygmunt Frankiewicz: Uważam, że powinno się wyznawać taką zasadę w samorządzie (i w państwie też), iż nie wolno konkurować z własnymi obywatelami.

TADEUSZ KIJONKA: Wspomniana przez pana profesora zmiana w ordynacji wyborczej została źle przyjęta prawie wszędzie...

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Spodziewano się tego, że będzie źle przyjęta. Dlatego nie dopuszczono do żadnej dyskusji. W naszej szesnastoletniej historii nie pamiętam sytuacji, że nie było możliwości odniesienia się do czegoś, co dotyczy samorządów. Nawet jakieś błahe ustawy były często konsultowane. Nawet kiedy obowiązuje tzw. szybki tryb, zdążymy przedstawić swoje stanowisko.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Chodziło, o czym wypada powiedzieć wprost, o podanie „kroplówki" partiom, które w normalnych wyborach znalazłyby się na odległych peryferiach życia społecznego. Podano więc taką „kroplówkę", poprzez na przykład blokowanie list.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: A efekt będzie dokładnie odwrotny od zamierzonego. Bo mówiono, że chodzi o skonsolidowanie rad, o to, aby w nich funkcjonowały skuteczne większości. Tylko że jak „Samoobrona" z LPR przyklejone do PIS-u wejdą do rady, natychmiast wszyscy się ze sobą skłócą i – zamiast większości – znajdą się tam dodatkowe „wolne elektrony".

TADEUSZ KIJONKA: I przeniesienie konfliktów politycznych z centrali do samorządów.

CZESŁAW MARTYSZ: Dla mnie, jako prawnika, grzebanie przy ordynacji wyborczej na kilka miesięcy przed wyborami jest jednym z najbardziej chorych pomysłów.

ANDRZEJ KLASIK: Jeżeli chcemy wspierać trendy rozwojowe, to ich warunkiem jest stabilność polityczna. W ciągu tych kilku kadencji wytworzyły się już środowiska samorządowe. Przerwanie ciągłości ich działania na rzecz upartyjnienia rad, oznacza doprowadzenie do niestabilności politycznej.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Tendencje centralistyczne – to następne zagrożenie. A od nich żadna władza centralna nie była wolna. To jest poważny problem. I ostatnia rzecz, którą chciałem poruszyć – zarządzanie aglomeracją, Ten obszar, na którym żyją dwa miliony ludzi, nie jest zarządzany optymalnie. Brakuje ciała, które koordynowałoby przynajmniej niektóre przedsięwzięcia na całym terenie aglomeracji. Kończy się właśnie proces przygotowywania Górnośląskiego Związku Metropolitalnego. Jest to związek komunalny, który – po wielu perypetiach – ma uzgodniony statut. Jeszcze w tej kadencji, w najbliższym miesiącu 14 miast aglomeracji przyjmie stosowną uchwałę i statut, następnie związek ma być szybko zarejestrowany, bo już w tej chwili te dokumenty są uzgodnione zarówno z nadzorem prawnym wojewody jak i Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji. To jest strategiczna rzecz. Najważniejsze, że podczas wielomiesięcznej dyskusji doszło do wypracowania pewnych rozwiązań, które są lepsze od wcześniej oczekiwanych, czyli dają szersze możliwości współpracy. Takim rozwiązaniem jest na przykład to, że uzgodniliśmy możliwość podejmowania znacznie szerszych zadań pod warunkiem zawarcia odpowiednich porozumień. Wtedy można na listę zadań wpisać prawie wszystko, nie zabierając przy tym uprawnień samorządom.

TADEUSZ KIJONKA: Myślę, że prawdziwe jest zdanie, iż im silniejsze samorządy, tym silniejsze państwo. Pan prezydent poruszył tu bardzo wiele wątków, ale w działalności samorządowej istotne są pieniądze. Jak w tej chwili konstruowane są budżety?

ANDRZEJ KLASIK: Myślenie, że o wszystkim rozstrzyga budżet. I trzymanie „rąk w kieszeni", trochę zniekształca obraz. Zgadzamy się co do decentralizacji finansów, porządkowania źródeł dochodu, ich ustabilizowania, rozstrzygnięcie, czy to ma być z VAT-u, czy z PIT-u – to są rzeczy ważne, a nie sam budżet.

MICHAŁ CZARSKI: Poza tym nie ma takiego regionu w Europie, który by przyznał, że ma za dużo



Foto: Zbigniew Sawicz

Andrzej Stania: Jedna z zasad, którymi kierują się mądre społeczeństwa mówi o pomocniczości, o przekazywaniu zadań „w dół"...

pieniędzy. Każdy, czy to będzie Nord Pas de Calais, czy północna Nadrenia-Westfalia, które dysponują naprawdę ogromnymi budżetami, jeszcze większe mają potrzeby. Kiedy przeszedłem z samorządu terytorialnego do wojewódzkiego, wyznaczyłem sobie trzy obszary działania. Po pierwsze – ułożenie dobrych relacji z samorządami lokalnymi. Następnie – nawiązanie kontaktów z samorządem gospodarczym reprezentującym nasze firmy i nowych inwestorów, to znaczy stworzenie dla biznesu odpowiednich warunków właśnie na Śląsku. I wreszcie – troska o obywatelskie organizacje pozarządowe. W dokumencie, który ma być przyjęty przez Sejmik, jest już mowa nie o współpracy, ale o współdziałaniu. Związek z organizacjami pozarządowymi jest niezbędny w każdym demokratycznym państwie jak i samorządzie. Trzeba tworzyć im odpowiednie warunki, ponieważ w wielu sprawach mogą one odciążyć samorząd lokalny, niejako go wyręczać w wielu kontaktach z obywatelami. Naprawdę w różnych dziedzinach jest to rozwiązanie i tańsze, i lepsze.

ANDRZEJ STANIA: Jedna z zasad, którymi kierują się mądre społeczeństwa mówi o pomocniczości, o przekazywaniu zadań „w dół", a przez to włączaniu innych (stowarzyszeń, organizacji obywateli) w pracę dla dobra wspólnego. Śląsk jest w Polsce miejscem specyficznym. Tutaj świadomość podmiotowa obywatela jest o wiele bardziej zakorzeniona. W 1992 roku odbyło się w Poznaniu spotkanie organizacji regionalnych, które założyły Ligę Regionów. Śląsk reprezentowały: Związek Górnośląski, Ruch Autonomii Śląska i Związek Górnoślązaków z Opola. Podhale reprezentował Związek Podhalan, Pomorze – Związek Kaszubsko-Pomorski, a Wielkopolskę – Wielkopolanie. Liga miała oddziaływać na Warszawę w kierunku decentralizacji władzy w Polsce. Chcieliśmy pozyskać dla naszej sprawy inne stowarzyszenia, szczególnie ze wschodniej strony Wisły, ale okazało się, że tam nie ma partnerów do rozmowy. A problemy mieliśmy już z Dolnym Śląskiem. Tylko Śląsk, Wielkopolska, Podhale i Pomorze miały już w tamtym czasie swoje reprezentacje regionalne, zdolne do wspólnego działania. Być może dlatego próby uwiarygodnienia na Śląsku takiego bytu politycznego jak partia nie powiodły się. Na wschód od Wisły, tam, gdzie była pustka, rzeczywiście tylko partie polityczne mogą jakoś zagospodarować aktywność społeczną. Natomiast w moim mieście – Rudzie Śląskiej, są 174 organizacje pozarządowe. Od razu, gdy rozpocząłem pracę jako prezydent miasta, postawiłem na budowanie społeczeństwa obywatelskiego. Dlatego wspieramy organizacje pozarządowe na tyle, na ile nam prawo pozwala. Organizujemy różne programy, konkursy, w których mogą one uczestniczyć, wygrywać środki na aktywizację życia społecznego. Zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego – byłego doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych ds. bezpieczeństwa – szansą dla świata jest uwiarygodnienie demokracji. Skoro dzisiejsza demokracja, która przez wieki odeszła od swoich korzeni, jest nie do przyjęcia przez kraje Trzeciego Świata, my właśnie powinniśmy zadbać o jej pogłębienie. Skoro miernikiem samorządności jest frekwencja wyborcza, mamy sytuację rzeczywiście niepokojącą. Powinniśmy z tym coś zrobić. Dlatego stale pracujemy nad uwiarygodnieniem samorządu. Właśnie po to uczestniczymy w projekcie „Przejrzysta Polska" i zdobywamy certyfikaty jakości dla naszych urzędów.

TADEUSZ KIJONKA: Chciałbym jeszcze pana prezydenta zapytać o Stowarzyszenie Gmin Górniczych. Gminy te miały na początku jakieś uprawnienia, potem sytuacja się zmieniła... Jak to wygląda teraz?

ANDRZEJ STANIA: Ruda Śląska jest akurat największą gminą górniczą w Europie, ale nie należymy do tego związku. Natomiast bierzemy udział w niektórych pracach tego stowarzyszenia. Trzeba pamiętać, że nie żyjemy już w czasach bezradności. Mamy swoich posłów, oni są ze swojej pracy rozliczani, od nich oczekujemy aktywności w tej dziedzinie. Przez nich usiłujemy pewne rzeczy naprawiać. Udało się dzięki temu na przykład wycofać nieszczęsny zapis o opłatach sądowych, który (choć wprowadzono go w zupełnie innej ustawie) wpływał na ustalenia prawne dotyczące szkód górniczych. Tak samo udało nam się naprawić błędy w regulacjach prawnych związanych z ratownikami gór-

niczymi. W tej chwili zastanawiam się nad tym, jak przeprowadzić dowód, że prawo geologiczne i górnicze jest prawem kolonialnym. Poszukuję więc materiałów źródłowych w prawie niemieckim, brytyjskim, prawie stanu Pensylwania, żeby zobaczyć, jak tam traktowana jest własność. Dziś już wiemy, że prawo geologiczne i górnicze wprowadzone dekretem, a obowiązujące do 1994 roku, było dla gmin górniczych bardziej przyjazne.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Chciałbym w tym miejscu postawić taką tezę pobadawczą, że samorządność jest w naszych gminach taka, jakie są środowiska samorządowe, które te gminy tworzą. Gdybym miał podsumować studia z kilkudziesięciu już gmin, mógłbym powiedzieć, że są 3 typy liderów lokalnych. Pierwszy – liderzy o charakterze konserwacyjnym. To znaczy liderzy, którzy „konserwują" stan obecny. Najlepiej czują się w cyklach wyborczych, właściwie myślą w kategoriach wyborczych repetycji. Unikają otwarcia na szersze środowiska. Takim szokującym dla mnie przykładem był wójt, który uważał, że działki należy sprzedawać tylko „swoim", bo inaczej pojawi się w gminie „element obcy", a przecież jest dobrze, więc nie trzeba nic zmieniać. Drugi typ to samorządowcy o charakterze adaptacyjnym, którzy mają świadomość, że nie da się tylko konserwować władzy, pewne rzeczy są nieuchronne, trzeba się więc na nie otworzyć. Wreszcie typ trzeci – innowatorzy. Cechują ich zachowania innowacyjne, otwarte, wizjonerskie. I te trzy postawy rzutują na to, jak wygląda samorządność w gminie. Chciałbym jeszcze powiedzieć o dwóch sprawach. To naprawdę fantastyczne, że społeczeństwo obywatelskie tak się angażuje w sektor pozarządowy. Ale znowu z badań, jakie prowadzimy, wynika, że w pewnej części tych Non-Governmental Organisations (NGOS) występuje zagrożenie dla samej ich idei. Otóż niepokojąco rośnie liczba osób, które z NGOS-ów zrobiły sobie sposób na życie dla siebie, swoich krewnych i całych rodzin. To, co miało być jakimś elementem społeczeństwa obywatelskiego, stało się źródłem – przepraszam, powiem wprost – zarobkowania, sposobem na wygodne życie pewnej grupy ludzi...

ANDRZEJ KLASIK: Ale tego nie można uogólniać.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Jednak nie należy tego zjawiska lekceważyć. Z drugiej strony mamy wspomnianych wcześniej „prawników biedy", którzy zrobili sobie z gminnej pomocy sposób na życie. A jednocześnie, skoro już przy tym jesteśmy, zwracam uwagę na taką



Foto: Zbigniew Sawicz

Michał Czarski: ... nie ma takiego regionu w Europie, który by przyznał, że ma za dużo pieniędzy.

„godnościową" biedę, jaką mamy w gminach. To ludzie naprawdę potrzebujący, którzy nigdy po żadną pomoc się nie zgłoszą.

ANDRZEJ KLASIK: Zastanawiamy się nad zagrożeniami, mówimy o obawach. Wydaje mi się, że po to jesteśmy już w tej Unii, żeby przejąć zasadę, która tam obowiązuje. To jest transfer dobrych praktyk. Transfer tego, co się udaje. Nie szukajmy już patologii, wykluczeń, nauczmy się wreszcie, że budowaniu służy transfer osiągnięć. Druga sprawa – wszyscy uważają, że świetne są innowacje. Ale one biorą się z kreatywności. Dlatego powinniśmy kształtować postawy kreatywne. Od pomysłów, od twórczego myślenia, od środowisk artystycznych, kulturalnych powinny wychodzić rzeczy, które przejmuje biznes. A nie, że biznes ma tyle pieniędzy, iż może potem być mecenasem kultury. W chwili obecnej rozpoczynam projekt, który dotyczy kreatywnych miast. W tej chwili realizuje się w świecie trzy takie projekty. Jeżeli chce się rozwiązywać jakiekolwiek problemy w mieście, trzeba doprowadzić do spotkania różnych środowisk społeczno-zawodowych. I oczekiwać od nich pomysłów na to, co zrobić. Dlatego ważne jest kształtowanie postaw kreatywnych od szkoły, od przedszkola. A wracając do samorządności – silny samorząd terytorialny to taki, który nadaje na „dobrych falach" razem z sektorem obywatelskim i sektorem biznesowym. Żeby dać odpór tym politykom, którzy ciągle jakieś tam dziwne rzeczy wymyślają, konieczne jest tworzenie własnych środowisk samorządowych, biznesowych i obywatelskich, którym wspólnie jest „po drodze". To jest kwestia identyfikacji z miejscem, autentyczności tego miejsca w sensie tożsamości i budowania unikatowości tego miejsca.

TADEUSZ KIJONKA: Nietknięty pozostał nam jeszcze jeden istotny wątek. Gmina jako wielki pracodawca.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Zanim odpowiem, chciałbym powiedzieć kilka słów o sytuacji finansowej gmin. Po ustawie o dochodach jednostek samorządowych myślę, że ta sytuacja jest niezła. Wiem, że za to stwierdzenie będę krytykowany, ale to prawda i samorząd nie może w tej chwili narzekać na stan swoich finansów. Dochody gmin, powiatów i województwa rosną dość szybko. Istnieje też pewne zagrożenie, dlatego, że duża część to tzw. dochody własne, do których wlicza się coś, co de facto dochodem własnym nie jest. Poza tym finanse zależą od koniunktury i w przypadku wystąpienia dekoniunktury ta sytuacja może się gwałtownie pogorszyć. W tej chwili miasta na prawach powiatu mają ponad 46% udziału w podatku od osób fizycznych. Jeśli chodzi natomiast o gminę-pracodawcę. Nie wolno tego pominąć, bo w niektórych miejscowościach gmina jest pracodawcą jedynym. To już jest źle. Patologia. Szalenie istotne jest, jak się ten pracodawca na rynku zachowuje. Uważam, że powinno się wyznawać taką zasadę w samorządzie (i w państwie też), iż nie wolno konkurować z własnymi obywatelami. Tam, gdzie obywatele mogą sami zagospodarować jakąś niszę gospodarczą, nie powinna wkraczać gmina. Bo to przede wszystkim biznes powinien być pracodawcą.

CZESŁAW MARTYSZ: Ad vocem: właśnie dlatego tak ważny po wejściu do Unii Europejskiej jest problem współpracy z organizacjami pozarządowymi. Pojawiło się nawet w nauce prawa takie pojęcie jak „prywatyzacja zadań publicznych". To, co dawniej należało do administracji publicznej, dziś może być z powodzeniem wykonywane przez organizacje a nawet osoby prywatne. Przepisy już dopuszczają ogłaszanie swoistych przetargów na wykonanie jakiegoś zadania, które będzie sfinansowane przez gminę. A jeżeli te pieniądze byłyby niewłaściwie wykorzystane - istnieją środki prawne w postaci decyzji o zwrocie udzielonej dotacji. W tym obszarze jest bardzo dużo zadań z zakresu na przykład kultury, edukacji, rozrywki. Czy panowie obserwujecie inicjatywy w tych dziedzinach ze strony właśnie organizacji pozarządowych?

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: Tam, gdzie jest to trudne, nie ma chętnych. Na przykład: dożywianie dzieci w szkołach. Jeżeli natomiast chodzi o własne inicjatywy z zakresu życia kulturalnego – pomysłów jest dużo. Ale nie zawsze te środki są wykorzystane właściwie.

CZESŁAW MARTYSZ: Obserwuję rosnącą ilość decyzji o zwrocie dotacji. Ilość odwołań lawinowo wzrasta. Powodują to na przykład zmiany w oświacie – teraz wy dzielicie stypendia. Świadczenia rodzinne – kiedyś robiły to ZUS-y. Ilość kompetencji wzrasta, wzrasta też ilość podmiotów, które mają z gminą do czynienia. Mówi się, że jest u nas przerost administracji, ale okazuje się, że do analizowania tych zadań i funkcji ludzi mamy zbyt mało.

ANDRZEJ KLASIK: Jakie środowiska naciskają na tego typu regulacje? Dokładnie te, które później obejmują stanowiska. Musimy sobie zdawać sprawę, że to jest niebezpieczny zakręt, bo w końcu, czy samorządy mają wspierać kreatywność, czy zajmować się organizacją administracji.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: Kreatywność w znacznym stopniu jest udziałem ludzi młodych. Tymczasem większość (mówię o mojej młodzieży) ulokowała swoją aktywność poza granicami regionu i kraju. Mówię o grupie, która wybiera się za granicę i, wbrew pozorom, nie jest skazana na zmywak w Irlandii. Zwracam więc uwagę na taki upływ „dobrej krwi". Proszę pamiętać, żeby mówić o kreatywności, trzeba też pomyśleć o tych młodych ludziach.

ANDRZEJ KLASIK: Właśnie o tym mówię. Jeśli mamy ludzi kreatywnych, nie możemy dopuszczać do takiego „upustu krwi". Z jednej strony należy przejmować dobre praktyki, z drugiej inwestować w ludzi kreatywnych, w tym młodych. Jeżeli oni tu nie znajdują możliwości do tego, co chcą robić, to szukają innych miejsc. Więc nastawienie się samorządów na ludzi kreatywnych – to jest podstawowa wizja.

TADEUSZ KIJONKA: Rektor Uniwersytetu Śląskiego, profesor Janeczek powiedział, że w zeszłym roku uczelnię ukończyło 8 tysięcy absolwentów. Natomiast ze Śląska wyjechało 10 tysięcy młodych ludzi z wyższym wykształceniem.

ANDRZEJ KLASIK: Nie widzę nic złego w tym, że jakaś nasza absolwentka zostaje profesorem zagranicznej politechniki. Z tego może wyniknąć coś dobrego także dla nas. Natomiast chodzi o skalę zjawiska.

CZESŁAW MARTYSZ: Słyszałem powiedzenie, że kiedyś rząd był w Londynie, naród w kraju, a teraz naród w Londynie, a rząd...

ANDRZEJ KLASIK: Czytałem ostatnio kapitalny tekst o roli uniwersytetu. Otóż rolą uniwersytetu (i każdej szkoły wyższej) jest wyławianie i rozwijanie talentów. A władze publiczne są po to, żeby tych talentów nie marnować.

TADEUSZ KIJONKA: Mówimy w tej chwili o kapitale narodowym. Bo większego niż młode generacje nie mamy. W ostatnim numerze naszego miesięcznika wydrukowałem artykuł *Śląsk ograbiony*. Tam stwierdziłem między innymi, że nowa ordynacja wyborcza jest zamachem na samorządy, demokrację lokalną. Myślę, że powinniśmy się w tej chwili odnieść do sprawy, która wielu ludzi nurtuje - jak bronić się przed polityzacją samorządów i w jakim stopniu nowa ordynacja będzie powodowała recentralizację władzy, bo ci przedstawiciele partii, którzy zostaną do samorządów wprowadzeni, będą dyspozycyjni wobec partyjnych liderów.

ANDRZEJ KLASIK: Powiedzmy, panie redaktorze, że jest to ograbianie społeczności lokalnej i regionalnej, ponieważ sprawa dotyczy nie tylko Śląska, ale całej Polski.

ANDRZEJ STANIA: Dobrze, że jesteśmy w Unii Europejskiej, bo tam demokracja i samorządność to podstawowe standardy. Dlatego to, co dzieje się w naszym kraju ostatnio, traktowałbym jako chwilowe zawirowanie. Mam nadzieję, że świadomość samorządowców będzie wystarczająco duża, a ich działania solidarne, dzięki czemu te próby upolitycznienia samorządów uda się zatrzymać. Wyperswadować niektórym politykom podejmowanie podobnych posunięć.

ANDRZEJ KLASIK: Nie liczyłbym na Unię Europejską w tym przypadku. Tam panuje pogląd, że sprawy polityczne są wewnętrzną sprawą każdego kraju.

CZESŁAW MARTYSZ: Tylko że to rzutuje na odbieranie tego kraju na zewnątrz.

ANDRZEJ KLASIK: Dlatego powinniśmy wreszcie zrozumieć, że sami sobie pogarszamy swój wizerunek na arenie międzynarodowej.

CZESŁAW MARTYSZ: Chciałem zwrócić uwagę na jeden fakt. Istotę zmian zawartych w nowej ordynacji postrzega może 5% społeczeństwa polskiego. Cała reszta będzie przekonana, że oddala swój głos na kogoś konkretnego, tymczasem może się okazać, że praktycznie głosowała na kogoś zupełnie innego, bo jeśli dane ugrupowanie nie wejdzie, ten głos przejdzie na inne, „zblokowane" z wybranym. Ludzie będą zagubieni.

ANDRZEJ KLASIK: Dlatego potrzebna jest szeroka akcja edukacyjna.

CZESŁAW MARTYSZ: Tylko czy starczy na to czasu. Wybory są przecież w listopadzie.

TADEUSZ KIJONKA: Konieczna jest tu wielka mobilizacja, ponieważ utrata wpływów, dorobku, wreszcie sprawdzonych samorządowców to wielka strata, strata nie do odzyskania.

ANDRZEJ KLASIK: Moim zdaniem przeniesienie gry politycznej z poziomu centralnego do środowisk lokalnych jest po prostu próbą rozsadzenia środowisk samorządowych, które ukształtowały się podczas tych kilku kadencji. Jest to zarazem naruszenie stabilności politycznej – tej lokalności, że tak powiem, w strukturach decyzyjnych. To, moim zdaniem, de facto zamach na samorządność.

CZESŁAW MARTYSZ: Ja mam dwa inne, niepokojące przykłady. Do organów samorządowych w Polsce należą regionalne izby obrachunkowe i kolegia odwoławcze, które cieszą się dość dużą autonomią. Przewodniczący, czy prezesi tych organów pochodzą z wyborów. Wybierają ich zgromadzenia ogólne członków, czyli po prostu środowiska wybierają swojego lidera. Na stanowisko powołuje go premier spośród dwóch wskazanych kandydatów. Dziś coraz częściej politycy mówią o tym, żeby ustawy o tych organach zmienić, bo chodzi o obsadę ponad stu stanowisk w skali kraju. Dotychczasowe ustawy zabraniają obsadzania tych stanowisk „swoimi", ponieważ zawierają bardzo rygorystyczne wymogi, co do uczestnictwa w tych ciałach. Trzeba mieć określone studia (prawnicze, ekonomiczne), trzeba mieć doświadczenie. I to budzi frustrację polityków, którzy chcieliby również te stanowiska mieć dla „swoich ludzi". Trwają przymiarki, żeby przepisy o konkursach, o procedurach po prostu skreślić. Zostawić jeden artykuł: „prezesa powołuje i odwołuje premier". Tego się najbardziej boję. I druga sprawa. Tak sobie pomyślałem, czy nie czas, po 16 latach, na to, żeby stworzyć jedną ustawę o samorządzie terytorialnym. Przecież jedna trzecia przepisów dotycząca na przykład radnych wszelkich szczebli jest identyczna. Podobnie jest z innymi przepisami.

ANDRZEJ KLASIK: To by była taka konstytucja samorządowa.

ANDRZEJ STANIA: Myślę, że jakimś rozwiązaniem byłyby jednomandatowe okręgi wyborcze, zarówno na poziomie gminy jak i parlamentarnym. To w wielu krajach uzdrowiło sytuację. Ludzie mają to do siebie, że starają się wybierać kandydatów rozsądnych, a ci rozsądni potrafią się ze sobą dogadać. Poza tym, zamiast ślepo słuchać lidera, wolą sami zapoznawać się z projektami ustaw, czy uchwał i trzeźwo je oceniać. Bo niebezpieczne jest to, że i w Sejmie i czasem w gminnych radach o poszczególnych projektach decyduje nie debata, nie argumenty, ale kuluarowe ustalenia i dyscyplina partyjna, ustalana często w nocy, bez kamer i świadków. ■

O zatrzymaniu kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w 1966 r.

Matka Boska Niechciana

ADAM DZIUROK

ŁUCJA MAREK

W przygotowaniu duchowym polskiego Kościoła do Jubileuszu Tysiąclecia Chrztu Polski, obok Jasnogórskich Ślubów Narodu i programu Wielkiej Nowenny, istotną rolę odegrać miała peregrynacja kopii Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej.

Upływa 40 lat od tamtych wydarzeń – szykan, mnożenia aktów wrogości aż do „uwięzienia" obrazu.

Idea nawiedzenia wszystkich diecezji i parafii polskich przez kopię jasnogórskiej ikony podjęta została przez Prymasa Stefana Wyszyńskiego jeszcze w 1956 roku, a o tej formie akcji duszpasterskiej ostatecznie zadecydowała 11 kwietnia 1957 r. Konferencja Plenarna Episkopatu Polski. W maju 1957 r. Prymas Polski zawiózł kopię obrazu do Rzymu, gdzie 14 maja poświęcił ją papież Pius XII. 26 sierpnia 1957 r. w święto Matki Bożej Częstochowskiej odbyła się na Jasnej Górze uroczystość rozpoczęcia Milenijnego Nawiedzenia. Nastąpił symboliczny obrzęd „pocałunku" – zetknięcia Cudownego Obrazu z kopią. Trzy dni później kopia jasnogórskiej ikony rozpoczęła swą pielgrzymkę po Polsce od Archikatedry Warszawskiej. W kwietniu 1966 r., po odwiedzeniu 10 diecezji północnych i administracji apostolskich na Ziemiach Zachodnich, peregrynację przerwano, aby obraz mógł być obecny na najważniejszych uroczystościach milenijnych.

Już wówczas utrudnienia ze strony władz komunistycznych sprawiły, że obraz nawiedził jedynie dziewięć miast na historycznym szlaku Tysiąclecia. Władze uznały, że należy się przeciwstawić prowadzonej przez Kościół tzw. ofensywie dewocyjnej (miała się ona wyrażać w „publicznym demonstrowaniu sfanatyzowania religijnego") i nie dopuścić do manifestacji towarzyszących wędrówce obrazu. Władze traktowały peregrynację jako „formę kultu dotychczas zupełnie nieznaną w liturgii Kościoła katolickiego", wprowadzoną przez Prymasa Wyszyńskiego dla celów politycznych. Peregrynacji przypisywano „dążenie do rozbicia narodu polskiego" i doprowadzenie do „samorzutnego upadku komunizmu w Polsce" przez „uchrześcijanienie" społeczeństwa".

W Poznaniu zakazano procesji z obrazem z fary do miejscowej Archikatedry, zaś w Krakowie zmieniono trasę przejazdu (tłumy wiernych przez wiele godzin bezskutecznie oczekiwały w deszczu na przybycie obrazu). Na szlaku milenijnej wędrówki obrazu znalazła się również diecezja katowicka.

Przerwana peregrynacja

Pierwsza wizyta kopii obrazu na terenie diecezji rozpoczęła się od pokrzyżowania planów kościelnych uroczystości. 18 maja 1966 r. obraz przewożono z Częstochowy do Katowic, skąd miał trafić na uroczystości milenijne do Piekar Śląskich. Samochód z obrazem został jednak zatrzymany pod Bytomiem i skierowany bezpośrednio do Piekar. Władze, którym chodziło o ograniczenie frekwencji wiernych na trasie przejazdu, mimowolnie przyczyniły się do wzrostu zainteresowania niechcianą peregrynacją, gdyż informacja o zawróceniu kopii rozeszła się lotem błyskawicy po diecezji. Władze chciały za wszelką cenę nakłonić kurię, by „odwołała przyjazd Matki Boskiej Częstochowskiej do Katowic". Jak relacjonował rozmowę z przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach płk. Jerzym Ziętkiem, bp Herbert Bednorz *ten czepiał się przede wszystkim tego, że mobilizowaliśmy parafie, by witały obraz przewieziony z Katowic do Piekar, zanim sprawa została uzgodniona z milicją.*

Władze, niepomne tej nauczki, dalej przeszkadzały Matce Boskiej w jej wędrówce po polskich parafiach. Doszło do kolejnych zatrzymań obrazu i przymusowego skierowania na określone przez władze miejsce. Po uroczystościach w Lublinie, milicja eskortowała wracający na Jasną Górę samochód-kaplicę. Z kolei do Olsztyna obraz w ogóle nie dotarł, gdyż milicja skierowała go do katedry we Fromborku. Wreszcie 20 czerwca 1966 r. na trasie z Fromborka do Warszawy (w Liksajnach) odebrano obraz Prymasowi Wyszyńskiemu i przewieziono inną drogą do Archikatedry Warszawskiej. Ponieważ władze nie zgodziły się na przewóz obrazu

Foto: Ze zbiorów Archiwum IPN w Katowicach



Nabożeństwo rozpoczynające peregrynację w diecezji katowickiej – katedra Chrystusa Króla w Katowicach, 4 września 1966 r.

z Warszawy do Sandomierza, gdzie była następna stacja milenijnej peregrynacji, podczas nawiedzenia eksponowano puste ramy z kwiatami, co stało się normą w następnych uroczystościach kościelnych. Episkopat Polski zadecydował, by z początkiem września 1966 r. kontynuowana była peregrynacja obrazu Matki Bożej po parafiach – tym razem przyszła kolej na diecezję katowicką.

Do wizyty Cudownego Obrazu na terenie diecezji katowickiej władze podchodziły z narastającą wrogością. Jeszcze w 1959 r., chcąc storpedować plany peregrynacji po diecezji obrazu Matki Boskiej Fatimskiej z Turzy, tutejszy Wydział do spraw Wyznań tłumaczył, że *przyjdzie i do nas kopia Matki Boskiej Częstochowskiej, więc po co urządzać wędrówkę „jakiejś tam z Fatimy"*. Na zaostrzenie stanowiska władz komunistycznych wpłynął sukces milenijnych uroczystości kościelnych w Piekarach Śląskich (22 maja 1966 r.). Płk Jerzy Ziętek w rozmowie z bp. Bednorzem wspominał o nieprzyjemnościach, jakie miał (jak również I sekretarz KW PZPR Edward Gierek) w związku z wystąpieniem Prymasa w Piekarach. Podczas półtoragodzinnej rozmowy (odbyła się 6 maja) biskup powiadomił Ziętka, że obraz zostanie przywieziony do Katowic w dniu 4 września, na co ten *lekko się żachnął, dorzucając, że może tego nie być. – Jak to? – odpowiedziałem, to ogólnopolska peregrynacja! W innych diecezjach się odbyła to i u nas będzie! Wówczas trochę zmienił swoje negatywne stanowisko, ale w pełni nie był za tym.*

Był to wyraźny sygnał czekających kłopotów w związku z peregrynacją. Potwierdziły to kolejne rozmowy bp. Bednorza z wiceprzewodniczącym WRN Bolesławem Lubasem. Podczas pierwszej rozmowy (przeprowadzonej 18 sierpnia) Lubas oświadczył, że *sfery robotnicze sobie tej akcji peregrynacyjnej nie życzą*, a całą akcję określił jako polityczną. Nie zrażony tą odpowiedzią bp Bednorz wysłał Lubasowi (23 sierpnia) plan peregrynacji w diecezji, z zaznaczeniem, że uroczystości nie odbędą w święta państwowe oraz w dzień poprzedzający te święta. Podczas następnego spotkania (29 sierpnia) Lubas powiedział w kontekście wędrówki obrazu: *Możecie w kościele czynić, co Wam się podoba, ale o tym, co na ulicy się odbywa, decyduje władza świecka*. Kilkakrotnie powtórzył kategoryczne słowa, że władze wojewódzkie *nie dopuszczą, by obraz pojawił się na terenie województwa katowickiego*. Po tej rozmowie biskupi katowiccy poinformowali Prymasa o problemie, wskazując, że *władze tutejsze działają pod silnym naciskiem centralnych władz państwowych i partyjnych*. W tej sytuacji Konferencja Episkopatu Polski, obradująca w dniach 31 sierpnia – 1 września 1966 r., ustaliła, że peregrynacja Obrazu Nawiedzenia w parafiach diecezji katowickiej ma się odbywać według ustalonego programu, nawet w tym wypadku, gdy obraz nie dotrze do parafii na skutek utrudnień władz.

Decyzję o definitywnym rozwiązaniu problemu wędrującego obrazu podjęły z pewnością centralne władze partyjne (Gomułka mówił: *Nas to w końcu zagniewało i zabroniliśmy*), a bezpośrednie polecenie „internowania" ikony wydał Edward Gierek. Można przypuszczać, że dbając o swój wizerunek wzorowego gospodarza i o obraz przodującego ideologicznie robotniczego Śląska, Gierek potraktował sprawę prestiżowo. Świadczyć może o tym wypowiedź Władysława Gomułki, który w rozmowie z delegacją radziecką podczas wizyty w Moskwie stwierdził: *Długo trzymali ten obraz w Warszawie, a potem zdecydowali się kontynuować tę szopkę na Śląsku. Tow. Gierek powiedział, że do tego nie dopuści. I to nie były żarty*. Krążyły wówczas nawet pogłoski o tym, że Gierek stwierdził, że „szybciej mu na dłoni kaktus wyrośnie, niż obraz przyjedzie do Katowic".

Kampania wrogości

Wobec jednoznacznego stanowiska Episkopatu w sprawie peregrynacji wojewódzkie władze partyj-



Foto: Ze zbiorów Archiwum IPN w Katowicach

Abp Karol Wojtyła podczas nabożeństwa w katowickiej katedrze, 4 września 1966 r.

ne przystąpiły do „realizacji przygotowanego wcześniej planu udaremnienia zamiarów episkopatu". We wszystkich miastach i powiatach województwa przeprowadzono narady z aktywem partyjnym – w spotkaniach miało wziąć udział 20 tys. aktywistów, którzy następnie „przeprowadzili rozmowy z ponad 1 milionem zatrudnionych". Kompleksowa akcja władz objęła również rozmowy ostrzegawcze z księżmi. Przewodniczący Powiatowych i Miejskich Rad Narodowych przeprowadzili rozmowy z wszystkimi proboszczami, wyjaśniając decyzję władz oraz zakazując odbycia peregrynacji w parafii. Co ciekawe, realizując ślepo nakaz wzywania na rozmowy proboszczów z całego województwa, wzywano także księży diecezji opolskiej, którzy już rok wcześniej gościli obraz na swoim terenie (proboszczowie ci „wykpili takie żądanie, bo nieaktualne").

Władze partyjno-państwowe przygotowywały mieszkańców województwa na przyjęcie Matki Boskiej w swoisty sposób. W prasie oraz radiu wyjaśniano „obecny kurs polityki Wyszyńskiego i rolę jaką odegrać ma peregrynacja", a już w środę po południu 31 sierpnia do sklepów zaczęły docierać afisze propagandowe skierowane przeciwko Prymasowi Wyszyńskiemu (z napisami: *Kardynała Wyszyńskiego też obowiązuje konstytucja* i *Nie usłuchamy kardynała Wyszyńskiego! Nie przebaczymy hitlerowskim ludobójcom*). Sklepowe musiały podpisać odbiór plakatów i miały obowiązek je wywiesić. Od piątku 2 września afisze zaczęto rozklejać także na płotach i domach. Podczas uroczystości rozpoczęcia peregrynacji płot pod katedrą był „prowokacyjnie oblepiony afiszami, że aż było czerwono". Wiele afiszy ludzie od razu zerwali (czyniła to głównie młodzież i kobiety). Dochodziło do zatrzymań osób zrywających plakaty. Jak wspominał w sprawozdaniu jeden z duchownych, jego parafianka z Katowic wychodząc w sobotę z katedry zauważyła afisze naprzeciw katedry i zdarła je, za co została natychmiast aresztowana. W tej samej sprawie aresztowano w Katowicach i przywieziono do tego samego aresztu na 48 godzin 15 kobiet. *W nocy MO pojechała na obławę i przywiozła kilkadziesiąt prostytutek do aresztu. Panie „od afiszów" podzielono: kilkanaście prostytutek na 3 panie. Prostytutki klęły na biskupów i kardynała – wśród odpowiedniego do nich kontekstu. Paniom grożono: pytano o posady mężów, synów i ich samych.*

Oryginalnym podsumowaniem klęski propagandowej władz w związku z początkiem peregrynacji obrazu MB Częstochowskiej jest sytuacja opisana w dokumentach kościelnych: gdy *magistracki robotnik zmywał afisze w Katowicach [władze po uroczystościach wydały nakaz usunięcia resztek afiszy], jakaś kobieta powiedziała mu: »Niech pan tego nie robi, bo pana zamkną«. Na to z uśmiechem odparł: »Gdy ktoś przegra w Toto-Lotka, to drze kupony«.*

Władze zorganizowały „spontaniczne" protesty mieszkańców przeciwko wizycie obrazu w diecezji, która była okazją do „ulicznej manifestacji wojującego katolicyzmu". Pierwsze delegacje protestujących przybyły do kurii 1 września. Już pół godziny przed ich wizytą przed kurią kręcili się fotografowie, co według strony kościelnej wybitnie dowodziło, że nie były to delegacje „spontaniczne", ale „zorganizowana draka". Potwierdzają to dokumenty partyjne, w których czytamy, że składy delegacji starannie dobierano pod kątem ideologicznym, a *większość bezpartyjnych pracowników, którym zaproponowano uczestnictwo w delegacji poczytywało to sobie za dowód szczególnego zaufania ze strony POP i kierownictwa zakładu, przyjmując bez zastrzeżeń powierzoną misję*. W piątek, 2 września przybyło 22 delegacji „aktywu robotniczego", w sobotę aż 40, w następnych dniach kilka.

Jak informowały katowickie władze partyjne „napływ delegacji był tak silny, że w pewnych momentach dezorganizował pracę kurii, nie mówiąc o silnym wpływie na samopoczucie i postępowanie kierownictwa i pracowników kurii". Poza delegacjami kurię nękano „spontanicznymi" petycjami (zadziwiająco niemal

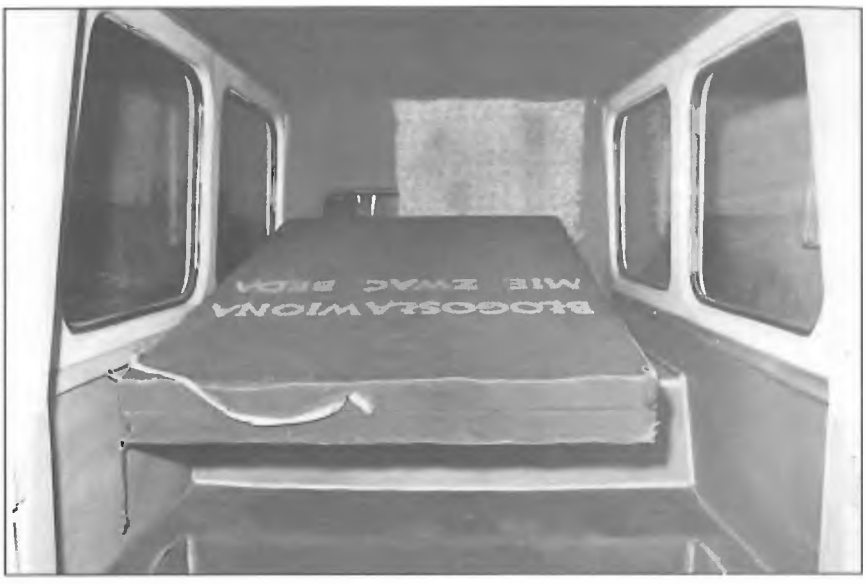


Foto: Ze zbiorów Archiwum IPN w Katowicach

Samochód-kaplica do przewożenia kopii obrazu.

wszystkie wysłano w tym samym dniu – 3 września) pracowników kopalń, hut, stowarzyszeń, szkół. Do akcji włączyła się np. załoga Spółdzielczego Zrzeszenia Inwalidów Chałupników w Katowicach-Ligocie, która na „spontanicznym" masowym zebraniu „wstrząśnięta wieścią peregrynacji w naszym województwie", ostro zaprotestowała przeciwko „samowoli" Prymasa Wyszyńskiego powodującego rzekomo skłócenie społeczeństwa.

„Uwięzienie" obrazu

W piątek, 2 września 1966 roku po obraz do Warszawy udała się delegacja z diecezji katowickiej: biskup sufragan katowicki Józef Kurpas, ks. prałat Walter Wrzoł oraz ks. Arnold Szuła. O godz. 5.45 samochodem „Nysa" (należącym do Księgarni św. Jacka w Katowicach) wywieźli obraz z katedry warszawskiej. Duchowni byli przekonani, że są bacznie obserwowani, a *wywóz był zupełnie oficjalny – przecież w domach dokoła katedry zajęte były pokoje przez organa bezpieczeństwa z krótkofalówkami celem obserwowania dniem i nocą czy obrazu nie przewozi się na uroczystości millenijne*. Wkrótce za samochodem z obrazem ruszył volkswagen (bez rejestracji milicyjnej), który „eskortował" obraz na całej trasie.

Przy małym skrzyżowaniu w lesie, 6 kilometrów przed Będzinem, ok. godz. 12 pojawiło się nagle „około 10 radiowozów i 2 wozy z »pałkarzami«", które zatrzymały samochód z obrazem. Milicjanci sprawdzili dokumenty techniczne wozu, nie stwierdzając nieprawidłowości. Zatrzymali jednak dokumenty kierującego „Nysą" ks. Szuły i zakazali kontynuowania przejazdu do Katowic, uznając, że jest on nielegalny. Po ponad godzinnym przetrzymywaniu pojazdu na skraju ruchliwej trasy, ostatecznie, grożąc użyciem siły, odwieziono go w eskorcie pięciu wozów milicyjnych do Częstochowy. Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeprowadził rozmowę z przeorem klasztoru na Jasnej Górze o. Teofilem Krauze i generałem zakonu paulinów o. Jerzym Tomzińskim komunikując decyzję zobowiązującą ich do zdeponowania obrazu na Jasnej Górze. Oświadczył ponadto: *Przywieźliśmy obraz. Jeśli stąd wyruszy w dalszą peregrynację automatycznie likwidujemy domy paulińskie w Warszawie i w Krakowie. Chyba się Wam to nie opłaci*.

Samochód z obrazem podjechał pod bramę klasztorną. Gdy milicjanci nakazali duchownym wjechać na dziedziniec, ks. Szuła i ks. Wrzoł wysiedli z „Nysy" odmawiając spełnienia polecenia. Po krótkiej wymianie zdań i odmowie wydania kluczyków samochodu przez kierowcę (ks. Szułę) zagrożono mu użyciem palki gumowej. Ostatecznie, uszkadzając stacyjkę, krótkim spięciem milicjanci uruchomili pojazd i wjechali na dziedziniec klasztoru. Wyładowali stamtąd obraz i przekazali paulinom, którzy w procesji ze świecami przenieśli obraz do chóru klasztornego. W tym czasie księża odpowiedzialni za przewiezienie częstochowskiej ikony do Katowic odprawili mszę św. na Jasnej Górze. Około godz. 16.30 próbowali wyjechać z Częstochowy, pustym już samochodem i bez zarekwirowanych wcześniej dokumentów.

Pierwszą kontrolę wozu tuż za bramą klasztoru udało się im przejść szczęśliwie. Drugie zatrzymanie przez MO jeszcze w granicach Częstochowy zakończyło się odeskortowaniem pojazdu do posterunku MO w pobliżu Jasnej Góry (powód – brak odpowiednich dokumentów). Podczas zatrzymania samochodu bp Kurpas i ks. Wrzoł wysiedli z walizkami na ulicę i ruszyli pieszo w kierunku Katowic. Symboliczny był widok kroczącego biskupa w piusce i z krzyżem w ręku. Milicjanci szybko zareagowali na tę nieświadomie sprowokowaną demonstrację religijną i wobec oporu biskupa siłą wepchnęli go do milicyjnego wozu. Duchowni zostali ponownie zawiezieni na Jasną Górę z ironiczną pogróżką: *Macie się nauczyć, by w przyszłości nie brać samochodu i szofera bez papierów*.

Z kolei ks. Szuła przesiedział w areszcie w piwnicy na posterunku MO w Częstochowie do dnia następnego. Warto w tym miejscu odnotować dwuznaczną rolę ks. Szuły w całej sprawie. W listopadzie 1965 r. został on pozyskany w charakterze tajnego współpracownika (ps. „Zygmunt") przez Służbę Bezpieczeństwa, w celu *zabezpieczenia uroczystości milenijnych na terenie diecezji katowickiej*. Już podczas rozmowy pozyskaniowej przekazał szczegółowe informacje na temat peregrynacji obrazu w diecezji. Uznano go za cennego i zaangażowanego tajnego współpracownika (od lutego 1966 r. był referentem administracyjno-gospodarczym Kurii Diecezjalnej), który *wielokrotnie przekazywał informacje wyprzedzające o charakterze politycznym*. Jednym z takich działań było dostarczenie szczegółowej informacji o przewiezieniu kopii obrazu Matki Boskiej z Warszawy do Katowic (już w listopadzie 1965 r. SB została przez niego powiadomiona, że jest przewidziany na prowadzenie samochodu z obrazem MB Częstochowskiej). 8 września 1966 r. pokwitował (jako tw „Zygmunt") odbiór 3000 zł od funkcjonariusza SB za *wykonanie zadania o dużym znaczeniu politycznym i operacyjnym*.

O bezprecedensowej akcji „aresztowania" obrazu bp Kurpas poinformował Prymasa telegramem jeszcze tego samego dnia (wspomniał w nim o „obłędnym bezprawiu"). Kard. Wyszyński następnego dnia wyraził *braterskie współczucie dla Ludu Śląskiego z powodu bolesnego dla serc wierzących bezprawnego przeszkodzenia Obrazowi Nawiedzenia wejścia do Diecezji Katowickiej* i zapewnił, że *rano katolicka Warszawa modliła się w kaplicy prymasowskiej w Katedrze za Diecezję Katowicką*. Biskup Kurpas 3 września wysłał protest do Wojewódzkiej

Rady Narodowej oraz Komendy Wojewódzkiej MO, a tydzień później skargę przeciwko milicjantom do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach. Prokuratura odmówiła ścigania, nie uznając za zasadne zarzutów o pogwałceniu praw osobistych, narażeniu na szkodę materialną zatrzymanych kapłanów oraz znieważeniu przedmiotu czci religijnej. Jednocześnie wielkodusznie zaznaczono, że władze nie wystąpiły dotąd z wnioskiem o wszczęcie dochodzenia w sprawie naruszenia przez biskupa decyzji WRN zakazującej organizowania peregrynacji. Kolejne protesty, m.in. bp. Bednorza (który w rozmowie z Ziętkiem zatrzymanie obrazu porównał do rewolucji kulturalnej w Chinach) oraz Episkopatu Polski, nie spowodowały zmiany decyzji władz o „internowaniu" niewygodnego pielgrzyma.



Foto: Ze zbiorów Archiwum IPN w Katowicach

Puste ramy w ołtarzu katedry pw. Chrystusa Króla w Katowicach, 4 września 1966 r.

Wędrujące puste ramy

Pomimo uwięzienia obrazu 4 września 1966 r. peregrynacja w diecezji katowickiej rozpoczęła się zgodnie z programem. Znakiem obecności Maryi były puste ramy ozdobione kwiatami, płonąca świeca i księga Ewangelii. Powitalne nabożeństwo peregrynacyjne w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach w niedzielę 4 września 1966 r. przebiegało w podniosłej, choć smutnej atmosferze. Mimo pustych ram obrazu katedra pękała w szwach. Strona kościelna szacowała liczbę wiernych podczas uroczystości na 30 tysięcy (w katedrze 14 tys., a na zewnątrz drugie tyle).

Lokalne władze partyjne liczyły się z manifestacjami ulicznymi i były przygotowane na konfrontację. Jak czytamy w informacji KW PZPR w Katowicach, 4 września *w miastach niecki węglowej i kilku miastach sąsiadujących zgromadzono [...] pokaźne grupy odpowiednio przygotowanego aktywu partyjnego i oddziały ORMO (około 100.000 osób), gotowe do interwencji w wypadku, gdyby kler próbował złamać decyzję władz, zakazującą odbycia manifestacji ulicznej, względnie próbował dokonać innego typu prowokacji*. Ostatecznie nie użyto zgromadzonych sił, gdyż osiągnięto zamierzony cel – *ograniczono uroczystości peregrynacyjne do ram wewnątrz-kościelnych, nie dopuszczając do manifestacji na ulicach Katowic*. Dla wykazania kurii, ile może stracić w konflikcie z władzami, rozpoczęto kompleksową kontrolę działalności Księgarni św. Jacka w Katowicach oraz wznowiono działania zmierzające do uszczuplenia powierzchni zajmowanej przez Wyższe Śląskie Seminarium Duchowne w Katowicach.

Matka Boska Częstochowska w symbolicznych pustych ramach wędrowała po parafiach diecezji katowickiej przez trzynaście miesięcy. Jako ostatnią nawiedziła franciszkańską parafię św. Ludwika w Katowicach Panewnikach w dniach 28 – 29 października 1967 roku. Według partyjnych statystyk uroczystości peregrynacyjne odbyły się we wszystkich 321 kościołach diecezji katowickiej przy udziale 654 tysięcy wiernych (na ogólną liczbę 1.870 tys. mieszkańców). Udział wiernych wynosił od 20-30% ogółu parafian, z czego średnio 72% stanowiły kobiety, 13% mężczyźni oraz 15% dzieci i młodzież. W czasie uroczystości wygłoszono ogółem 5812 kazań, z tego 520 wygłosili biskupi, 1712 księża diecezjalni i 3850 księża zakonni.

Tymczasem „uwięziona" kopia obrazu przebywała, zdaniem władz, *na swoim właściwym, tradycyjnym miejscu w klasztorze Zakonu Paulinów w Częstochowie*. Od 2 września 1966 roku posterunki milicyjne dniem i nocą pilnowały, aby obraz nie został wywieziony z Jasnej Góry, sprawdzając bagażniki samochodów. W ciągu sześciu miesięcy funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej skontrolowali ponad 2600 samochodów ciężarowych i osobowych wyjeżdżających z klasztoru. W końcu 1966 roku pojawiła się nadzieja na uwolnienie „aresztowanego" obrazu. Pod datą 24 grudnia kronikarz jasnogórski zanotował: *Miłą niespodzianką dla mieszkańców Jasnej Góry był fakt opuszczenia stanowisk przez warty milicyjne na czas pasterki. Niektórzy dopatrywali się w tym analogi do oblężenia szwedzkiego i mieli bardzo optymistyczne horoskopy, ale rzeczywistość okazała się inna. Już od rana Bożego Narodzenia po dawnemu wozy milicyjne zajęły swoje stanowiska*. Posterunki usytuowane w miejscach widocznych dla zwiedzających wywoływały wiele komentarzy i nieprzychylnych dyskusji politycznych zwłaszcza ze strony wycieczek zagranicznych, a utrzymanie specjalnej grupy ponad dwudziestu funkcjonariuszy pociągało za sobą duże nakłady finansowe, nie gwarantując pełnego zabezpieczenia obrazu. Okoliczna ludność zaczęła nazywać milicjantów „Szwedami" oblegającymi Jasną Górę. Ostatecznie po objęciu władzy w Warszawie przez Gierka, posterunki zlikwidowano , ale utrzymano w mocy decyzję zakazującą wywozu i obwożenia obrazu.

„Amnestia"

Uwolnienie obrazu nastąpiło dopiero 12 czerwca 1972 roku, kiedy to ks. Józef Wójcik, wikariusz z parafii radomskiej, za wiedzą i zgodą prymasa oraz paulinów jasnogórskich, „wykradł" ikonę, by mogła wziąć udział w planowanej peregrynacji po diecezji sandomierskiej. Władze nie podjęły już tak radykalnych kroków jak kilka lat wcześniej, godząc się na niewygodną wędrówkę obrazu.

„Batalia antyperegrynacyjna" na terenie diecezji katowickiej przybrała najbardziej ostre formy – to tutaj dwukrotnie odmawiano „wizy" Matce Bożej. I zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO ds. SB w czerwcu 1970 r. chwalił akcję katowicką, dzięki której *w diecezji katowickiej i w następnych kopia obrazu przestała być narzędziem jątrzenia i burzenia porządku, a organizatorzy tej krucjaty natknęli się na czerwone światło, które ugodziło w same podstawy organizacji Kościoła polskiego*. Ceną całej akcji, zdaniem komendanta, poza zaangażowaniem znacznych sił i środków własnych, były jedynie *puste ramy wystawione w niektórych kościołach, trochę utyskiwań wśród dewotek, kilka anonimów i petycje do władz, no i rzecz jasna seria audycji »Wolnej Europy«*. Władze komunistyczne szczyciły się swoistym zwycięstwem nad samą Matką Boską, choć wędrówka pustych ram była wymownym świadectwem braku swobód religijnych w Polsce.

Z doktorem MARKIEM MIGALSKIM
rozmawia JÓZEF WYCISK



Foto: Zbigniew Sawicz

Rok polityki ad hoc

– Minął rok od wyborów. Czy dzisiaj może Pan powiedzieć, że Prawo i Sprawiedliwość to ta sama partia, co z kampanii wyborczej i z czasów opozycji?

– Prawo i Sprawiedliwość nie uniknęło procesu dotykającego większości partii obejmujących władzę. Po prostu - zawsze trochę różnią się potem od tych partii, które widzimy w czasie kampanii wyborczej. Mają trochę brzydszą twarz... Charakteryzacja, nakładana w czasie kampanii wyborczej, ulega zniszczeniu i po roku widać już pierwsze zmarszczki i niedoskonałości urody.

– Ale czy po roku może Pan powiedzieć, że żyje się Panu lepiej, jest Pan bardziej zasobny. Oczywiście nawiązuję do reklamówki ze sławetnym dywanem...

– Żyję intensywniej... Kiedy zaczynałem studia, nie przypuszczałem, że politologia jest dziedziną, dzięki której można zaistnieć medialnie... ale pytanie jest, jak rozumiem, szersze, bo tak rozumiem tę prowokację dziennikarską...

– ... dzisiaj prowokacje dziennikarskie to niebezpieczne zajęcie, więc unikajmy tego określenia...

– ... w porządku. Wskaźniki obrazujące stan gospodarki dowodzą, że Polakom żyje się lepiej. Jest jednak pewien konflikt między realnością a tej realności postrzeganiem. Utrzymuje się w ludziach przekonanie, że żyje się gorzej. Mamy różnicę pomiędzy tym, jak jest w istocie, czyli że spada przestępczość, że jest wzrost gospodarczy, maleje bezrobocie, a tym, co ludzie myślą. Oczywiście, i podkreślam to – ludzie mają do tego prawo, a rozziew między stanem faktycznym i odczuwanym zdarza się często i trudno się temu dziwić.

– Czy zatem ta reklama nie pojawiła się zbyt wcześnie, czyniąc więcej szkody niż pożytku?

– To już jest pytanie dla politologa, wreszcie. Przypomnę, że mieliśmy, czy mamy dwie reklamówki. Jedną, która pokazuje jak nam się dobrze żyje, i drugą – nazwijmy ją „Prosimy nie przeszkadzać". Ta pierwsza w moim przekonaniu była błędem. PiS odwoływał się w kampanii wyborczej do grup, które nie są beneficjentami III RP i są niezadowolone. To Platforma apelowała do tych, którzy mogą uznać swoje życie za udane. PiS wypuścił więc dziełko adresowane nie do swojego elektoratu, odwoływał się nie do tych wyborców, do których wcześniej kierował swój przekaz. Na dodatek ci, do których ta reklama mogłaby się odwoływać, są już w dużej mierze zagospodarowani przez inne partie. O wiele bardziej skuteczna może być druga reklamówka, która mówi o tym, że dom jest w trakcie remontu, czy czyszczenia. Taki jest przecież program PiS-u: naprawa Rzeczypospolitej. PiS pokazuje tu, że ciągle jest bojowy, że idzie do przodu, że ma swoich przeciwników, czyli że musi zyskiwać wyborców. To jest ta dynamika, która zawsze była siłą PiS-u i tu się ona przejawia.

W jednej sprawie PiS zatoczył wielkie koło. W czasach swojej opozycji i w czasie kampanii wyborczej PiS mówił wyraźnie, że pewni ludzie nie powinni sprawować funkcji w państwie, na przykład ludzie skazani wyrokami sądów. Potem była koalicja z Samoobroną, a teraz, w czasie wiecu w Stoczni, premier powtarza, że z pewnymi ludźmi PiS już nie będzie rozmawiał... Czy ten epizod naprawdę był PiS-owi potrzebny?

– Oczywiście, że nie. Należę do grona osób, które uważają, że to, co się działo w ciągu ostatniego roku, nie jest tajnym, strategicznym planem Jarosława Kaczyńskiego. Nie jest tak, że szedł on do wyborów z planem nie zawiązywania koalicji z Platformą, wreszcie – że chciał zawrzeć koalicję z partiami mniejszymi, aby je zniszczyć a potem wyrzucić. To nie tak. Mamy w polityce tak ogromną liczbę czynników, że snucie tak misternych planów nie jest możliwe. To, co robił PiS w ciągu ostatniego roku, było tak naprawdę polityką ad hoc. Wydarzenie wywoływało określoną reakcję. Fiasko rozmów z Platformą, a jestem przekonany, że i jedna i druga strona chciały koalicji, spowodowało, że PiS ocknął się w sytuacji, w której nie miał większości. Takim czasowym rozwiązaniem był pakt stabilizacyjny, potem - koalicja. Przecież zachowań Andrzeja Leppera, które PiS potraktował jako zdradę, nie dało się zaplanować. Dzisiaj mamy do czynienia z kolejnym aktem, kolejną aktywnością, która nie jest rozpisana przez Jarosława Kaczyńskiego, a jedynie wymuszona rozwojem wypadków. W tym znaczeniu, kolo, o którym Pan mówi, nawet jeśli zostało zatoczone, to

przecież nie dlatego, że bylo zaplanowane...

– W takim razie dlaczego PiS musiał się sparzyć na takim postępowaniu? Po co zdecydował się na partnera, o którym nieco wcześniej nie mówił dobrze?

– Bo inaczej musiałby oddać władzę. Ma Pan rację przypominając, jak krytycznie odnosił się Jarosław Kaczyński i do ludzi, i do samej formacji. Zresztą teraz będziemy zapewne świadkami ataku na Samoobronę ze strony PiS-u. Bycie wiernym tylko i wyłącznie swoim wartościom jest fantastycznym i komfortowym stanem rzeczy. Gdyby Kaczyński uznał, że jest to jedyne wyzwanie dla polityka i nie myślał w kategoriach politycznych, czyli takich, że trzeba tworzyć rząd i realizować program, dzisiaj bylibyśmy już dawno po wyborach.

– O dzisiejszej sytuacji PiS-u zdecydowały także... ukryte kamery. Jeżeli minister z PiS-u zachowuje się tak, że zaprzecza ideałom, ba! samej nazwie partii, to dla wielu ludzi musiało to być gorzką pigułką.

– I widzimy to w badaniach. Nastąpił pewien spadek, ale nie gwałtowny, sięgnął około pięciu procent. PiS poniósł konsekwencje tego, że zachowanie jednego, a właściwie obu ministrów, było dalekie od prawdy i sprawiedliwości. Zobaczymy, czy ten spadek się pogłębi, i jak długo będzie trwał. Może się pojawić efekt jojo, i kontrakcja PiS-u, której jesteśmy świadkami, przyniesie spodziewane efekty. Nikt dzisiaj nie jest w stanie rozstrzygnąć, czy za dwa miesiące notowania PiS-u nie powrócą do swojego poziomu dwudziestu pięciu procent.

– To jest wspaniałe w tej naszej rzeczywistości, że oto pani poseł, która została skazana za fałszowanie list poparcia, nagle objawia się jako mąż stanu (właściwie – żona stanu, może nawet żona Cezara, pozostająca poza wszelkim podejrzeniem)...

– Podzielam pański sarkazm i ironię, że oto odnowicielką moralności w IV RP jest Renata Beger. Wiemy wszyscy, że tak prowadziło się rozmowy polityczne i tak będzie się je prowadziło. PiS miał pecha, bo wpadł. A teraz przyjmijmy założenie, że PiS to formacja ideowa, czyli taka, która ma pewne idee i ma jakąś – jak to mówią niektórzy – obsesję, a inni – program, czy może nawet misję. Rozumowanie przedstawione przez Jarosława Kaczyńskiego w Stoczni jest następujące: naród wybrał takie osoby jak Renata Beger i z takimi osobami trzeba „robić" politykę. Idąc dalej – jeżeli dla dobra Rzeczypospolitej glos Renaty Beger mógłby rozstrzygnąć o tym, że będzie realizowany dobry program polityczny (bo tak Jarosław Kaczyński myśli o swoim programie), danie dziesięciu tysięcy złotych pensji pani Beger jako sekretarzowi stanu, bądź wynagrodzenie jej w jakikolwiek inny sposób, jest po prostu korzystne, jest opłacalne – i w tym znaczeniu powraca znowu język etyczny polityków – „jest dobre". Gra się tak, jak przeciwnik pozwala, gra się takimi pionkami, jakie się ma, a do osób takiej konduity jak Renata Beger, mówi językiem, jaki rozumie. Przekonuje się takimi argumentami, jakie do niej docierają. Jeśli wydałoby się pieniądze na przekupstwo ośmiu posłów – to w sensie politycznym jest to dobra inwestycja, pozwalająca na prowadzenie takiej a nie innej polityki – tak prawdopodobnie wyglądało rozumowanie Jarosława Kaczyńskiego.

– Jednak komentując całe zdarzenie, PiS powrócił do języka nie walki politycznej, ale wojny. Jeżeli premier w Stoczni mówi, że nie mamy własnych radiostacji czy telewizji, to znaczy, że – jego zdaniem – ktoś jest albo za, albo przeciw. Nie ma wolnych mediów, są albo nasze media, albo wasze.

– Jarosław Kaczyński dzieli polską scenę polityczną, również publiczną. Nie ma co ukrywać, że media komercyjne, mówiąc bardzo delikatnie, są niechętne temu rządowi. Tak postrzega je Jarosław Kaczyński: niechętne, czyli wrogie. Być może jest błąd w ostatnim momencie takiego rozumowania, że jak ktoś jest niechętny, to musi być wrogiem, a już koniecznie musi być inspirowany. Jednak Jarosław Kaczyński świadomie idzie na tę wojnę. Jego zdaniem takie dzielenie społeczeństwa w dużej mierze strukturyzuje kampanię wyborczą, czy walkę polityczną bardziej precyzyjnie, że każe się opowiadać ludziom po jednej, bądź po drugiej stronie. Po jednej stronie jest zawsze Jarosław Kaczyński. Dzieli więc polską scenę polityczną na tę część, którą on buduje, czyli, powiedzmy, blok ludowo-narodowo-chadecko-chłopski i na drugą stronę, w którą systematycznie od pół roku próbuje wepchnąć Platformę Obywatelską, aby znalazła się po tej samej stronie co Samoobrona i zjednoczona lewica. Taki był zamiar i tak to dziś właściwie wygląda. Jednak Kaczyński osiągnął to nie realizując określonego planu, a jedynie „wykorzystując" rozwój wypadków i dziś po drugiej stronie są wszyscy ci, których on nazywa „układowcami", postkomunistami, czy liberałami.

– Jednak jeżeli premier – bo co innego polityk, czy ściślej działacz partyjny – ale jeśli premier mówi o ludziach opozycji „otumaniony tłum", brzmi to nieładnie...

– Raz się zastrzegłem już, że nie jestem etykiem, teraz się zastrzegę, że nie jestem estetą, więc nie wiem, czy to wygląda ładnie. Faktem jest, że język nam się zbrutalizował. Rzeczywiście, sformułowanie, że przeciwko rządowi protestuje „otumaniony tłum", albo że po drugiej stronie są ZOMO-wcy przyjmuję z żalem, przypominając jednak, że Jarosława Kaczyńskiego nazywano Babiuchem, Gierkiem, Gomułką, że jego rządy są faszystowskie, komunistyczne, że wprowadza w Polsce totalitaryzm, więc brutalizację języka politycznego widzę po obu stronach.

– Pewnych skojarzeń jednak nie da się uniknąć. Mamy reklamę propagującą sukces i częste zwroty w stylu „nie pozwolimy". Kiedy taśmy z ukrytych kamer pokazuje telewizja, premier mówi o tym, że jesteśmy krajem sukcesu. Potem mamy manifestację poparcia w Stoczni Gdańskiej.

– Każdy ma prawo do swoich skojarzeń, a mnie nie kojarzy się to z poprzednią epoką. Jeśli komuś „reklamówka sukcesu" kojarzy się tylko z Gierkiem, to ja przypomnę, że była ona wzorowana na kampanii Reagana, który – jako żywo – z Gierkiem ma mało wspólnego. Jeśli wiece poparcia komuś kojarzą się z wiecami gierkowskimi, albo jeszcze jakimiś gorszymi na przykład z roku 1968, bądź 1976, to przypomnę, że demonstracje poparcia dla partii rządzącej zdarzają się w każdej demokracji. Jeżeli politycy używają słów „nie pozwalamy" – to oczywiście jest to pewna *licencia poetica*...

– ... jednak inaczej brzmi *licencia poetica* w ustach polityka, a inaczej w ustach premiera. To jednak nie jest to samo...

– Zgoda. Zresztą Jarosław Kaczyński po tym, jak został premierem powiedział, że będzie musiał powściągnąć swój język, że inne prawo do własnej ekspresji ma szef partii a inne premier. Inne, czyli mniejsze. W moim przekonaniu premier powinien być bardziej powściągliwy, ponieważ niektóre określenia mają długi żywot. Pamiętamy na przykład termin „łże-elita". Jednak powtarzam, brutalizacja języka postępuje po obu stronach.

– Wydarzenia, o których mówiliśmy wcześniej, zbiegają się z końcem istnienia WSI. I oto w rękach tego samego pana mamy nie te same, ale jednak – teczki. Tak samo, jak w 1992 roku. Teraz będziemy mieli „grę teczkami"?

– Pod tymi hasłami PiS szedł do wyborów – chciał rozwiązania WSI, dokonania lustracji, otwarcia archiwów IPN, więc jest to realizacja programu PiS-owskiego. To po pierwsze. Jednak – co ważniejsze – to nie jest tak, że teczki, czy informacje te będą przedmiotem gry. Otóż one zawsze były w grze w ciągu ostatnich czternastu lat. Właśnie dlatego, że nie były ujawniane, że znajdowały się w rękach polityków, którzy sprawowali władzę. O tym, kto jest agentem WSI, wiedział każdy premier i każdy szef MON-u dokładnie sobie pogrywając tą wiedzą. I dzisiaj, kiedy próbuje się tą sprawę upublicznić, to znaczy uczynić ją mniej niebezpieczną, zarzuty, że teczki te stają się elementem gry politycznej są w moim przekonaniu nieuzasadnione.

– Dziękuję za rozmowę i opinie w tak ważnych sprawach.

(Rozmowa została przeprowadzona przed powrotem do koalicji PIS – Samoobrona – LPR.)

■

Prawie 5 milionów mieszkańców. Ponad 12 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni. 19 dużych miast i setki zakładów przemysłowych. Województwo śląskie to wielki potencjał i region, w którym w ostatnich latach inwestorzy zagraniczni ulokowali miliardy dolarów. A jednak, gdy spojrzymy na pięćsetkę najbogatszych Polaków, nie znajdziemy w czołówce nazwisk biznesmenów ze Śląska. Dlaczego nie pojawili się przedsiębiorcy tego formatu co Krauze, Kulczyk czy Gudzowaty? Gdzie śląski finansista Leszek Czarnecki? Dlaczego naprawdę duże interesy robi się gdzie indziej? I czy w ogóle można wyjaśnić ten paradoks? Warto spróbować.

Dlaczego na Śląsku nie ma miliarderów?

JAROSŁAW JUSZKIEWICZ

Poprosiłem o opinię w tej kwestii trzech ekspertów. Wypowiedzieli się: dr Marek Łukaszewski – był wiceprezesem Funduszu Górnośląskiego, zarządzał również Górnośląskim Towarzystwem Funduszy Inwestycyjnych. Prof. Andrzej Barczak – to uznany autorytet w dziedzinie ekonomii, wykładowca w Akademii Ekonomicznej w Katowicach, a także członek rady nadzorczej Kompanii Węglowej. Tadeusz Donocik – jest prezesem Regionalnej Izby Gospodarczej, a także uczestnikiem wielu programów związanych z rozwojem regionalnym.

Wszyscy są zgodni co do tego, że sytuacja jest rzeczywiście nieco dziwna – w regionie z tak dużym potencjałem powinno być więcej prywatnych firm, a tymczasem dominuje własność państwowa.

– Trudno, żeby na Śląsku nastąpiła koncentracja kapitału prywatnego – twierdzi Tadeusz Donocik – ale jeśli chodzi o kapitał w ogóle, to z punktu widzenia inwestycji, czy wartości nieruchomości, pewnie jesteśmy najbogatszym regionem w Polsce. Np. Kompania Węglowa to jedna z największych firm w kraju, ale raczej trudno, żeby na tej bazie stworzony został jakiś kapitał prywatny. Pewnie powstało trochę fortun, to już jednak zupełnie inna sprawa – uśmiecha się z przekąsem prezes RIG-u.

Kompania Węglowa to największa firma wydobywcza w Europie zatrudniająca dziesiątki tysięcy ludzi. Pytanie tylko, czy są oni w stanie wygenerować jakikolwiek kapitał. Zdaniem profesora Andrzeja Barczaka – nie.

– Kompania Węglowa to przecież przedsiębiorstwo państwowe, gdzie pracują sami pracownicy najemni. A oni – co zarobią, to wydają. Mają może nieco wyższy standard życia w stosunku do innych, ale nie inwestują. Ich skłonność do oszczędzania jest raczej mała – mówi prof. Barczak. Z tą tezą zgadza się Marek Łukaszewski, który uważa, iż trudno wymagać, żeby w regionie, który od setek lat skupiał wykwalifikowaną, ale jednak najemną siłę roboczą, powstał nagle, gwałtownie, prywatny biznes. Kto ma zakładać firmy i na jakich wzorcach ma bazować?

Ekonomiczne prawo grawitacji

A może nie należy przejmować się rankingami? Wiele z nich układanych jest według przeróżnych, często nie do końca jasnych kryteriów. Prawdopodobnie wielu inwestorów, którzy ulokowali swoje pieniądze na Śląsku, znajduje się w pięćsetkach najbogatszych ludzi, ale w Niemczech, Wielkiej Brytanii, czy Stanach Zjednoczonych.

– Zobaczmy, kto robi duże pieniądze w Polsce i jaka to jest działalność – mówi prof. Barczak. – To są na ogół biznesy związane z pośrednictwem handlowym albo nisze rynkowe, których w dawnym ustroju nie było, i które teraz powstały. Na przykład kosmetyki albo produkcja wina. Ale te działalności usadowiły się gdzieś indziej. Mamy na Śląsku kilku potentatów, choć w skali kraju raczej się oni nie liczą.

Ekonomiści nie mają wątpliwości, że w naszym regionie tworzy się dosyć silna niższa klasa średnia. Nigdzie w Polsce nie ma takiej koncentracji sieci hiper- i supermarketów, co na Śląsku. A zatem większość z nas na razie konsumuje. Kiedy powstaną na Śląsku duże firmy z tutejszym kapitalem? Zdaniem prof. Barczaka nie wcześniej niż za dwadzieścia lat.

Z drugiej strony nie można popadać w skrajny pesymizm.

– To nie jest tak, że na Śląsku nie ma bogatych ludzi, czy znanych firm – uważa dr Łukaszewski. – Spójrzmy na przykład na Techmex. Inna sprawa – czy te firmy są widoczne. Na pewno nie tak wyraźnie jak te z Warszawy, czy Poznania. Stolica z racji swojej lokalizacji i tak prowadzi we wszystkim, bo tam się koncentruje cały biznes. A zagęszczenie biznesu sprzyja kontaktom finansowym i robieniu następnych interesów. To samonapędzający się mechanizm. Bardzo stary zresztą. Profesor Barczak nazywa to zjawisko ekonomicznym prawem grawitacji i tłumaczy, że jego działanie widać także i w naszym regionie:

– Nasza Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna rozwija się świetnie. To nietypowa strefa, bo rozproszona na czterech obszarach, ale w sumie zjawisko jest proste: jeśli powstaje silna grupa finansowa, to wszyscy zaczynają do niej ciągnąć, bo na obrzeżu można zrobić bardzo wiele interesów. Kiedy na przykład wybudujemy hotel, to powstaną nie tylko miejsca dla ludzi, którzy będą obsługiwać gości, ale znajdą się też możliwości do outsourcingu: przychodzi firma, która sprząta, inna przygotowuje catering itd. A jeśli ktoś tam zarabia, to również może i wydawać. To znaczy, że można tam otworzyć sklepik i bufet. Proszę spojrzeć na katowicki Altus – od hotelu poprzez kino, siłownię i sklepy – mówi Andrzej Barczak.

Powód? Brak kapitału

Kilka lat temu, wśród wielu pomysłów na Śląsk, pojawiła się koncepcja utworzenia w regionie silnego centrum finansowego, które, być może, z czasem stałoby się konkurencyjne dla dużych instytucji działających w Warszawie. Jednak, zdaniem ekspertów, choć koncepcja jest piękna i brzmi atrakcyjnie, jej realizacja jest niemożliwa. Przykład Banku Śląskiego, który oficjalnie ma siedzi-



Tadeusz Donocik

bę w Katowicach, ale większość swoich operacji przeprowadza w Warszawie, pokazuje, że finansiści wolą jednak inne miejsca Polski. Powód? Brak kapitału.

– Jeszcze kilka lat temu działał w Katowicach Górnośląski Bank Gospodarczy, który niedawno został jednak sprzedany – mówi Marek Łukaszewski. – To bardzo charakterystyczny przykład. W pewnym momencie na rozwój tej firmy był potrzebny kapitał. Kapitał większy niż ten dostępny na Śląsku. Jedynym wyjściem był inwestor spoza regionu. I tak GBG zamienił się w inny bank. Zalążkiem tworzenia rynku kapitałowego na Śląsku miał być Fundusz Górnośląski. Ale zwróćmy uwagę z jakimi pieniędzmi zaczynał. 100 milionów złotych? Przecież w tej chwili kapitały instytucji finansowych są liczone w miliardach.

Jaką zatem strategię powinien przyjąć Fundusz Górnośląski – instytucja, która ma stymulować finansowy rozwój regionu? Wśród wielu pomysłów na funkcjonowanie Funduszu propozycja prof. Barczaka może brzmieć nieco kontrowersyjnie, ale pasuje za to idealnie do idei globalizacji:

– Fundusz i firmy z nim związane uważają, że mają działać na rzecz Górnego Śląska. Nie. One mają działać na rzecz swojego rozwoju i lokować swoje interesy także w innych województwach, a może i poza granicami kraju. Mamy teraz globalizację i takie zaściankowe myślenie jest nieefektywne. W tej chwili świat finansowy się łączy. Na świecie następuje proces fuzji banków w duże grupy. To zupełnie inne instytucje finansowe niż 10 lat temu. Powiem z przekorą, że w tej chwili bank to prezes i serwer. Młodzi ludzie nie chodzą już do okienka, czy nawet do bankomatu, tylko mają karty, a wszystkich operacji dokonują w domu przez Internet. Lokalizacja instytucji finansowej ma drugorzędne znaczenie. Kluczową sprawą jest kapitał.

Mentalność niewolnika

Prawdziwym kapitałem są – zdaniem ekspertów – ludzie. Tę opinię potwierdzają statystyki. Pod względem struktury wykształcenia województwo śląskie jest europejskim fenomenem. Nigdzie na naszym kontynencie nie ma tak dużej koncentracji ludzi ze średnim lub wyższym wykształceniem technicznym.

Dość obiecujący był jeden z wielu pomysłów, które licznie pojawiały się na początku tej dekady – Autostrada Nowoczesnych Technologii, która miała ciągnąć się od Krakowa po Wrocław. Śląsk byłby jej ważnym elementem. Nie udało się.

– To był genialny pomysł w sensie nazwy, ale niestety nie kupiły go samorządy – mówi Tadeusz Donocik. – Sam kapitał prywatny nie jest w stanie uczynić z tego obszaru centrum nowych technologiii, podczas gdy przy wsparciu samorządów i niewielkim udziale państwa można by było nad tym popracować. Takie centrum musiałoby jednak funkcjonować w obszarze europejskim, a nie tylko południowej Polski, chociaż tutaj powinno być zlokalizowane. Jeśli chodzi na przykład o produkcję oprogramowania komputerowego – jesteśmy jednym z najmocniejszych ośrodków tego typu w Polsce. Mamy tu również olbrzymią koncentrację przemysłu motoryzacyjnego – od Gliwic po Bielsko Białą, gdzie produkuje się nie tylko auta, ale także części do nich.

Z kolei, zdaniem profesora Barczaka, największym śląskim kapitałem są studenci, ponad 200-tysięczna grupa młodych ludzi, którzy zdobywają wykształcenie wyższe. Wielu z nich zapewne wyjedzie do Warszawy albo za granicę, ale ci, którzy zostaną, będą tworzyli firmy i nowe miejsca pracy. To może się udać. Ale pod jednym warunkiem – zmiany mentalności. A to może okazać się o wiele trudniejsze, niż zdobycie dyplomu:



Dr Marek Łukaszewski



Foto: Zbigniew Sawicz

Prof. Andrzej Barczak

– Obserwuję wielką eksplozję chęci kształcenia się i zdobywania wiedzy – mówi prof. Barczak – ale z drugiej strony pokutuje wciąż takie oto myślenie: „mam dyplom, znam świetnie dwa języki, więc idę pracować do kogoś.". To mentalność niewolnika. Proszę zauważyć, że w Stanach Zjednoczonych absolwent uniwersytetu po skończeniu studiów zakłada od razu własną firmę. I plajtuje. Zakłada kolejną. I co? Znowu plajtuje. Zakłada trzecią – i mu wychodzi. Oczywiście że jest im łatwiej, bo mają to w genach i są odważni. My nie mamy jeszcze tego poczucia, że warto ryzykować, że jeśli przegram, to nie szkodzi – następny raz będzie lepszy. To tak jak z nauką pływania. Jeśli wrzucimy kogoś do basenu, to są tylko dwa możliwe wyjścia: albo się utopi, albo nauczy dobrze pływać. W biznesie jest tak samo.

Skupić siły?

Nieco inne podejście do tej kwestii ma Tadeusz Donocik.

– Pracujemy teraz w Izbie nad tzw. społeczną odpowiedzialnością biznesu. Przedsiębiorca, który ma więcej (nie tylko kapitału, ale także zdolności i możliwości), jest odpowiedzialny również za tych, którzy tego talentu nie mają. Jeśli połączymy to ze współpracą z samorządami i agencjami rządowymi – to być może uda się to w przyszłości sprzęgnąć w jeden spójny program gospodarczy. Moim zdaniem Śląsk ma wciąż wielkie szanse. Na pewno większe niż inne obszary Polski. ■



Foto: Katarzyna Sadura

Matrix w realu

KATARZYNA SADURA

Są brutalne, bezwzględne i jakby trochę pozbawione wyobraźni. Mają najczęściej dziesięć, piętnaście lat. I choć przynajmniej w założeniu mieszkają w domach, to tak naprawdę życia uczy je ulica. Ulica, nie dom, pokazuje wzorce, ulica, nie dom określa wartości. Ulica, nie dom, wychowuje, kreuje autorytety. Dzieci ulicy. Dzieci naszych czasów.

Według szacunków organizacji pozarządowych, w Polsce ponad milion dzieci spełnia kryteria socjologicznego określenia „dzieci ulicy". Skąd się biorą? Z domów. Najczęściej pełnych przemocy, okrucieństwa, alkoholu, biedy. Z kontrastu między nędzą a bogactwem, ciężką pracą i łatwymi pieniędzmi.

Pasaż hipermarketu. Pcham wózek z zakupami. Przed witryną z lodami stoi dwóch chłopców, na oko dziesięć lat. Jest upał, chłopcy ukradkiem taksują mój kosz.

– Pani da dwa złote na loda, bo nas jest dwóch, a mamy tylko złoty pięćdziesiąt...

Daję. Wychodzę na parking. Asystuje mi brudny nastolatek.

– Mogę odprowadzić wózek?

Może. On ma dwa złote, ja spokój. Wracam do pasażu. Przed witryną z lodami moi znajomi. Właśnie ustrzelili kolejnego darczyńcę.

– Jak tam lody, pytam mimochodem.

– Już zjedliśmy – pada błyskawiczna odpowiedź. W tym samym momencie chłopcy dematerializują się gdzieś w okolicy. Jest technicznie niemożliwe, żeby zdążyli kupić i zjeść loda. Na co zbierają? Nie dowiedziałam się. Chłopaka z parkingu widziałam potem z małą reklamówieczką. Jakieś bułki, mleko. I o ile on prawdopodobnie żebrze, a w zasadzie z biedy pracuje, odprowadzając wózki, o tyle kolesie spod budki z lodami zdecydowanie nie.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że rodzice zupełnie nie zauważają, że ich dzieci skądś mają pieniądze – mówi komisarz Michał Gruszczyński, specjalista zespołu ds. prewencji kryminalnej i patologii Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. – Dzieciaki kradną, handlują, żebrzą. Nie tak dawno zatrzymaliśmy szesnastolatka. Zapytaliśmy samotnie wychowującą go matkę, która harowała od rana do nocy, żeby utrzymać synusia, czy nie zdziwiło jej to, że kupił sobie motocykl za... 40 tysięcy. Otwierała oczy ze zdumienia i jedyne co jej przyszło do głowy to stwierdzenie, że owszem syn miał jakieś drobne, ale cieszyło ją to, że taki zaradny.

Owszem, był bardziej niż zaradny. Handlował narkotykami. Był w kręgu dealerów intensywnie poszukiwanych przez policję. Wpadł.

Pieniądz i przemoc

– Liczy się ten, kto niewiele robi a zarabia kasę – tłumaczy mi piętnastoletni Dawid. Do szkoły chodzi czasami, jak pada albo jak jest zimno. Czasem załapie się na obiad. Jego idolem jest Zidane.

– No wiesz, taki piłkarz to się za dużo nie narobi a kasę ma. Nie pieprz mi, że nie. Tylko u nas jest do d... Na-

wet taki Dudek się dorobił. Ale dopiero za granicą. Albo Kubica.

Dawid wie, że nigdzie nie wyjedzie. Piłkarzem też nie będzie. Nie wie kim będzie. Na razie zbiera złom. Jego rodzice nie pracują.

– Co tam starzy, co oni mają? Ojciec robił całe życie na hucie. Hutę zamknęli, ludzi zwolnili, to teraz siedzi i pije. A matka? Ona też nie lepsza. Czasem pójdzie do MOPS-u i coś przyniesie.

Codziennie Dawid z Sebastianem, starszym o rok kolegą, chodzą na tereny w pobliżu huty Bobrek. Kradną a raczej, jak twierdzą, zbierają złom.

– Trzeba tak trafić, żeby strażnika nie było. To można nawet i 5 dych wyciągnąć. Ale nie zawsze. Poza tym za chwilę to tam już nic nie będzie... Co robię z forsą? – A, czasem dam coś matce, czasem se coś kupie albo pójdziemy na piwko. Potem jakiś dym...

Dawid teoretycznie jest uczniem. Ale ma raczej małe szanse, żeby nauczyć się zawodu. Jakiegokolwiek. Co będzie dalej?

– Nic nie będzie. Może zarwę jakąś laskę. Ożenię się.

– I?

– Się zobaczy...

Kto się liczy na ulicy? Ten się liczy, kto ma forsę. No i ten, kto potrafi spuścić łomot. Nie ten, kto siedzi i się uczy. Taki należy do innego świata. Na ulicy rządzą gangi. Mniej i bardziej formalne. Współczesna odmiana podwórzowej bandy. Bardziej sformalizowane, z jasnym podziałem kto jest kim. Chcesz być z nami, musisz udowodnić. Jak? Zwyczajnie. Coś ukraść, komuś wpieprzyć.

– Dom nie przekazuje im żadnych wzorców – tłumaczy Gruszczyński. Najczęściej rodzice są bezrobotni, a jeśli nie to ciężko pracują kilkanaście godzin dziennie i tak naprawdę niewiele mają. Więc praca jawi się jako trud zupełnie bezwartościowy. A w szkole trzeba jakoś zaistnieć. Jeśli się nie jest wybitnie zdolnym, to trzeba to zrobić w jakiś inny sposób. Chociażby mieć „wypasioną" komórkę. Skąd? Skoro rodziców nie stać, trzeba sobie radzić samemu.

– Teoretycznie sposoby są trzy: czekać, aż ktoś nam podaruje, kupić albo ukraść – mówi nadkomisarz Adam Strzebińczyk z KWP. – Ponieważ są małe szanse, że dostaniemy prezent, pozostaje kupić albo ukraść. Żeby kupić trzeba mieć pieniądze, a skoro ich nie mamy więc...

Spirala się nakręca. Powoli praca dewaluuje się jako źródło zdobywania pieniędzy. Jaki autorytet ma nauczyciel, który jest marnie opłacany i tak naprawdę niejednokrotnie odwala państwową, szkolną dniówkę jak pańszczyznę, a dopiero po godzinach zarabia godziwie udzielając korepetycji, prowadząc kursy albo pracując w innych szkołach. A i tak na średniej jakości samochód zaciąga kredyt.

Przestępczość wśród nieletnich rośnie w tempie zastraszającym. Rośnie też stopień ich brutalizacji. Najczęstsze są uszkodzenia ciała, bójki i pobicia, kradzieże i wymuszenia rozbójnicze, zgwałcenia. Młodzi przestępcy są tym odważniejsi, że wiedzą, że do pewnego czasu są w zasadzie bezkarni...

Biednyś boś głupi, głupiś boś biedny

Koło się zamyka. Psychologowie upatrują źródeł wzrostu przestępczości nieletnich przede wszystkim w sytuacji w domu. Zachowanie dzieci – jest ich zdaniem – jej odzwierciedleniem. I trudno odmówić im racji. Sytuacja na rynku pracy jest zła, a to sprzyja patologiom. Alkoholizm, przemoc w rodzinie, a ostatnio coraz częściej narkomania, to główne przyczyny wzrostu przestępczości a przede wszystkim wzrostu agresji wśród młodzieży. I o ile jedni rodzice, zapracowani, zajęci zdobywaniem pieniędzy, nie mają czasu by poświęcać go pociechom, wychodząc z założenia, że skoro niczego im nie brakuje, to mogą sobie życie zagospodarować po swojemu, o tyle inni, mając czasu pod dostatkiem, stracili wszelką motywację, by dzieci do czegokolwiek przekonywać. Symptomatyczne jest tu stwierdzenie, że wszyscy kradną i tylko złodzieje są w stanie czegoś się dorobić. Przy czym szkoła – druga w kolejności po rodzinie „instytucja" wychowująca dzieci, właściwie bezwiednie przyczynia się do pogłębiania kryzysu. Młodzież nie chce się wyróżniać z tłumu rówieśników. Nie chce odbiegać wyglądem, stanem posiadania.

Do tego dochodzi absolutny kryzys autorytetów. Autorytetów w tym dobrym znaczeniu. Bo autorytetów na ulicy nie brakuje. Jest nim ten, kto potrafi przetrwać, ten, kto ma władzę i umie z niej zrobić użytek. Ten, kto potrafi innym zaimponować. Za tym zaś idzie kolosalny kryzys wartości.



Foto: Katarzyna Sadura

– Najgorsze jest to, że nastolatki nie potrafią wartościować – mówi ksiądz Arkadiusz, wikary w jednej ze śląskich parafii, który od niedawna prowadzi przyparafialną świetlicę. – Przychodzą do nas różne dzieci i te, które wiedzą, że czeka tu na nich jedyny ciepły posiłek, i te, które akurat nie mają nic lepszego do roboty. Oni nie widzą w tym, co robią, niczego złego. Co z tego, że komuś rozbiję szybę w samochodzie? Jak kogoś stać na samochód, to i szybę sobie kupi. Tłumaczenie im, że przemoc, niszczenie cudzego mienia albo kradzież jest czymś złym to niemal orka na ugorze. Najgorsze jest to, że czasem trudno im się dziwić, bo skoro same nie zaznały w życiu niczego dobrego, to skąd mają znać wartość dobrych i złych czynów. Skoro inni mogli im robić bezkarnie krzywdę to oni też mogą. Koło się zamyka.

Yakassi są trendy

Goły wyrostek wybiega na ulicę. Za nim kolesie z małą kamerą. Chłopak podbiega do dwóch starszych pań. Te odwracają się, krzyczą, uciekają. Radość sięga zenitu. Nadjeżdża autobus. Wsiada. Stroi miny, przechadza się, zaczepia pasażerów, każdy ich gest, każde skrzywienie, czy oburzenie wywołuje salwy śmiechu. Kiedy jest po wszystkim, filmik trafia do internetu. Radocha.

Dwóch chłopców w szkolnej szatni. Jeden zdejmuje spodnie, jest goły, drugi zapalniczką przypala mu włosy wokół penisa. Chłopak krzyczy, gasi ogień. Jego kolega jest zachwycony. To również nagrano. Tak jak i scenę, kiedy zimą, rozebrany do naga nastolatek, skacze z dachu przybudówki na jakieś kolczaste krzaki.

Yakessi – bo tak się nazywają – skaczą na jadące pociągi, skaczą z wysokości na betonowe podłoże, wieszają się na mostach. Mówią, że to sporty ekstremalne. Że adrenalina jest w porządku. Że czują, że żyją.

Po co to robią? Żeby zaistnieć. Skoro nie mają nic innego do zaoferowania rówieśnikom, muszą się czymś wykazać. Budzą szacunek? Respekt? Że mogą sobie zrobić krzywdę – to przecież nic. Nie w tym życiu. Adrenalina jest w porządku. A że innym to się nie mieści w głowie... Że to nienormalne... Chwileczkę... A co jest normalne? Jakie normy? Jaki świat? Moje życie!

Numerek za dvd

Mają po piętnaście, siedemnaście lat. Pochodzą z różnych środowisk. Czasem z tzw. dobrych domów. Nastoletnie prostytutki. Nie pracują tak jak ich starsze koleżanki, w ogóle nie uważają, że się prostytuują. Nie robią przecież nic złego, ot, czasem pójdą z jakimś facetem do łóżka. Albo dadzą się pomacać. Co w tym złego?



Foto: Katarzyna Sadura

Nic, a jakie korzyści. Iwona ma siedemnaście lat, razem z Kariną, koleżanką z klasy chodzą czasem do supermarketu. Wypatrują panów w tzw. kwiecie wieku. Nie za młodych, a wyglądających majętnie. Zaczepiają same albo prowokują zaczepkę, za swoje usługi dostają najczęściej drobne prezenty – markowe perfumy, drogie kosmetyki, najnowsze modele telefonów komórkowych, czasem odtwarzacz MP3, albo nawet dvd. Nie muszą tego robić. Robią to, bo chcą, bo uważają, że to świetna zabawa, że to sposób by mieć coś, czego normalnie by sobie nie kupiły. O tempora! O mores!

Gdzieś w ferworze pogoni za nowym, za współczesnością, wolnością, demokracją i wszelkimi zdobyczami cywilizacji umknęło nam człowieczeństwo. Umknęło nam to, że to my jesteśmy odpowiedzialni za wychowanie następnych pokoleń. Wychowani na lekturach, dziś dziwimy się, dlaczego dzieciaki biegające po podwórkach i ulicach nie są jak my kiedyś. Dziwimy się, że nie mają jakiegoś zestawu zasad postępowania – jak my kiedyś. W końcu mówiło się przecież, że dziecko ulicy to to, które biega z kluczem na szyi, bo rodzice pracują, a pociecha nie ma się gdzie podziać.

Dzisiejsze dzieci ulicy nie mają z tamtymi nic wspólnego. Obawiam się nawet, że niegdysiejszy andrus, chuligan, czy gałgan przepadłby z kretesem na współczesnej ulicy. Ze zdumieniem oglądałby, co się dzieje i zupełnie nie rozumiał, dlaczego światem przestały już rządzić jakiekolwiek kodeksy. Nawet honorowy złodzieja. I co z tego, że policja bije na alarm, że przeróżne organizacje próbują nagłośnić problem, skoro przeciętny obywatel nie mówi: to moje dziecko, to dziecko sąsiada, to także moja wina. Uważa, że skoro jest policja – niech się nim zajmie, degeneratem społecznym, zamknie, zneutralizuje, wychowa. I mało komu przychodzi do głowy, że nie ma skutku bez przyczyny. To trochę tak, jak ze śmieciami: do sprzątania jest zakład oczyszczania miasta, finansowany z naszych podatków, niech sprząta – i rzucamy papierek na ziemię. Tu jest podobnie: niech się nimi zajmie szkoła, prokurator, psycholog, pedagog, wychowawca. Niech uczy, resocjalizuje. A przecież już dawno stwierdzono, że lepiej zapobiegać niż leczyć. ■



Plac Zbawiciela

„Plac Zbawiciela" Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego otrzymał na gdyńskim festiwalu „Złote Lwy", laur ten przypada najlepszemu filmowi, jaki w danym roku wyprodukowała kinematografia polska (choć od tej zasady bywają odstępstwa). „Plac Zbawiciela" byłby zatem najlepszym polskim filmem, ale, aby mu się w głowie (celuloidowej) nie przewróciło, nagrodę dla najlepszego reżysera odebrał Marek Koterski (podobno na finiszu przegrał z Państwem Krauzami o pierś), a za scenariusz Jarosław Sokół (za „Statystów" w reż. M. Kwiecińskiego).

Mało tego! Bo oto komisja namaszczająca polskiego kandydata do Oscara, namaściła nie „Plac Zbawiciela", lecz pełnometrażowy debiut Sławomira Fabickiego pt. „Z odzysku". Gdybyż tylko tyle! Obu gremiom – gdyńskiemu jury i komisji selekcyjnej przewodniczył ten sam człowiek – Feliks Falk.

Czyżbym był tak niechętny „Placowi Zbawiciela", że celowo zwlekam z wyrażeniem negatywnej opinii? Jestem mu niechętny, ale przecież moja niechęć nie zaślepia mnie, umiem dostrzec zalety tego filmu. Uważam, że obie panie – Jowita Budnik i Ewa Wencel – zagrały doskonale, zdjęcia Marcina Koszałki także są najwyższej klasy (moim zdaniem, znacznie wyższej, niż inscenizacja tego obrazu). Natomiast, oglądając ten film, nie umiałem pozbyć się uczucia, że z tej ponoć autentycznej historii o kobiecie, która nie umiejąc poradzić sobie z własnymi życiowymi kłopotami, targnęła się na życie swoje i dwójki swoich dzieci, Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze chcą na gwałt wysnuć tragedię antyczną (z odniesieniem do mitu o Medei), nie bez sugestii, iż jest to co najmniej współczesny moralitet. Bo przecież bohaterowie filmu mieszkają w Warszawie przy placu Zbawiciela. Jest to jednak połyskliwa ozdóbka, koncept, którego starczyło na efektowny tytuł, ale już nie metaforę o spodziewanej sile rażenia, ponieważ przesłanie, jakie by miało wynikać z faktu, iż bohaterowie mieszkają przy placu Zbawiciela, a codziennie, niczym wściekle psy skaczą sobie do gardeł, jest dość trywialne.

Wybitny film Krzysztofa Krauzego pt. „Dług" kończył się na placu Zbawiciela, ale w sposób nie nachalny, dyskretnie, gdy bohater stanął twarzą w twarz ze swoim nieodwracalnym losem, sam – przed Bogiem i ludźmi – ze swoją zbrodnią i poczuciem winy. Fakt, iż ma to miejsce na placu Zbawiciela, to tylko blady błysk światła. Bardzo wątła nić, lecz może jedyna, jakiej warto się uczepić.

„Dług" był filmem posępnym i przygniatającym, ale oglądanie go nie sprawiało mi przykrości. Inaczej jest – w moim przypadku – z „Placem Zbawiciela". Nie miałem ochoty być z tym filmem do końca seansu. Naturalnie, obejrzałem film do ostatniej sceny, ale wyszedłem z kina przeświadczony, że autorzy filmu próbowali dokonać dość brutalnej operacji na moim mózgu, na mojej wrażliwości, na moim poczuciu rzeczywistości, na moim rozumieniu różnicy między dobrem i złem. „Plac Zbawiciela", wierzę, wyszedł od sytuacji z życia wziętej, którą następnie zaczęto obudowywać ze wszystkich możliwych stron scenami i postaciami mającymi służyć za dowód, że życie w tym kraju jest odrażające, a ludzie to mniejsze czy większe kanalie. Potrafią nazwać pewną przestrzeń w swoim mieście Placem Zbawiciela, ale to dla nich pusta nazwa. Czy pusta dla wszystkich? Czy też tak założyli sobie autorzy filmu?

Żywiłem głębokie podejrzenie, że w scenariuszu pozszywano różne sprawy, różne przypadki, które przytrafiły się ludziom niekoniecznie tej akurat kondycji społecznej (nader miernej), co Beata i Bartek. Przeglądając w internecie *Pressbook* zawierający materiały o twórcach „Placu Zbawiciela", dowiedziałem się, że historia z utratą życiowych oszczędności, oszustwie i bankructwie developera jest wzięta z życia państwa Krauzów. To oni zostali doprowadzeni do ruiny, wpędzeni w długi i czas jakiś koczowali w podnajmowanych pokojach. To ich historia. I stąd autentyczna wściekłość, która w tym filmie się pojawia, gdy na wierzch wypływa wątek mieszkaniowego oszustwa! Ów weryzm poświadcza sekwencja w spółdzielni mieszkaniowej, która dopuściła się owego przekrętu, zrealizowana metodą dokumentalną. Aktorzy Jowita Budnik i Arkadiusz Janeczek zostali wmieszani w grupę rozjuszonych, autentycznych ludzi, którzy zapewne podzielili los państwa Krauzów.

Ów bardzo mocno obecny w „Placu Zbawiciela" weryzm zjednał filmowi licznych entuzjastów, wychowanych w ciągu ostatniej dekady na polskich telenowelach, współczujących i współodczuwających z bohaterami owych teleprodukcji, lecz głodnych nieco pożywniejszej strawy. Dramatu, który jednak pozostałby melodramatem! Ale melodramatem uszlachetnionym, w którym to, co z natury jest melodramatyczne, i inne być nie może, zostało oczyszczone z telenowelowej poczciwości; imitacja życia, którą tak sobie upodobali oglądacze telenowel, została zastąpiona krwistymi ochłapami prawdziwego życia. Nic dziwnego, że w glosach widzów zarejestrowanych po projekcjach (premierowej i festiwalowej) dominował okrzyk: „Kawał życia!" Było nawet i takie wyznanie: „Kawał mojego życia!". Nic innego nie wymaga od nas producent telenoweli nad to, byśmy jego produkt wzięli za „kawał naszego życia".

Pytanie zasadnicze: o czym jest ten film? – wywołuje reakcje w bardzo wysokich rejestrach: moralitet o dobru i złu, rzecz o winie i odkupieniu. Natomiast, jeśli wziąć ten obraz bez odwoływania się do mitów i Dostojewskiego, „Plac Zbawiciela" jest opowieścią o zołzowatej teściowej, która zarazem jest nadopiekuńczą matką i babcią tak zajętą swoimi sprawami, że wnuki jej przeszkadzają. Chyba też jest kobietą niewyżytą seksualnie. Wystarczy opuścić jej niegościnne, dość ciasne mieszkanie przy placu Zbawiciela, by to, co jest rzekomo pulsem dramatu (czy zgoła tragedii) w tym filmie, a więc toksyczność relacji rodzinnych, utraciła swą trującą moc.

Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze wrzucili Beatę i Bartka (małżeństwo raczej niedobrane!) z dwoma synkami do mieszkania matki Bartka (trudno w polskim filmie o bardziej odpychającą, by nie rzec: odrażającą postać kobiety-matki-teściowej!) i każą im (i mnie) spędzić w tym pomieszczeniu trzy czwarte czasu ekranowego. Po to, aby osiągnąć efekt klaustrofobii i bezwyjściowości!

Otóż to jest łatwe! Bo nieporównanie trudniej jest pokazać sytuację klaustrofobiczną i pozbawioną jakiegokolwiek wyjścia w przestrzeni otwartej, i rozległej (na przykład na całkowicie wyludnionej morskiej plaży, lub w przestronnym pałacu!), a jednak ciasnej i zamkniętej, patrz: „Ostatni dzień lata" T. Konwickiego i „Anioł zagłady" L. Buñuela.

FELIKS NETZ

HARRY DUDA

Tren 50

Już druga jest niedziela po Twych urodzinach
i skończyć nam wypada, Matko, te rozmowy.
Dzień za dniem się zliczają – ryte na godzinach –
znaki, że i mój koniec z wolna idzie do mnie.
Wypatrywać więc muszę tego końca głowy,
aby zdążyć ze wszystkim, co się stale zmienia:
pozostawić porządek – posprzątać przytomnie,
zanim on mnie pozbawi żywego imienia.

31.07.2005

Tren 34

To jest miejsce żałobne – ów kleks w księdze życia
dostojny tajemnicą, co pod nim się kryje?
O, pieczęci fałszywa! Cóż komu z odkrycia
tego, co się naprawdę pod tobą nie mieści?
Darmo szukać tu duszy – nawet proch nie żyje;
życiodajna martwica nie dla ducha ciałem.
Tylko pamięć – zepsuty trlegraf – śle wieści
jakże dawno przebrzmiałe, że Cię, Matko, miałem.

14.05.2005

Tren 23 Cmentarz w Dniu Matki

Na cmentarzu w Dniu Matki parady szły starców,
a choć ja też zmurszały, schylony prze-bytem –
zadrżałem od zwiędłości: prezentacji harców,
jakie czyni natura w ludzkiej cielesności,
gdy gen wczoraj – dziś nadal w banku depozytem,
ale bank już upada, bo kryzys króluje,
więc z tym bankiem i ciało w stanie upadłości.
Nic, Matko, nie jest nasze – czego śmierć pilnuje.

27.05.2005



Rys. Wojtek Łuka

Tren 18

Cóż płomyki i kwiaty, marmury i złoto
napisów? I tak szaro pod deszczem. Dlaczego
u żywych tyle troski o komfort – czy po to,
że sami jak poganie by chcieli w dostatki
opływać i po śmierci? Zasoby wszelkiego
mieć dobra? Nuż się przyda i cud jaki sprawi?
Odkąd ziemi oddałem zgasły diament Matki,
pustki po nim już żaden z kruszców nie oprawi.

12.07.2003

Tren 15

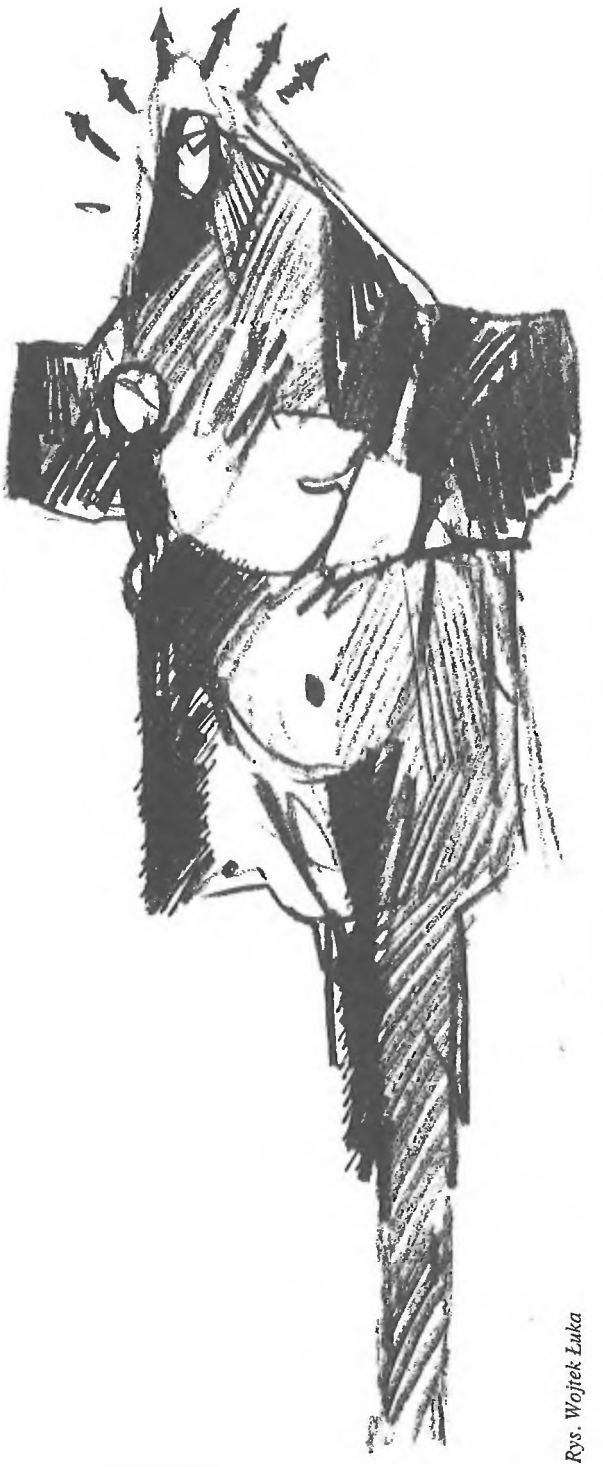
Wysłałbym Ci stąd kartkę, a Ty byś wiedziała,
że o Tobie pamiętam, Matko. Ja bym wiedział,
że Twój uśmiech i słowo, i myśl Twoja cała –
nieustanny telegram – na wskroś oceanu
leci iskrą bezsenną. Lecz teraz jest przedział
między nami i przepaść większa od wszechświata.
Dlatego ślę Ci, Matko, z Ameryki stanu
ten wiersz, co listkiem brzozy w tę przepaść ulata.

Trenton, NJ
5.05.2003

Tren 46

Mimo braku powodu – tego popołudnia
dzwony biją tak mocno, aż pękają wieże.
Grają w oko wariaci; zwykle koło grudnia
to czynią – pod zły nastrój. I coś się zaczyna:
przewracają się, Matko, fikcji pełne dzieże,
a ich ciasto zepsute oblepia i łechce
toksynami alergii: skutek i przyczyna
znaczą odtąd to samo – chociaż on jej nie chce.

20.07.2005



Rys. Wojtek Łuka

HARRY DUDA

Muzeum położone jest na końcu świata przed rozłożystym lasem. – Tu, gdzie postawimy kuźnię, zaczynał się północny brzeg wielkiego suszeckiego stawu, który ciągnął się aż do Kryr i dalej do Brzeźc – pokazuje Waldemar Szendera, syn Fryderyka. – Staw widać dobrze na osiemnastowiecznej mapie Wielanda. W zasadzie nie było miejsca w okolicy, które nadawałoby się pod zasiedlenie. Wszędzie były mokradła. A tam szedł stary szlak z Pszczyny, a tu jego odgałęzienie...

Kamojówka ze śląskimi gratami

GRZEGORZ SZTOLER

Dziwne to miejsce. Podlesie, na krańcu Suszca. Pobłądzić można, bo droga kręta. Wokół pola, pola i las. W oddali zarys kolejowego nasypu (Linię kolejową wybudowano w 1936 roku – wyjaśnia mój przewodnik). Jeszcze dalej natkniemy się na widok kopalni. Wszystkie śląskie widoki przy jednej drodze prowadzącej do gospodarstwa Szenderów i ich szkółek roślin ozdobnych.

– Pięknie tu zwłaszcza w czerwcu, kiedy kwitną łąki storczykowe – mówi Waldemar Szendera, z wykształcenia botanik, doktor i pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, którego pasją jest historia własnej ziemi i rodziny, wywodzący swoje korzenie od osadzonych tu w 1426 roku Karaimów.

– Sprowadziła ich księżna Helena Korybutówna, pani na Pszczynie, krewna króla polskiego Władysława Jagiełły dla ochrony swoich dóbr – argumentuje, kiedy wędrujemy na przełaj przez pola. – Niedaleko miejsca, gdzie powstaje muzeum, mieszkał w średniowieczu niejaki Kamoj. Do dzisiaj na to gospodarstwo godo się „Kamojówka". Dziadek opowiadał mi, że tradycyjnie z pokolenia na pokolenie przekazywano tajemniczy miecz i księgę. Wszystko to zaginęło zrabowane przez Rosjan w czasie ostatniej wojny. Wiem tyle, że miecz był zielonkawy, półokrągły niczym tatarski. Karaimowie, inaczej Hazarzy, pochodzą z Kaukazu, ale byli osiedleni w środkowej Turcji, skąd zostali sprowadzeni do litewskich Trok jeszcze przez ojca Jagiełły. Kiedy wysyłano Helenę za mąż na Śląsk, do innego państwa, w jej zbrojnym orszaku znaleźli się Karaimowie. Natomiast tajemniczą księgą był prawdopodobnie hebrajski Talmud...

I jeszcze raz kreślimy obraz tego, co powstanie tu za kilka lat. Kuźnia, w której wre praca, stodoła z repliką wiejskiego domu z końca XIX wieku. To będzie jedna część muzeum etnograficznego. Część, która jeszcze nie powstała. – Mróz był jeszcze w styczniu, to i prace się nam przesunęły. Konstrukcja kuźni powinna stać latem, ale myślę że przeciągnie się to do jesieni – wyjaśnia.

– To kiedy właściwie to będzie wszystko gotowe? – pytam.

– Jak dobrze pójdzie za dwa, trzy lata – odpowiada Waldemar Szendera.

W zieleniejącym trawniku leży sterta zbrojonego drutu, na którą wpadam. – To właśnie fragment przyszłej kuźni – słyszę od założyciela muzeum, Fryderyka Szendery. – Wyposażenie kompletne czeka...

Tak jak kilka tysięcy eksponatów czeka na lepsze czasy. A te powinny nadejść z Unią. Na razie jest inaczej. Gospodarze skazani są przede wszystkim na własną zaradność. Mimo wielkiej życzliwości dla tego, co robią, nikt specjalnie życia im nie ułatwia. A pasja to niemal choroba. Fryderyk Szendera przyznaje, że początkowo wyrzucał „eksponaty". Początkowo, czyli w młodości (słynne społeczne akcje porządkowania posesji). Teraz żal mu każdej starszej rzeczy. – Wezna, nawet powiedzmy za krzoczek – zapewnia. W okolicznych punktach skupu złomu wiedzą, że Szendera weźmie każdy rolniczy „zlom", nieużywaną część, narzędzie czy maszynę. – Ostatnio trefili my na krymra – wyjaśnia. [„Krymra" to ciężka brona, a „krymrować" to bronować ciężką broną – dowiaduję się ze słownika gwary śląskiej autorstwa Mariana Cieśli.]

Systemem gospodarczym Szenderowie wznieśli okazały budynek, którego stylistyka, a zwłaszcza konstrukcja dachu, nawiązuje do budownictwa regionalnego wsi pszczyńskiej. Jest w stanie surowym. Wewnątrz „najcięższa" część kolekcji etnograficznej Szenderów: powozy, pługi, i większy gabarytowo sprzęt rolniczy („krymry", „wialnie", „młynki", „stombki" – wymieniają moi gospodarze).

– Na górze, w mniejszej sali wystawienniczej, zmieścimy pozostałą część naszych zbiorów. A tu, gdzie był garaż, zrobimy salę konferencyjną albo jakąś restauracyjkę dla turystów z pokojami do wynajęcia. Tu jest w tej chwili warsztat, w którym dokonuje się renowacji. Błądzimy wśród maszyn. Szendera pochyla się nad jedną. – To jest pług odwracalny, unikat. Jako rolnik nigdy nie spotkałem konnej, jednoskibowej wersji takiego narzędzia – i demonstruje, jak się go blokuje.

Pług jest „ształchniony", czyli skrzywiony – bo „ktoś na niego najechoł" i wymaga reparacji.

– Ta więźba – mówi o imponującej konstrukcji dachu – stawiali amatorzy. Zawodowi cieśle dali tymu pokój... A budujymy już to dwa lata. To mo być punkt informacyjny

dla turystów, na muzeum to my ni mieli szans we wniosku. Trzeba było zmienić formuła – tłumaczy. – To pódźmy dali...

Serce muzeum bije na razie na poddaszu domu gospodarczego. Drapiemy się po starych, drewnianych schodach. I pierwsze, co rzuca się w oczy, to olbrzymie radio („znalazło się tu przypadkiem" – słyszę, ale ta uwaga może dotyczyć wszystkiego). Za nim dziesiątki narzędzi, nieznanych przedmiotów. Za chwilę mój gospodarz rozpocznie lekcję regionalizmu. Ale na razie zbywa pytania: – Powoli, pogodómy jeszcze przy kawie. Pokaże wpisy, tych co już tu byli.

I zaczyna: – A wiysz do czego to je? Nie wiem – odpowiadam – na gospodarstwie mieszkałem w dzieciństwie. Nie kryję, że chcę się dowiedzieć, jak najwięcej.

– To się nazywo kobylica i służyło siedlorzowi do szycia skóry – pokazuje pan Fryderyk. – Jeronie, jakżech pedziol? Niy, to miała być koza! – reflektuje się i przeprasza. – To wszystko miało swoje nazwy, które w większości się już zapomniało. Dopiyro w niymieckij ksionżce żech znod, do czego służyła ta kobylica. Zresztom, jo wiym do czego ona służyła, ale nazwy żech nie umioł dopasować.

Wędrujemy między kolejnymi stosami. Co rusz podnoszona jest piła, podnoszony nieznany mi przedmiot, uruchamiany jakiś mechanizm. Wszystko to miało ułatwić życie naszym przodkom. I naprawdę było zmyślne.

– Te narzyndzia som od kolorza, a niy stolorza. Blank podobne, ale inne. Być może się jeszcze dowiym, jak się nazywajom. A kolorz albo sztelmacher to tyn co robił kola do rafioków, wozów – czyli kołodziej.

Drewniana tokarnia służyła do obróbki szprychów w drewnianych kołach. Szprychy mogą być wieloboczne i okrągłe, ale łep, która wchodziła do łonkocia musiała być idealnie okrągła. Obrabiano ją taką właśnie tokarką. Naprawdę nie miałem o tym pojęcia, choć dziadek jeździł rafiokem po siano.

– Miołech tu tako piła i jeden komendant straży oferował się, że dowiy się jak się nazywo, bo jego starzyk miol tako samo. A łonej jest „treciara", bo ciyło się niom deski...

Jest nawet... lodziarka. – Fabryczna rzecz, nie powinno jej tu być, ale jest, bo jest w jakimś sensie unikalna – tłumaczy pan Fryderyk. Lód wycinało się zimą z zamarzniętego stawu, przekładało torfem albo trocinami i układało w piwnicy. Trzymał tak nieraz do września. Do lodziarki wlewało się z jednej strony specjalną masę, a z drugiej wkładało lód ze stawu. Lodziarką kręciło się aż do skutku...

Pierwszy eksponat: – Nie wiym, to już ponad trzydzieści lot... – słyszę po chwili milczenia. – Jednym z piyrwszych był kołowrotek. Drugi został odtworzony. Potem były koszoły, szafarnia. Część ze zgromadzonych tu przedmiotów pochodzi z rodzinnego gospodarstwa mojej żony Marii. To właściwie były pierwsze eksponaty.

– Pan Bóg stworzył człowieka z wieloma felerami. Jednym z nich jest chciejstwo. Poza tym każdy chce być lepszy od sąsiada – przy oglądaniu maślniczki dopada mnie jedna z sentencji filozoficznych pana Fryderyka.

Najstarszym, a może najbardziej unikalnym gospodarskim przedmiotem jest szafarnia, olbrzymie owalne naczynie wykonane ze słomy, w którym zmieściłby się dorosły człowiek. W niej przechowywano zboże. – Dziabnąłem to, jak się w niej kurczęta wygrzewały – wspomina okoliczności zdobycia eksponatu mój gospodarz.

Większość eksponatów jest zewidencjonowanych. A przynajmniej była, jak pan Fryderyk miał czas i cierpliwie dołączał do każdego karteczkę z nazwą. Teraz trzeba będzie je pospisywać na nowo.

– Wiele rzeczy przybyło spoza Suszca, jak na przykład tyn warmhiber, czyli lewarek do dźwigania wozu. Dźwigało się wóz, wyciongało koło i szmarowało...

Mijamy maszynkę do mielenia mięsa, a właściwie do szpyrki. Końskie chomąto, którym zachwycał się niemiecki kolekcjoner. I znowu niemiecka, fabryczna maszynka do bradkartofli, z której pomocą robiło się frytki. Kolejna do mielenia maku na makówki. Maślniczki, takie na jakich moja babka wyrabiała masło. I święte oleodruki ze scenami zwiastowania pod oknem.

– A stodoła do tego muzeum to skąd weźniecie? – pytam. – Kupiłech pół – dowiaduję się. – Ale jest w takim stanie, że raczej nie jestem skłonny jej odbudowywać.

– To macie stodołę ośmiobocznią? Takie jak były dawniej na wsi pszczyńskiej?

– Niy, sześcioboczno, tako biydniyjszo...

Na pierona ci te klamory

Zawsze pada to pytanie: – Jak się wszystko zaczęło? Fryderyk Szendera senior rodem z Załęża, rad że zbieracką pasję przejął syn Waldemar z żoną Katarzyną (po fachu dentystką), przyznaje, że to dzięki pewnemu szkolnemu profesorowi zaczął interesować się przeszłością, najpierw antycznego Rzymu i Grecji, a potem stopniowo ziemi, po której stąpał: – W piątej klasie szkoły powszechnej nr 21 uczył mnie Józef Wańdyga, prawnik, o ile dobrze pamiętam. I wtedy złapałem bakcyla zwanego mitologią. Zainteresowałem się starożytnymi odkryciami archeologicznymi, by choćby wspomnieć o Troi.

Teraz nie wyobraża sobie życia bez Śląska i jego historii, której częścią są eksponaty etnograficzne-



Jednym z najbardziej intrygujących eksponatów jest... stary radioodbiornik.



Fryderyk Szendera z jednym z eksponatów.

go muzeum. – Odkryłem, że są to właściwie „żywe wykopaliska", bo mówią o życiu naszych ojców, w odróżnieniu od wykopalisk archeologicznych, które milczą, bo związani z nimi ludzie dawno już odeszli. Wszystkie te przedmioty związane ze śląską ziemią można jeszcze uratować przed zniszczeniem, żeby to po prostu nie przestało istnieć do końca – podkreśla.

Kiedy pan Fryderyk jeszcze jako młody karlus trafił do domu Witoszów w Suszcu (wżenił się tu w 1962 roku, „na zolyty zaczon żech łazić rok wcześnij"), rodzina, zwłaszcza teść, traktowali jego hoby z przymrużeniem oka.

– Trocha się prześmiewali: „na pierona ci te stare klamory, do pieca to ciepnij, bydziesz mioł ciepło", godali – zwierza się. – Bardziyj zainteresowany był szwagier, starszy o pół roku, podchodził ironicznie, ale zgadzoł się z tym, co robie. Szkoda, że umarł. Na pewno bych go na to nawrócił...

Miał niespełna czterdzieści lat, kiedy zaczął na serio gromadzić przedmioty codziennego użytku związane ze śląskim gospodarstwem. – Zacząłem zbierać to, co ludzie mieli do wyrzucenia. Potem przyszedł kolejny etap: – zacząłem się interesować tym, czego człowiek nie chciał wyrzucić, a co pragnął zachować dla siebie. Próbowałem, z różnym skutkiem, wycyganić te rzeczy, czasem za pieniądze, krzoki abo... pól litra – dodaje ściszonym głosem. – Synek, ale może tego ostatnigo nie pisz...

Wszystko zaczęło się zmieniać w latach 70., kiedy w pobliskiej Pszczynie podobni pasjonaci zaczęli tworzyć skansen. Szendera o nich słyszał, ale działał zupełnie niezależnie. I stała się rzecz niesłychana. Ludzie zaczęli mu pomagać. Przynosić rzeczy, które mieli wyrzucać. Przestano traktować Szenderę jak „cichego wariata, dziwaka". Teraz inni zaczęli go naśladować. Tworzą własne kolekcje. Na przykład Czesław Smusz. Ale zostali daleko w tyle – mogą pochwalić się kilkudziesięcioma, no może kilkoma setkami przedmiotów. Ale ich zbiorów nie liczy się w tysiącach! Szenderowie póki co, część eksponatów roznieśli po sąsiadach, bo... miejsca zaczynało brakować.

Szendera: – Teraz słysza inne odzywki: ale ty mosz forsy, ale tyś je bogaty. No, ale jo jakoś tej forsy tam nie widza. Człowiek w to muzeum ciągle ładuje i ładuje... a końca nie widać. Zainteresowania władz też.

Władza gminna i powiatowa nie przeszkadza, ale też specjalnie i nie wspiera. Bo prywatne muzeum to trudny partner. Włodarze nie lubią prawnych precedensów. Wolą „bezpieczne" tematy, inwestycje w kanalizację.

– Wymieniają nas w folderach, przynajmniej tyle – podsumowują Szenderowie.

– A wójt u was był? – pytam. Był kilka lat temu przy okazji Dni Suszca siedem lat tymu i zdziwił się, że ma w gminie taką kolekcję. Pierwszy raz ją widział. – Żaden z urzędników gminy z nami od tego czasu nie rozmawiał – mówi Fryderyk Szendera. – Oni ograniczają się do stwierdzenia, że jest taki facet, który zbiera starocie i chwała mu za to. I znowu pewno pojawi się jakiś zdziwiony dostojnik regionalny odkrywając Amerykę w tym Suszcu – że są tacy wariaci, jak Szenderowie.

Cudze Ślązacy chwalicie...

Muzeum gościło wybitne postacie – posłów, ministrów, naukowców. Obcokrajowcy są tak samo zachwyceni śląskimi zbiorami, jak uczniowie z Rudziczki. Znamienitsi zostawiają po sobie pamiątkowe wpisy. Nawet w języku arabskim. Kilka lat temu gościł tu profesor botaniki z New Delhi, stolicy Indii, Muhammad Igbal. Mieli o czym rozmawiać z Waldemarem, zapalonym botanikiem, wykładowcą uniwersyteckim. Był tu także Egipcjanin z Kairu, Jemeńczyk... To jedni z najbardziej egzotycznych turystów, jacy docierają w ten zakątek Suszca.

Zdarza się, że na etnograficznej części gospodarstwa Szenderów gości kilkaset osób rocznie. Rekordowym był na pewno 2002 rok, kiedy dotarło tu pół tysiąca osób. Sezon na odwiedziny trwa praktycznie całe lato, obejmuje też jesień i wiosnę, ale gospodarze nastawiają się na najbardziej niezapowiedzianych odwiedzających. Nikt stąd nie może wyjść niezadowolony. Sporo jest wycieczek szkolnych, najwięcej oczywiście z Suszca, nieco mniej z innych gmin powiatu pszczyńskiego. A szkoda, bo jak podkreślają moi rozmówcy, śląskie dzieci są przyszłością tej ziemi. Wszystkim bez wyjątku pan Fryderyk cierpliwie tłumaczy, skąd wzięła się jego zbieracka pasja i jak powstały tak ogromne zbiory.

Na pytanie, czy warto zakładać prywatne muzeum, Szendera odpowiada pytaniem: – A wie pan, co to jest imperatyw kategoryczny? Jeżeli ktoś jest nakłaniany „z góry", trudno go do czegoś przekonać. Jestem oporny na przekonywanie, muszę wierzyć. I tak jest z tym muzeum.

– Ale takie gromadzenie zbiorów wymaga czasu i wysiłku! – ripostuję.

– Nie ma wysiłku. Jest uciecha. Tak jak z miłością do kobiety, wysiłek i przyjemność idzie w parze. To jest chyba jedyna rzecz, którą robię z własnej, nieprzymuszonej woli i z wielką radością – tłumaczy uśmiechnięty pan Fryderyk z Suszca.

■

Strona internetowa rodzinnego gospodarstwa i muzeum etnograficznego: http://www.szendera.com.pl



Foto: Grzegorz Sztoler

Waldemar Szendera wskazuje miejsce, gdzie stanie kuźnia.

Partnera dla muzeum

Rozmowa z dr. WALDEMAREM SZENDERĄ, prowadzącym prywatne muzeum etnograficzne w Suszcu

– Jak wygląda unijna pomoc dla rodzinnego muzeum?

– Niestety, nie dotarliśmy do funduszy adresowanych bezpośrednio do takich placówek, jak nasza, zajmujących się szeroko pojętą ochroną dóbr kultury. Po prostu w rozumieniu „unijnym", nie jesteśmy taką instytucją. Unia Europejska nie dostrzega w tej chwili potrzeby wspierania prywatnych zbiorów muzealnych, nie mogą one pozyskiwać żadnych „unijnych" środków. Na razie korzystamy z pomocy przeznaczonej dla gospodarstw rolnych. Każda pomoc obwarowana jest pewnymi warunkami wstępnymi. Jeżeli się je spełnia, pomoc można otrzymać. Wszystkie inwestycje, jakie podejmujemy, wiążą się właśnie z tą formą pomocy, która obejmuje np. różnicowanie dochodów w gospodarstwach rolnych. Przecież nikt w ramach tego nie zabroni mi utworzenia punktu muzealnego. I to właśnie robimy, zmieniając nieco formę działalności – nie muzeum, a punkt muzealny.

– A więc przy okazji inwestycji w działalność rolniczą, nie zapominacie o muzeum.

– Jest to związane z podnoszeniem dochodowości całości gospodarstwa. Podkreślę, że naszą główną działalnością jest ogrodnictwo. Do tej pory to z niego finansowaliśmy rozbudowę muzeum.

– Czy nie warto wobec tego pomyśleć o przekształceniu charakteru muzeum? Może trzeba utworzyć fundację, powierzyć zbiory w depozyt jakiemuś stowarzyszeniu? Są różne rozwiązania...

– Zastanawiamy się nad każdym. Decyzja, jakakolwiek zostanie podjęta, musi być przedyskutowana w gronie rodzinnym. Trzeba rozpatrzyć wszystkie argumenty za i przeciw. Jeżeli zbiory muzeum byłyby w posiadaniu stowarzyszenia, korzystamy z wszelkich dostępnych form pomocy unijnej, a takie możliwości istnieją. Myślimy o czymś takim. Wcześniej czy później jakieś stowarzyszenie bądź fundacja w tym miejscu powstać musi, choć nie ukrywam, że mój ojciec jest gorącym przeciwnikiem takiego sposobu wyjścia z sytuacji, bo jako żywo działania „stowarzyszeniowe" przypominają mu złe czasy przymusowej kolektywizacji, kiedy nie szanowano prywatnej własności. Niemniej, moim zdaniem, jest to nieuniknione, bo po prostu nie ma innej możliwości finansowania tego typu inicjatyw, jak nasza. Powiem więcej, nasze muzeum jest za drogim przedsięwzięciem, żeby mogło zostać utrzymane siłami jednej rodziny.

– To znaczy?

– Nie da się dalej utrzymać muzeum w ramach zwykłego gospodarstwa rolnego, nie udźwignąą tego ciężaru ludzie o normalnych zarobkach. Tu potrzeba naprawdę ekstra środków.

– Jak w takim razie do tej pory było utrzymywane muzeum?

– Zacznijmy od tego, że prowadzimy gospodarstwo szkółkarskie, które wykazuje nieco większą rentowność, niż zwykłe gospodarstwo rolne. Praktycznie cały zysk, który wypracowujemy, przekazywaliśmy do tej pory na funkcjonowanie muzeum. Wkład, jaki do tej pory ponieśliśmy na budowę budynku, który pomieści zbiory muzeum, oszacowany został na około dwieście tysięcy złotych. Te środki wypracowaliśmy przez kilka ostatnich lat własnymi siłami, nie licząc na niczyją pomoc.

– Kiedy się w końcu doczekacie konkretnej pomocy finansowej?

– Na razie złożyliśmy wnioski w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa na wspomniane już działania związane z różnicowaniem dochodów w gospodarstwach rolnych i czekamy na dofinansowanie, które pozwoli zakończyć budowę obiektu ekspozycyjnego, który pomieści także salę audiowizualną (wykładową) i sale lekcyjne. Mieścił się tu także będzie punkt informacyjny dla obsługi ścieżki turystycznej Plesówka. Równolegle, zupełnie niezależnie i w ramach innych środków, Agencja zwraca nam połowę poniesionych kosztów inwestycji. Dzięki temu w tym roku jeszcze wybudujemy kolejny obiekt muzealny: kuźnię, która de facto traktowana jest jako obiekt gospodarczy, z zabytkowym wyposażeniem (z początków XX wieku). W tym roku jeszcze chcemy częściowo zrekonstruować drewnianą stodołę. W niedalekiej przyszłości planujemy zbudowanie śląskiej chałupy charakterystycznej dla końca XIX stulecia prezentującej życie codzienne na wsi pszczyńskiej.

– Powstanie zatem jedyny w Polsce prywatny skansen?

– Powiedziałbym raczej – kompleks obiektów zabytkowych związanych z życiem i gospodarowaniem na wsi pszczyńskiej sto lat temu.

– Czy żałowaliście kiedykolwiek, że muzeum aż tak was pochłonęło?

– Nie. Wręcz przeciwnie, nachodzi mnie często refleksja, że trzeba pracować jeszcze więcej, by sprostać naszym ambicjom: powiększania i systematycznej renowacji zbiorów, a także planom rozbudowy muzeum, a przy tym nie zaniedbać życia rodzinnego.

– A jak na funkcjonowanie waszej placówki reagują władze gminy Suszca, powiatu pszczyńskiego? Odniosłem wrażenie, że lokalni decydenci chętnie się chwalą prywatnym muzeum etnograficznym...

– Proponowano nam pomoc, przeznaczoną jednak nie dla osoby prywatnej, a dla stowarzyszenia, co jak już sygnalizowałem jest na razie nie do przejścia. Gdyby muzeum było własnością fundacji, organizacji, nie byłoby problemu. Zastanawiamy się nad odpowiednimi rozwiązaniami prawnymi, ewentualnym sposobem powierzenia zbiorów, który zabezpiecza interesy właścicieli. Inspirują nas wzorce niemieckie i francuskie, gdzie istnieją podobni do nas fascynaci – i co ciekawe – lokalne władze ich wspierają.

– Czyli jest zainteresowanie, ale nie ma konkretnej pomocy?

– Podejrzewam, że zjawisko to polega raczej na niewiedzy niż złej woli.

– To znaczy?

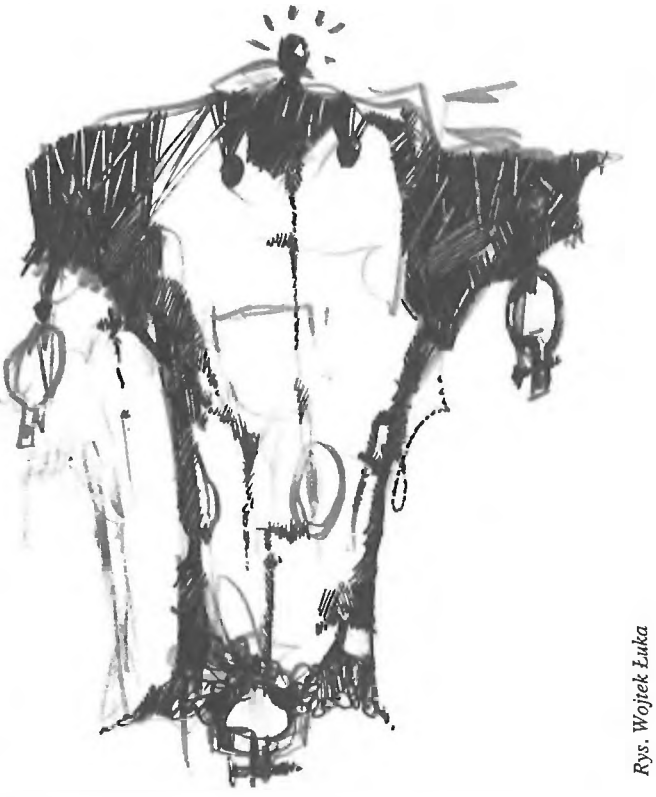
– Gmina, powiat a nawet samorząd wojewódzki ma prawo tworzyć partnerstwo z osobą prywatną i przekazywać jej publiczne środki, jakimi dysponuje. W naszym wypadku, moglibyśmy oczekiwać takiej właśnie formy pomocy od władz gminy bądź powiatu. Jest zatem prawna możliwość współpracy, tylko lokalne władze z niej nie korzystają, bo, jak sądzę jest to temat jeszcze nierozpoznany, a samorządy wolą z natury rzeczy przyjmować postawę asekuracyjną unikając zbędnego ryzyka. Jeżeli jest trudny temat, to się go po prostu nie podejmuje. Partnerstwo społeczno-prywatne w odniesieniu do śląskiego dziedzictwa kulturowego należy właśnie do tej kategorii spraw. Byłoby to z pewnością działanie nowatorskie na pewno na skalę naszego województwa.

Rozmawiał:
GRZEGORZ SZTOLER

Góra dziecko

(fragment powieści)

MACIEJ MIZIURA



Rys. Wojtek Łuka

Być może Noe nie zauważył, że odszedłem.

Wstałem z ławki i ruszyłem na znajdujący się obok rynek. Potrzebowałem powietrza. Balansowałem pomiędzy tym co chciałem żeby było, a tym co było.

Między niepamięcią i nieustannym przypominaniem.

Na rynek wiodła brukowana, łukowata uliczka, wciśnięta pomiędzy zwrócone frontem do niej, zakończone spadzistymi dachami, parterowe domki.

Domy te były stare, być może niewiele młodsze od murów.

Uliczka lekko falowała, jej środek znajdował się niżej niż oba boki, był wilgotny ze śladami porostów. Kamienie były wygładzone. Ile wozów musiało nimi przejechać by je tak zeszlifować, ile osób przeszło tędy.

Rynek także był pokryty brukiem, ale kamienie na rynku nie były tak zeszlifowane. Były też większe i wyglądały na młodsze.

Na środku rynku wyrastała obudowana kamieniami studnia. Zakratowana i zamknięta na kłódkę, a zaraz za nią pręgierz.

Na rynku w Gniewie Bożym stał pręgierz.

Kamienice otaczające rynek kryły swoje wnętrza za podcieniami o niskich łukach i mocnych podtrzymujących je kolumnach, twardych i zbitych, krępych.

Dawniej arkady kryły w swoim cieniu towary czekające na kupców, teraz były zdegradowane do zacienionego chodnika. Fasady były do siebie podobne, miały podobne zdobienia na ścianach. Miasto nie wyglądało na zbudowane spontanicznie, wychodzące na świat z chaosu, lecz na zaplanowane, budowane przez jedną rękę i jeden umysł.

Spomiędzy podobieństw wybijał się wyższy od innych budynków gotycki kościół, dalej ratusz i budynek, którego celu powstania nie byłem w stanie poznać.

Kiedy z uliczki wkroczyłem na rynek koło fontanny bawiła się grupka dzieci. Ledwie wszedłem, podbiegły. Wszystkie miały w sobie coś, co czyniło je podobnymi. Uśmiechały się.

Przyjechał pan do nas – zapytało najstarsze. Pozostałe dzieci patrzyły na mnie

Nareszcie – zaczęły radośnie krzyczeć

Każde przypominało – inne – małe dziecko.

Przypomniałem sobie biel lamperii.

Pomiędzy nimi panował spokój, dziecko spało. Spało tak głęboko, że zatraciło się we śnie i nie było już tu, ani nie było tam, a może dopiero zaczynało być naprawdę, zresztą kto wie jaka jest prawda, czy w ogóle jest jakaś. Spało.

Lekarz patrzył na nie, oparł się o lamperię i czekał.

Ściany milczały. Bez opowieści, stały się zwykłymi ścianami pozbawionymi kompletnie wyobraźni, bez słów stały się rzeczywiste.

Nie powinno tak być.

Czekał, czekał na dziecko i czekał na dorosłego, tego który rozpoczął opowieść i zostawił ją w pół zdania tego, który przychodził codziennie, przesiadywał godzinami i opowiadał. Spojrzał na dziecko. Spało

Czy ono czeka, czy wie – zaczął mówić, mówił w zastępstwie, za kogoś, za dorosłego, który nie pojawił się dzisiaj po raz pierwszy od bardzo dawna. Mimo to mówił sprawnie, bez zastanowienia, bez jakichkolwiek wątpliwości, choćby najmniejszego zająknięcia, jakby historia ta musiała być opowiedziana, jakby nie on ją tworzył, ale powstawała sama w tym pomieszczeniu. Mówił o pannie żyjącej na wieży i drzewie – najwyższym rosnącym u podnóża wielkiej góry – mówił także o dorosłym. Opowieść zaczynała się gmatwać.

– to smutne, gdy ktoś się gubi – opowiadał, a dziecko słuchało. Nie mówiło, nie dało znać czy słyszy, spało, ale docierał do niego głos – słuchało.

Leżało czekając, w pół drogi stamtąd tam.

Lekarz opowiadał:

Dorosły wszedł na rynek małego miasteczka, przeglądał się w grubo ciosanym bruku. Kamienie pocięte przez toczące się dawniej wozy uczyły.

Podbiegły do niego dzieci bawiące się na rynku...

Razem z idącymi za mną dziećmi zwiedzałem rynek. Dzieci szły grupą.

Dajcie spokój – chciałem im powiedzieć by odeszły. Niech przynajmniej zamilkną, ten dźwięk, ich głosy, jazgot, te wszystkie dźwięki – niech wreszcie przestaną,

potrzebuję ciszy niech odejdą, niech przestaną przypominać.

Podszedłem do pręgierza.

Zrobiony był z kamienia, ociosanego w kształt zwężającego się ku górze walca, noszący ślady dłuta wyrywającego go z macierzy głazu, a może ślady inne. Ile razów zadano w tym miejscu, ile krwi, czy także niewinnych.

Dzieci pobiegły gdzieś pozostawiając mnie samego.

Los jest samotny, każdy ma swój i tylko swój, nikt nie poniesie za pana pańskiego brzemienia – slup przemówił do mnie – nie bezpośrednio. Kamienna tablica wmurowana w chodnik pod pręgierzem miała wygrawerowany napis

– Nie umkniesz swemu przeznaczeniu –

Lekarz mówił dalej.

Spod pręgierza poszedłem dalej, aż za miasto. Kilkoro dzieci szło za mną w pewnej odległości, zbyt nieśmiałych, by podejść, na tyle jednak ciekawych, by iść za mną krok w krok. Jak straż – przeszło mi przez myśl – nie – jak wyrzut sumienia.

Odejdźcie – błagałem w myślach, by znikły, przestały szeptać, przestały katować mnie tym swoim szur, szur, szur.

Pręgierz – stały się moim pręgierzem, idącym za mną. Gorszym od kamiennego słupa – na nim już wiele lat temu deszcz zmył ostatnie krople potu skazańca – idący za mną śmiał się, rechotał i szeptał.

Dzieci szły za mną jeszcze przez kilka minut. Wszystkie miały jego twarz, twarz małego chłopca w szpitalnej piżamce. Lekarz przerwał na moment opowieść, spojrzał na dziecko, ale po chwili znów zaczął mówić, wiedział, że dziecko odchodzi.

Droga, którą szedłem zaczęła dziczeć, zwężała się i wiła niepokojąco pomiędzy drzewami. To nie ona była ważna, wkradała się do lasu, nieśmiało. Drzewa coraz starsze, o grubych pniach zasłoniły miasto i dzieci, które nieśmiały wejść głębiej.

Stara drogo, drogo stara – chciałem by droga wskazała mi kierunek, ale czy droga może cokolwiek. Jestem piechurem, to ja decyduję.

Wiatr potargał koronami drzew. Nie wiem jak długo szedłem, musiałem iść dość długo, bezwiednie stawiając kroki, bo wszędzie wokół mnie las spotężniał.

Drzewa, które rosły wzdłuż skarlałej drogi były majestatyczne, stare, katedralnie wysokie.

Światło przebijało się przez wysoko zawieszone konary jasnymi slupami, rozświetlając zielony półmrok. Tak, ten las był stary, starszy niż miasto, starszy od wyżłobień na kamieniach.

Wiatr znów szarpnął koronami drzew. Droga rozjaśniła się. Czy to na moje powitanie, chce mi coś powiedzieć, że to nie moje miejsce?.

Szyszka upadła na ścieżkę. Schyliłem się nad nią. Mam ją podnieść. Co się stanie jak ją podniosę. Co mam zrobić, jaki mam wybór, a jaki ona miała wybór, może gdybym był z nimi, może, wtedy nie byłoby mnie tutaj.

Szyszka upadła przed człowiekiem – tak to wiem, ale jeżeli nie daje ona żadnego wyboru, daje tylko iluzję swobody, banalny dylemat do rozwiązania, gdy tak naprawdę, to nie my ciągamy za sznurki, nie my decydujemy. Jest tylko znakiem nadchodzących zmian, na które i tak nie mamy wpływu. Cokolwiek zrobimy nastąpi zmiana, zmiana w efekcie nie naszej decyzji, ale tego co na naszą drogę zrzuciło szyszkę, więc iluzją jest swoboda, świadomość samodzielnej decyzji to blaga, to nic. Działamy w świecie ograniczeń, narzuconych jak wanna dla karpia, która pozwala mu decydować tylko o tym, którą płetwą machnie. Jego los jest przesądzony, jak nasz. Możemy zrobić kilka prostych kroków, ciesząc się, że cokolwiek możemy, a tak naprawdę – nic nie możemy. Cokolwiek robimy, działamy w czyjejś rzeczywistości.

Co robimy, czy to ma jakiekolwiek znaczenie?

Wyciągnąłem rękę.

Małe dziecko, ubrane w szpitalną piżamkę, uśmiechnęło się niepewnie do niemal dorosłego dziecka. Było na tyle małe, że jeszcze pełne zaufania do ludzi, ale już wyposażone w lęk, lęk który towarzyszy poznaniu nowej osoby.

– cze – powiedziało niemal dorosłe dziecko

– cze (na końcu niepewnie pojawiło się ść, cześć) – odpowiedziało małe dziecko. Jak nie wiesz jak się zachować, zachowuj się ostrożnie, pomyślało.

pójdziemy razem – zapytało niemal dorosłe dziecko jednocześnie wyciągnęło dłoń w kierunku malca – pójdziemy razem?

tak – odpowiedziało małe dziecko wdzięczne za wyciągniętą rękę. Świat jest zbyt duży, by iść samemu.

Ptaki spojrzały na dzieci. Niemal dorosłe dziecko wyciągnęło rękę do małego dziecka, te chwyciło ją ufnie

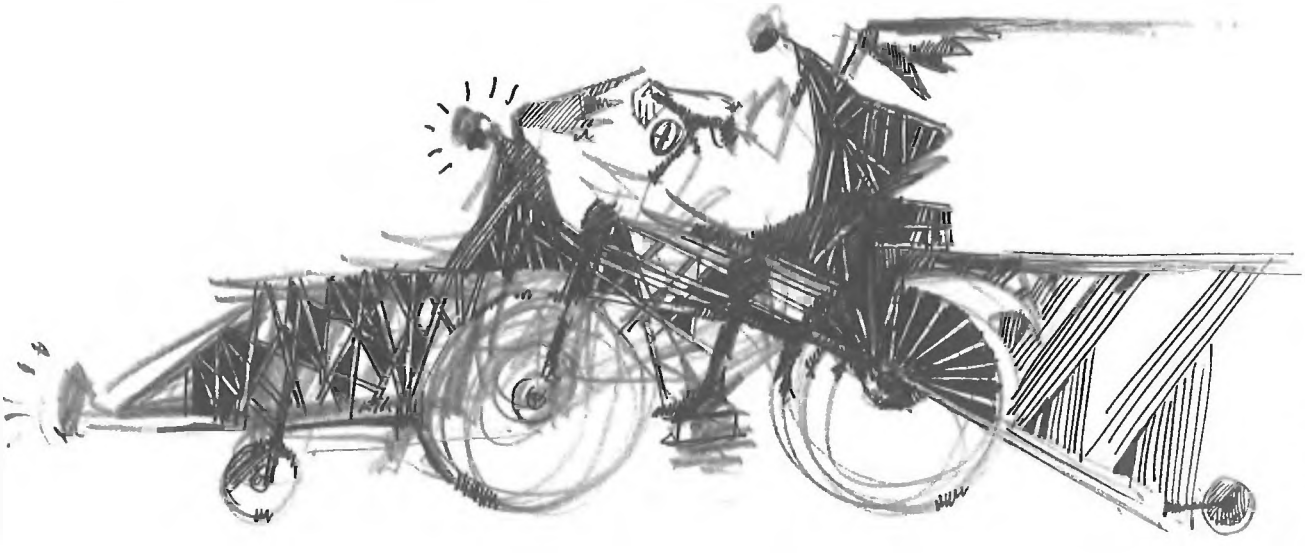
– pójdziesz ze mną

– tak

– do końca

– nie zostawię cię samego.

– chodźmy



Rys. Wojtek Łuka

Zrobiły razem pierwszy krok. Małe dziecko potknęło się o ukryty pod zeschłymi liśćmi korzeń, ale niemal dorosłe dziecko przytrzymało je, by nie upadło.

Nie podniosłem jednak szyszki. Wyciągnąłem po nią rękę, ale zawahałem się, na moment tylko, jednak na tyle, by zwątpić, na tyle także, by czas dokonał rewizji swoich planów. Może jednak nigdy nie miałem jej podnieść.

Kilkanaście metrów przede mną, ścieżka, na którą wkroczyłem po opuszczeniu miasta skręcała ostro w prawo, spadając jednocześnie w dolinę. Stamtąd właśnie nadjechał.

Schylony najpierw usłyszałem, że ktoś nadjeżdża, dopiero później zobaczyłem osobę.

Czarny rower z ogromną ramą i dużą lampą z przodu powoli wspinał się na wzniesienie, pobrzękując dzwonkiem z każdym ruchem pedałów.

Kierowca nie siedział, z wysiłkiem stawał to na jednym, to na drugim pedale, byle pchnąć rower i przywiązaną do niego przyczepkę do przodu.

Najpierw zobaczyłem jego głowę, mimo letniej pogody ubraną w wełnianą czapkę, później twarz z żyłami nabrzmiałymi od wysiłku i resztę wspinającą się w górę.

Ubranie dopełniał biały kitel z krótkimi rękawami, cały rozpięty, spod którego wystawał mokry do potu siateczkowy podkoszulek, oraz czarne spodnie spięte z boku klamerkami do prania i rozdeptane buty. Ubranie poprószone było mąką. Białe plamy szczególnie wyraźnie odcinały się od tła wyświeconych spodni.

Jego ubiór, jak i cała postać, nie był świeży, daleko mu było do świetności. Należał do postaci, ale tylko na pierwszy rzut oka, bezbarwnych i nijakich, do osób które mijane są na ulicy bez jednego spojrzenia, jednak mimo pewnych braków, miał w sobie coś co przykuwało uwagę. Z całej jego postaci emanował swoisty spokój. Człowiek szczęśliwy, na rowerze jechał człowiek szczęśliwy.

dzień dobry – powiedziałem wstając

dobry– odpowiedział z uśmiechem

Zatrzymał obok mnie rower. Ścieżka była na tyle szeroka, że pomieściła nas obu i dość zostało miejsca dla innych wędrowców.

– zmachałem się –

oddychał ciężko, Zszedł z roweru, usiadł na trawie.

Nie ma co, lata lecą, człowiek nie robi się młodszy. Zapali pan – wyciągnął w moją stronę papierosy.

– nie

machnął ręką i sam zapalił. Przez chwilę milczał wpatrując się w niebo, położył się przy tym na ziemi.

Odpoczywał przez kilka minut. Milczeliśmy, ja nie wiedziałem o co mam zapytać, on o nic nie pytał. Z ciekawością patrzyłem na niego i jego dziwaczny rower.

Ile może mieć lat taki rower. Pięćdziesiąt, może mniej, ale niewiele, prawdziwy antyk. Najdziwniejszy jednak nie był rower, ale przywiązana do niego zwykłym sznurkiem przyczepa. Długa na jakieś półtora metra, wąska i niewysoka. Cała obudowana ciemnymi płytami przypominająca trumnę na kołach.

sam zrobiłem – powiedział z dumą, najwyraźniej widząc moje zainteresowanie.

Tyle lat tu jeżdżę, ale pana jeszcze nigdy nie widziałem, pan chyba spoza miasta

Nie odpowiedziałem – spoza miasta, spoza wszystkiego.

Życie proszę pana – chciałem coś powiedzieć, ale nie wykrztusiłem ani jednego słowa. On absolutnie szczęśliwy, ja bez nadziei. Spojrzałem tylko na niego. Może rozpoznał we mnie smutek jak ja w nim szczęście. Nie powrócił już do swego pytania, czekał. Siadł koło mnie i nic nie robił, patrzył tylko w ziemię, jakby unikał mojego wzroku. Może nie wiedział, co powiedzieć.

Upłynęła dłuższa chwila nim znów się odezwał. Mówił do siebie, jak człowiek, który zbyt dużo czasu spędza tylko z samym sobą, jego myśl stała się jego słowami, jakby wyciekała na język, tak pan spoza miasta – powiedział bardzo cicho.

Spojrzałem na niego – dlaczego usiadł koło mnie, dlaczego nie odjechał .Musieliśmy długo siedzieć, bo cienie wydłużyły się. Mrok rozrósł się pod drzewami.

– ma pan ciekawy rower – odezwałem się łamiąc ciszę

– pan może głodny – zapytał – mam piekarnię, zostało mi trochę chleba, ja codziennie tędy na rowerze – wskazał dłonią na drogę, nie może pan tu zostać, robi się ciemno, a w lesie łatwo się zgubić. Zawiozę pana do miasta. Możemy się zmieniać, chociaż teraz to już z górki. Wskazał mi miejsce na wieku jego dziwacznej przyczepy. Usiadłem i pojechaliśmy. Tak, w lesie łatwo się zgubić.

Małe dziecko prowadziło. Dzieci zeszły ze ścieżki i ciężko było iść, ale szły dzielnie. Małe dziecko miało cel, cel jak kiedyś, przed siebie z dumą, tak mówił tata, zawsze z dumą.

Niemal dorosłe dziecko szło za nim krok w krok jak obiecało. Niewiele do siebie mówiły, w zasadzie ani słowa. Tak przez kilka godzin. Marsz był trudny, bo las w miejscu gdzie wypadła im droga, był gęsty, powykręcany pełen pułapek.

Kilka razy musiały przedzierać się przez gęste krzaki, ale nie ustały.

Szły od rana, słońce zdołało przewalić się przez niebo, dopiero wtedy stanęły. Niemal dorosłe dziecko zarządziło postój koło przewalonego modrzewia.

Wyrwane przez wiatr drzewo upadło wprost na niewielki rów w ziemi, tworząc w ten sposób z siebie kopułę małej jamy. Wokół zwaliska wolna na kilka metrów przestrzeń tworzyła niewielką polankę.

– to dobre schronienie – obwieściło niemal dorosłe dziecko – odpoczniemy.

Małe dziecko skuliło się pod ciężkim drzewem.

Lekarz przestał opowiadać, przysiadł na brzegu łóżka, w którym spoczywało dziecko. Położył dłoń na jego czole. Opowiadał, bo opowieść powinna toczyć się dalej, ale nie był przekonany czy dobrze mu idzie. Cokolwiek zrobić – chciał pomóc, ale nie mógł. Zimna aparatura wskazywała – trzeba czekać

– mężczyzna spotkał na drodze piekarza – dalej opowiadał– piekarz był miłym człowiekiem, takim, o którym mówi się, że ma serce na dłoni, i każdemu nieba by przychylił. Tak oto spotkali się uciekinier, który uciekał przed samym sobą, przed myślami, których i tak nie mógł się pozbyć. Patrzył na piekarza a on podał mu dłoń. Szczęśliwy człowiek nie zawiści, potrafi działać bezinteresownie, z chęci niesienia pomocy, więcej z chęci mnożenia swojego szczęścia.

Piekarz chciał się dzielić swoim szczęściem.

Zaoferował pomoc, nie mógł przecież zostawić zagubionego człowieka w środku lasu. W pogrążonym w mroku lesie można się zgubić. Nawet znane ścieżki zmieniają się w nocy, plączą. Nocami drzewa chodzą po lesie, tańczą, wędrują. Noc w lesie jest dla drzew, nie dla zagubionego człowieka, łatwo można się zgubić – lekarz pogłaskał dziecko po głowie, posiedział jeszcze przy nim przez chwilę nic nie mówiąc, znów pogłaskał tym razem na pożegnanie i wyszedł z sali.

Dziecko oddychało równo.

■

RENATA RUDZKA-ZWOŹNIAKOWA

Piosenka o Nigdy

Na żadnym miejscu i o żadnej dobie
Nigdy i nigdzie nie będę przy tobie
O żadnym czasie i w żadnej przestrzeni
Nic się nie stanie i nic się nie zmieni

Największe światło nie wyrwie mnie z cienia
Przed twoje oczy, na twoje spojrzenia
Największy ogień nie przypali ciepłem
Twej dalekości mrozu, w którym krzepnę

Najlepszy owoc z ziemskiego ogrodu
Już nie nasyci pragnienia i głodu
Najlepszy lekarz nie zaradzi męce
Mojej chorobie i mojej udręce

Najlepszy złodziej dla mnie nie wykradnie
Twego dotknięcia, ani myśli żadnej
Czerwone Nigdy i zielone Nigdzie
To między wami przeżyć życie przyjdzie

W pajęczych nitkach, co mi twarz zasnuły
W daremnych smutkach, co mi świat zatruły
Czerwone Nigdzie i Nigdy w zieleni
Dopóki żyję, nic się nie odmieni

O żadnym czasie z myśli nie odejdziesz
Na żadnym miejscu blisko mnie nie będziesz

Piosenka o babim lecie

Babie lato – białe nitki
Uprzędło w pogodę
I rzuciło przed trzy baby
A wszystkie niemłode

Pierwsza baba zawołała:
Jaka dobra włóczka
Zaraz zrobię z niej szydełkiem
Sweterek dla wnuczka

Druga nitek nie dostrzegła
Źle widziała biedna
A poza tym już tej babie
Było wszystko jedno

Trzecia baba nitkę wzięła
Ręką skaleczoną
I od razu nitka z białej
Stała się czerwona

Aż się ludzie zadziwili
Kpiną babę kolą:
Któż to widział babie lato
Co ma taki kolor?

Zasmuciła się więc baba:
Powiedz kumo złota
Czemu w moim głupim życiu
Dzieje się na opak?

Młodym – koral z jarzębiny
Z głogu, z morskiej wody
A ja przędłam szarą przędzę
Póki byłam młoda

Starym piec i kołowrotek
Ład, spokojne życie
A ja nie wiem co uplotę
Z tej czerwonej nici

Stoi smutna, myśli smutno:
Co się stanie ze mną?
A wiatr zrzuca z drzew na włosy
Czerwień – jak śmierć ciemną

★ ★ ★

Nie masz słońca – to je wymyśl
Nie masz świata – to go wymyśl
Nie masz siebie – stwórz się sama
Jeszcze wszystko możesz mieć
Jeśli sobie wszystko zmyślisz
Przecież nikt ci nie da nic

Miałaś kiedyś bardzo mało:
Trochę trawy pod stopami
Garść owoców świeżych w dłoniach
I nad głową ptaków cień

Ziemia się zaczęła palić
Stratowali twoją trawę
Z rąk owoce ci wyrwali
Roztrzaskali je o ścianę

Wyszarpnęli ptaki z nieba
Przestrzelili błękit gradem
Puste ręce – połamali
Byś nie mogła ich napełnić

Ale wszystko możesz mieć
Jeśli sobie wszystko zmyślisz:
Swoje słońce, swoją ziemię
Samą siebie w drganiu liści

Pod łopotem skrzydeł ptasich
Co ożyją – jeśli chcesz
Jeśli sobie – siebie dasz
Stworzysz siebie z własnych myśli
Jeśli się nie będziesz bać
Że ci znowu wszystko zniszczą:
Oczy zgaszą – ręce złamią
I rozbiją cię o ścianę

Nie masz siły – to ją wymyśl
Nie masz ciszy – to ją wymyśl
Nie masz słów – to słowa wymyśl
Z ciała strzępów, z kropel krwi
Musisz sobie wszystko zmyślić
Nikt ci przecież nie da nic

Wiersze Renaty Rudzkiej-Zwoźniakowej, zmarłej przed dziesięciu laty katowickiej pisarki, pochodzą z Jej „notatnika poetyckiego" i nigdy dotychczas nie były publikowane. W formie książkowej ukażą się jeszcze w tym roku.

60 lat na scenie

Wielki jubileusz

BOGDANA PAPROCKIEGO



Śpiewak natchniony

TADEUSZ KIJONKA

Podobnego przypadku nie znają kilkusetletnie kroniki opery, by śpiewak – do tego jeszcze tenor! – występował nieprzerwanie przez 60 lat na scenie... Mało występował – nadal występuje, wciąż artystycznie sprawny, panujący w pełni nad głosem. Liczący 87 lat Bogdan Paprocki podważył zarówno prawa biologii i bezwzględnych reguł sztuki wokalnej, zależnych przecież także od bariery wieku. Od historycznego debiutu 23 listopada 1946 roku w premierze „Traviaty" w Operze Śląskiej jest przez 60 sezonów artystą obecnym na operowych scenach i na estradach koncertowych. Lecz sceniczny debiut na scenie operowej – i to od razu w pierwszoplanowej partii – nie ogarnia całej jego biografii artystycznej, a gdyby nie wojna!... To już jednak odrębne pytanie: ile lat śpiewa Bogdan Paprocki, od pierwszych występów – śpiewak natchniony.

Data, która zyska wnet znaczenie wydarzenia historycznego w dziejach polskiej opery, jako objawienie głosu niezwykłej piękności oraz wyjątkowych możliwości interpretacyjnych i wykonawczych młodego śpiewaka. Uczestnicy i świadkowie premiery „Traviaty" na bytomskiej scenie w ową sobotę, 23 listopada 1946 roku na pewno nie przeczuwali wagi wydarzenia. No, bo co komu mówiło nazwisko młodego śpiewaka – a miał kreować popisową rolę Alfreda Germonta, partię przewidzianą dla tenora lirycznego, którym niewątpliwie był – i właśnie walory głosu nieznanego bliżej debiutanta zostały z miejsca zauważone. Zawsze wymagający i nieskłonny do pochwał na wyrost krytyk M. Józef Michałowski, napisał wkrótce po premierze, oceniając występ debiutanta: *Głos jego niezbyt silny, ale czysty i przyjemny w brzmieniu, o lekkim zabarwieniu matowym; dykcja dobra, intonacja i rytmika nie nasuwająca zastrzeżeń, widoczna muzykalność...*

Kto jednak orientował się, że młody śpiewak został zaangażowany do Opery Śląskiej dopiero z dniem 1 listopada, na trzy tygodnie przed premierą „Traviaty"... Sam fakt przyjęcia do zespołu solistów – patrząc z perspektywy lat i legendy artystycznej Bogdana Paprockiego – właśnie w dniu Wszystkich Świętych, w przededniu zaduszek i do tego jeszcze w piątek, też zasługuje na zaznaczenie, skoro artysta nigdy nie stronił od ciętych replik, sarkazmu, ale i autoironii. Przecież oczekiwany angaż otrzymał akurat z datą Święta Zmarłych? Po 60 latach wspaniałej kariery fakt ten ma jednak wielce przewrotną wymowę. Tak to brzmi: zaangażowany do opery w dniu Święta Zmarłych, do tego jeszcze w piątek!

Pamiętny debiut

Jak wiele znaczy w życiu szczęśliwy przypadek świadczą okoliczności w jakich Bogdan Paprocki znalazł się w Operze Śląskiej – pierwszej scenie operowej utworzonej w powojennej Polsce, a działają wówczas w kraju zaledwie dwie opery, ta z siedzibą od roku w Bytomiu i poznańska, gdzie osiedli w większości artyści znani już przed wojną. Bogdan Paprocki od sierpnia 1944 roku, po ochotniczym wstąpieniu do wojska trafił do Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego przy Domu Żołnierza w Lublinie. Przez dwa lata uczestniczyć będzie w działalności koncertowej zespołu, który dociera do jednostek w rejonach frontu, do żołnierskich szpitali, lecz daje także występy dla ludności w wyswobodzonych miastach. W tym czasie nierzadko trzeba przerywać koncerty, bo front w pobliżu, więc zjawiają się niemieckie samoloty dokonujące nalotów i ostrzału ledwo co zmontowanych estrad.

Po zakończeniu wojny Reprezentacyjny Zespół Wojska Polskiego często gości w miastach na Ziemiach Odzyskanych. Wiosną 1946 roku występuje w Bytomiu w gmachu Opery Śląskiej, którą kieruje sławny przed laty polski śpiewak, w szczytowym okresie kariery czołowy tenor Euro-

py, później ceniony pedagog, odkrywca wielu wokalnych talentów Stefan Belina-Skupiewski Paprocki dotarł do niego jeszcze w okupacyjnej Warszawie, lecz splot wydarzeń spowodował, że nie mógł skorzystać z życzliwej propozycji i zostać jego uczniem, choć po przesłuchaniu zaoferował mu stale, bezpłatne lekcje, bo tak wysoko ocenił głos młodego śpiewaka. Teraz jego niedoszły uczeń w oficerskim mundurze odkrył, kto kieruje Operą Śląską. I co równie ważne: to właśnie na Śląsku, w Chorzowie-Batorym jesienią 1945 roku osiadła rodzina, gdy ojciec Stanisław został dyrektorem miejscowej szkoły (nr 30).

Lecz tego dnia mogło nie zdarzyć się to, co miało na szczęście miejsce podczas próby wojskowego zespołu na bytomskiej scenie przed koncertem. Ktoś spośród obecnych na widowni, zafascynowany głosem solisty udał się spiesznie do Jerzego Sillicha. Znakomity dyrygent, kierownik muzyczny teatru i organizator orkiestry Opery Śląskiej (w młodości asystent Artura Toscaniniego), natychmiast zainteresował się tenorem w mundurze, a po wysłuchaniu słynnej pieśni „Wołam cię" Curtisa postanowił: – Jedziemy do Katowic, do dyrektora Beliny-Skupiewskiego...

Dyrektor zajmował słynne mieszkanie przy ulicy Mielęckiego 10, gdzie wcześniej kwaterował twórca Opery Śląskiej, Adam Didur z grupą przybyłych z nim na Śląsk artystów. Czy Belina-Skupiewski rozpoznał niedoszłego ucznia, tego Bogdan Paprocki wtedy nie dochodził. Czasu nie było wiele. Skupiewski zasiadł do fortepianu i po wysłuchaniu 3 arii nie tylko postanowił Paprockiego zaangażować, ale zaproponował mu od razu partię Alfreda. Jednak „wyprowadzenie" żołnierza nie okazało się łatwe; nie pomogło nawet wstawiennictwo generała Aleksandra Zawadzkiego. wówczas wojewody śląsko-dąbrowskiego, który pamiętał Paprockiego jeszcze z Lublina i bywało, że prosił go po koncercie o przejmującą „Piosenkę o mojej Warszawie" Harrisa. Musiało upłynąć jeszcze kilka miesięcy nim Paprocki wyrwał się z wojska by zameldować się w Bytomiu.

A w zaawansowanych próbach była „Traviata" z urodziwą Barbarą Kostrzewską w roli tytułowej. Ta znakomita śpiewaczka, obdarzona wspaniałym głosem o rozległej skali, dysponująca przy tym błyskotliwą koloraturą (przed wojną solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, w roku 1939 miała otwarty kontrakt do sławnej Metropolitan Opera, by dublować wielką Lily Pons), znalazła się teraz w zespole bytomskim zaangażowana od nowego sezonu. Rolę Germonta – ojca kreował uznany już w tym czasie za objawienie polskiej wokalistyki Andrzej Hiolski, po wielkich rolach Janusza w „Halce" i barona Scarpii w „Tosce", wkrótce z tytułem I barytona na scenach polskich. I obok nich – nieznany nikomu młody tenor w partii Alfreda.

Możemy sobie wyobrazić co przeżywał, skoro na przygotowanie tej wielkiej partii miał – no ile miał dni? A to przecież także trudna rola, wymagająca talentu aktorskiego i obycia ze sceną. Sergiusz Nadgryzowski spędzał z nim niezliczone godziny przy fortepianie, nie szczędziła celnych uwag opiekuńcza „Mateczka", czyli profesor Helena Zalewska, prześwietna korepetytorka; „ustawiał" rolę Alfreda reżyser spektaklu Adam Dobosz, czołowy polski tenor liryczny lat międzywojennych, którego kariera w warszawskim Teatrze Wielkim roiła się od świetnych kreacji. No i umacniał w przetrwaniu krytycznych chwil szef orkiestry Jerzy Sillich. Po latach rozbawiony Bogdan Paprocki wspomina także próby tete a tete w gabinecie dyrektora Skupiewskiego, który partnerował mu jako Violetta w scenach miłosnych, by przełamać widoczne onieśmielenie.

I tak nastała sobota, 23 listopada. Spektakl rozpoczynał się o godzinie 19.00. Dzień był rześki, lecz wieczór zapadał szybko. Bogdan Paprocki, który zakotwiczył się na razie w mieszkaniu rodziców w Chorzowie-Batorym, dotarł tramwajem do Bytomia ze znaczną rezerwą czasu. Z miejsca udał się do garderoby, by pierwszy raz włożyć teatralny kostium, poddać się charakteryzacji i przeżyć największą w życiu tremę. Tak wielką, że podczas przerwy zapomniał przebrać się do II aktu, który rozgrywa się w podparyskiej willi. Sukces okazał się jednak nadzwyczajny – a debiut – dniem narodzin jednego z największych polskich artystów operowych naszych czasów.



Historyczna data w dziejach polskiej opery – dzień 23 listopada 1946 roku i debiut Bogdana Paprockiego na bytomskiej scenie w premierze „Traviaty" w roli Alfreda, z prześwietną Barbarą Kostrzewską kreującą Violettę Valery (na zdjęciu).

Z pokolenia Baczyńskiego

Generacji, do której Bogdan Paprocki należy, miał być pisany inny los – pierwszej po 123 latach niewoli rozpoczynającej życie w Polsce niepodległej. Ileż nadziei i zapowiedzi – rocznik po roczniku! A zarazem jak wiele duchowych cech wspólnych – i to jednoczące poczucie historycznej misji osadzonej na głębokim patriotyzmie, wartości wówczas podstawowej. To zawsze będzie charakteryzowało Bogdana Paprockiego – przez wszystkie lata kariery, a także całkowity brak wyrachowania i egoizmu. Szczególną rolę odegrał w jego biografii rodzinny dom i jego klimat, który tak sugestywnie i z talentem opisał w książce poświęconej starszemu bratu Janusz Paprocki, wieloletni polonista w chorzowskim „Słowaku", szkole świetnej i pełnej zasług.

Bogdan Paprocki urodził się 23 września 1919 roku w Toruniu, lecz nie to piękne, historyczne miasto, najsilniej zaznaczyło się w jego biografii. Ojciec Stanisław, z zawodu nauczyciel, który odebrał gruntowną edukację w szkołach zaboru pruskiego i ukończył na Pomorzu w pierwszych latach niepodległości Wyższy Kurs Nauczycielski, mógł przy swoich szerokich zainteresowaniach i horyzontach myślowych nastawić się na karierę zawodową większego formatu. To jednak nie nęciło go nigdy – tak przed wojną, ale i po roku 1945, gdy znów zdecydował się na prowadzenie szkoły. Charakteryzowała go przy tym niezależność sądów i przekonań, nawet rodowa „buta szlachecka" – używając określenia syna Janusza, co przejawiało się także w niechęci do życiowego konformizmu. Zbyt zdecydowane wypowiedzi polityczne doprowadziły go jednak do karnego przeniesienia z Chojnic do Rejowca na Lubelszczyźnie. Poza paroletnią pracą nauczyciela w gimnazjum w Chełmie Stanisław Paprocki pełnił zawsze funkcję dyrektora szkoły. Na pierwszym miejscu stawiał wykształcenie – i wszystkie swoje dzieci – a z dziewięciorga żyło siedmioro – kierował do dobrych gimnazjów, bądź na studia, choć niezbyt wysoka pensja nauczycielska zmuszała do ograniczeń.



Poznajecie?... Tak, to przebojowy, środkowy napastnik Bogdan Paprocki w piłkarskiej drużynie Opery Śląsiej. To wtedy była „paka"!



Zabawna scena w garderobie – Bogdan Paprocki i słynący z ekscentrycznych upodobań, znakomity reżyser Bolesław Fotygo-Folański.

Są to fakty ważne w biografii wielkiego śpiewaka – atmosfera domu w której wyrastał, silne poczucie więzi rodzinnych i przywiązanie do spotkań w gronie najbliższym. Matka Jadwiga z domu Skowronek, była kobietą opiekuńczą, zapobiegliwą i rozśpiewaną (Bogdan Paprocki nieraz potem zwróci żartobliwą uwagę na fakt, że głos ma jakby z natury, przekazany z rodu Skowronków). W domu Paprockich śpiewało się często i z upodobaniem. Ojciec w takich chwilach brał do rąk skrzypce a grał pięknie. Wiele o atmosferze domu mówi też gabinet zacnego rodziciela *zwany przez domowników* – jak pisze Janusz Paprocki – *czerwonym pokojem (...). Mahoniowe meble, biurko, oszklona biblioteka, stojąca na rzeźbionej półce wielka oprawiona w skórę encyklopedia, czerwony dywan, na bibliotece popiersie księcia Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki, między popiersiami piękna Pogoń Litewska i Korona, a poniżej skrzyżowane dwie karabele.*

Nie były to jednak przedmioty jedynie o znaczeniu dekoracyjnym czy symbolicznym. Do jakiego stopnia dom Paprockich przeniknięty był patriotyzmem potwierdziły lata okupacji oraz czynny udział ojca Stanisława i dwóch starszych synów, Bogdana i Mariana, w konspiracji. Lecz na razie nic nie zapowiada czasów grozy, a przyszłość przedstawia się wcale pomyślnie. Od dawna było przy tym wiadomo, że rozśpiewany Bogdan, który zachwyca wszystkich niepospolitym głosem, zamierza zostać śpiewakiem. Nie przypadkiem dyrektor gimnazjum im. Staszica w Lublinie, Tadeusz Montewski, wręczając 18-letniemu maturzyście świadectwo dojrzałości, wyrzekł zdanie raczej nietypowe dla tej chwili: *Wręczam ci świadectwo dojrzałości i życzę pięknej kariery śpiewaczej.*

Bogdan Paprocki miał już wówczas wytyczony cel: szkolić głos, by zostać w przyszłości śpiewakiem. Jego kariera artystyczna potoczyłaby się na pewno inaczej i rozpoczęła wcześniej, gdyby nie wojna. Na razie powołany po wakacjach do służby wojskowej trafia do Podchorążówki Rezerwy Piechoty w Zamościu. Z tego czasu zachowało się wykonane wczesną wiosną 1939 roku zdjęcie szczupłego szeregowca w mundurze z szeroko rozwartymi w śpiewie ustami. W koszarach nie bez powodu nazywano Paprockiego Kiepurą.

Przez twardą szkołę życia

W maju 1939 roku po ukończeniu podchorążówki trafia do 9 Pułku Piechoty w Chełmie Lubelskim i uczestniczy w obozie manewrowym w Pańskiej Dolinie pod Zamościem. Po wybuchu wojny jego pułk wyrusza na front a Bogdan Paprocki z kadrą podchorążych pełni służbę przy zabezpieczaniu przeprawy Wojska Polskiego przez Bug w Dorohusku. Po zakończonych działaniach i rozwiązaniu jednostki nie uczestniczy już w dalszych operacjach wojskowych i przegrupowaniu na wschód, co mogło się przecież zdarzyć a wtedy wojenny szlak miałby swój tragiczny finał w Katyniu. Za każdym razem splot okoliczności także i później uchroni go przed śmiercią. Podobnie ojca, który kilkakrotnie cudem ocalał w sytuacjach najwyższego zagrożenia. Przyjdzie mu jednak być świadkiem aresztowania brata Mariana w Lublinie na Krakowskim Przedmieściu i doświadczyć w tej sytuacji całkowitej bezsilności. Zobaczy potem brata w trumnie, choć mogło to dla niego i grabarzy zakończyć się tragicznie. Będzie też asystował przy ekshumacji zwłok wkrótce po wojnie. Jego działalność w konspiracji, pomimo licznych zagrożeń, pozwala mu zawsze wyjść cało z opresji. Aby uniknąć wywózki na przymusowe roboty, podejmuje najpierw, jako robotnik, pracę w Rejowcu, gdzie mieszka u rodziców. Wkrótce musi jednak zmienić miejsce pobytu ostrzeżony w porę, że Niemcy wpadli na trop tajnej organizacji. Jest rok 1942, Bogdan Paprocki osiada w Minkowicach, gdzie zatrudnia się w miejscowym tartaku. Lecz nawet w takich okolicznościach nie opuszcza go myśl, by szkolić głos.

Z początkiem 1943 roku osiada wreszcie w Lublinie, gdzie zatrudnia się w firmie drzewnej. Znów kręgi konspiracji, w tym kontakty z gronem młodych poetów – są pośród nich Ana Kamieńska i Jerzy Pleśniarowicz – i artystów okupacyjnego Lublina. Jest wreszcie okazja na w miarę systematyczne kształcenie głosu. Trafia zrazu do Mariana Sobieskiego, w przyszłości znakomitego etnomuzykologa, następnie do Eugeniusza Koppa. Dociera też do Ignacego Dygasa, jednego z największych polskich tenorów pierwszej połowy wieku i do Stefana Beliny-Skupiewskiego, przyszłego dyrektora Opery Śląskiej. W tym czasie przebywa w Warszawie, dokąd przeniósł się po aresztowa-

niu brata. Z końcem lipca zjawia się znów w Lublinie, by dać kilka koncertów, lecz do ogarniętej wybuchem powstania Warszawy już nie zdoła powrócić – i tak uniknie losu tysięcy poległych z pokolenia Baczyńskiego oraz widoku tragedii ginącej stolicy.

Oswobodzenie Lublina wiąże się z napływem do miasta wielu twórców i artystów, w większości wojennych rozbitków. Dociera tu także Ignacy Dygas, śpiewak o nieskazitelnej technice i te dorywcze lekcje wiele znaczą w rozwoju sztuki wokalnej Paprockiego. Jest to również czas gdy w Lublinie powstają pierwsze instytucje polskie – w tym rozgłośnia radia. To właśnie tam w prowizorycznym studio Paprocki stanął po raz pierwszy przed mikrofonem, aby zaśpiewać kilka utworów Moniuszki.

W kalendarzu Paprockiego coraz częściej pojawiają się publiczne występy, jednak wciąż nie ma możliwości by skoncentrować się na systematycznym kształceniu głosu danego przez naturę i są to nadal jedynie dorywcze lekcje. To okazało się dopiero możliwe od momentu zaangażowania do Opery Śląskiej i premiery „Traviaty".

Gdy opera była domem

Są to lata wyjątkowe w dziejach tej młodej sceny, która wkrótce dysponuje kolekcją wyjątkowo pięknych głosów, w większości tu odkrytych i doprowadzonych do mistrzowskiej klasy. W niedługim czasie Opera Śląska zyska nawet tytuł pierwszej sceny operowej w Polsce a wyprawy do Krakowa, Warszawy i Łodzi, a przede wszystkim miesięczne występy w sierpniu 1948 roku we Wrocławiu podczas wielkiej Wystawy Ziem Odzyskanych i Światowego Kongresu Intelektualistów, umacniają tę pozycję. Przypomnijmy, że Opera Śląska zaprezentowała tam wówczas 34 spektakle 7 pozycji, w tym „Aidę" w Hali Ludowej. Gdyby zaś wyliczyć nazwiska czołowych solistów opery i baletu bytomskiego zespołu tych lat, można by nie dać wiary, że to rzeczywistość. Wymieńmy chociażby tenorów – a byli w tym gronie tej miary śpiewacy jak m.in. Franciszek Arno, Wacław Domieniecki, Lesław Finze i Bogdan Paprocki. Czy wiele scen europejskich dysponowało wówczas grupą tak wspaniałych i to młodych tenorów?...

Miesiąc po „Traviacie" na scenę wchodzi „Cyganeria" w prześwietnej obsadzie – i tu Bogdan Paprocki zmierzy się wkrótce z jedną z popisowych odtąd ról – partią Rudolfa. Wielka kreacja, doskonalona ze spektaklu na spektakl. Lecz najważniejsze przed nim – partia Hrabiego Almavivy w „Cyruliku sewilskim" Rossiniego. I właśnie to zadanie okazało się decydującym doświadczeniem artystycznym w całej karierze – najważniejszym dla rozwoju sztuki wokalnej, choć długo zmagał się z problemami technicznymi, by osiągnąć założone szczytowe rezultaty. Utwierdzał go w tych wysiłkach zawsze oddany Jerzy Sillich, który powtarzał – po „Cyruliku sewilskim" każda partia operowa jest technicznie do opanowania. Nawet teraz, po 60 latach Bogdan Paprocki to potwierdza. Ilekroć bowiem napotykał na większe trudności – wracał do Almavivy i brawurowych popisów wokalnych tej postaci.

Pierwszy rok w Operze Śląskiej wieńczy Bogdan Paprocki rolą Fausta. Sukces spektaklu absolutny. A recenzje? Zacytujmy przywołanego już M. Józefa Michałowskiego, który napisał: *...Niedawny debiutant B. Paprocki, dzięki dużej muzykalności, pewności intonacyjnej i piękności swojego głosu, wysunął się obecnie na czoło tutejszego zespołu operowego. Szczery liryzm, ciepło jego głosu i piękna linia interpretacyjna, przy coraz lepszej grze scenicznej, uczyniły postać Fausta w wykonaniu Paprockiego żywą i interesującą.* Ten Faust doczeka się 168 przedstawień a spektakle z Paprockim w obsadzie wieńczy zawsze owacja.

Śpiewa dużo, co sezon w poszerzonym repertuarze o nowe pozycje. Opera Śląska, która występuje regularnie w szerokim objeździe, daje w tych latach rekordową ilość spektakli. Dla przykładu: w roku 1948 – 282, rok później – 285, w roku kolejnym – 289... i tak rok po roku długo po-

Z kolekcji kreacji na bytomskiej scenie



Stefan w „Strasznym dworze"



Rudolf w „Cyganerii"



„Faust" – partia tytułowa



Cavaradossi w „Tosce"



Tytułowy „Don Carlos"



Jontek w „Halce"



Don José w „Carmen"



Riccardo w „Balu maskowym"

wyżej 270 przedstawień, z tego blisko połowa na gościnnych scenach. Będą to miasta duże i sceny prestiżowe, ale i miejscowości peryferyjne objęte objazdem zgodnie z ówczesnym nakazem służby kulturalnej. Spektakle Opery Śląskiej cieszą się wówczas tak wielkim powodzeniem, że do Bytomia wyprawiają się raz po raz „pociągi operowe", a bilety są dostępne w sprzedaży reglamentowanej, przy preferencji dla przodujących zakładów pracy oraz w nagrodę za wyniki produkcyjne.

Sława Bogdana Paprockiego utwierdzała się z każdym rokiem, lecz z jakiś powodów blokowano jego wyjazdy na międzynarodowe konkursy wokalne, choć nie są to jeszcze lata bezwzględnej „żelaznej kurtyny". W roku 1947 zakwalifikowany przez ministerialną komisję na wyjazd do Genewy – nie bez udziału niechętnej mu dyrektor departamentu Zofii Lissy – ostatecznie w szranki konkursowe nie stanie, choć krytyk muzyczny Jerzy Lefeld napisze w „Tygodniku Warszawskim", że na *Najbardziej zaszczytną ocenę zasłużył bezwzględnie Bogdan Paprocki*. W roku następnym podobnie. A jakie miał szanse dowodzi wypowiedź obecnej w jury wielkiej polskiej śpiewaczki Ewy Bandrowskiej-Turskiej, która stwierdziła: *Może dobrze się stało, że Paprocki na owe konkursy „nie dojechał", bo z takim głosem i talentem mógłby rozpocząć wielką karierę na Zachodzie, skuszony ofertami impresa-*



Kto tu jest kim?... Dowcip, często cięty, był zawsze mocną stroną wielkiego artysty. To zdjęcie z ostatnich lat z Wigrami w tle, z nieodłączną towarzyszką, ukochaną Bronią? (nie mylić z bronią!)

riów. Mógłby... lecz czy dałby się nakłonić? Przecież później: w szczytowych latach kariery występował wielokrotnie na wielkich scenach operowych Zachodu, wystarczyło ulec pokusie, a ofert nie brakowało. Lecz dla kogoś takiego jak on, przynależnego do zdziesiątkowanego pokolenia Baczyńskiego, artysty który miał zawsze poczucie misji w służbie kultury narodowej i nadrzędnych powinności wobec polskiej publiczności, nie była to kwestią wyboru, lecz niezłomnych zasad, których nigdy nie poddawał rewizji.

Trzeba tym bardziej podkreślić zasługi Opery Śląskiej w jego rozwoju i tak szybkim wykreowaniu młodego śpiewaka do rangi pierwszego tenora polskich scen operowych. To tu narodził się i okrzepł jako śpiewak z mistrzowskim przygotowaniem wokalnym, bo właśnie w tym teatrze odbył gruntowne studia wokalne i sceniczne, podobnie jak wielu jego rówieśników z podobną biografią i wojenną wyrwą w życiorysie. Jest jeszcze jedna ważna cecha wyróżniająca Operę Śląską tych lat: rodzinna atmosfera, gdy teatr zastępował dom. Ileż by można przytoczyć na to świadectw i przykładów – choćby regularnie rozgrywane mecze piłkarskiej drużyny w efektownej, teatralnej oprawie. Bogdan Paprocki wyróżniał się wówczas także jako wielce skuteczny, bramkostrzelny, przebojowy napastnik.

Mistrzostwo sztuki

Pierwsze partie – to prawdziwe „brylanty" z repertuaru tenora lirycznego, jakim był z natury Bogdan Paprocki, obdarzony głosem wielkiej szlachetności o niepowtarzalnej barwie i bogactwie odcieni. Z czasem jego liryczny tenor, wraz z rozwojem techniki wokalnej, którą doprowadzi do mistrzostwa i poszerzaniem ról scenicznych o nowe pozycje, stanie się głosem lirico-spinto a repertuar obejmie niemal pełną skalę zadań, w tym także partie zaliczane do bohaterskich – takich jak Jontek w „Halce" , Don José – w „Carmen" , czy tytułowa w „Trubadurze". Gdy po kilkunastu sezonach bytomskich Bogdan Paprocki zwiąże się na stałe z Warszawą i Teatrem Wielkim jest już śpiewakiem, którego możliwości obejmują niemal wszystkie partie napisane na głos tenorowy, od tak błyskotliwych technicznie jak Hrabia Almaviva i Belmont z „Uprowadzenia z Seraju" Mozarta, po ... i tu wyliczać by długo, a także mnożyć tytuły: najlepszy polski Jontek, niezrównany Stefan, wspaniały Cavaradossi, Manrico, Faust, Riccardo, Don Carlos, Don José... Po premierowej „Carmen" w Operze Śląskiej w roku 1956 napisał Jarzy Macierakowski w „Teatrze": *Bogdan Paprocki jest właściwie bardziej tenorem lirycznym niż bohaterskim. Potrafi jednak w każdej partii tak kunsztownie władać swoim zachwycającym głosem, że po usłyszeniu go w partii tenora bohaterskiego Don Josego, z pewnością przez długi czas nie będzie można słuchać innych odtwórców bez rzewnego wspomnienia o niezawodnym Paprockim.*

Potwierdzą to późniejsze kreacje, już na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, gdzie poszerzył repertuar o kolejne pozycje, w tym o partie Cania w „Pajacach" i Turiddu w „Rycerskości wieśniaczej". Szczególne uznanie zyskał po premierze „Andrea Chenier". Napisał Jerzy Waldorf: *Spośród solistów najbardziej zachwycał w tytułowej postaci i roli Bogdan Paprocki... Bardzo trudną partią udowodnił, że jest tenorem u nas obecnie bezkonkurencyjnym.*

Z okazji 40-lecia pracy artystycznej wielkiego tenora Józef Kański stwierdził, wyliczając walory jego sztuki, *iż bez obawy popadnięcia w przesadę można nazwać Bogdana Paprockiego śpiewakiem doskonałym. Niewielu też zapewne można było w pięćdziesiątych, sześćdziesiątych latach znaleźć w całej Europie artystów (...) którzy by mu w tej doskonałości dorównać mogli.*

Tajemnica wielkiej sztuki Bogdana Paprockiego, którego Józef Kański nazwał śpiewakiem „par excellence romantycznym", wynika – jego zdaniem – poza oczywiście walorami pięknego głosu *z mistrzostwa szkoły wokalnej, a także bezbłędnej muzykalności oraz wyjątkowego daru ekspresji, czego brak tak wielu wybitnym i sławnym współczesnym śpiewakom*. Dlatego określano go nieraz jako artystę „śpiewającego sercem", bo też pełen wewnętrznej ekspresji głos Paprockiego i jego pulsujący żar niedościgłych mezzavoce porywał i wzruszał. Co zaś równie ważne – wraz z rozwojem sztuki wokalnej następowało doskonalenie warsztatu aktorskiego, były to więc kreacje wokalno-aktorskie o znamionach wybitności.

Uznając, że Bogdan Paprocki jest pod względem wokalnym wyjątkowym zjawiskiem w historii powojennej opery polskiej, Ewa Łętowska tak scharakteryzowała sztukę wokalną wybitnego tenora: bezbłędna intonacja... świetne, pełne blasku górne dźwięki (C jak dzwon), oddechu ile zechce... Podkreślała też szczególnego rodzaju inteligencję muzyczną Paprockiego *pozwalającą mu bezbłędnie sugerować barwą, frazowaniem, dynamiką, tempami charakter postaci, którą właśnie ucieleśniał. (...) Miał też własne*

środki na wielkie, filharmoniczne dzieła oratoryjne – na Mozarta, Beethovena, na Verdiego i przez lata był jednym z filarów wszelkich koncertów z tej dziedziny w Warszawie a potem Narodowej Filharmonii. Stwierdziła także – *Gdyby nie było zimnej wojny, gdyby granice dla artystów były w pełni otwarte, na pewno nie mielibyśmy Paprockiego w Polsce, bo byłby jednym z pierwszych tenorów Europy, wojażującym i robiącym karierę bardziej uniwersalną.*

Sam Bogdan Paprocki takie opinie – odnosząc je nie tylko do siebie, lecz wielu wybitnych śpiewaków jego generacji uzasadniał tym, że urodziliśmy się za wcześnie, albo też za późno – i jest z tym pogodzony. W tym miejscu warto przytoczyć zdanie, które wyraził z okazji 85. rocznicy urodzin, gdy otrzymał w darze wieniec laurowy, którym uhonorowano przed 100 laty wielkiego poprzednika, legendarnego tenora Aleksandra Myszugę. Wyznał wówczas Paprocki: *Los okazał się dla mnie wyjątkowo szczodry. Dał mi 85 zdrowych i spokojnych lat życia, 58 szczęśliwych sezonów artystycznych i 2774 czarowne wieczory na operowej scenie. To tak, jak gdybym przez ponad 7 lat, wieczór w wieczór bez dnia przerwy stawał w świetle reflektorów. (...) Czas biegnie a ja nadal wierzę w swoją szczęśliwą gwiazdę i ufam, że pozwoli mi jeszcze trochę poczekać na mój całkiem prywatny fin de siécle.*



Ostatnia przejmująca kreacja Bogdana Paprockiego na scenie Opery Śląskiej – Stary Faust... pół wieku po wielkim sukcesie w roli Młodego Fausta w sławnej operze Gounoda.

Z widokiem na Teatr Wielki

Kto tu nie był – nie uwierzy jak skromny prowadzi żywot wielki śpiewak, którego kariera sceniczna trwa nieprzerwanie od 60 lat, za to emerytura wynosi coś około 2000 złotych. Garsoniera na 3 piętrze domu przy ulicy Moliera 8, niemal żadnych wygód – za to z oknem wychodzącym na Teatr Wielki i odbudowany stołeczny Ratusz, gdzie zginął w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego Krzysztof Kamil Baczyński. Co uderza, to niezwykle uporządkowane archiwum wielkiego śpiewaka: ogromne zbiory utrzymane w idealnym, usystematyzowanym porządku, od pierwszej premiery – po lata ostatnie. To wiele mówi o cechach jego charakteru, w tym o wyjątkowym perfekcjonizmie i rzetelności artystycznej. Może i dlatego jego kariera trwa tak długo, bo wszystko podporządkowywał w życiu sztuce i dążeniu do absolutnej doskonałości; zawsze kierując się zasadami honoru i odpowiedzialności.

Co dnia odbywa też spacery z psem, zawsze raźnym krokiem, w rejonie Teatru Wielkiego, gdzie zjawia się potem codziennie, nadal obecny w życiu Opery Narodowej nie tylko z wieloletniego nawyku. Ma swoje role – i co pewien czas (żartuje, że „jako śpiewający emeryt") pojawia się na ogromnej scenie Teatru Wielkiego a to jako Abdallo w „Nabucco", a to jako Książę Yamadori w „Madamie Butterfly", a to znów jako Stary Faust – w roli którą kreował z okazji jubileuszu 50-lecia kariery scenicznej. W roku 2001, liczący 82 lata artysta wyprawił się z Teatrem Wielkim nawet do Chin ze spektaklami „Nabucca" a przecież Abdallo wjeżdża na scenę na koniu. Lecz żaden to wyczyn dla śpiewaka w jego wieku – pod warunkiem, że nazywa się Bogdan Paprocki.

Pod warunkiem!... skoro dzieje opery nie znają przypadku by śpiewak i to jeszcze tenor występował w tym wieku na scenie. Pamiętajmy, że uznany za króla tenorów swoich czasów Enrico Caruso nie dożył 48 lat. Największy tenor przełomu stuleci Jan Reszke śpiewał nie dłużej niż ćwierć wieku. Trzydzieści lat trwała kariera Jana Kiepury (zmarł w 64 roku życia). Uchodząca za rekordowo długą obecność na scenach Beniamina Gigli nie przekroczyła 40 lat. Niewiele ponad 20 lat trwała kariera Mario del Monaco, około 30 – Giuseppe di Stefano. I to na tym tle oceniajmy fenomenalny wręcz przypadek scenicznej długowieczności Bogdana Paprockiego, który pojawia się nadal także na estradach koncertowych w repertuarze pieśniarskim.

Lata bytomskie sam Paprocki zalicza do najważniejszych w rozwoju sztuki wokalnej: Co sezon nowe premierowe wcielenia i wspaniale popisowe partie. Jego repertuar obejmie z czasem 50 pozycji operowych, lecz zrębem pozostanie to, co zdobył i utrwalił na bytomskiej scenie. Choć w roku 1960 osiadł na stałe w stolicy, nadal utrzymuje stałe artystyczne kontakty ze sceną swego wspaniałego debiutu i nadzwyczajnych dokonań w latach wczesnej kariery. Tu świętował swe kolejne jubileusze, a gdy Opera Śląska wejdzie w Złote Gody – w galowym koncercie wykona z tym samym żarem, co w dawnych latach bytomskich, wspaniałą, lecz arcytrudną „Arię z kurantem", na co porwał się ponownie w roku 1996 z okazji 50-lecia pracy scenicznej. Była w tym akcie wielka artystyczna odwaga – wytrzymać próbę własnego głosu z lat szczytowych kariery i to na miarę własnej legendy... A potem te salwy owacji publiczności, która poderwała się z miejsc.

Na bytomskiej scenie Bogdan Paprocki wystąpił także przed rokiem, w dniach obchodów 60. rocznicy Opery Śląskiej, by 22 maja kreować po raz kolejny jakże przejmującą w jego interpretacji partię Starego Fausta. Tego dnia została otwarta ponownie, zniszczona w czasie pożaru Sala Śpiewu jego imienia, urządzona przy bezpośredniej z nim współpracy. A przed nami – wyjątkowe wydarzenie: galowe przedstawienie „Traviaty" z okazji 60 lat występów Bogdana Paprockiego na scenach operowych. Będzie to już 2792 spektakl, z jego udziałem. Przez ten czas wystąpił na 31 scenach krajowych, w repertuarze operowym oraz w 182 miastach na estradach koncertowych. Ma Paprocki w dorobku również występy na 87 scenach operowych całego świata w ponad 40 krajach. Najważniejsza jednak była dla niego polska publiczność, której służył w poczuciu życiowej misji, zawsze w najwyższej formie artystycznej – artysta natchniony z głosem ze „szlachetnego kruszcu", który porywał i wzruszał.

Dwie daty: 23 listopada 1946 roku – i 23 listopada roku 2006 związane z bytomską sceną, przejdą do światowych kronik oper. Nie sądzę, że kiedykolwiek pojawi się jeszcze na świecie tenor, który przebije fenomenalny rekord Bogdana Paprockiego.

Rozmowa z dr ŁUCJĄ GINKO,
dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego
w Katowicach



Foto: Zbigniew Sawicz

Mamy strategię

– Województwo śląskie jest pierwszym w kraju, które opracowało strategię rozwoju kultury. Jakie cele przyświecały przygotowaniu tego dokumentu?

– To bardzo ważne, że Zarząd Województwa Śląskiego zdecydował się na opracowanie tej strategii, bo to podkreśla rolę kultury. Dokument strategiczny zawsze ma ten sam cel – przy pomocy ludzi, którzy znają się na swej dziedzinie, sformułować mocne i słabe jej strony, wskazać, w co warto inwestować, określić, gdzie są obszary zagrożone, w których trzeba wzmocnić interwencję środków publicznych po to, aby osiągnąć cel sformułowany w wizji, czyli wyobrażenie, jaki powinien być region, jeśli zainwestuje się w kulturę. Jak pani pamięta, w 1998 roku odbył się kongres kultury na Górnym Śląsku. Nie znaliśmy wówczas metod strategicznych, ale cel mieliśmy ten sam co teraz, gdy przygotowywaliśmy strategię rozwoju kultury. Chcieliśmy zdefiniować, co jest najistotniejsze dla rozwoju kultury, chcieliśmy, by to było źródło inspiracji dla tych wszystkich, którzy są odpowiedzialni za ten rozwój.

– Jak powstawała strategia rozwoju kultury?

– Byliśmy zobowiązani do zrobienia zamówienia publicznego, przetarg wygrała firma z Poznania, a kierownikiem projektu był dr hab. Rafał Drozdowski, dyrektor ds. naukowych Instytutu Socjologii Wiedzy i Świadomości Społecznej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza. Martwiłam się trochę, że dokument będzie przygotowywać zespół ludzi spoza Śląska, w gruncie rzeczy okazało się to dobre.

– Mieli spojrzenie obiektywne.

– Tak, a przy tym bardzo dobrze znali metody budowania strategii, mieli wiedzę socjologiczną, która jest bardzo ważna przy opracowywaniu takiego dokumentu. Natomiast wkład merytoryczny to dzieło naszych środowisk kulturalnych, które wypowiadały się podczas warsztatów i konsultacji. Strategia powstawała właśnie tam; projekt, jaki został przedstawiony na podstawie diagnozy, a potem analizy strategicznej tam właśnie został poddany mocnej weryfikacji. Pierwsze warsztaty odbyły się w Chorzowie, a potem były konsultacje jeszcze raz w Chorzowie, w Rybniku, Bielsku-Białej i Częstochowie. Kolejnym etapem był miesiąc konsultacji internetowych oraz uwagi wydziałów Urzędu Marszałkowskiego – w tym przede wszystkim Wydziału Kultury. Przy ostatecznym redagowaniu strategii zespół poznański uwzględnił prawie wszystkie proponowane zmiany.

– Jaki obraz kultury wylania się z diagnozy, czyli opisu tego, co mamy.

– Analizie zostały poddane następujące elementy: infrastruktura służąca kulturze, oferta instytucji kultury, zapotrzebowanie na tę ofertę, czyli uczestnictwo w kulturze, organizacje pozarządowe działające w tym obszarze, dostosowanie instytucji kultury dla osób niepełnosprawnych. Ustalenia – najkrócej – są takie: województwo jest bogate w obiekty kultury. Sieć instytucji jest dość gęsta. Jesteśmy prawie zawsze na drugim (po województwie mazowieckim) miejscu w kraju w liczbach bezwzględnych, natomiast jeśli przeliczymy dane na liczbę mieszkańców – sytuujemy się już poniżej tego miejsca. Jeśli chodzi o ofertę, jest podobnie, z wyjątkiem bibliotek i czytelnictwa – gdzie zajmujemy pierwsze miejsce w kraju. Gorzej jest z zabytkami i muzeami. W odwiedzaniu muzeów nie jesteśmy już w tak ścisłej czołówce, a jeśli chodzi o stan zabytków, to jesteśmy poniżej średniej krajowej. Już diagnoza pokazała, że trzeba wzmocnić pewne działania. Dla mnie i dla wszystkich, którzy zawodowo zajmują się kulturą, bardzo cenna była analiza słabych stron funkcjonowania kultury w regionie.

– Zauważyłam, że w zamieszczonym w strategii bilansie strategicznym kultury przeważają słabe strony funkcjonowania kultury, ale za to autorzy dokumentu widzą o wiele więcej szans niż zagrożeń rozwoju kultury.

– Wysiłek powinien iść w stronę zdefiniowania słabych stron, by je poprawić. Skoro myślimy o przyszłości, to nie możemy spocząć na laurach. Mamy duży potencjał tkwiący w utalentowanych ludziach, bogatym dziedzictwie, sieci profesjonalnych instytucji kultury, ale zastanówmy się, jak go możemy lepiej wykorzystać. Zdefiniowanie słabych stron służyć ma właśnie temu. Szanse i zagrożenia to są elementy, które są od nas niezależne, przychodzą z zewnątrz. Jeżeli jest więcej szans to dobrze, bo to oznacza, że warto inwestować; szansę wzmacniają efekty nakładów, a zagrożenia mogą je niwelować.

– Zatem, co jest słabością naszej kultury?

– Najwięcej mówiono o konieczności edukacji do kultury, o słabym powiązaniu edukacji kulturowej z zajęciami pozalekcyjnymi. To powtarzało się na każdych warsztatach. Oferta pod adresem dzieci i młodzieży jest formułowana ze strony instytucji kultury, szkoły mają zajęcia pozalekcyjne, ale nie ma korelacji działań. Nauczyciele zbyt mało korzystają z oferty instytucji kultury. Podawano wiele przyczyn takiego stanu rzeczy.

Edukacja do kultury powinna być zresztą ustawiczna, nie tylko nastawiona na działania wobec dzieci i młodzieży. To, co proponuje kultura, jest często niezrozumiałe dla odbiorców, np. sztuka współczesna na pewno wymaga przygotowania odbiorcy. Doskonalić się powinni także zarządzający kulturą oraz twórcy. Z tych słabości powstały cele strategiczne. Jednym z nich jest wzrost kompetencji potrzebnych do uczestnictwa w kulturze (odbiorcy), efektywnego zarządzania kulturą (animatorzy kultury) i twórczości artystycznej w warunkach gospodarki rynkowej (twórcy).

– Ale właściwie w jaki sposób kultura ma wpływać na rozwój regionu?

– Dzięki kulturze buduje się kapitał społeczny. Jeśli jesteśmy uczestnikami wydarzeń kulturalnych, czy sami coś tworzymy, to budujemy swoją wyobraźnię, rozwijamy się jako osobowości, jesteśmy kreatywni, zwiększa się nasz zasób wiedzy, utożsamianie się ze wspólnotą, świadomość przynależności. To jest pierwszy, fundamentalny obszar oddziaływania kultury. A z kolei, wiadomo, że w każdym przedsięwzięciu 80 proc. sukcesu to człowiek. W strategii zostało więc zapisane, że chcemy być regionem, w którym kultura odzwierciedla i kształtuje podstawowe cnoty obywatelskie, uczciwość, odpowiedzialność, pracowitość, otwartość, wpływając pozytywnie na jakość kapitału społecznego. Jesteśmy regionem otwartym - to zachęta dla inwestorów, dla tych, którzy chcą tu przyjechać, zamieszkać. Jesteśmy regionem wielokulturowym. To też jest atut. W słabych stronach zapisano jednak, że zbyt słabo go wykorzystujemy. Jesteśmy regionem, gdzie jest duży potencjał środowisk twórczych, ale twórcy mają zbyt mało warunków dla indywidualnego rozwoju. Stąd zrodził się kolejny cel strategiczny – tworzenie lepszych warunków dla rozwoju środowisk twórczych i wykorzystywania ich kreatywności.

– To przecież rola mecenatu.

– No właśnie, a my mówimy o środkach publicznych, więc ważne jest ich dobre wykorzystanie. Jesteśmy województwem, w którym jest bardzo dużo średnich i małych przedsiębiorstw i wielu utalentowanych projektantów. Chcemy być więc regionem, w którym artyści we współpracy z przemysłem mogą zwiększyć konkurencyjność naszych produktów. Mamy jako jedyne województwo instytucję, której głównym celem jest połączenie pomysłów artystów z producentami, mówię tu o Śląskim Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie. Takie kraje jak kraje skandynawskie, czy Włochy, są znane z wzornictwa, urody przedmiotów codziennego użytku. Krzesło może być nie tylko wygodne, ale i piękne, towar zachęcać niezwykłą formą. Wpisaliśmy także w wizję, że jesteśmy regionem, w którym wykorzysta się potencjał twórczy środowiska artystycznego do jakościowej poprawy przestrzeni publicznej, w tym instytucji użyteczności publicznej. To takie marzenie – ale wizja jest właśnie zapisem naszych dążeń i pragnień – aby sztuka była dookoła nas, a nie tylko w wybranych przestrzeniach.

– A wykorzystanie dziedzictwa kulturowego dla potrzeb turystyki?

– Nasz region przechodzi restrukturyzację – to zostało wpisane jako szansa. Szukamy bowiem nowych obszarów dla zatrudnienia, szukamy nowego wizerunku. Dziedzictwo kulturowe to 70 proc. turystyki, a ta bardzo mocno przekłada się na efekt gospodarczy. Dziś buduje się często wizerunek właśnie na dziedzictwie kulturowym, przykłady to chociażby Kraków czy Wrocław, ale trzeba w to zainwestować. Nikt nie ma takiego dziedzictwa postindustrialnego jak Śląsk, a teraz jest to modne. Mało kto wie, że jeśli chodzi o drewniane budownictwo sakralne, to jesteśmy w czołówce województw w kraju. Samorząd wojewódzki tworzy więc szlaki turystyczne; funkcjonuje już szlak budownictwa drewnianego, tworzony jest szlak zabytków przemysłowych, planujemy wytyczenie szlaku rezydencji pałacowych.

– Dotarcie do tych zabytków jest trudne. Trzeba włożyć wiele wysiłku, poszperać, poczytać i jeszcze mieć dobrą mapę, by trafić. To dobre dla pasjonatów, ale nie dla przeciętnego klienta poszukującego atrakcyjnej oferty turystycznej. Trzeba by zacząć od podstaw, od tablic informacyjnych na drogach, kierujących do danego obiektu.

– Jasne. I to też znajduje się w słabych stronach i w kierunkach działań, jakie należy podjąć.

– Choć mieszkam na Śląsku od urodzenia, czuję się bardzo często jak odkrywca nieznanych lądów. Trafiam na coś wyjątkowego zupełnie przypadkiem. Pamiętam, jak przed kilku laty odkryłam tak kirkut w Cieszowej. To był przypadek, bo gdybym wcześniej gdzieś o nim nie czytała, przeszłabym obojętnie wobec kępy drzew wśród pól, nie wiedząc, co kryje.

– Wyobraźmy sobie idealną sytuację. Ktoś w tej gminie wie, że ma taki atut, więc wystawia tablicę informacyjną, dzięki której każdy, kto przejeżdża przez tę okolicę, będzie mógł poznać to niezwykle miejsce, przy okazji pójdzie na kawę, zje obiad, zostawi trochę grosza, zachęci potem do odwiedzin innych. To właśnie ma tak działać, ale ten ktoś odpowiedzialny za rozwój kultury na terenie swego „władztwa" musi wiedzieć, że to są skarby i umieć je sprzedać. Strategia ma być inspiracją, ma uświadomić, że dziedzictwo, które na pozór może się wydawać nieefektowne, jeśli za nim stoi wspaniała historia, legenda, może być atutem dla miejscowości.

– Słabą stroną funkcjonowania naszej kultury jest też dostęp do niej.

– Przede wszystkim nierównomierny dostęp. Najgorzej pod tym względem jest w subregionie północnym, najlepiej w aglomeracji górnośląskiej. Stąd cel strategiczny – zwiększenie uczestnictwa w kulturze. I znowu w kierunkach działań pojawiły się takie pomysły, które są już dzisiaj możliwe. Pojawiło się hasło: mobilna kultura. Chodzi o to, by wykorzystując nowe nośniki przekazu, dotrzeć z kulturą do odbiorcy. Zwłaszcza, że tak jest taniej. W Skandynawii, we Francji są biblioteki objazdowe. My myślimy o kinie objazdowym. Otwarto Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach i bardzo liczę na to, że dzięki niemu film trafi w bardzo wiele miejsc i do bardzo wielu odbiorców, nie tylko tam, gdzie są kina. Technika pozwala zdigitalizować filmy i trafić z nimi tam, gdzie jest już baza, a więc na przykład do bibliotek i domów kultury. Jeśli te placówki nie mają odpowiedniego sprzętu, Centrum będzie mogło go wypożyczyć. Mamy Śląskie Centrum Dziedzictwa Kulturowego. Chcemy, by na stronie internetowej tej instytucji działała telewizja interaktywna, która pokazywać będzie filmy o dziedzictwie kulturowym. Będzie można z nich korzystać w szkołach, gdzie coraz więcej jest pracowni internetowych. To są przykłady wyrównywania dostępu do kultury poprzez wykorzystanie nowych możliwości przekazu treści kulturowych. Mam nadzieję, że takich pomysłów będzie więcej. Chcemy nasz konkurs na przedsięwzięcia kulturalne przemodelować pod kątem strategii, będziemy czekali na podobne pomysły.

– Na ile ta strategia jest powiązana z mechanizmem zdobywania środków unijnych?

– Już w poprzednim okresie programowania było tak, że dokumentem, z którym projekt musiał być zgodny, była narodowa strategia rozwoju kultury – z natury rzeczy bardzo ogólna – bo myśmy swojej nie mieli. Dlatego pomyślałam sobie – to najwyższy czas opracować regionalną strategię rozwoju kultury. Zdążyliśmy z jej opracowaniem przed rozpoczęciem okresu programowania na lata 2007-2013. Sejmik województwa śląskiego przyjął tę strategię i teraz ona oraz wojewódzki program opieki nad zabytkami mogą stać się dokumentami, z którymi projekt starający się o unijne dofinansowanie musi być kompatybilny. Jednym z najważniejszych powodów opracowania strategii było to, by wiedzieć, gdzie inwestować, w jakie obszary należy dawać środki publiczne, w tym i te pozyskiwane z Unii Europejskiej. Środki unijne muszą służyć wzrostowi konkurencyjności naszego regionu. Kultura wspierana pieniędzmi unijnymi musi otwierać się na przemiany, pozwalać na tworzenie nowych miejsc pracy, ma być wektorem zmian w gospodarce. Bardzo się cieszę, że nasze województwo jest pierwszym, które ma taką strategię. Naszym śladem chcą pójść województwa dolnośląskie i łódzkie. Warto podkreślić, że jesteśmy też województwem, które w latach 2004-2006 zakontraktowało najwięcej środków na kulturę z pieniędzy unijnych. Mamy już więc furtki uchylone, jest wśród wnioskodawców świadomość, że kultura jest tym obszarem, który warto rozwijać.

– Dziękuję.

Rozmawiała:
DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik spóźnionego przybysza

Inny: między aprobatą a kasacją

Człowiek w teatrze życia codziennego

W połowie października 2006 roku obejrzałem poruszający spektakl *Helmucik*, autorstwa Ingmara Villqista. Trudno socjologowi pozostawić ten dramat bez komentarza. Przede wszystkim gdzieś głęboko wewnątrz czuję jak pozornie odległe światy – świat artystycznej bohemy i świat nauki okazują się w rzeczywistości światami prawie bliźniaczymi, gdy chodzi o kwestie fundamentalne, kwestie dotyczące człowieczeństwa. Różni je jedynie metoda, ale cel i motyw pozostają właściwie tożsame. Muszę przyznać, że wraz z rozwojem akcji sztuki coraz bardziej uświadamiałem sobie, że to, co robimy, nasza praca, jest w rzeczywistości tym samym. Wszak dramatopisarz to człowiek, który wykorzystując język artystyczny, język dramatu opisuje to, co się dzieje wokół niego, jest wnikliwym, pełnym empatii obserwatorem świata, układów międzyludzkich, żądz, pragnień i dążeń kierujących ludźmi w różnych sytuacjach.

Dramatopisarz poprzez emocje wywoływane u widzów stara się na nich wpłynąć, skłonić do zastanowienia nad sobą w odniesieniu do prezentowanych problemów, socjolog zaś stara się uchwycić prawa rządzące światem społecznym, odkryć, co powoduje, że ład społeczny zostaje zachowany, bądź ulega stopniowej zagładzie i poprzez odkrycie tych społecznych mechanizmów zapobiegać ewentualnemu powtórzeniu popełnionych wcześniej błędów.

Dla socjologii jedną z bardziej zasadniczych teorii jest koncepcja autorstwa amerykańskiego socjologa i pisarza pochodzenia kanadyjskiego - Ervinga Goffmana, który patrzy na świat społeczny właśnie z perspektywy dramaturgicznej. Mamy więc scenę i kulisy, aktorów pierwszoplanowych i halabardników, didaskalia i przede wszystkim konkretne role do odegrania. Stąd język teatralnego spektaklu jest dla mnie wyjątkowo czytelny. A z „Helmucika", sportretowanego najpierw słowem przez Ingmara Villqista a później przełożonego na język obrazu operatorskim okiem Adama Sikory, socjolog może wyczytać nader istotne problemy dotykające świat społeczny.

Dramat i doktorskie potyczki

Będąc widzem w teatrze czuję się zawsze trochę jak na publicznej obronie pracy doktorskiej. I tak czułem się i dzisiaj gdy oglądałem dzieło Ingmara Villqista. Artstycznym językiem przedstawił on tezy problemowe swojego dramatu i stopniowo próbował je udowodnić, obronić, potwierdzić. W przypadku pracy doktorskiej istnieje szczegółowe ustawodawstwo określające kiedy może ona być uznana za wartościową dla nauki. W przypadku sztuki teatralnej o wartości dzieła świadczy przede wszystkim jego uniwersalizm, ponadczasowość. Czyli bez względu na to w jakim czasie, o jakiej porze i w jakich okolicznościach, ma nieść ze sobą czytelne dla ludzkości przesłanie. A „Helmucik" takie przesłanie bez wątpienia dziś nam przedstawił.

Problem „Inności", jej obecności w naszym świecie jest przedmiotem nie tylko wnikliwych badań naukowych, ale tak naprawdę ogromna większość dziel literatury jest poświęcona „Innym". Sztuka, którą obejrzeliśmy przypominała mi stopniowe budowanie luster. Inność jest etycznym problemem każdego z nas i całego społeczeństwa, jest zwierciadłem prawdy o nas, o tym, co jest dla nas najważniejsze i do czego jesteśmy zdolni. Spotkanie z Innością jest wyzwaniem dla całego człowieczeństwa. Problem zagłady ludzi Innych-gorszych, „wybrakowanych" ma swoje niestety empiryczne dowody w historii minionego wieku. O tym wiemy wszyscy.

Inny w mniejszym niebie

„Helmucik" przenosi nas do miasteczka totalitarnego. Tytułowy Helmut jest Inny, jest „zawalaty" i „odbiegający od normy". Z góry przeznaczony do kasacji. A przecież miasteczko rodzinne, mniejsze niebo, świat najmniejszy powinien być dla jego mieszkańców azylem, enklawą ładu i porządku, charakteryzującą się gościnnością i otwartością. Tymczasem życie w mieście rządzonym de facto przez Dyrektora Departamentu Zdrowia, sprowadza się do uzyskiwania określonej zgody na dalszą wegetację. Na szczęście nie żyjemy dziś ani w państwie policyjnym, ani w rządzonym przez Dyrektora Departamentu Zdrowia, ale nie da się ukryć, że jesteśmy świadkami wielu społecznych zjawisk, w których możemy odnaleźć powolną dekonstrukcję ładu społecznego, degradację władzy i patologię wartości nadrzędnych, wartości najbardziej humanistycznych. Wzrasta poziom ryzyka życia, maleje poziom zaufania społecznego.

Zapewne znajdzie się niejeden, który zapyta o dzisiejsze przejawy segregacji, totalitaryzmu, kasacji ludzi w jakimś stopniu kalekich. Obserwując świat dzisiejszy wypada wskazać przynajmniej kilka kluczowych problemów. Choć żyjemy w państwie demokratycznym, jesteśmy pełnoprawnym członkiem wspólnoty europejskiej, codziennie niemal spotykamy się z problemem nieprzystosowania wielu członków społeczeństwa do współczesnych warunków. Dzisiejszy wymiar totalitaryzmu związany jest właściwie z rynkiem gospodarczym, z rynkiem pracy, kojarzy się z totalitaryzmem kapitalizmu, powoduje stopniową eliminację ludzi słabszych, niezdolnych do transgresji, do wzięcia swojego losu we własne ręce, pozbawionych cech przedsiębiorczych. Mamy więc do czynienia z ludźmi wykluczonymi społecznie.

Obecna segregacja to nie kasacja ludzkich „odpadów" jak dobitnie nazywa ich jeden ze współczesnych socjologów, ale konsekwentny proces wykluczania społecznego ludzi zbędnych, ludzi luźnych, jak nazywali ich czołowi polscy socjologowie. Dzisiaj to właściwie podręcznikowa underclass. Ludzie ci są sytuowani poza rynkiem pracy i nurtem spraw publicznych, którymi żyje ogół. Do najważniejszych źródeł biedy zalicza się długotrwałe pozostawanie bez pracy,

brak wykształcenia i kwalifikacji zawodowych, zakorzenienie w kulturze ubóstwa, charakteryzujące się wyuczoną bezradnością, biernością życiową i skłonnością do poprzestawania na małym. Kategorie nadreprezentowane wśród najuboższych to młode samotne matki, tak zwany margines społeczny, osoby dotknięte kalectwem i mniejszości etniczne. Ci ludzie koncentrują się w zaniedbanych i ulegających dewastacji dzielnicach wielkich miast. „My wydrążeni ludzie, my chochołowi ludzie, razem się kołyszemy, głowy napełnia nam słoma, nie znaczy nic nasza mowa", gdyby posłużyć się cytatem z Eliota, zdają się powtarzać jak mantrę mieszkańcy gett biedy.



Foto: Eugen Bednarek

Maciel Zabielski, Maria Mielnikow i Tamara Arciuch-Szyc w „Helmucicku" Ingmara Villqista. Prapremierowy pokaz odbył się w połowie października w chorzowskim Teatrze Rozrywki

I tutaj możemy ponownie przywołać Goffmana, gdyż to on właśnie jest autorem koncepcji piętna/stygmatu. Stygmaty to szczególne znaki naznaczające jednostkę. Piętno nie jest tylko efektem działania, wynikającego z cech charakteru, może być również piętno wyglądu zewnętrznego, lub pochodzenia. Napiętnowanym może zostać nie tylko złoczyńca – stygmatyzowane są również jednostki ze względu na cechy ciała (np. ślepota, otyłość), czy przynależność etniczną, czy narodową (np. Rumuni i „Ruskie", dzieci alkoholika, rodzina dziecka z zespołem Downa).

Przekleństwo getta

Bohaterowie „Helmucika", sam Helmucik to właśnie takie osoby naznaczone. Podobnie dzieje się dzisiaj z osobami bezrobotnymi, zamieszkującymi dzielnice biedy. Dochodzi pomału do stygmatyzacji przestrzeni i jej mieszkańców, której końcowym efektem jest gettoizacja. Dzisiaj coraz częściej używa się pojęcia ***gettoizacja*** przestrzeni na określenie zjawiska dzielenia przestrzeni miejskiej na różne enklawy życia społecznego – względnie izolowane społeczne światy. **Gettoizacja** ta jest spowodowana albo różnicami poziomu ekonomicznego mieszkańców danych obszarów (**bogactwo – bieda**), możemy też wziąć pod uwagę kryteria demograficzne (**starość – młodość**), kryteria medyczne (**zdrowie – choroba**). Mogą to być również kryteria zawodowe, religijne, etyczne, estetyczne, polityczne, ekologiczne czy urbanistyczno-architektoniczne.

Jest jeszcze jedno kryterium, bardzo ważne, jeżeli dokonamy oglądu przypadku z perspektywy humanistycznej – to kryterium społecznych emocji, towarzyszących miejskim przestrzeniom. Nie ulega jednak wątpliwości, że w przestrzeni małych ojczyzn, coraz częściej możemy zaobserwować różnego rodzaju podziały. Segregacja dzisiaj nie oznacza tylko i wyłącznie wykluczenia społecznego ludzi kalekich, biednych, niewykształconych. Segregacja wynika z wymogów rynku, które są bezwzględne. Dużo łatwiej znaleźć pracę człowiekowi ładnemu, szczupłemu, wysportowanemu, niż otyłemu, z za długim nosem i wyłupiastymi oczyma.

Dobrze że dziś z „Helmucikiem" ten problem do nas powraca, że ciągle pamiętamy o niebezpieczeństwie pychy i pokusach, jakie niesie ze sobą władza i przewaga nad słabszymi. Hamlet udawał szaleństwo by dowieść prawdy, by obnażyć ludzką nikczemność i przewrotność. Helmut jest szalony, inny psychicznie a przede wszystkim fizycznie a w tej inności, w tępionym przez Departament Zdrowia kalectwie psychicznym i fizycznym ludzi objawia się prawda o ludzkiej małości, o tendencji do pozbywania się „problemów". Jakże wymowna jest treść dzisiajszej sztuki w obliczu dyskusji toczących się wokół eutanazji czy tolerancji dla homoseksualizmu.

Człowiek transplant

Tymczasem kalectwo i ułomność może być tak samo źródłem bogactwa jak „normalność", jeśli jesteśmy w stanie określić co ma być tą normalnością. Nasuwa się tu od razu skojarzenie z „człowiekiem transplantem". Człowiek transplant to bohater powieści Sanjay'a Nigam'a. Pewnej nocy do szpitala w indyjskiej dzielnicy Nowego Jorku trafia niezwykły pacjent – tytułowy człowiek transplant. Jego ciało przyjęło już siedem przeszczepów kluczowych organów i choć z punktu widzenia medycyny jest kaleką, człowiekiem ułomnym, to w perspektywie swojej ojczyzny – Indii – kraju różnorodności kulturowej, staje się wręcz typem człowieka ze wszech miar pożądanego. Uczynił on ze swej ułomności zaletę i jako polityk w Indiach – kraju podziałów religijnych i etnicznych – jest jedynym prawdziwym reprezentantem wszystkich obywateli. Okazuje się bowiem, że dawcami przeszczepów byli przedstawiciele różnych kultur.

Tak więc „Helmucik" jawi mi się dziś jako uniwersalne dzieło napominające do poszanowania różnorodności, inności, do akceptacji niespełniania kanonów i wymogów. Do otwartości i gościnności. Helmut – imię pochodzenia germańskiego złożone z dwóch rzeczowników: *helm* i *mout* oznaczających kolejno „hełm" i „duch, rozum". Bo nienaturalne rozmiary ciała, zauważalna Inność, stygmat, to tylko dany kostium, hełm, przykrywka dla ducha i rozumu, które zawsze powinny w kontaktach międzyludzkich stanowić wartość nadrzędną, wynikającą właśnie z głębokiego humanizmu. A ojczyzna prywatna powinna stać się oazą, w której na takie głęboko humanistyczne kontakty jest miejsce. Gdzie różnorodność staje się trampoliną dla ludzkiego działania. Gdzie Inność jest tylko dodatkową motywacją i celem działania. Gdzie nie ma mowy o kasacji jednostek nieprzystosowanych, ale są one otaczane opieką szczególną.

Aborygeni i Billabong

Australijscy aborygeni skupiają się wokół oczek wodnych usytuowanych w interiorze, które są przez nich nazywane Billabong. Każdy ma swoje Billabong, mniejsze niebo, dokąd powraca zawsze po sens i energią do działania. W Billabong powinno być miejsce dla tych określonych mianem „Normalni" i dla „Innych", bez względu na ich wydajność i zyski, które mogą przynieść potencjalnemu pracodawcy czy państwu, ale ze względu na ich człowieczeństwo.

Tekst powstał we współpracy z Weroniką Ślęzak-Tazbir

Piłsudski bez Piety

17 maja 2006 roku odbyło się sympozjum poświęcone sprowadzeniu i rekonstrukcji Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Katowicach. Przedstawiciele środowisk naukowych, prezesi i członkowie Stowarzyszenia Architektów Polskich, Towarzystwa Urbanistów Polskich oraz Stowarzyszenia Historyków Sztuki spotkali się, aby podsumować i zakończyć działania powołanej 4 października 1988 roku komisji, której celem było odzyskanie odnalezionego w Chorwacji Pomnika. Pomnik, choć niepełny, powrócił do kraju. Całkowita rekonstrukcja dzieła nie powiodła się. Komisja zamykając swą działalność uznała, iż dzieło jest destruktem – świadectwem naszej jakże trudnej historii i właśnie w takim stanie powinno zostać zachowane.

PRZEMYSŁAW LIPECKI

Idea

W niespełna tydzień po śmierci Marszałka, z inicjatywy władz centralnych, 6 czerwca 1935 roku na Zamku Królewskim w Warszawie powołany został do życia Naczelny Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Do Prezydium Komitetu prezydent Ignacy Mościcki powołał osoby zajmujące w ówczesnej Rzeczypospolitej najwyższe stanowiska państwowe, a autorytet Głowy Państwa dawać miał gwarancję właściwego prowadzenia jego prac.

W oparciu o założenia Komitetu Naczelnego 16 sierpnia 1935 roku wojewoda śląski Michał Grażyński powołał Śląski Wojewódzki Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Na czele stanął prezydent Katowic dr Adam Kocur. Postanowiono uczcić pamięć Marszałka wzniesieniem pomnika. Kolejnym krokiem było przygotowanie zbiórki finansowej. Śląski Komitet Wojewódzki przewidywał, że zdoła uzyskać z niej ok. 500 tys. zł.

Podjęciu na Śląsku akcji zbiórkowej przeszkadzała działalność powołanego wcześniej z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Powstańców Śląskich Komitetu Budowy Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego w Katowicach. W ten sposób zanim w Katowicach ukonstytuował się Śląski Wojewódzki Komitet, działał już w pełni zorganizowany Komitet Budowy Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego. Śląski Wojewódzki Komitet, obawiając się o finansowy efekt zbiórki postanowił, w myśl wskazań wojewody Grażyńskiego, skoordynować pracę obu Komitetów.

Akcja trwająca prawie dwa lata przyniosła 411.433.52 tys. zł. Ofiarność społeczeństwa śląskiego wraz z dotacjami Urzędu Wojewódzkiego z nakładem sfinansowała realizację założenia pomnikowego Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego, które według danych z roku 1938 kosztowało 390 tys. zł.

Konkurs

12 stycznia 1936 roku władze województwa śląskiego ogłosiły międzynarodowy konkurs na



Foto: Zbigniew Sawicz

Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego. Wpłynęło 49 prac. Sąd Konkursowy pod przewodnictwem Jana Szczepkowskiego ogłosił wynik, przyznając zgodnie z założeniami trzy nagrody i dokonując sześciu zakupów. Pierwszą nagrodę otrzymali dwaj artyści chorwaccy, rzeźbiarz Antun Augustincić i architekt Drago Galić z Zagrzebia.

Projekt przedstawiał konny wizerunek Marszałka o wysokości 5,5 m umieszczony na 10-metrowym cokole, w mundurze legionowym, bez dystynkcji, w maciejówce. Postać w prawej dłoni trzymała szablę, lewą zaś przytrzymywała lejce kroczącego konia. Cokół był wzniesiony na wysokim podeście, na rzucie kwadratu, na narożach podestu Augustincić zaprojektował cztery postacie: od strony Urzędu Wojewódzkiego dwie figury powstańców a od strony Muzeum Śląskiego symboliczne figury Polski w niewoli i Polski wyzwolonej.

Mimo kontrowersji w polskim środowisku artystycznym krytykującym przyznanie pierwszej nagrody Augustincićowi, Sąd Konkursowy złożył autorowi ofertę wykonania pomnika po przeprowadzeniu modyfikacji. Zmodyfikowany projekt pomnika posiadał z przodu trzy postumenty z czterema figurami powstańców, z tyłu zaś na osi głównej pomnika miała być umieszczona Pieta Śląska. Tak poprawiony, nie bez oporów autora, projekt pomnika przeznaczony został do realizacji.

7 grudnia 1937 roku z autorem projektu zawarto umowę, która przewidywała, że pomnik i rzeźby wchodzące w jego skład zostaną wykonane w ciągu 16 miesięcy. Odsłonięcie przewidywano na wrzesień 1939 roku. Umowa obejmowała wykonanie odlewów z brązu jeźdźca na koniu, figur powstańców i Piety.

Honorarium opiewało na kwotę 350 tys. zł płatnych w pięciu ratach. Granitowe stopnie postumentu i cokół miały być przygotowane na wiosnę 1939 roku w kamieniołomach w Klesowie na Wołyniu. Jak pisze Ewa Chojecka „(...) czerwony koloryt tego kamienia miał przydawać szczególnego wyrazu rzeźbom".

Na wniosek Tadeusza Dobrowolskiego, wojewódzkiego konserwatora zabytków, wojewoda Michał Grażyński wyraził zgodę na rozpoczęcie budowy postumentu i cokołu kamiennego na obecnym placu Sejmu Śląskiego w lecie 1939 roku. Gotowe, już odlane rzeźby znajdujące się w podzagrzebskiej pracowni autora, czekały na transport do Polski. Gotowy był także cokół i okładziny granitowe, tak więc całość czekała tylko na montaż, jednak wybuch II wojny światowej uniemożliwił dokończenie zaplanowanego dzieła.

Powojenne losy pomnika

Podczas wakacyjnych wyjazdów zagranicznych w początkach lat 80., obowiązkowym punktem zwiedzania dla polskich turystów było Muzeum chorwackiego rzeźbiarza Antuna Augustincića, znajdujące się niedaleko Zagrzebia. Przed wejściem do muzeum w patio witał turystów konny posąg mężczyzny z wąsami i szablą w dłoni podobny do Józefa Piłsudskiego. Im więcej pojawiało się w Klanjec polskich wycieczek, tym częściej rozpoznawano w posągu Marszałka. W ten sposób odnaleziono wykonany na zamówienie przedwojennego województwa śląskiego Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego.

Mimo starań władz o pomniku nie zapomniały środowiska naukowe, a zwłaszcza historycy i historycy sztuki, prowadzący prace badawcze nad dziejami kultury artystycznej na Śląsku okresu międzywojennego. Prof. Ewa Chojecka, kierownik Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego, podczas IV Seminarium Sztuki Górnośląskiej, zorganizowanego przez Związek Historyków Sztuki i Oddział Górnośląski Stowarzyszenia Historyków Sztuki w październiku 1987 roku wygłosiła referat pt. *Niedoszły Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego w Katowicach*. Wydarzenie to spowodowało pojawienie się pierwszych głosów proponujących podjęcie starań w celu sprowadzenia do Polski ocalałych elementów pomnika oraz jego rekonstrukcji na pierwotnie przewidzianym miejscu. W marcu 1988 roku uczestnicy V Spotkań Naukowych w Rudach uznali za konieczne powołanie Komitetu, proponując na jego przewodniczącą właśnie prof. Ewę Chojecką. Korzystając ze zbliżającej się 70. rocznicy odzyskania niepodległości, prof. Chojecka zdecydowała się podjąć zadania prowadzenia rozmów z ówczesnymi władzami wojewódzkimi i centralnymi w sprawie pomnika.

Wysyłane pisma przyniosły skutek. Rada Wojewódzka PRON pismem z dnia 14 lipca 1988 roku wyjaśniała, że Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego znajduje się w sferze jej zainteresowań. Stwierdziła również, że Prezydium Rady Wojewódzkiej wypowiedziało się za sprowadzeniem pomnika do Polski.

20 września 1988 roku na zebraniu przedstawicieli środowisk naukowych, w którym uczestniczyli H. Buszko, A. Brożek, E. Chojecka, W. Czech, A. Franta, J.F. Lewandowski i J. Niekrasz podjęto decyzję o powołaniu społecznego komitetu, który zostałby wyłoniony z katowickich oddziałów SARP, SHS i TUP, a którego podstawowym celem byłoby sprowadzenie pomnika do kraju i ustawienie go w miejscu przewidzianym jeszcze przed wojną.

Dla przyspieszenia prac wyłoniono 4 października 1988 roku Grupę Roboczą na czele z prof. Ewą Chojecką, której celem było: zgromadzenie pełnej dokumentacji merytorycznej i formalno-prawnej oraz artystycznej o pomniku, rzetelne poinformowanie społeczeństwa o sprawie, a także przygotowanie niezbędnych dokumentów w celu powołania Społecznego Komitetu Pomnika.

Tymczasem tuż po ukonstytuowaniu się Grupy Roboczej, RW PRON opowiedziała się za usytuowaniem pomnika w trójkącie trzech cesarzy w Mysłowicach. W ten sposób władze, wyrażając zgodę na sprowadzenie pomnika, a proponując na miejsce jego ustawienia trójkąt trzech cesarzy, jak pisał dziennikarz „Polityki" Jan Dziadul „(...) sprowadzały go, aby go schować".

11 października 1988 roku odbyło się kolejne zebranie Grupy Roboczej, na którym prof. Chojecka ostro wystąpiła przeciw propozycji PRON. Uczestnicy zebrania doszli do wniosku, że konieczne będzie odwołanie się do społeczeństwa z prośbą o poparcie idei sprowadzenia pomnika wyłącznie do Katowic. W tym celu H. Buszko, W. Czech i M. Dołhun opracowali tekst deklaracji, w której domagali się dokończenia realizacji pomnika i zwracali się z tym wezwaniem do WRN w Katowicach.

Po rozmowach w Ministerstwie Kultury i Sztuki Grupa Robocza wystosowała list do wojewody Tadeusza Wnuka. Władze wojewódzkie nie zadeklarowały ani pomocy, ani środków finansowych. Zaproponowały natomiast podjęcie wspólnych działań Grupy Roboczej oraz powołanego przez PRON specjalnie do tego celu Komitetu Społecznego. Grupa Robocza odmówiła.

Kolejne miesiące przyniosły przełom polityczny. Rząd Tadeusza Mazowieckiego poprzez Ministra Kultury i Sztuki Izabelę Cywińską podjął aktywne starania o sprowadzenie rzeźb pomnika do Polski.

W grudniu 1989 roku wspólna delegacja Ministerstwa Kultury i Sztuki i województwa katowickiego przebywała w Chorwacji. Obawiano się, że przedstawione przez polski MSZ stronie chorwackiej dokumenty będą niewystarczające. I rzeczywiście. Zaraz po podjęciu negocjacji strona chorwacka wyraziła swe zdziwienie, że delegacja polska domagać się będzie nie tylko zwrotu posągu konnego, ale również odnalezionego w Muzeum w Klanjcu gipsowego odlewu Piety Śląskiej. Chorwaci podjęli próbę podważenia zwłaszcza argumentu wskazującego, że pomnik był już wcześniej zapłacony.

Wątpliwości znikły, gdy zaczęli zgłaszać się świadkowie – byli partyzanci Josipa Broz-Tity gotowi poświadczyć, że Augustincić, który

związany był z Tito, przekazywał na jego ruch duże sumy – niewątpliwie były to pieniądze uzyskane za wykonanie pomnika, gdyż wpłynęły w początkowym okresie wojny.

12 grudnia 1989 roku delegacja polska oficjalnie odwiedziła Galerię Augustincića w Klanjcu, gdzie w patio muzeum wystawiona była główna cześć pomnika tzn. jeździec na koniu. Po dokonaniu oględzin strona polska stwierdziła, że odlew zachowany został w stanie niezadowalającym. W trakcie zwiedzania muzeum delegacja stwierdziła także obecność gipsowych odlewów głów: Piłsudskiego i rumaka oraz Piety Śląskiej.

Dwa pierwsze odlewy zachowane były w stanie dobrym. Natomiast w trakcie oględzin Piety stwierdzono, że 2/3 postaci zostały bezpowrotnie zniszczone wskutek zawilgocenia. Podczas przeglądu muzealnych zabytków nie odnaleziono jednak ani gipsowych, ani brązowych odlewów czterech brakujących figur powstańców. Sporządzono protokół uzgodnień, w wyniku którego strona polska uzyskała od Republikańskiego Urzędu Zabytków w Zagrzebiu oficjalną zgodę zezwalającą na wywóz do Polski zachowanych elementów pomnika, tj. brązowej rzeźby przedstawiającej Marszałka Piłsudskiego na koniu i gipsowego odlewu Piety Śląskiej. Podkreślano w nim, że przekazywane elementy pomnika są tylko częścią dzieła zamówionego i zapłaconego przez stronę polską. Polacy przejmowali na siebie wszelkie koszty związane z transportem i rekonstrukcją pomnika. W tej sytuacji strona polska nie widziała absolutnie żadnej możliwości uznania roszczeń strony chorwackiej z tytułu przechowywania i opieki nad elementami pomnika.

Oddzielny punkt uzgodnień dotyczył wykonania rekonstrukcji 2/3 brakujących części Piety Śląskiej. Rekonstrukcja miała być wykonana w Polsce z zachowaniem oryginalnego materiału. Jednocześnie dla utrzymania stylistycznej autentyczności dzieła prace rekonstrukcyjne nad Pietą miały być konsultowane z rzeźbiarzem chorwackim ze szkoły Augustincića (mimo podejmowanych przez polskich dyplomatów starań Pieta nigdy nie powróciła do Polski).

Powrót

21 stycznia 1990 roku odlew przewieziony został do GZUT, gdzie miał zostać poddany zabiegom konserwatorskim. Rozmontowany pomnik czekał na remont w Gliwicach, a kwestia jego lokalizacji budziła kontrowersje. Pojawiły się też problemy finansowe.



Foto: Zbigniew Sawicz

Grupa Robocza z prof. Chojecką podejmowała wszelkie próby pozyskania środków. Ponownie rozpoczęto wymianę korespondencji z władzami. Efektywne działania podjęte zostały już na wniosek nowego wojewody katowickiego, Wojciecha Czecha – dawnego członka Międzystowarzyszeniowej Komisji.

Remont rozpoczęto we wrześniu 1990 roku. Pomnik składający się z 17 elementów trafił do GZUT w złym stanie technicznym. Jak stwierdził Czesław Loranty, kierownik Odlewni GZUT „(...) odlew był cały podziurawiony, wyglądał jak sito". Zły stan odlewu nie wynikał jednak z upływu czasu, lecz z błędów technologicznych popełnionych przez rzeźbiarza, który był jednocześnie odlewnikiem swego projektu. Kompleksowe prace renowacyjne nad pomnikiem trwały cztery miesiące. Odrestaurowany, gotowy do odsłonięcia pomnik skazany został jednak na przymusowy postój w GZUT. Postój spowodowany był brakiem społecznego konsensusu w sprawie lokalizacji odlewów.

Stanowiska zlokalizowania pomnika na przewidzianym przed wojną miejscu, a więc przed dawnym gmachem Urzędów Niezespolonych broniła Międzystowarzyszeniowa Komisja do spraw Odbudowy Pomnika, natomiast Rada Miejska w Katowicach, będąca prawnym właścicielem brązowego odlewu Marszałka Józefa Piłsudskiego, uchwałą z 27 września 1993 roku określiła lokalizację znajdującego się wówczas w zamyśle pomnika Wojciecha Korfantego na placu Sejmu Śląskiego, a Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego i Powstańca Śląskiego na placu Bolesława Chrobrego.

Na początku września 1993 roku Wydział Architektury i Krajobrazu Urzędu Miejskiego w Katowicach zlecił wykonanie projektów adaptacyjnych placu Bolesława Chrobrego katowickiej firmie architektonicznej A. i A. Grzybowscy. Projekt zakładał lokalizację pomnika na osi głównego wejścia do gmachu Związków Zawodowych a frontem do wejścia głównego Urzędu Wojewódzkiego od ulicy Jagiellońskiej. Cokół nawiązywać miał formą do oryginalnego projektu Drago Galića z 1937 roku.

Pierwsze prace ziemne na placu Bolesława Chrobrego ruszyły latem 1997 roku. Uroczystego odsłonięcia pomnika dokonał 3 maja 1999 roku, w obecności wojewody śląskiego Marka Kempskiego i prezydenta Katowic Piotra Uszoka, absolwent Korpusu Kadetów nr 1 Marszałka Józefa Piłsudskiego kpt. W. Korbel.

Destrukt czy rekonstrukcja?

Pomnik odsłonięty został jako niedokończony, wybrakowany, jako destrukt składający się tylko z konnego odlewu posągu Marszałka Piłsudskiego, co zmieniło jego wymowę ideową i doprowadziło niemal do całkowitego zatarcia jego pierwotnej nazwy. W chwili sprowadzenia do kraju żadne ze środowisk fachowych nie poddawało w wątpliwość konieczności jego całkowitego odtworzenia.

Czas zweryfikował szczytne zamierzenia. Pieta Śląska nie została zwrócona, a znajdujące się ponoć w Muzeum w Vrpolje gipsowe odlewy powstańców, nigdy nie trafiły do kraju.

Obecnie, gdy pomnik został już odsłonięty, coraz częściej pojawiają się zgłaszane przez różne organizacje społeczne propozycje dokonania rekonstrukcji brakujących rzeźb. Na przeszkodzie stoi skąpa dokumentacja fotograficzna nadesłana na konkurs przez Augustincića, mogąca posłużyć za podstawę do rekonstrukcji.

Czy dojdzie do scalenia wszystkich elementów pomnika w zgodzie z projektem i ideą tego przedsięwzięcia? Pytanie, które znów powraca.

■

JUBILEUSZ

Gliwickie urodziny Różewicza

Relacje Tadeusza Różewicza z Gliwicami nie należą do prostych. Poeta mieszkał tu w latach 1949-1968, w symbolicznym dzisiaj „domu z narożną wieżyczką". Większość drzwi wiodących ku literackiej popularności było jeszcze wtedy przed nim zamkniętych. Nie witano z otwartymi ramionami jego publikacji, żył w dużej mierze w izolacji, borykał się z poważnymi problemami materialnymi. Międzynarodowa kariera przyszła dopiero później - zresztą słowo „kariera" jakoś do tego skromnego poety nie pasuje. Również dla Gliwic nie były to szczęśliwe lata. Czasów powojennej odbudowy i stalinizmu z pewnością nie można zaliczyć do okresów świetności miasta, które przez to nie najlepiej zarysowało się w pamięci jednego ze swoich największych obywateli.

Z drugiej strony tak to już bywa, że szczególnie w przypadku poetów artystyczna jakość nie bierze się z czasów sukcesu i powodzenia, ale właśnie z okresów zmagania się z rzeczywistością. Odnosi się to zwłaszcza do Różewicza, którego twórczość tak silnie wyrasta najpierw z lat wojny, a potem egzystencjalnego pomieszania wartości. Wystarczy spojrzeć na daty wydania kilku najważniejszych tomików poezji Różewicza czy powstania najsłynniejszych jego dramatów, by stwierdzić, że wiele z tego, dzięki czemu zostanie zapamiętany jako jedna z najwybitniejszych osobowości polskiej literatury, powstało właśnie w Gliwicach.

Biografia i twórczość Różewicza oraz historia i teraźniejszość Gliwic są więc ze sobą w nierozerwalny sposób splecione. Docenia to miasto - w 1995 roku przyznano Różewiczowi tytuł honorowego obywatela Gliwic; świadomy jest tego sam poeta, który przyjął i osobiście odebrał to wyróżnienie.

Nic też dziwnego, że to Gliwice zdecydowały się uczcić 85-lecie urodzin swojego dawnego, a aktualnie honorowego obywatela w najbardziej w Polsce konsekwentny i artystycznie huczny sposób, organizując „Dni Tadeusza Różewicza".

Ich przygotowaniem zajął się Gliwicki Teatr Muzyczny. Dawna Operetka Śląska, o której sam Różewicz w czasie uroczystości wręczenia mu honorowego obywatelstwa wspominał raczej zdawkowo, dzisiaj, już jako GTM, rozrosła się do rozmiarów głównego organizatora życia kulturalnego miasta, daleko wykraczając poza swoją dawną funkcję.

Dni Różewicza, ich pomysłodawca i koordynator, a jednocześnie kierownik artystyczny gliwickiej sceny, Krzysztof Piotrowski skupił wokół trzech głównych wątków - teatru, poezji i współczesności.

Najpierw, 3 października, odbyły się więc *Różewiczowskie Trelemorele*, pierwszy w Polsce, przedpremierowy pokaz spektaklu Teatru Telewizji według najnowszego dramatu Różewicza. Wzięli w nim udział Jan Peszek, grający główną rolę w przedstawieniu, oraz Piotr Łazarkiewicz, jego reżyser. Peszek zaprezentował też publiczności tzw. wiersze gliwickie oraz niepublikowany dotąd w Polsce poemat *Cóż z tego że we śnie*. Na kontrabasie akompaniował aktorowi śląski kompozytor i performer Bogdan Mizerski, dzięki czemu zwykłe „czytanie poezji" zamieniło się w mini-przedstawienie, w którym Peszkowy dystans znakomicie został dookreślony i przełamany ekspresyjnymi kontrabasowymi szmerami. Spektakl Łazarkiewicza w przewrotny sposób wywracał telewizyjne i medialne współczesne konwencje, dowodząc jednocześnie, jak czujnym okiem poeta ciągle spogląda na otaczającą go rzeczywistość i jak ciężko zamknąć go w szufladce opatrzonej etykietką klasyki, skoro potrafi zainspirować aktorsko-reżyserskie trio Jana i Marii Peszków oraz Piotra Łazarkiewicza do tego rodzaju multimedialno-telewizyjnego kołowrotu.



Foto: Tomasz Zakrzewski

Artur Święs i Anna Polony

Drugą częścią Dni była specjalna edycja organizowanego w Gliwicach od półtora roku Krakowskiego Salonu Poezji. Wiersze poety, uporządkowane według scenariusza Gospodarza Salonu Pawła Gabary oraz własnego, czytał Jerzy Trela, a towarzyszyli mu muzycy również związanego z Gliwicami Kwartetu Śląskiego. Chłód Treli, jego czasem ironiczny dystans, czasem skupione skrywanie własnej artystycznej osobowości za słowami pisarza, pozwoliły w Ruinach Teatru Miejskiego bardzo znacząco wybrzmieć poezji Różewicza. Nie sposób też nie wspomnieć o brawurowym wykonaniu przez Kwartet Śląski *II Kwartetu smyczkowego* Krzysztofa Pendereckiego.

Główną częścią gliwickich obchodów był wyreżyserowany przez Krzysztofa Piotrowskiego wieczór poświęcony teatrowi Różewicza. Do udziału w nim zaproszono starannie dobrane grono aktorów. Fragmenty dramatu *Stara kobieta wysiaduje* zaprezentowała Anna Polony, o dziwo, po raz pierwszy występująca w Różewiczowskim repertuarze. Polony pracuje właśnie nad tą rolą - zagra ją w inscenizacji Teatru Ludowego w Krakowie, przygotowywanej przez Henryka Baranowskiego. Sceny z *Kartoteki* - napisanego w Gliwicach Różewiczowskiego arcy- i anty-dramatu - przedstawił Andrzej Pieczyński, odtwórca roli Bohatera w spektaklu Jarosława Kiliana z 1994 roku. Towarzyszyła mu Bogumiła Murzyńska oraz chór starców w wykonaniu Wincentego Grabarczyka, Romana Michalskiego i Jerzego Gościńskiego. Z kolei świetną parę małżeńską stworzyli na scenie Barbara Lubos-Święs i Artur Święs, z doskonałym zrozumieniem konwencji przenosząc na deski teatru „niekonsekwentny" dramacik *Dzidzibobo*. Wreszcie fragmenty *Dziennika gliwickiego* zaprezentował Andrzej Dopierała, w przejmujący sposób czytając wspomnienia Różewicza z dni poprzedzających śmierć jego matki.

W drugiej części wieczoru pokazano wzruszające wspomnienia Różewicza o Gliwicach, nagrane w czasie wspomnianej uroczystości nadania mu honorowego obywatelstwa miasta. Odbyła się również dyskusja panelowa, poprowadzona przez wieloletnią asystentkę i opiekunkę twórczości poety, Marię Dębicz. Udział w niej wzięli Anna Polony, Andrzej Pieczyński, Artur Święs, reżyser Paweł Miśkiewicz, poeci Krzysztof Siwczyk i Maciej Melecki oraz literaturoznawca specjalizujący się w dramaturgii Różewicza prof. Stanisław Gębala.

W ramach Dni Różewicza Gliwicki Teatr Muzyczny ogłosił konkursy - plastyczny i kompozytorski. Rozstrzygnięcie pierwszego z nich odbędzie się 11 listopada w ramach kolejnej imprezy związanej z Dniami - Różewiczowskiego Postscriptum. Ewa Dałkowska, Joanna Żółkowska i Bernard Krawczyk zaprezentują fragmenty *Białego małżeństwa* w reżyserii Krzysztofa Piotrowskiego, odbędzie się również koncert symfoniczny z udziałem m.in. Janusza Olejniczaka, który wykona *V Koncert fortepianowy* Beethovena.

WIKTOR KAMIŃSKI

RENATA PUTZLACHER

* * *

Uciekłam od wszystkich których kocham
koła pociągu potwierdzają mój wybór
Tak tak Tak tak Jakoś tak Jakoś będzie
Na polach śnieg ociąga się i z nieba wraca
ucieczki i powroty krążenie w przyrodzie
od dworca do dworca bez końca bez końca
Nie znam nazwy mej stacji lecz wiem że tam jadę
bez przesiadek

* * *

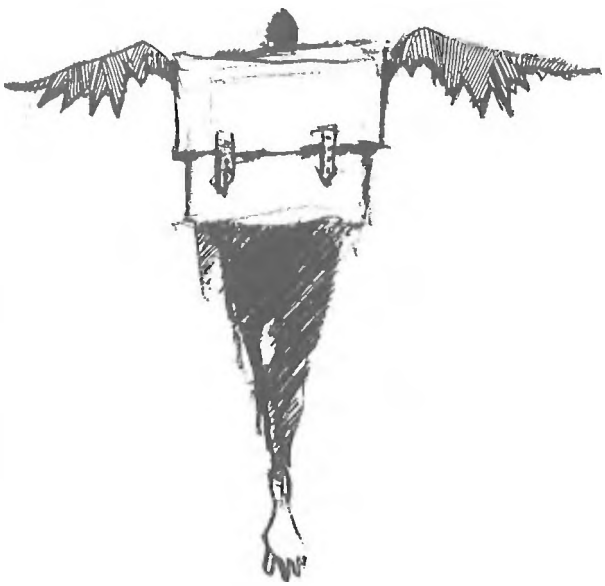
Rewia zajęcy zaśnieżone pola
zima znów żegna się ze mną jak wczoraj
jak zawsze zwierzęta zrzucają swe futra
a życie ma limit od wczoraj do jutra

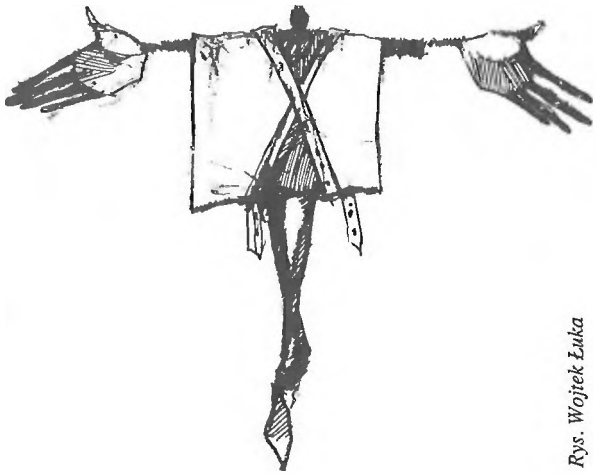
* * *

Ten kościół błyszczał wśród pól
już tkwi we mnie
Chusteczką dla duszy są wiersze
a czasem zimnym kompresem
Przepływa przeze mnie to coś
nie rozumiem
i tego właśnie opisać nie umiem

Punkt widzenia

Na starym oleodruku
dwoje dzieci nad przepaścią
i bezpieczny gotyk jego skrzydeł
Gdy dziś patrzę w przepaść
mam przed oczami tysiące plamek
jakby figlarny impresjonista
pozamieniał mi obrazy
i punkt widzenia





Rys. Wojtek Łuka

Entropia

Te felietony i wiersze
ciągle jeszcze tkwią
w dwuznacznych komeżkach
jak zapamiętani z dzieciństwa
ministranci Próbujący ukryć
przed Panem Bozią na ołtarzu
pionierskie chusty
figlarnie wypełzające
spod dostojnych kołnierzy

Biały tornister

Kiedy miałam sześć lat
marzyłam o białym tornistrze
bo kiedy gnałam uskrzydlona
do szkoły wierzyłam
że jestem tamtym aniołem
z jasełek Długowłosym
z dobrą nowiną na ustach
i pierzastym bagażem
na przydługich szelkach

Poezja

W kawiarniach na dworcach
przez cały czas
poezja goni własny ogon
Ty udajesz że masz to już
za sobą że teraz żyjesz
a przedtem ulegałaś stylizacjom
przymierzałaś ją jak kapelusze

W mężczyznach czasem w kobietach
jest Nie daje się zepchnąć
na boczny tor W ekspresie
do kawy i do domu
Nie chce kolaborować z muzyką
Wraca do ciebie po zakurzonych
schodach Ze strychu o którym
zawsze marzyłaś

16.6.2003

Angelus sin Domicilio

Tyle białych lasek
wkładano ci do ręki
tyle razy uczono cię
latać

Ileż iluminacji
i nawróceń
A ty byłeś
nie z tego świata

Amelia i e-maile

Błyszczą nam twarze
Siedzimy przy swoich komputerach
Tacy dalecy Uprawiamy koncert
na cztery ręce A on przenosi
nasze słowa na skrzydłach
i gubi po drodze
znaki przestankowe
haczyki i kreski

13.7.2004

* * *

Czasem w nocy
pęka sufit nad moją głową
i z góry sączy się
skroplone niebo

Błękitem też
można się udławić

Odwieczna Tatiana

Piszę do pana piórem
wiecznym
jak potrzeba pisania listów
na które zawsze brak
odpowiedzi

Głód

Jak ja im wytłumaczę
że wróciłam z dalekiej podróży
że ucztowałam w ogrodach
które inni umieli lepiej opisać
ode mnie Co im podam
po powrocie z obcych krajów
kiedy ich ludzki fizyczny głód
tak jak co dzień
odrywa mnie od kolejnej książki

19. 1. 2004

Ojcowie

Dlaczego wyobrażamy sobie
że zestarzeją nam się godnie
W melonikach Z fajkami Na zapiecku
Dlaczego liczymy na to
że na ich wątłe barki
przerzucimy ciężar pytań
na które nie ma odpowiedzi
A przecież takie najczęściej
zadają nam wścibskie pociechy
Dlaczego myślimy że będą stukać
na maszynach rozprawy o kwestii smaku
Proustowskiej magdalenki
nam pozostawiając martwe światło
ekranów komputerowych
Dlaczego naiwnie wierzymy
że zawsze nam się będą dwoić i troić
że będą tańczyć swój łabędzi taniec
jak czarno-biali starsi panowie
Starsi Panowie dwaj

3.8.2004

Czasy

Na lekcjach angielskiego
zmagam się z czasem
przeszłym dokonanym
Wiem były już takie lekcje
był taki czas
i minął
Dziś próbuję go zatrzymać
w murach innej uczelni
w innym mieście
I znów pytam jak wtedy
dlaczego future
czas przyszły
jest taki prosty



Rys. Wojtek Łuka

RENATA PUTZLACHER

Z BARBARĄ HORAWIANKĄ rozmawia MAREK PALKA



Barbara Horawianka w „Daleko od szosy".

Urodziłam się na Mikołowskiej

– Związana była Pani ze scenami krakowskimi, łódzkimi i warszawskimi. Jednak Pani pierwsze doświadczenia sceniczne, dodajmy bardzo wczesne, wiążą się z Teatrem im. Wyspiańskiego w Katowicach.

- Bardzo wczesne i bardzo odległe... Szkoła baletowa, do której jako kilkuletnia dziewczynka chodziłam, urządzała co roku popisy w tym teatrze. To była połowa lat 30. ubiegłego wieku... Pamiętam swoją nauczycielkę tańca, panią Kazimierę Nowowiejską. Była to niewysoka, drobna brunetka z węzłem włosów na karku. Miała bardzo silne ręce. Do dziś bardzo dokładnie pamiętam zapach jej perfum. Na owym dorocznym popisie tańczyłam solo do *Nokturnu* Chopina. Miałam na sobie luźną, przewiewną tunikę przybraną kwiatami... Ale mój ojciec krótko przed wojną powiedział: „Basta, moja córka nie będzie żadną baletnicą." Uważał, że powinnam zdobyć poważny zawód.

– Jak wspomina Pani swoje katowickie dzieciństwo?

– W Katowicach spędziłam najpiękniejsze dzieciństwo świata. Do szkoły podstawowej chodziłam na ulicę Francuską, mieszkałam przy ulicy Drzymały, a urodziłam się na Mikołowskiej. Ojciec miał kancelarię prawniczą przy ulicy Mariackiej. Chodziłam do kościoła garnizonowego. Pamiętam jeszcze jak zaczynała się budowa kościoła Chrystusa Króla, ale już był kościół „podziemny", gdzie też chodziliśmy z rodzicami. Przyjeżdżam do tego miasta zawsze z ogromnym wzruszeniem. Jakże można inaczej, kiedy tu się urodziłam. Uważam, że wszystko, co dobre we mnie, pochodzi właśnie stąd. Wychowałam się w atmosferze miłości i ciepła. Ale to trwało dosyć krótko, skończyło się 1 września 1939 roku.

– Gdzie zastał państwa wybuch wojny?

– Wybuch wojny zastał nas (mamę, mnie i starszego brata) na wsi, w domku naszej niani pod Tarnowem. Tam spędziliśmy całą okupację. Niania była jakby członkiem naszej rodziny. Ale kiedy zorientowała się, że nasz ojciec zginął, a matka już nie ma ani grosza, to stała się dla nas bardzo niedobra. Musieliśmy ciężko tam pracować, ale wyszło nam to na dobre. Ludzie gorsze rzeczy przeżywali podczas okupacji. Potem już nie wróciliśmy do Katowic. Zamieszkaliśmy w Krakowie. Chodziłam do Liceum Handlowego. Jednak nie porzuciłam marzeń o scenie i aktywnie brałam udział w różnych konkursach recytatorskich. Należałam do międzyszkolnego koła dramatycznego, które prowadził wówczas młodziutki aktor Tadeusz Łomnicki. Zagrałam wtedy Podstolinę w *Fircyku w zalotach* w jego reżyserii. On też reżyserował *Cyda*, w którym zagrałam Infantkę. Ale nie mogłam pójść do szkoły teatralnej. Musiałam podjąć pracę, bo było nam przecież w domu bardzo ciężko. Kiedy zdałam maturę, rozpoczęłam pracę w Centrali Handlu Sprzętu Przeciwpożarowego...

– To było chyba mało poetyckie zajęcie...

– Mało poetyckie: sprzedawałam bowiem węże ssąco-tłoczące, bosaki, hełmy itp. Obliczałam marże, procenty, wypisywałam faktury, zresztą z potwornymi błędami. Dla mnie to było coś strasznego, tym bardziej że miałam okropną kierowniczkę. Postanowiłam uciec stamtąd za wszelką cenę. Po kryjomu przygotowywałam się do egzaminów do studium teatralnego, w szufladzie biurka miałam schowane teksty poetyckie, których uczyłam się na pamięć. Dostałam jedno, drugie, a potem trzecie upomnienie i pan dyrektor musiał mnie zwolnić, i to ze skutkiem natychmiastowym. Zapłakana poleciałam do domu. Mama biedna liczyła, że coś pomogę rodzinie finansowo, a tu takie nieszczęście! Ja jednak odetchnęłam z ulgą.

– Jak trafiła Pani do Teatru Rapsodycznego?

– Trafiłam „z ulicy". Byłam wielbicielką tego teatru i jednym z najwierniejszych widzów. Ten teatr miał repertuar pokrywający się z obowiązkowymi lekturami szkolnymi. Nasza polonistka bardzo zachęcała, aby do tego teatru chodzić. Wystawiano w Rapsodycznym Wyspiańskiego, Słowackiego, Mickiewicza. Moje szkolne koleżanki nie lubiły tam chodzić, bo potwornie się nudziły. Ja uwielbiałam. Mówiły mi: Baśka, ty idziesz, a potem nam to wszystko opowiesz.

Dla mnie to był teatr, który oddziaływał w sposób magiczny. Tam nie było prawie dekoracji, nie było rekwizytów. Liczył się tekst, słowo, gest, muzyka i światło. Danuta Michałowska to było dla mnie wielkie objawienie aktorskie. Na *Eugeniuszu Onieginie* byłam chyba ze 20 razy. Do dzisiaj

znam tekst tej sztuki na pamięć. Tak więc kiedy wyrzucono mnie z pracy, ubłagałam mamę, aby dała mi pół roku i pozwoliła mi pójść do Teatru Rapsodycznego. Tak po prostu z ulicy. Musiałam się oczywiście przygotować. A wierszy miałam w repertuarze mnóstwo. Recytowałam *Romantyczność* Mickiewicza i wiersz Putramenta *Karabin*. Przesłuchiwali mnie założyciel tego teatru Mieczysław Kotlartczyk i Danuta Michałowska. Postanowili mnie przyjąć do działającego przy Rapsodycznym Studia Teatralnego.

– Jak wspominała potem Danuta Michałowska, o przyjęciu do tego Studia zadecydowało Pani zamiłowanie do poezji, doskonała dykcja i timbre głosu.

– Nie wiedziałam o tym. Dla mnie dostanie się do Studia to było wielkie szczęście, tym bardziej, że dość szybko zadebiutowałam. Była to sztuka *Rozkaz 269* Kirsanowa i Majakowskiego. Wychodziłyśmy z koleżankami zza kulis i chórem mówiłyśmy (wyciągając pięści) „Niech żyje rewolucja, radosna i śmiała!" Najpierw występowałam za darmo, ale przyjęto mnie również do pracy w teatralnej bibliotece. Po trzech latach nauki w Studio zdawaliśmy egzaminy eksternistyczne. Kiedy Kotlarczyk dostał dla Teatru Rapsodycznego lokal na Starowiślnej (gdzie dziś mieści się scena Kameralna Starego Teatru) my aktorzy, aby szybciej skończyć remont, sami wykańczaliśmy i sprzątaliśmy siedzibę. W pewnym momencie, kiedy wywoziliśmy gruz, przyjechała wywrotka i ktoś wtedy zawołał: „O, przyjechał ksiądz Karol, to nam pomoże". W tych okolicznościach poznałam Karola Wojtyłę. Przyjechał w sutannie, cały pełen radości i wywoził z nami gruz.

– W tym właśnie teatrze poznała Pani przede wszystkim swojego męża, znakomitego aktora Mieczysława Voita. Połączyło was – na ponad 40 lat – przedstawienie *Aktorzy w Elsynorze*, w którym on grał Romea, a Pani Julię...

– Było to przedstawienie skomponowane z kilku sztuk Szekspira: *Hamleta* (którego grał Kotlarczyk), *Kumoszek z Windsoru, Makbeta* oraz *Romea i Julii*. Oczywiście Julię grała Danuta Michałowska. Ale pewnego razu musiała gdzieś wyjechać i naradzili się z Kotlarczykiem, że to ja powinnam ją zastąpić. Ten spektakl rzeczywiście połączył nas ze Sławkiem na kilkadziesiąt lat. Sławek początkowo denerwował mnie niezmiernie. Publicznie wyznawał mi uczucia, prawił mi jakieś komplementy. Na początku nie traktowałam tego poważnie. Ale kiedy zmienił metodę i wyciszył się, wtedy uwierzyłam w prawdziwość tych wyznań.

– Potem Teatr Rapsodyczny z powodów ideologicznych został zamknięty...



Barbara Horawianka urodziła i wychowała się w Katowicach

– Powstał na jego miejsce Teatr Poezji, prowadzony przez Marynę Broniewską i Tadeusza Kantora. Tu otrzymałam swoje pierwsze duże role: Kamilli w *Nie igra się z miłością* oraz Tytanii w *Śnie nocy letniej*. Następnie byłam aktorką Teatru Starego, gdzie zagrałam sporo ciekawych ról. Byłam bardzo związana z tym teatrem. Zagrałam m.in. Ofelię w *Hamlecie* i Anielę w *Ślubach panieńskich*, wymarzone role dla młodych aktorek. A kiedy grałam w *Legendzie o miłości* rewolucyjnego poety tureckiego Nazima Hikmeta, to okazało się, że autor ów jest moim krewnym. To bardzo śmieszna historia. Po premierze wszedł za kulisy i krzyczał po rosyjsku „Dawajcie kuzinu!". Otóż moja babcia Borzęcka i jego dziadek Borzęcki byli rodzeństwem stryjecznym. Jego dziadek wyemigrował po powstaniu styczniowym do Turcji.

– Pełnię możliwości i skalę Pani talentu ukazała najwyraźniej współpraca z Kazimierzem Dejmkiem. Grała Pani za jego dyrekcji w trzech teatrach na przestrzeni ponad trzydziestu lat. Decyzja o przeniesieniu się w 1957 roku z Krakowa do Łodzi, gdzie mieścił się teatr prowadzony przez Dejmka, nie była chyba łatwa?

– Dejmek, który był wówczas dyrektorem łódzkiego Teatru Nowego, obejrzał mnie i Voita w *Nie igra się z miłością* (piękne nasze przedstawienie wystawiane w Teatrze Poezji, wystąpiliśmy w tym spektaklu 250 razy) i namawiał nas potem przez kilka lat, abyśmy się przenieśli do Łodzi. Zamienić Kraków na Łódź – niełatwa decyzja. Ale zapadła z prozaicznych powodów. Kiedy pobraliśmy się wreszcie z Voitem, to okazało się, że nie mamy gdzie mieszkać w tym Krakowie. A Dejmek dawał nam w Łodzi dwa mieszkania do wyboru i role do zagrania. Byliśmy wtedy w Krakowie dość znaną z mężem parą aktorską. Jednak nie żałowaliśmy potem tej decyzji. Bo zagraliśmy bardzo dużo – jak się później okazało – w znaczącym teatrze. Przy czym zaznaczyć trzeba, że Teatr Nowy uznawany był wtedy za awangardowy. A przede wszystkim teatr zaangażowany. To jego zaangażowanie w lewą stronę mnie i mojemu mężowi akurat nie było na rękę. Nie utożsamialiśmy się z lewicą. Nie był to jednak teatr uprawiający tanią propagandę. Trzeba pamiętać, że Dejmek zawsze był w kontrze. Był wprawdzie socjalistą, ale do władzy był w kontrze. I to do każdej władzy! Teatr Nowy to siedem lat naszego aktorskiego życia: piękne sztuki i piękne role. Kiedy w 1963 roku Dejmek został dyrektorem Narodowego, zaproponował nam przejście ze sobą do Warszawy. W Warszawie okazało się, że znowu nie mamy gdzie mieszkać i mieszkaliśmy przez trzy lata w teatralnej garderobie. Teatr był więc dla mnie domem dosłownie i w przenośni. Potem jeszcze raz poszliśmy za Dejmkiem do Łodzi w latach 70., kiedy już mieszkaliśmy w Warszawie. Przyszedł do nas i zapytał : „No co, pójdziecie za mną? Pewnie nie, bo wy jesteście teraz warszawiacy...". Ale poszliśmy. Mieliśmy dwa domy, warszawski i łódzki. Cały czas byliśmy w drodze. Potem w połowie lat 80. znowu poszliśmy do Dejmka, do Teatru Polskiego, którego był wówczas dyrektorem.

– Co takiego było w Dejmku, że „szliście" Państwo za nim, ilekroć was o to poprosił?

– Był przede wszystkim wybitnym reżyserem i bardzo dobrym, szalenie wymagającym dyrektorem. Dyscyplina w jego teatrze była nieprawdopodobna, ale to tylko służyło teatrowi. Z czasem nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń. Był naszym rówieśnikiem, prywatnie bardzo towarzyskim człowiekiem, ale w pracy potrafił być tyranem. Miałam szczęście występować w legendarnych przedstawieniach Dejmka, m.in. tych opartych na tekstach staropolskich. Grałam na przykład w dwóch wersjach *Żywotu Józefa* Mikołaja Reja – łódzkiej i warszawskiej. Były to zupełnie różne przedstawienia, niepodobne do siebie. Pierwszy *Żywot Józefa*, który był wystawiony w Teatrze Nowym, to było przedstawienie bardzo kolorowe, wesołe, muzyczne i taneczne. Z kolei *Żywot...* wystawiony ponownie przez Dejmka w Teatrze Narodowym ze scenografią Stopki, to było surowe przedstawienie, bardzo uporządkowane. Bardzo się podobało nie tylko polskiej publiczności, ale i zagranicznej – gościliśmy z tym spektaklem w Austrii, Holandii, Niemczech.

– Teatr stawia Pani na piedestale i uważa go z najważniejszą ze sztuk?

– Wyłącznie! Uważam, że najwspanialszym na świecie i najwłaściwszym miejscem dla aktora jest teatr. Teatr

jest miejscem mistycznym. Nic nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu aktora z widzem. Kiedy aktor wie i czuje, jakie są reakcje publiczności: czy widz płacze, czy się śmieje, czy aprobuje go lub też nie. To jest dla mnie coś najwspanialszego. Uwielbiam teatralną atmosferę: próby, dźwięk gongów, podnoszenie kurtyny. Wiem, że nie wszyscy koledzy tak uważają. Wolą telewizję, kino. Ja nie – gdzieś się wtedy gra do tej kamery, a to wszystko jest takie sztuczne i nieprawdziwe... Ale oczywiście seriale i filmy dają popularność.

Miałam bardzo długą przerwę w graniu w teatrze, odkąd przeszłam na emeryturę z Teatru Polskiego. Grałam w tym czasie w telewizji. Ale cały czas sobie marzyłam: Boże drogi, żeby tak jeszcze przeżyć jedną próbę generalną i premierę. I pewnego dnia otrzymuję wiadomość z Teatru Narodowego, że zostałam obsadzona w *Panu Jowialskim*. Ucieszyłam się niezmiernie. Boże, wysłuchałeś moje prośby! Niestety, po dwóch miesiącach prób skończyliśmy pracę, bo reżyser wszedł w konflikt z dyrekcją teatru. Ale minął rok i okazuje się, że jednak zagrałam kolejny spektakl. To jest sztuka, która jest od niedawna grana na tzw. scenie eksperymentalnej Teatru Narodowego. Tytuł *Imieniny*, autorem jest Marek Modzelewski, wyreżyserowała Aleksandra Konieczna. Obsada jest znakomita, grają m.in. Grażyna Szapołowska, Gabriela Kownacka, Anna Chodakowska, Jacek Różański, Andrzej Blumenfeld, Wiesława Niemyska, Jerzy Łapiński. Gram bardzo dziwną rolę charakterystyczną, rolę, jakiej jeszcze nie grałam.

– Czy ma Pani swojego ulubionego dramaturga?

– Tak się pięknie złożyło, że grałam wiele w dramatach Szekspira. Odtwarzałam blisko 10 ról w repertuarze szekspirowskim i od Szekspira właściwie zaczęła się moja kariera sceniczna. Jednak całe życie marzyłam o Czechowie, najukochańszym moim autorze. Niestety, teraz mogę grać jedynie babcię Amfisę w *Trzech siostrach*... Grałam ją zresztą do niedawna w Teatrze Collegium Nobilum. To był spektakl dyplomowy IV roku wydziału aktorskiego, w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Utalentowany rocznik warszawskiej Akademii Teatralnej. Świetnie mi się z tymi młodymi ludźmi pracowało!

– W filmie i telewizji dość często obsadzana była Pani w rolach negatywnych: np. zakonnice w *Krzyżakach* i *Drewnianym różańcu*, Niemka w *Czasie przeszłym* czy matka Ani w *Daleko od szosy*. Te i inne role złożyły się na Pani filmowy wizerunek kobiety chłodnej, ascetycznej i stanowczej.

– Widocznie coś takiego we mnie było, to znaczy chyba przede wszystkim jakaś ostrość w rysach twarzy, bo prywatnie podobno jestem bardzo łagodna. Ale czasem dobrze jest zagrać wbrew swojej naturze, wiadomo przecież, że czarne charaktery są ciekawsze do zagrania. Poza tym właściwie od pierwszych występów przed kamerą grałam matki, opiekunki, nauczycielki.

– Spotkanie ze Stanisławem Różewiczem okazało się być przełomowym momentem w Pani karierze filmowej. Wystąpiła Pani w trzech jego filmach, za każdym razem, jak pisano, „osiągając wyżyny aktorskiego kunsztu".

– To jest reżyser, który ma swój własny styl. W pracy oczekuje od aktora pewnego ograniczenia środków wyrazu, minimalnych reakcji. Sam mało mówi, bardzo się aktorowi przygląda i słucha, co na przykład dla młodej aktorki jest ogromnie peszące. Jest człowiekiem bardzo wymagającym, a przez to, że tak mało mówi, może trochę trudnym. Ale my się zawsze świetnie rozumieliśmy. W 1964 roku poprosił, abym zagrała w jego filmie *Echo* drugoplanową rolę żony głównego bohatera (granego przez Sławka Glińskiego). Potem była *Samotność we dwoje*, piękny film, bardzo bergmanowski w nastroju. Znakomicie sfotografowany. Wystąpiłam w nim razem z mężem. Sławek Voit w roli pastora, dobrego człowieka, a ja w roli jego żony, która zdradza go z nazistą. Pamiętam jak na festiwalu w San Sebastian podszedł do nas jakiś dystrybutor z USA, który jak się okazało był Żydem polskiego pochodzenia, i powiedział: „Panie Voit: przepiękne, cudowne kino! Prawie Bergman. Ale nie kupię, bo to niekomercyjne". Uważam, że miałam szczęście grając w takich właśnie, niekomercyjnych filmach.

– Zagrała Pani jeszcze u Różewicza tytułową rolę w *Pensji pani Latter*, tworząc „postać wprost z powieści Bolesława Prusa, doskonałą w najdrobniejszym szczególe".

– Bardzo dziękuję, nie znałam tej recenzji. Opowiem może anegdotę z planu tego filmu. Pani Latter jak wiadomo popełnia samobójstwo, topiąc się w Wiśle. Ta scena była kręcona w marcu. Było bardzo zimno, cała ekipa stała na brzegu rzeki w kożuchach. Ja miałam się jako pani Latter topić. Miałam na sobie kostium, pod który założono mi strój płetwonurka, bo obawiano się, że się utopię. I to było straszne, bo ten kostium nie pozwalał, abym się mogła zanurzać. Po prostu nie mogłam się utopić!

– A seriale? Było ich w Pani karierze kilka, na czele z pierwszą chyba telenowelą *W labiryncie*.

– Grałam tym razem sympatyczną rolę laborantki, pani Marii, a mojego kolegę z pracy, pana Leona grał Wiesław Drzewicz – cudowny, uroczy człowiek, z którym prywatnie bardzo lubiliśmy się i stworzyliśmy na ekranie lubianą przez widzów parę. Serial cieszył się ogromnym powodzeniem. Również lubiany i wciąż powtarzany jest serial *Daleko od szosy*, gdzie zagrałam akurat mało sympatyczną postać matki Ani. W ostatnich latach grałam też w *M jak miłość* (które jednak w pewnym momencie mnie coś nie polubiło, nawet wiem, kto mnie nie polubił...), a potem w *Klinice samotnych serc*, której produkcja została przerwana, a moja bohaterka wyjechała do Włoch. Powiem panu, że nigdy specjalnie o role w tych serialach nie zabiegałam. Nie marzę o graniu w serialu. Na żadne castingi już się w tej chwili nie godzę. Wiem, że seriale ogląda „cała Polska" i przynoszą aktorom dużą popularność. Ale ja wolę grać w teatrze, choćby na scenie eksperymentalnej...



„Pensja pani Latter". Na zdjęciu z J. Paluszkiewiczem

Najpóźniej opuścił Śląsk we wrześniu 1939 roku Jan Przybyła (1884-1942), naczelnik gminy Chropaczów, uczynił to dosłownie w ostatniej chwili, gdy wojska hitlerowskie już wkraczały do miasta. Piękna postać elsa, harcerza, publicysty i działacza niepodległościowego, który zginął męczeńską śmiercią w Oświęcimiu, uległa zupełnemu zapomnieniu, a przecież należał do osób, którym dziękował Stanisław Wasylewski w słowie „od autora" w słynnej książce *Na Śląsku Opolskim* za informacje i materiały.

Z Eleusis do Auschwitz

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

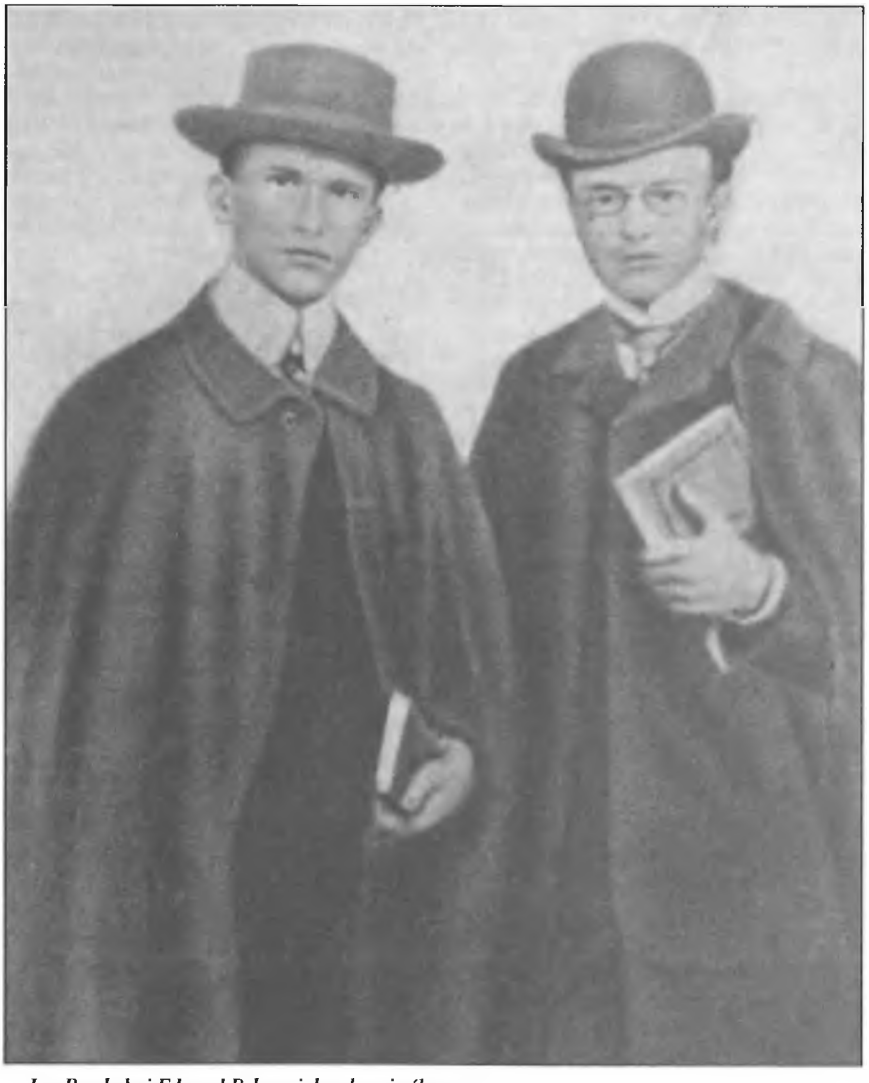


Foto: Arch. B.Śl.

Jan Przybyła i Edward Rybarz jako elsowie śląscy.

Jan Przybyła urodził się w Sierakowicach, wsi pod Gliwicami, w rodzinie rolniczej, 18 października 1884 roku. Był synem Karoliny z Franuszów i Teodora Przybyły. Swój format duchowy i intelektualny zawdzięczał, poza domem rodzinnym, organizacji Eleusis powołanej przez profesora Wincentego Lutosławskiego. Było to stowarzyszenie, w którym obowiązywała poczwórna wstrzemięźliwość (od picia, palenia, gry w karty i rozpusty), kształcenie woli i charakteru, głęboka religijność i wielki kult poetów romantycznych. Powołał ją do życia filozof, profesor Wincenty Lutosławski w roku 1903.

Jan Przybyła zetknął się z nią jako osiemnastoletni chłopak i miało to dla niego znaczenie przełomowe. Lutosławski sam kilkakrotnie był na Śląsku, gdzie przyjechał na zaproszenie działaczy narodowych Joachima Sołtysa i Jana Wyciska. Twierdzili oni, że *Wykłady Jagiellońskie* Lutosławskiego wydane w Krakowie, które dotarły do Zabrza i Gliwic na tamtejszych górnikach zrobiły duże wrażenie i prosili oni by profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjechał do nich na Śląsk. I Lutosławski przyjechał, do Gliwic i Zabrza i tak wspominał tamten czas: „...zacząłem potajemnie jeździć do Gliwic i Zabrza, gdzie późną nocą miewałem wykłady i objaśniałem zmęczonym całodzienną pracą górnikom pisma Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego".

I tu pewna dygresja: Stanisław Pigoń, także z inspiracji Lutosławskiego przybywający na Śląsk, zauważył podobną fascynację literaturą romantyczną u śląskich górników. Pisał: „Wyszedłszy z »szychty«, zaledwie obmywszy się, schodzili się młodzi i starsi, częstokroć już mocno leciwi górnicy posłuchać polskiego słowa i poezji. Czytaliśmy im wieszczów, to znów ustępy z dziejów Polski, objaśniając w miarę możliwości. U większości tych ludzi uderzał mię zawsze jakiś głęboki, wrodzony pociąg do mistycyzmu; nigdzie w środowisku ludowym nie spotkałem tego rysu w stopniu tak głębokim".

I sam Przybyła dawał temu świadectwo, wspominając w liście do jednego z przyjaciół, Ignacego Sikory, w dniach Wielkanocy 1920 roku: „Było to w lecie 1904 roku, po wspólnym czytaniu tam w Twoim pokoiku *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza, wybraliśmy się we czterech: Ty, Hieronim Paprotny, nieboszczyk Paweł Dudek i ja na przechadzkę na pola sobiszowieckie. Była piękna i ciepła noc gwieździsta, długośmy chodzili i rozmawiali o przyszłości Śląska. Pod wpływem ksiąg Mickiewicza wierzyliśmy wszyscy, że ta Polska będzie na pewno, aleśmy sobie nie mogli wyobrazić, wśród jakich warunków ona powstanie i uwolni się od swych zaborców. A wtedy, ja dziś pamiętam, śp. Paweł powtórzył uroczyście prośbę z *Litanii Pielgrzymskiej* Mickiewicza: „O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię Panie".

Wróćmy jednak do autora *Wykładów Jagiellońskich*. Wśród słuchaczy Lutosławski poznał bardzo młodych śląskich działaczy narodowych Edwarda Rybarza i Jana Przybyłę, których postanowił kształcić na własny koszt. Na te same osoby zwrócił zresztą uwagę i Stanisław Pigoń i Kornel Makuszyński, goszczący z wykładami w okolicy Zabrza i Gliwic, zwłaszcza inteligencja i odwaga Przybyły, robiły wrażenie. O nim i o Rybarzu znakomity uczony w swych wspomnieniach *Z Komborni w świat* – napisał: „wybitni później i zasłużeni działacze i publicyści narodowi na Górnym Śląsku".

Jadąc więc do Londynu, Lutosławski zabrał Przybyłę ze sobą, by go kształcić. A potem kontynuował to w Krakowie. Powołał bowiem w tym mieście Seminarium Wychowania Narodowego, w którym, jak pisał, mieli być „...przygotowani misjonarze wychowania narodowego, którzy mieli wracać do pracy ręcznej w kopalniach i fabrykach i podnosić poziom umysłowy i duchowy otoczenia". W programie kształcenia była historia Polski, literatura i język, logika, ćwiczenia duchowe i fizyczne. Sam Lutosławski pisząc wspomnienia *Moja praca na Śląsku* wśród swych uczniów wyróżnił właśnie Rybarza i Przybyłę. A Jan Przybyła w *Walce o Górny Śląsk* o Lutosławskim stwierdził: „Pogłębił on ducha narodowego przez możliwie gruntowne poznanie historii Polski a przede wszystkim utworów naszych wieszczów, którzy wierzyli w zmartwychwstanie Polski i innym też tą wiarę przez swe pisma głębokie i podniosłe potrafili zaszczepić, jeśli tylko ze strony czytających była dobra wola". W innym artykule, pt. *Praca prof. Lutosławskiego na Górnym Śląsku,* dodał: „Był on pierwszym profesorem polskim, który ludowi śląskiemu podał naprawdę rękę do wyższych sfer ducha".

Bywał w tym czasie w okolicach Zabrza i Gliwic, również z inspiracji Lutosławskiego, Kornel Makuszyński. I on też zapamiętał Jana Przybyłę, a w *Cichych wspomnieniach* wspominał: „Mieszkałem to tu, to tam, w Zabrzu, w Gliwicach, w Katowicach, coraz to, u kogo innego, przyjmowany serdecznie, jako członek rodziny. Pamiętam te czasy dobrze, uczciwy w szlachetnym stylu pisarz Jan Przybyła, obecnie we Lwowie mieszkający, który roznamiętniony przyniesionym im tam żywym słowem, wyfrunął z nami w pogoni za poezją".

Po ukończeniu nauki w Krakowie Przybyła studiował w Dublanach koło Lwowa, w Akademii Rolniczej i publikował pod pseudonimem Jana Sierakowskiego w „Polaku", „Kurierze Śląskim", „Zaraniu Śląskim" i w „Gazecie Ludowej" między innymi korespondencję z Galicji i Górnego Śląska. Pisywał jako Verex, Reflex czy Jan Sier. W latach lwowskich zetknął się i zaprzyjaźnił z Janem Nikodemem Jaroniem również w tych latach studiującym we Lwowie.

A Dublany stały się dla niego ważne nie tylko jako miejsce studiów, ale i poznania swej przyszłej żony Marty Daisenberg. Pobrali się 28 sierpnia 1913 roku we Lwowie i mieli trójkę dzieci: Zbigniewa, Marię i Janusza. Po studiach Przybyła odbył praktykę rolniczą w krajach skandynawskich i w Szwajcarii, a po powrocie znalazł pracę w Galicyjskim Towarzystwie Gospodarczym we Lwowie. Wydawało się, że z tym miastem, będącym obok Śląska wielką miłością Jana Przybyły, młoda rodzina zwiąże na zawsze swoje dalsze losy.

Ale na wieść o wybuchu I powstania Śląskiego powrócił Jan Przybyła na Śląsk i początkowo zamieszkał w Sosnowcu, gdzie działał Podkomisariat Śląski Naczelnej Rady Ludowej. Pracował w redakcji czasopisma „Powstaniec", potem w Wydziale Prasowym. W roku 1920 związał się z Polskim Komisariatem Plebiscytowym w Bytomiu i rozpoczął działalność dziennikarską. W naczelnym Dowództwie Wojsk Powstańczych pełnił funkcję szefa Wydziału Prasowego. Był rzutki, pomysłowy, odważny i taki dał się poznać przede wszystkim w „Kocyndrze", którego pierwszy numer ukazał się 17 czerwca 1920 roku.

W kręgu „Powstańca" i „Kocyndra"

„Powstaniec" został powołany przez Teodora Tyca, by zapobiegać rozpaczy i zwątpieniu, jakie zaczęły się wkradać w powstańcze szeregi. Jego pierwszy numer wyszedł 7 sierpnia 1919 roku. Zastępcami redaktora naczelnego zostali Jan Przybyła i Augustyn Świder. Przybyła współredagował pismo i publikował w nim wiele tekstów publicystycznych i literackich. Były one odpowiedzią na potrzebę chwili, poświęcone były dziejom Śląska, popularyzowały idee Wincentego Lutosławskiego. Krzewiły nadzieję na powrót Śląska do Polski. Potem „Powstaniec" został organem Wydziału Polityczno-Prasowego Dowództwa Grupy Wschód, a jego redaktorem był Ludwik Ręgorowicz, a po nim – Jan Przybyła.

Ale chyba ważniejszą rolę spełnił w znakomitym „Kocyndrze", którego współtworzył wraz ze Stanisławem Ligoniem. Ukrywał się pod pseudonimem Franciszka Miodowicza (Miądowicza?) i Hanysa Kocyndra a także pisywał pod własnym nazwiskiem cięte humorystyczne teksty, opowiadania, także wiersze. Świetnie uzupełniali się z Ligoniem, tak temperamentami, wykształceniem, jak rodzajem uzdolnień. Przybyła posiadał dużą wiedzę historyczną i w swych publikacjach nieustannie uświadamiał czytelnikom piastowskie korzenie Śląska. Większość spuścizny literackiej Przybyły została opublikowana właśnie w „Kocyndrze" i godna jest głębszej refleksji, tak dla jej głębokiej kultury literackiej, jak i wartości merytorycznej. Warto tu przypomnieć, choć jeden utwór, bardzo oryginalny, a pomijany przez lata ze względów cenzuralnych. Opublikowany został w numerze 12 „Kocyndra" z roku 1920. Zatytułowany był *Wesołe przygody Bytomianka i Hallerczyka,* a narrator snuł w nim opowieść o wydarzeniu, które usłyszał jadąc pociągiem. Dwóch żołnierzy: jeden Hallerczyk (tak określano żołnierzy służących w armii gen. Hallera), drugi służący w Strzelcach Bytomskich podróżowało pociągiem do Wilna i raczyło się opowieściami o swych przygodach z wojny polsko-bolszewickiej. Im bardziej opowieść „przepijali" alkoholem, tym była barwniejsza, a oni bardziej bohaterscy. W końcu okazało się, że jadą do tej samej dziewczyny. Barwne, o szybko toczącej się akcji, opowiadanie spełniało wyraźnie funkcję polityczną. Oto informowało, że Ślązacy walczą wszędzie tam, gdzie toczą się walki o niepodległość Polski. I walczą bardzo dzielnie, jak wszyscy polscy żołnierze.

A przy okazji warto dodać, że „Kocynder" postrzegany głównie jako oręż w walce prasowej i politycznej z Niemcami, był także przesycony akcentami antybolszewickimi, o czym ze względów cenzuralnych w PRL-u nie można było pisać. Już na wolnym Śląsku Przybyła redagował miesięcznik „Powstaniec Śląski", organ Związku Powstańców Śląskich, adresowany do byłych powstańców śląskich. Publikował w nim swoje wiersze, wspomnienia i publicystykę, a także utwory Emanuela Imieli, Augustyna Świdra, i teksty wspomnieniowe wielu powstańców. Pisywał także w „Polsce Zachodniej".

W harcerstwie

Do harcerstwa, które stać się miało pasją życia Jana Przybyły, wiodła droga z Eleusis, bowiem obie organizacje łączyła wspólnota ideałów. Przybyła znał osobiście Andrzeja Małkowskiego, twórcę polskiego harcerstwa. Spotkali się w Krakowie między rokiem 1903 a 1907 i zaprzyjaźnili, a potem znajomość odrodziła się we Lwowie, gdzie Małkowski studiował na politechnice. W urządzanych przez niego ćwiczeniach harcerskich brał udział Jan Przybyła. Miarą tej przyjaźni był fakt, iż Przybyła był świadkiem na ślubie Małkowskiego z Olgą Drahonowską w dniu 19 czerwca 1913 roku. Po powrocie na Śląsk, w roku 1920 wyruszył do walki wraz z grupą knurowskich harcerzy.

W Inspektoracie Harcerskim Okręgu Górnego Śląska poznał wielu znakomitych instruktorów harcerskich, właściwie całą ówczesną śląską kadrę instruktorską, wśród nich Miłosza Sołtysa, syna Joachima, Wandę Jordanównę, Halinę Stęślicką i innych. Pełnił, po wyjeździe ze Śląska Miłosza Sołtysa, funkcję inspektora, a także mając duże doświadczenie redaktorskie po-

magał w pracach nad znakomitym pismem „Harcerzem Śląskim". Cały czas był bliskim współpracownikiem Wandy Jordanówny pełniącej aż do roku 1926 funkcję komendantki Chorągwi Śląskiej. Odznaczał się wielką aktywnością i brał udział w wielu uroczystościach harcerskich. W czasie walnego zjazdu Oddziału Śląskiego ZHP w 1927 r. Jan Przybyła wszedł w jego skład. W następnych latach prowadził w nim referat prasowy. Nawet, gdy w roku 1930 został naczelnikiem gminy Chropaczów, udzielał się nadal w Kole Przyjaciół Harcerstwa i współpracował ze Składnicą Harcerską. Za swoje zasługi dla ZHP został odznaczony przez Naczelnictwo.

We wszystkich opracowaniach o harcerstwie śląskim w okresie dwudziestolecia międzywojennego pojawia się nazwisko Jana Przybyły.

Pisarstwo

Był niewątpliwie człowiekiem piśmiennie utalentowanym. O mierze jego talentu i jego wielorakich możliwościach doskonale świadczy artykuł *Słowacki na Śląsku* opublikowany w „Zaraniu śląskim" w 1910 roku pod pseudonimem Jan Sier. Oparty na listach Juliusza Słowackiego do matki ustalał szczegóły pobytu autora *Grobu Agamemnona* w stolicy Dolnego Śląska. Przybyła był pierwszym śląskoznawcą, który zwrócił uwagę na śląski epizod w życiu Słowackiego, w zakończeniu apelował do wrocławskich studentów o odszukanie w mieście tych miejsc, w których mieszkał poeta i sfotografowanie ich, a także o zadbanie, by umieścić na nich stosowne tablice. Do tego artykułu Przybyły nawiązywali wszyscy późniejsi badacze opisujący pobyt autora *Kordiana* we Wrocławiu.

Był też autorem garści wierszy lirycznych nacechowanych szlachetną tendencją patriotyczną, z wyraźnymi wpływami małopolskimi. Nie tyle były zjawiskami artystycznymi, ile z dużą kulturą literacką wyrażały nastroje chwili, niektóre miały charakter wierszowanej publicystyki o charakterze interwencyjnym, doraźnym, jak rytmiczny, pełen humoru oberek *Kiej ostatki – to ostatki!*

Kiej ostatki – to ostatki –
Tańcz, Hakato „Abschiedstanz!"
A potem pakuj manatki,
Bo wnet znikniesz z Śląska ganz!

Pisał też krótkie, dowcipne i zabawne opowiadania, wyraźnie adresowane do ludowego odbiorcy.

W końcu trzeba też wspomnieć o dwóch książkach Jana Przybyły. W 1919 roku we Lwowie wydał niewielką książeczkę, liczącą 48 stron, pod tytułem *Z orlich bojów lotników lwowskich*. Napisana w formie gawędy opowiadała o bohaterstwie lwowskich lotników w walkach z bolszewikami. Druga, wydana w Mikołowie w roku 1920 pt. *Walka o Górny Śląsk. Od powstań do plebiscytu. Szkice i obrazki* była jedną z pierwszych publikacji o powstaniach. W jej skład wchodziło przemówienie wygłoszone przez Przybyłę w sierpniu 1919 roku we Lwowie na „wiecu śląskim" a także opowiadania i wspomnienia. Kończył ją cytowany już wyżej list do Ignacego Sikory. Dedykacja „Twardemu ludowi śląskiemu w miłości synowskiej składam" wyraźnie wskazywała adres czytelniczy – prostych, szlachetnych ludzi.

Jego dorobek w postaci wierszy, opowiadań, felietonów a także ulotek uległ całkowitemu rozproszeniu i zapomnieniu.

Wojna i tragedia rodziny Przybyłów

Zasługi Jana Przybyły były honorowane i doceniane: w 1930 otrzymał Krzyż Zasługi i Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, rok później Medal Niepodległości. W 1934 wszedł w skład Zarządu Instytutu Śląskiego, a w 1935 został posłem na Sejm Śląski. W sierpniu 1938 roku rodzina Przybyłów obchodziła srebrne wesele Jana i Marty w nowo wybudowanym domu zwanym „Przybyłówką", w Katowicach przy ulicy Kłodnickiej. Było to ostatnie szczęśliwe spotkanie rodzinne, choć wówczas nikt tego nie przypuszczał.

We wrześniu 1939 roku Przybyła musiał uciekać ze Śląska, gdyż od pierwszego dnia wojny był poszukiwany przez gestapo. Zatrzymał się w Krakowie, gdzie znalazł schronienie w domu Mieczysławy Mitery i Tadeusza Dobrowolskich (Mieczysława Mitera-Dobrowolska była później profesorem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach); udało mu się zmienić dokumenty tożsamości i występował jako Jan Miodowicz ze Lwowa.

U państwa Dobrowolskich ukrywała się wówczas większa grupa działaczy śląskich, wśród nich także Miłosz Sołtys, dowódca batalionu powstańczego w III powstaniu śląskim i wizytator szkół w Wydziale Oświecenia Publicznego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, znany historyk Franciszek Popiołek i inni. Podjęli oni wspólną działalność społeczną: zorganizowali stołówkę dla śląskich nauczycieli, starali się o zapomogi dla nich, pomagali znaleźć pracę i mieszkanie, zdobyć odpowiednie dokumenty. Przybyła podjął też działalność polityczną wiążącą się z konspiracyjną grupą „Silesia", która wydawała tajną gazetkę „Głos Ludu". Utrzymywał oczywiście kontakty ze śląskimi harcerzami, głównie Janem Grzbielą, komendantem Chorągwi Śląskiej w latach 1930-1935. Ponieważ znał perfekcyjnie język niemiecki redagował dywersyjne ulotki dla niemieckich żołnierzy, które potem kolportowali polscy kolejarze.

Oficjalnie pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej i tak pozornie bezpiecznie żył. Tymczasem jego żona – Marta – wysiedlona z Katowic – też przeniosła się do Krakowa, lecz mieszkała osobno, podobnie jak ich syn Zbigniew, który ukrywał się we wsi podkrakowskiej pod nazwiskiem Franciszka Rosa i czasem odwiedzał matkę. I tym tropem poszli Niemcy. Najpierw aresztowali Zbigniewa, potem Martę Przybyłową. Wiedząc o jej kontaktach z „Janem Miodowiczem" zatrzymali i jego. Wezwana przez Dobrowolskich córka Przybyłów, Maria, zaczęła starania o uwolnienie rodziców i sama została aresztowana. Ukrywała konsekwentnie, że Miodowicz jest jej ojcem i wkrótce została zwolniona, ale to już nie ocaliło Jana Przybyły, choć jego dokumenty były tak znakomicie podrobione, że okupanci nie orientowali się, kogo aresztowali.

Nieszczęście dopadło go, gdy 11 czerwca 1942 roku przybył do obozu Auschwitz. W obozowej kancelarii rozpoznał go strażnik, pochodzący ze Śląska. W tej sytuacji Przybyła już potwierdził swoją tożsamość, otrzymał nr 39217 i został skierowany do pracy w obozowej stajni, tam spotkał też wiceprezydenta Katowic dra Szkudlarza, który po wojnie opowiedział rodzinie o ostatnich chwilach życia Jana. 10 sierpnia został on poddany publicznej chłoście, potem zmaltretowanego wrzucono znów do stajni, gdzie zajęli się nim troskliwie współtowarzysze. Następnego dnia – 11 sierpnia stracono Jana Przybyłę w komorze gazowej. W akcie zgonu (19491 z roku 1942) jako przyczynę śmierci podano „zwyrodnienie mięśnia sercowego".

W dwa miesiące później, 11 października, w Birkenau zginęła jego żona, Marta. Dzieci Przybyłów doczekały szczęśliwie wyzwolenia.

* * *

Nestor pisarzy śląskich, Zbyszko Bednorz w pięknej wspomnieniowej książce zatytułowanej *Gniazdo wędrujące* napisał o Janie Przybyle następujące słowa: „Grupie pracujących w Wydziale Prasowym dziennikarzy przewodził sławny działacz narodowy i publicysta Jan Przybyła, rodem z Gliwic. Piękna to postać, godna trwałej pamięci w najnowszej historii Śląska i nie tylko Śląska. Już od osiemnastego roku życia (urodził się w 1884 roku) związał się z tajną organizacją polską „Eleusis" Wincentego Lutosławskiego, działającą na terenie m.in. Zabrza i Gliwic; studiował w Krakowie i Lwowie, pełnił różne funkcje społeczne i kulturalne w czasie powstań i plebiscytu, także w okresie powojennym. Jego bogate i ofiarne życie zakończyło się męczeńską śmiercią w obozie oświęcimskim w 1942 roku".

Niech ten skromny szkic będzie skromną odpowiedzią na szlachetny apel autora *Śląska wiernego ojczyźnie*.

Nowoczesne Centrum Sztuki Filmowej, które pojawiło się w miejsce „Kosmosu" na mapie Katowic, jest w symboliczny sposób syntezą filmowego Górnego Śląska. Spełnieniem postulatów tutejszego środowiska filmowego. Można powiedzieć, że Centrum, którego zaczątkiem była Filmoteka Śląska, wyrasta z tradycji filmowej regionu, a spełniło się dzięki współdziałaniu wielu środowisk i osobistości.

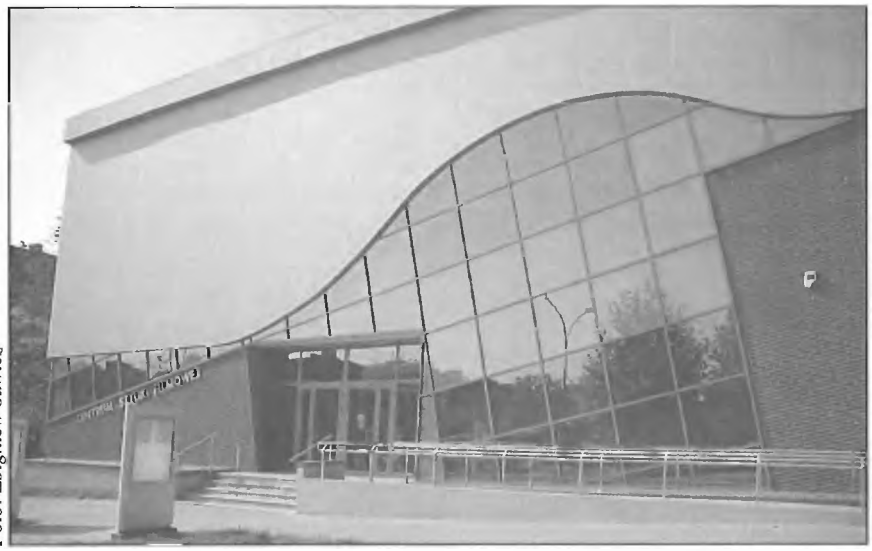


Foto: Zbigniew Sawicz

Centrum Sztuki Filmowej – dzieje idei

JAN F. LEWANDOWSKI

Szukając genezy Centrum Sztuki Filmowej trzeba sięgnąć do tradycji Śląskiego Towarzystwa Filmowego założonego w 1981 roku pod prezesurą Kazimierza Kutza, które już wtedy występowało z podobnymi postulatami. Jeszcze wcześniej idea regionalnego ośrodka filmowego pojawiała się w zamierzeniach Kutza jako twórcy i kierownika artystycznego Zespołu Filmowego „Silesia" w Katowicach w latach siedemdziesiątych. Nic zatem dziwnego, że już w pierwszych deklaracjach Śląskiego Towarzystwa Filmowego z 1981 roku znajdujemy zamierzenia określające aspiracje rodzącego się na Górnym Śląsku środowiska filmowego na całe dziesięciolecia. Zamierzenia, które doczekały się spełnienia dopiero po latach – w kompleksie unikatowego Centrum Sztuki Filmowej.

Z protokołów ŚTF

Gdy sięgnąłem teraz do pożółkłych papierów Śląskiego Towarzystwa Filmowego, natknąłem się natychmiast na dokumenty, które projektują dzisiejsze cele działalności Centrum Sztuki Filmowej, a nawet antycypują obecne cele statutowe Instytucji Filmowej „Silesia Film".

Tak więc w protokole nadzwyczajnego walnego zebrania członków ŚTF w dniu 22 czerwca 1981 roku (miesiąc po założeniu stowarzyszenia) zapisano, iż w dyskusji postulowano m.in. „założenie w Katowicach przy Towarzystwie filii Filmoteki Polskiej", a także „zgromadzenie wszystkich edycji Polskiej Kroniki Filmowej o Śląsku", nawet dosyć zaborcze „przejmowanie przez Towarzystwo taśm archiwalnych z Telewizji w Katowicach", a na dodatek jeszcze „realizację przez Towarzystwo filmów dokumentalnych o Śląsku". A pod tym podpisy członków zarządu: Jana Janusza Bujaka, Grażyny Fudali, Andrzeja Gwoździa, Edwarda Kabiesza, Kazimierza Kutza i Jana F. Lewandowskiego.

Z kolei w projekcie struktury organizacyjnej Śląskiego Towarzystwa Filmowego z 2 lipca 1981 roku pojawiła się po raz pierwszy Filmoteka Śląska, dla której wyznaczono wtedy trzy zadania: gromadzenie silesianów filmowych i zabytków filmowych, prowadzenie archiwum filmów związanych z regionem i badania nad przeszłością filmową regionu.

Dziwne wrażenie. Bo czytając teraz te stare projekty sprzed ćwierćwiecza miałem wrażenie, że sam to wtedy napisałem, na mojej własnej maszynie do pisania typu Łucznik.

Zamysły ŚTF szły daleko, lecz realia nie pozwalały na wiele. Zwłaszcza, że w okresie stanu wojennego stowarzyszenie zostało na długo zawieszone. W efekcie otwarcie Klubu Filmowca w Katowicach przy ul. Szafranka (w 1984 roku) było tylko częściową realizacją pierwotnych planów. Do tego dochodziły nieustanne walki o stabilizację lokalową, ograniczające energię pionierskiego gremium zabiegającego o interesy filmowe w regionie.

Niemniej w latach osiemdziesiątych Klub Filmowca przy Szafranka 9 stał się nie tylko kinem z ambitnym programem, lecz w równej mierze miejscem znanym w kręgu kultury niezależnej. Jednak warunki lokalowe stwarzały ograniczenia. Zarówno w kręgach ówczesnej władzy, jak i w samym Towarzystwie, rodziły się pomysły przeniesienia siedziby ŚTF wraz z działalnością w inne miejsce.

Dom Kultury Filmowej

Jedna z tych propozycji, z połowy lat osiemdziesiątych, skonkretyzowała się w pomyśle Domu Kultury Filmowej w budynku po Małej Scenie Teatru Śląskiego przy dzisiejszej ulicy Staromiejskiej (ówczesnej Wieczorka). Propozycja przeniesienia wyszła ze strony władzy katowickiej. Nie pamiętam dlaczego nie doszło do jej sfinalizowania, może dlatego, że nieufne wobec komunistycznej władzy stowarzyszenie zażądało istotnej gwarancji stabilizacji lokalowej w ewentualnej nowej siedzibie, a władza nie potrafiła jej udzielić.

Sprawa się wkrótce rozmyła, lecz pozostała w papierach koncepcja Domu Kultury Filmowej w Katowicach przy Wieczorka z dwoma salami kinowymi, biblioteką i czytelnią filmową, nawet montażownią i także – co oczywiste – Filmoteką Silesianów.

„Dom Kultury Filmowej – pisali działacze stowarzyszenia – widzimy jako wielofunkcyjną placówkę kulturalną służącą zarówno środowisku filmowemu na Śląsku, a szczególnie w Katowicach, jak również przede wszystkim społeczeństwu, czyli licznej rzeszy zwyczajnych miłośników sztuki filmowej. Byłaby to placówka prowadząca działalność dla wszystkich zainteresowanych. Byłaby ona finansowana ze stałej dotacji przekazywanej specjalnie w tym celu Towarzystwu z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury. Sądzimy, że zarówno w fazie projektowania przyszłego Domu Kultury Filmowej, jak również jego urządzania, a następnie w prowadzeniu działalności powinno uczestniczyć Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Katowicach".

Ta szczegółowo rozpisana na wielu stronach koncepcja przypomina dzisiejsze założenia Centrum Sztuki Filmo-

wej. Jednak w ówczesnych realiach ognia z wodą połączyć się nie dało. Między niezależnym stowarzyszeniem, powiązanym osobami liderów z opozycją, a komunistyczną wtenczas instytucją przepaść była tak wielka, że sensowne koncepcje pozostały tylko w papierach, by zmaterializować się dopiero w Polsce niepodległej.

Centrum w „Zorzy"?

Jednak raz wyartykułowana idea regionalnego ośrodka filmowego, wypracowana w kręgu Śląskiego Towarzystwa Filmowego, nie zaginęła, by powracać odtąd przy najrozmaitszych okazjach. Już z początku lat dziewięćdziesiątych pochodzą memoriały kolejnych zarządów ŚTF postulujące utworzenie Górnośląskiego Centrum Filmowego i oczywiście – po raz kolejny – Filmoteki Silesianów, które i wtedy – już z innych powodów – nie natrafiły na sprzyjającą ich realizacji atmosferę.

Pamiętam, że przez moment – było to w 1993 roku – wydawało się realne Górnośląskie Centrum Filmowe w kompleksie kinowym „Zorzy" przy ulicy Matejki, znajdującym się wówczas w długotrwałym remoncie. Kolejna inicjatywa ŚTF, kierowana tym razem do władzy katowickiej, postulowała utworzenie profesjonalnej instytucji upowszechniania kultury nastawionej na popularyzację sztuki filmowej, wzorowanej na podobnych instytucjach europejskich finansowanych z reguły przez samorządy lokalne. Jednak rozmowy rozbiły się o kwestie własnościowe budynku Domu Powstańca Śląskiego, zaś jego właścicielem był postkomunistyczny Związek Bojowników o Wolność i Demokrację.

Jak dzisiaj wiemy, sale kinowe „Zorzy" zostały później zamknięte, a w ich miejscu pojawiły się kluby muzyczne.

Filmoteka Śląska

Z nową inicjatywą, tym razem Filmoteki Śląskiej, wystąpił w 1997 roku kolejny zarząd Śląskiego Towarzystwa Filmowego pod prezesurą reżysera Wojciecha Sarnowicza, w specjalnym memoriale rozkolportowanym wtedy szeroko w kręgach opiniotwórczych.

„Niedawna rocznica stulecia kina – czytamy w nim – sprowokowała nasze środowisko do refleksji na temat filmów związanych z regionem, przy czym chodzi zarówno o filmy fabularne, jak i dokumentalne, a także luźne materiały filmowe rejestrujące wydarzenia z przeszłości. Okazuje się, że tych filmów i materiałów nakręcono sporo, lecz pozostają one często niedostępne dla zainteresowanych, a nieraz niszczeją bezpowrotnie (np. filmy amatorskie). Jak dotąd żadna placówka naukowa czy muzealna w naszym regionie nie zajmuje się gromadzeniem i opracowaniem filmów, które są cennym materiałem historycznym, przydatnym dla celów naukowych oraz edukacji regionalnej".

Za tym memoriałem poszły wtedy rozmowy działaczy ŚTF z Wydziałem Kultury Urzędu Marszałkowskiego, Biblioteką Śląską, a także Instytucją Filmową „Silesia Film", wtedy jeszcze państwową. W tym okresie idea Filmoteki Śląskiej zyskiwała wszędzie przynajmniej werbalne poparcie. Potrzeba jej utworzenia została przykładowo podkreślona w uchwale programowej Kongresu Kultury na Górnym Śląsku w Katowicach w 1998 roku, a potem znalazła swoje miejsce w Strategii Rozwoju Województwa Śląskiego na lata 2000-2015.

Muszę tu wspomnieć, że kiedy w 1997 roku znalazłem się w Instytucji Filmowej „Silesia Film", to trafiłem tam wraz z wypracowaną wcześniej w Śląskim Towarzystwie Filmowym koncepcją Filmoteki Śląskiej. Może nawet znalazłem się tam właśnie dzięki niej. W każdym razie udało mi się wprowadzić hasło Filmoteki Śląskiej do programu Instytucji. Z czasem idea Filmoteki Śląskiej stała się zasadniczym fragmentem programowym Instytucji Filmowej „Silesia Film", która po reformie samorządowej w 1999 roku stała się instytucją o wyraźnie zarysowanych celach regionalnych. Zarazem w podziemiach należącego do niej kina „Kosmos" znajdowały się spore zasoby kopii klasyki filmowej polskiej i zagranicznej, które mogły posłużyć za podstawę filmotecznych zbiorów.

W ten sposób 24 października 2000 roku doszło do otwarcia Filmoteki Śląskiej w „Kosmosie", co było pierwszym krokiem do stworzenia filmoteki regionalnej z prawdziwego zdarzenia. W tym okresie zamierzenie to uzyskało już poparcie zarządu województwa śląskiego, a także wielu środowisk naukowych, kulturalnych i twórczych. Dzięki temu namiastka prawdziwej filmoteki mogła zyskiwać powoli nowe szanse materializacji – właśnie w ramach Instytucji Filmowej „Silesia Film".

Od „Kosmosu" do CSF

Tymczasem w latach dziewięćdziesiątych zmieniała się ranga filmu na Górnym Śląsku. Zaczęły ją określać już nie tylko klasyczne dzieła Kutza, lecz także nowe filmy Lecha Majewskiego, dokumenty Wojciecha Sarnowicza, Adama Sikory, jak również wielu twórców z kręgu Telewizji Katowice. Dzięki obecności Wydziału Radia i Telewizji pojawiły się nowe nazwiska znaczących reżyserów w fabule, z Michałem Rosą, Maciejem Pieprzycą i Magdaleną Piekorz na czele. Tutejsze środowisko filmowe zaczęło być zauważalne w kraju, a coraz to więcej filmów kręconych na Górnym Śląsku oznajmiało atrakcyjność regionu jako scenerii filmowej.

Działania promujące kino śląskie prowadzone przez Instytucję Filmową „Silesia Film" (m.in. w Klubie Filmowym „Silesia" przy Górniczej) w naturalny sposób wiązały to środowisko z jej zamierzeniami. Z dawnej instytucji zajmującej się głównie administrowaniem kinami „Silesia Film" przekształcała się powoli w instytucję kultury filmowej, a szczególnie promocji kina śląskiego, cokolwiek by to pojęcie nie znaczyło. Nic dziwnego, że zapanowała wokół niej pozytywna atmosfera sprzyjająca nowym projektom. Właśnie takim jest Centrum Sztuki Filmowej...

Było też rzeczą oczywistą, że pojedyncze kina katowickie, jak „Rialto" czy „Kosmos", nie utrzymają się w dotychczasowej formule komercyjnej, gdy wokoło zaczęły wyrastać multikina z kilkunastoma salami. Potrzebna była zmiana myślenia. W ten sposób kino „Kosmos", gdzie funkcjonowały zaczątki Filmoteki Śląskiej, stało się idealnym miejscem na zamierzone przedsięwzięcie.

Z kolei nowe możliwości pojawiły się w momencie wejścia Polski do Unii Europejskiej, gdy ruszyły programy wspierania rozwoju regionalnego. Po prostu „Silesia Film" dysponująca budynkiem „Kosmosu" i projektami jego przebudowy na siedzibę Filmoteki Śląskiej była gotowa do podjęcia wezwania. A nowe możliwości finansowania inwestycji ze środków unijnych pozwoliły poszerzyć zadania projektowanej placówki o funkcje produkcyjne. Nie trzeba było specjalnie niczego wymyślać od nowa, skoro wszystkie zadania Centrum Sztuki Filmowej zostały już zapisane dawno, dawno temu w programach Śląskiego Towarzystwa Filmowego.

Jest rzeczą niezwykłą, że ta środowiskowa idea zmaterializowała się otwarciem CSF 6 października 2006 roku.

■



Foto: Zbigniew Sawicz

Drzewa w mieście

Takich magicznych, o których pisał Leopold Staff słowami: „O cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa", w miastach prawie już nie ma. Zagonieni, nawet tego nie zauważamy. Chyba że długie szpalery uschniętych drzew – patyków, wzdłuż przelotowych ulic na przykład Katowic, wreszcie zakłują nas w oczy....

Zanieczyszczone ponad wszelkie normy i miary miasta są trudnym środowiskiem dla drzew. Stają się one coraz bardziej rachityczne, z coraz większym wysiłkiem adaptują się w miejskich warunkach. Ale i takie są bezcenne. Na miarę swojej biologicznej wydolności uzdrawiają krajobraz aglomeracji. Oczyszczają powietrze. Poprawiają mikroklimat betonowych przestrzeni. Chronią przed upałami latem i wiatrami w dni chłodniejsze. Dzielą się z nami swoją dobroczynną energią.

Stuletni buk potrafi „wyprodukować" 1200 litrów tlenu w ciągu jednej godziny. Zastąpić go może dopiero 2700 młodych, zdrowych drzewek. Jedno wysokie drzewo usuwa dziennie ze swojego otoczenia tyle samo dwutlenku węgla, ile dostarczają go do atmosfery dwa jednorodzinne domy.

Praktyczni Amerykanie wyliczyli, że pojedyńcze drzewo w czasie swojego pięćdziesięcioletniego życia dostarcza tlen o wartości ponad 31 tys. dolarów! Bo rosnące drzewa pozwalają również oszczędzać energię. W upalne dni uwalniają do powietrza 450 litrów wody dziennie. Tyle trzeba jej zużyć na pracę pięciu dużych klimatyzatorów, pracujących przez 20 godzin na dobę, po to, by obniżyć temperaturę o kilka stopni Celsjusza.

Wysokie drzewa są naturalną osłoną przeciwwiatrową, pozwalającą zmniejszyć koszty ogrzewania domów o 20, 30 proc. Mimo to od lat są

Niszczone

nie tylko przez wandali.

Mniej więcej w latach sześćdziesiątych minionego wieku w większości miast polskich dość powszechnie zrezygnowno z fachowej pielęgnacji drzew. Nie tylko tych przydrożnych. Także tych na ulicach, skwerach, a nawet w parkach. Miały rosnąć, jak dawniej, same. Siłami natury. Najsilniejsze doczekały sędziwej starości. Ale też sporo zdrowych, pięknych drzewostanów miejskich trafiało i nadal trafia pod topór. Decydują o tym nie tylko racje rozwojowe miast. Wystarczają też błahe powody jak: nadmierne zaśmiecanie liśćmi ulic, stwarzanie niebezpieczeństwa pędzącym po drogach wbrew przepisom kierowcom czy zapotrzebowanie na drewno.

Drzewa wycina się szybko, rosną powoli. Mimo to, zdrowe topole i lipy, jesiony, dęby i inne każdego niemal dnia znikają coraz szybciej z miejskiego pejzażu. Tak, jakby nie było nad nimi ani prawnej, ani gospodarskiej kontroli. Pozostają właściwie

Bez ochrony

Dotyczy to nie tylko nagminnej wycinki drzew. W jeszcze większym stopniu ich taśmowej, byle jakiej, wręcz zabójczej dla ich trwania, pielęgnacji w nieprzyjaznych warunkach ekologicznych aglomeracji..

To paradoks. Im więcej wiemy o drzewach i środowisku naturalnym także w miastach, tym gorzej je traktujemy. Jak rzeczy w konsumpcyjnym świecie, które mogą być szybko zastąpione innymi. Sadzenie i pielęgnowanie drzew za nasze pieniądze powierza się firmom, ludziom, którzy nie mają o ogrodniczej sztuce przysłowiowego, „zielonego pojęcia".

Kasztany sadzą obok wierzby, agresywne topole w takiej odległości od budynków, by zaraz trzeba było je wycinać, wiotkie jeszcze sadzonki młodych drzewek tuż przy przelotowej drodze. Taka praca z góry skazana jest na niepowodzenie, gdy tylko zacznie się zimowe solne odśnieżanie.

Młode drzewka, posadzone wiosną w Katowicach wzdłuż drogi dojazdowej z ulicy Chorzowskiej do Gliwickiej nie doczekały nawet zimy. Pozbawione życiodajnego podłoża normalnej gleby, uschły podczas letnich upałów. Dzisiejsze praktyki pielęgnacyjne nowo sadzonych drzew nie przewidują ich podlewania! Nie ma też nakazu, by „zakotwiczać" drzewa w głębokich dołach, wypełnionych żyźniejszą niż ta z gruzem budowlanym i różnej maści odpadami, ziemią. By takie młode, słabe drzewko odpowiednio zabezpieczyć.

Bez praw

Prawo nie zakazuje też ogławiania drzew czyli pozbawiania ich całej zielonej korony, najcenniejszego aparatu asymilacyjnego. Bez niego żadne drzewo nie pełni swoich funkcji. Ani przyrodniczych, ani ekologicznych. Ten kosztowny zabieg stał się u nas ostatnio bardzo modny, choć dobrze wiadomo, że jest dla drzew zabójczy. Coraz rzadziej można spotkać w miastach młode drzewka, posadzone zgodnie z dendrologiczną sztuką.

Zabytkowy, niewielki Park Róż w Chorzowie zachwyca swoimi różami i stawami, a przede wszystkim starymi drzewami. Dobierali je i sadzili przed dziesiątkami lat znawcy sztuki dendrologicznej. Pod tymi badylami, które posadzono na obrzeżu tego parku, wzdłuż zaaranżowanej drogi komunikacyjnej, winny podpisać się z imienia i nazwiska osoby, nadzorujące to ogrodnicze „dzieło". I to szybko. Bo kilkumetrowej wysokości patyki bez gałązek, bardzo płytko wsadzone do ziemi, w przypadkowej od siebie i innych drzew odległości, wiosny już nie doczekają.

Sytuacja jest na tyle poważna, że w sprawie skandalicznej pielęgnacji drzew w miastach i przydrożnych oraz ich bezkarnej wycinki wszczęto społeczny

Alarm

Dendrolodzy ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Instytutu Dendrologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku oraz pracownicy uniwesytetów i wielu ogrodów botanicznych, ślą nie tylko ostrzeżenia. Przygotowują ekspertyzy, piszą artykuły, przypominają zasady postępowania z drzewami w trudnych warunkach aglomeracji miejskich. Ostre stanowisko w tej kwestii zajął Polski Klub Ekologiczny.

W województwie śląskim, dzięki aktywności Polskiego Klubu Ekologicznego Okręgu Górnośląskiego odbyło się niedawno w Tychach seminarium, poświęcone temu problemowi. Przybyli na nie z wielu gmin urzędnicy, zajmujący się zielenią, pracownicy spółdzielń mieszkaniowych, leśnicy, dendrolodzy i zainteresowani mieszkańcy.

Zdaniem architekt Ewy Dziekońskiej, prezes Kola Miejskiego OG PKE w Tychach, w tym przyjaźnie dla ludzi i przyrody zaprojektowanym mieście, drzewa mają lepsze warunki do wegetacji niż te ze ścisłego centrum górnośląskiej aglomeracji. Ale o to dobrodziejstwo trzeba dbać, by tej wyjątkowej spuścizny nie zmarnować. Nietrudno o to, co widać wokół.

Zła pielęgnacja kaleczy drzewa. Przyśpiesza ich zamieranie. W Anglii, Niemczech, Skandynawii czy nawet bliskiej nam Słowacji takie praktyki są zabronione!

JOLANTA KARMAŃSKA

Ważne pytania

Rozmowa
z doc. dr LIDIĄ SIEJĄ,
z Instytutu Ekologii Terenów
Uprzemysłowionych
w Katowicach



Zasypią nas?

Śmieci nas zasypują. Rosnąca ich ilość nie mieści się w społecznej wyobraźni. Ile odpadów komunalnych powstaje każdego roku?

W Polsce 12 milionów ton rocznie. W województwie śląskim „produkujemy" 1,5 mln ton tylko odpadów komunalnych. Na statystycznego mieszkańca województwa śląskiego, zamieszkiwanego przez 4,7 mln osób, przypada ich ponad 350 kg. Jedna trzyosobowa rodzina pozbywa się każdego roku średnio prawie jednej tony odpadów. I nie są to liczby ostateczne. Bez mała trzecia część powstających odpadów komunalnych jest poza ewidencją gmin i statystyk. Trafiają na dzikie wysypiska i do domowych palenisk.

To ogromny problem. Dotyczy i ilości wytwarzanych odpadów komunalnych i prymitywnego sposobu ich unieszkodliwiania. Blisko 94 proc. odpadów komunalnych, wywozi się w stanie surowym na składowiska. Najgroźniejsza sytuacja jest w centralnej części aglomeracji. Na zaledwie 10 proc. powierzchni województwa, którą zamieszkuje w 16 miastach aż 2 mln mieszkańców. Tu powstaje połowa wszystkich, śląskich odpadów komunalnych. Jak sobie z nimi radzić? W zdegradowanym krajobrazie przemysłowym miast, pełnym powęglowych i pohutniczych hałd, nie da się w nieskończoność budować uciążliwych dla otoczenia, tradycyjnych składowisk odpadów komunalnych.

– Co się z nimi obecnie dzieje?

– Deponowane są na 39 komunalnych składowiskach, na powierzchni 280 hektarów. Zgromadzono ich tam dotąd około 16 mln ton. To nie wszystko! Ogromne ilości odpadów komunalnych zalegają też na 38 wysypiskach zamkniętych ze względów ekologicznych. Będzie ich przybywać. Składowiska nie spełniające norm unijnych i polskiego prawa czyli wymagań ekologicznego bezpieczeństwa, muszą być do 2009 roku zamknięte! Sporo z tych użytkowanych obecnie, takich norm nie spełnia. W przyszłym roku zapadną decyzje o ich wyłączeniu z użytkowania.

– To może spowodować śmieciowy paraliż, nowe zagrożenie...

– Każde tradycyjne składowisko odpadów komunalnych w mniejszym lub większym stopniu zagraża środowisku. Decyduje o tym stopień jego zabezpieczenia oraz ilość i skład morfologiczny deponowanych odpadów komunalnych. One ciągle się zmieniają. Wraz z postępem cywilizacyjnym, przyzwyczajeniami, wyższym poziomem życia, coraz wymyślniejszymi opakowaniami, nowymi nawykami. Inne są na wsi, inne w miastach.

Odpady miejskie są w 70 proc. odpadami palnymi. Połowa palnych odpadów to substancje organiczne, które łatwo się rozkładają i przenikają do gleby, wody, powietrza. Niszczą florę i faunę. Trują środowisko!

Nie da się dalej w ciasnej, skażonej śląskiej przestrzeni budować kolejnych, tradycyjnych wysypisk. Nie tędy droga. Trzeba zmniejszać objętość odpadów. Poprzez selektywną zbiórkę, odzysk surowców wtórnych, kompostowanie czy termiczne przekształcanie. Przykłady z innych państw są zachęcające. Przyjazne środowisku zachodnie kraje europejskie przetwarzają przed składowaniem do 60 proc. odpadów, my zaledwie kilka procent. Na przykład w Niemczech statystyczny obywatel selekcjonuje rocznie 80 kg odpadów (papier, szkło, plastik, metale, substancje organiczne). Czech już tylko 20 kg, mieszkaniec Polski zaledwie 6 kilogramów!

W tej dziedzinie mamy wiele do zrobienia. W 2010 roku będziemy rozliczani z unijnych zobowiązań. Do tego czasu winniśmy w województwie śląskim m.in. zwiększyć z 50 do 250 tys. ton rocznie przerób odpadów ulegających biodegradacji. W 2013 roku do kompostowni lub zakładów termicznego przekształcania musi trafiać już dziewięciokrotnie więcej odpadów komunalnych niż obecnie. Podobnie wygląda sytuacja w całym kraju. Niestety, przez ostatnie lata, mimo uchwalonego krajowego planu gospodarki odpadami, jej porządkowanie stanęło w miejscu. Także u nas, na Śląsku.

– Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowionych jest współautorem strategicznego krajowego planu gospodarki odpadami, także w wersji dla województwa śląskiego. Co z niego wynika?

– Obowiązek utworzenia nowoczesnego, wielofunkcyjnego systemu gospodarki odpadami komunalnymi, zgodnie ze standardami Unii Europejskiej. Konkretnie, taki plan dla województwa śląskiego przewiduje budowę do 2013 roku dwóch najnowszej generacji instalacji termicznego przekształcania odpadów. Trzy lata już straciliśmy. Obiekty tego typu powstają 8 lat! A przecież to nie jedyne inwestycje. Na Śląsku ma powstać jeszcze 8 regionalnych zakładów gospodarki odpadami. Do odzyskiwania i unieszkodliwiania odpadów biodegradowalnych oraz segregowania wielogabarytowych, budowlano-remontowych i niebezpiecznych.

– Zdążymy na czas z tymi inwestycjami, mamy na nie pieniądze?

– Jesteśmy mocno spóźnieni, za co grożą wysokie kary. Kolejne, duże pieniądze możemy stracić jeśli nie przygotujemy dobrych projektów, na które są zagwarantowane fundusze unijne. Mogą one pokryć do 80 proc. kosztów tych inwestycji. Wspiera je również priorytetowo Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Unowocześnianie gospodarki odpadami budzi też zainteresowanie biznesu.

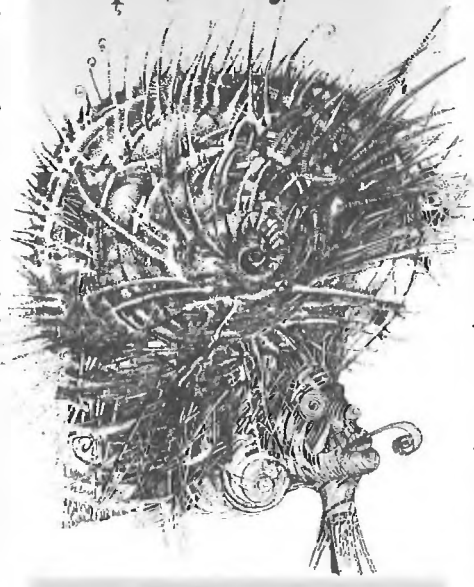
– Budzi też niepokój mieszkańców projektowanym spalaniem odpadów w sąsiedztwie ich miejsc zamieszkania...

– W Europie odpady komunalne spala się od stu lat. Dzisiejsze obiekty termicznego ich unieszkodliwiania są wyposażone w szóstą już generację, bezpiecznych dla środowiska i ludzi, urządzeń. Wiele z nich m.in. w Wiedniu czy w niektórych miastach Szwajcarii, pracuje blisko centrów miast. Nie budzą emocji.

My tymczasem tolerujemy dzikie, często toksyczne wysypiska w lasach i na innych zielonych terenach. Spalamy w domowych paleniskach śmieci, które w postaci najgroźniejszych trucizn ulatują niskimi kominami. Musimy mieszkańcom aglomeracji tłumaczyć, co naprawdę jest groźne. Edukować nie tylko dzieci, ale przede wszystkim dorosłych, polityków. Mobilizować samorządy do przygotowywania wspólnych rozwiązań. Bez ich szybkiego porozumienia w województwie śląskim, lawina toksycznych śmieci może nas niebezpiecznie osaczyć.

Rozmawiała:
JOLANTA MATIAKOWSKA

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Gerard Cieślik – Chorzów – Hajduki

Redaktor naczelny katowickiego „Sportu" Rafal Zaremba napisał książkę pt. *Gerard Cieślik. Urodzony na boisku* (Chorzów 2006) z moim słowem wstępnym poświęconym – nietrudno się domyślić – największej sportowej fascynacji, jaką był dla nas wszystkich w latach powojennych legendarny napastnik chorzowskiego Ruchu.

W *Śląskiej ojczyźnie polszczyźnie* chciałbym się zająć imieniem i nazwiskiem piłkarza 50-lecia oraz nazwami miejscowymi z nim związanymi.

Imię **Gerard** należy do germańskiego szeregu z drugim członem **hard** – „siła, silny, mężny, trwały, mocny" (por. **Bernard, Ryszard, Medard**). Ponieważ pierwsza cząstka morfologiczna – **ger** – to tyle co „oszczep", nietrudno się domyślić, że etymologiczne znaczenie **Gerarda** określić można jako „silny, mężny oszczepnik" (**Bernard** – „ten, kto ma niedźwiedzią siłę", bo **bero** to w starogermańskim „niedźwiedź"; **Ryszard** – „silny, odważny władca", bo **rik** to „władca, książę, król"; **Medard** – „silny mocą", bo pierwszy człon jest kontynuantem cząstki **maht** „męstwo, potęga, moc").

Polskie źródła poświadczają naszą formę w wielu postaciach od XIII wieku – nie tylko w tej obecnie wyłącznej **Gerard** (1202), ale i **Jerard** (1415), **Gerad** (1272), **Gerhard** (1210), **Girard** (1339), **Girhard** (1412). Dziś imię **Gerard** należy do bardzo rzadkich. Warto jednak wiedzieć, że takie nazwiska jak **Gierut, Gierak** czy **Gierek** są dawnymi formacjami wywiedzionymi od imienia **Gerard.**

Jego węgierską odmianą fonetyczną jest **Gellert** – z typowym rozpodobnieniem (dysymilacją) spółgłosek **r – r** na **l – r** (por. pary niemiecko-polskie typu **Vorwerk – folwark, Barbier – balwierz, Rothgiesser – ludwisarz**). Imię to nosił patron znanej budapeszteńskiej góry, urodzony w Wenecji około roku 980. W roku 1030 objął on nowo utworzone biskupstwo w Csanad (Marosvar, dziś diecezja szegedyńska). Zginął jako męczennik, napadnięty przez zrewoltowanych pogan, gdy we wrześniu 1046 roku jechał z Csanad do Szekesfehervar na spotkenie z królem Andrzejem. Był najpierw torturowany, a potem strącony w beczce do Dunaju ze stromej góry noszącej dziś jego imię. Został kanonizowany przez papieża Grzegorza VII w roku 1083.

Wracając zaś do przywołanej wyżej mozaiki postaci brzmieniowych imienia **Gerard,** chciałbym dodać, że można o niej mówić jeszcze dziś. Pamiętam rok 1970 we Wrocławiu – mecz oldbojów Ruchu i Ślęzy na stadionie koło Ogrodu Zoologicznego i rozmowy chorzowian w drodze do szatni po pierwszej połowie. To, że ich kapitan jest pieczołowicie pilnowany przez defensorów Ślęzy, skomentowali zdaniem: „Gerata bardzo trzimią" (typowo śląskie-staropolskie „trzi-", a nie „trzy-").

– A więc nie „Gerard", ale „Gerat" – z ubezdźwięcznioną na końcu spółgłoską, przeniesioną do biernika „Gerata".

A o czym świadczy ciągle dość popularne na Śląsku zdrobnienie **Hadek** – ze swojskim przyrostkiem **„-ek"**? – O kolejnej mutacji fonetycznej naszego imienia, a mianowicie **Gerhad,** od której wywiedziono **Hadka.** Według tej samej zasady odrzucenia pierwszej sylaby **(Gerhad – Had – Hadek)** Ślązacy urabiają jeszcze charakterystycznego **Zefla, Zeflika** – od hebrajskiego **Józefa** („niech Jahwe przyda, pomnoży") i **Bercika** – od germańskich imion **Norbert, Herbert, Hubert (Norbert** – dosłownie „sławny na północy": **nord** „północ", **beraht** „sławny"; **Herbert** – „sławny pan": **heri** „pan, władca"; **Hubert** – „słynący umysłem": **hugu** „rozum, umysł").

Przejdźmy do nazwiska **Cieślik.** Jego etymologia jest oczywista, bardzo przejrzysta. Urobione od **cieśli,** tworzy ono wielką rodzinę wyrazową wraz z takimi postaciami, jak **Cieślak, Cieślakiewicz, Cieślakowski, Cieślan, Cieślar, Cieślarczyk, Cieślewicz, Cieślica, Cieślicz, Cieśliczko, Cieślikiewicz, Cieślikowski, Cieśluk, Cieślukowski, Ciesiel, Ciesielski, Ciesielczak, Ciesielczuk, Ciesielczyk, Ciesielka, Ciesiołka, Ciesiółka, Ciesiulka, Ciesiołkiewicz.**

Nazwisko **Cieślik** większość Polaków natychmiast kojarzy z **Chorzowem** – nazwą miejscową notowaną od XIII wieku w postaciach **Charzew, Charzow:** 1257 **Chareu, Charzew,** 1299, 1653, 1783 **Charzow.** Jak widzimy, jeszcze w II połowie XVIII stulecia tkwi w tej nazwie pierwotna samogłoska **„a".** Ale w wieku tym zaczyna się jednak zarazem utrwalać obowiązująca dziś forma **Chorzów** – z wtórną samogłoską **„o",** powstałą na skutek podniesienia niskiej pod względem położenia języka samogłoski **„a"** do **„o"** pod wpływem następującej spółgłoski **„rz"** lub przez skojarzenie z wyrazem chory.

A jaka jest etymologia **Charzewa, Charzowa** – dzisiejszego **Chorzowa?** – Nazwa ta została utworzona za pomocą przyrostka **-ew//-ow** od imienia **Charz,** ono zaś jest skróceniem-zdrobnieniem od hebrajskiego **Zachariasza (Zekkarjah** – „pamięć Jahwe, Jahwe pamięta").

Starzy kibice i wszyscy chorzowianie doskonale wiedzą, że dzisiejszy Chorzów Batory, z którym związany jest klub sportowy Ruch, to dawne **Hajduki** („Hajduczanin" to tytuł popularnego miesięcznika wydawanego pod red. dra Jacka Kurka dla społeczności tej części miasta). **Hajduki** zaś – tak jak **Bobrowniki, Łagiewniki** czy **Piekary** – są typową tzw. nazwą służebną, pierwotnym określeniem ludzi – „sług dworskich", pochodzącym od węgierskiej formy liczby mnogiej **hajduk** znaczącej tyle co „żołnierze" (pozostałe trzy nazwy służebne oznaczały kolejno „łowców bobrów", „producentów łagwi, czyli beczek, baryłek do napojów" oraz „producentów pieczywa").

Kończąc słowo wstępne do przywołanej dzisiaj książki Rafała Zaremby, napisałem: „Powtarzam z pełnym przekonaniem i z potrzeby serca za Kazimierzem Kutzem, że jest Pan, Panie Gerardzie, takim człowiekiem, już dzisiaj bardzo rzadkim, że jak się z Panem rozmawia, jak się na Pana patrzy i myśli się o tym, co Pan mówi, to łatwiej jest znosić życie, wszystko nagle nabiera lepszego sensu. Jest Pan jak dobre lekarstwo na całe to współczesne zdziczenie, nie tylko w piłce. Jest Pan wspaniałym człowiekiem, Panie Gerardzie!". Myślę, że pod tymi słowami podpisaliby się wszyscy znający postawę Gerarda Cieślika na piłkarskim boisku i poza nim. ■

Poczet dowódców powstań śląskich



Karol Grzesik

(1890-1939)

Karol Grzesik pozostał przez całe życie takim człowiekiem, jakim ukształtowała go młodość. Był Górnoślązakiem z krwi i kości, ziemia rodzinna oddziałała silnie na jego osobowość. Urodził się w biednej rodzinie chłopskiej 30 V 1890 r. we wsi Siedliska koło Raciborza, jako syn Franciszka i Albiny z Kocurów. Cechy charakteru, poglądy i przekonania Karola kształtowali rodzice, przede wszystkim ojciec. Matka była kobietą zrównoważoną, silną wewnętrznie, głęboko wierzącą. Po ukończeniu miejscowej szkoły ludowej, w 1904 r. podjął pracę jako robotnik budowlany. Po trzech latach rozpoczął naukę w prywatnej szkole w Gliwicach. W 1908 r. został przyjęty do Gimnazjum św. Marcina we Wrocławiu. Egzamin maturalny złożył w 1914 r. w brandenburskim gimnazjum w Schwedt. Dalszej edukacji przeszkodził wybuch wojny. Na nic się zdały manifestacje europejskich socjalistów pod hasłami: „Niech żyje pokój!", „Braterstwo ludów" i „Republika powszechna". W sierpniu 1914 r. ruszyła do walki wielomilionowa armia Wilhelma II, a w jej szeregach, jako żołnierz 54 Pułku Piechoty, został wysłany nad Sommę m.in. Karol Grzesik. W kwietniu 1915 r. jego jednostkę przerzucono na front wschodni i bił się pod Gorlicami, a następnie uczestniczył w walkach na Polesiu. Wówczas zwrócono uwagę na jego zdolności dowódcze i został skierowany na kurs oficerski. W listopadzie 1916 r. ponownie otrzymał przydział mobilizacyjny na front zachodni, gdzie dotrwał do zakończenia działań militarnych. W końcu 1918 r. został zdemobilizowany w stopniu porucznika artylerii. Jeszcze w okresie wojny korzystając z ulg dla kształcącej się młodzieży rozpoczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim. Wówczas też podjął pracę niepodległościową w konspiracyjnej organizacji Związek Młodzieży Polskiej „Zet".

Młodego Karola wciągała coraz bardziej polityka. W rozmowach z ojcem, podczas dyskusji z przyjaciółmi kształtował się jego widnokrąg polityczny i społeczny. Nierozłączna sprawa Śląska i Polski stała się celem jego życia. Wierzył w postęp, powszechne braterstwo i związek wolnych ludów, głęboko tkwił w sprawach narodowych. Po powrocie z wojny do rodzinnych Siedlisk podjął się zadania tworzenia struktur POW G. Śl. Był do tego zadania predestynowany ze względu na cechy osobowe. Twardy a równocześnie pełen gwałtownej pasji w swych młodzieńczych poglądach na plan pierwszy wysuwał nieprzejednany patriotyzm. W dniu 18 IV 1919 r. uzyskał nominację na komendanta POW G.Śl. na powiat kozielski. Jednak zagrożony aresztowaniem wyjechał z Górnego Śląska i udał się do obozu uchodźców politycznych w Piotrowicach, gdzie spotkał się z czołowymi organizatorami ruchu niepodległościowego na Śląsku: Józefem Dreyzą i Alfonsem Zgrzebniokiem. 3 VII 1919 r. utworzono Sztab Główny POW z komendantem A. Zgrzebniokiem na czele, w którego skład weszli: Karol Grzesik (dowódca artylerii), Mikołaj Witczak (szef referatu organizacyjnego), Jan Basista (referat personalny), Jan Wyglenda (szef wywiadu), Jan Zgrzebiok (szef łączności), Leon Murłowski (szef saperów) i Józef Bula (szef sztabu). Sprawy polityczno-prawne zlecono Franciszkowi Lazarowi. Referentem gospodarczym mianowany został Józef Grzegorzek. Na powierzonym stanowisku Grzesik działał przez okres pierwszego powstania. Po jego upadku został przez Niemców aresztowany w Katowicach i na 2 miesiące osadzony w więzieniu. Amnestionowany powrócił do działalności konspiracyjnej w POW. W grudniu 1919 r. został komendantem Okręgu IV obejmującego powiaty: prudnicki, kozielski i raciborski. Ten przydział był ważny aż do 27 maja 1920 r. 10 czerwca w wyniku kolejnej reorganizacji Grzesik objął Okręg V – kozielski i kierował nim do zakończenia drugiego powstania. Po jego likwidacji został oddelegowany do służby w parytetycznej Policji Górnego Śląska (Abstimmungspolizei – „APO"). Jako dowódca 2 sotni stacjonującej w Gliwicach nawiązał kontakty z francuskimi oficerami i żołnierzami, ochraniał śląskich konspiratorów POW, a nawet udało mu się wykryć tajne składy niemieckiej broni i doprowadzić do ich konfiskaty.

Doceniony przez przełożonych otrzymał awans i został oddelegowany do Komendy Głównej przy MK w Opolu z przydziałem na stanowisko adiutanta, jako reprezentant strony polskiej. W lutym 1921 r. powrócił do pracy związanej z tworzeniem powstańczych sił zbrojnych. Wkrótce potem objął Główny Inspektorat Dowództwa Obrony Plebiscytu, a następnie został mianowany dowódcą Grupy Operacyjnej „Wschód", przyjmując pseudonim Hauke. W ten sposób nawiązał do tradycji polskich powstań narodowych, których jednym z bohaterów roku 1863 był gen. Józef Hauke-Bosak. Na tle przygotowań do walki zbrojnej od samego początku wystąpiły różnice poglądów między Wojciechem Korfantym, a grupą oficerów, wśród których znaczącą pozycję zajmował K. Grzesik. Już 28 IV 1921 r. na naradzie w Głównym Inspektoracie DOP w Bytomiu, w której uczestniczyli: M. Mielżyński, R. Abraham, W. Przedpełski i dr M. Grażyński, K. Grzesik dał się poznać jako zwolennik orężnego rozstrzygnięcia sprawy Górnego Śląska. Jedynie major Abraham, jako przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wojskowych w DOP, starał się powstrzymać przywódców śląskich od podjęcia ostatecznej decyzji i podobnie jak Korfanty „wskazywał na konieczność zdania się na laskę i niełaskę czynników międzynarodowych".

Ostatecznie powstanie wybuchło z 2/3 V 1921 r. W pierwszych dniach walk Grupy „Wschód", największego zgrupowania operacyjnego złożonego z ośmiu grup taktycznych, punkt dowodzenia znajdował się w Bańgowie (obecnie dzielnicy Siemianowic Śl.). Stąd K. Grzesik i jego szef sztabu M. Grażyński przenieśli się do Bielszowic, gdzie pozostali do końca trzeciego powstania. K. Grzesik otrzymał bardzo odpowiedzialne zadanie bojowe: obronę centralnego odcinka frontu nad Odrą obejmującego rejon od Bierawy na południu po Zdzieszowice na północy. Ponadto musiał wydzielić część swych sił do blokady okręgu przemysłowego. Rozumiejąc trudną sytuację swoich podkomendnych oficerów i żołnierzy dał temu wyraz w rozkazie z 24 V 1921 r., w którym pisał: „gdy nadszedł atak nieprzyjacielski, nie ulękły się Wasze szeregi wojskowych oddziałów Reichswehry pod dowództwem starych oficerów pruskich". Grzesik w swoich rozkazach demonstrował głęboką i trwałą lojalność wobec celów ruchu niepodległościowego. Jako zwolennik bezkompromisowej walki zbrojnej popadł w konflikt z W. Korfantym. Do szczególnego napięcia doszło gdy M. Mielżyński ustąpił ze stanowiska naczelnego wodza, a grupa oficerów będąca w opozycji do Naczelnej Władzy Cywilnej 3 VI 1921 r. samowolnie powołała Grzesika na to stanowisko. Korfanty polecił aresztować oponentów i zagroził im sądem wojennym. Ostatecznie Hauke został pozbawiony dowodzenia Grupą Operacyjną „Wschód".

Po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski K. Grzesik podjął aktywną działalność w ruchu kombatanckim. Od 26 VI 1921 r. pełnił funkcję wiceprezesa Związku Byłych Powstańców. W 1922 r. należał do grona organizatorów Związku Powstańców Śląskich, którego został prezesem. Z ramienia tej organizacji odbył m.in. misję do Ameryki w celu przeprowadzenia w środowisku polonijnym kwesty na rzecz sierot i wdów po uczestnikach powstań śląskich. W 1926 r. został mianowany naczelnikiem gminy miejskiej Hajduki Wielkie, a od 1935 r. pełnił urząd prezydenta Chorzowa. Po przewrocie majowym Józefa Piłsudskiego K. Grzesik stał się jednym z czołowych działaczy Narodowo-Chrześcijańskiego Zjednoczenia Pracy – śląskiego ramienia BBWR. Ponadto aktywnie włączył się do działań sanacyjnej grupy Związku Naprawy Rzeczypospolitej, którego liderami oprócz M. Grażyńskiego byli: wojewoda pomorski W. Raczkiewicz (prezydent na uchodźstwie) i prezydent miasta Warszawy S. Starzyński.

Dzięki regularnym i bezpośrednim kontaktom z kręgami kombatanckimi, gospodarczymi i sądowniczymi, zyskał sobie pozycję „prawej ręki" wojewody M. Grażyńskiego, u którego miał duży kredyt zaufania. Był zaangażowany w działania zmierzające do przekształcenia całej sfery stosunków państwo – gospodarka. Cel ten chciał osiągnąć dzięki zwiększeniu kontroli państwa nad przedsiębiorstwami w ramach systemu mechanizmów regulujących, a także dzięki stworzeniu państwowego przemysłu w tych sektorach – jak uważano – gdzie prywatny kapitał nie mógłby lub nie chciał służyć interesom społecznym. Należał do grona czołowych działaczy propagujących etatyzm. Pracując w Towarzystwie Osadniczym „Ślązak" dążył do realizacji reformy rolnej, która według założeń miała odegrać istotną rolę w procesie likwidacji niemieckiej wielkiej własności ziemskiej na Górnym Śląsku. W latach 1928-1930 był posłem do Sejmu RP. Sejm Śląski IV kadencji powierzył mu godność marszałka. Nieprzypadkowo w Sejmie RP złożył projekt utworzenia tzw. „parlamentarnych grup regionalnych", które miały przygotować plany gospodarcze, oparte na dużej autonomii ekonomicznej poszczególnych jednostek administracyjnych, przy jednoczesnej centralizacji politycznej.

Dla Grzesika ważką była idea solidaryzmu społecznego, nakazująca zjednoczenie wszystkich antagonistycznych sił społecznych w obronie interesów narodowych. Wyznaczała ona konieczną linię reform zmierzających do poprawy sytuacji materialnej śląskich robotników. Decydowała też o jednolitym traktowaniu przez tego polityka tradycji powstańczej, istotnej dla konsolidacji narodowej i wychowania obywatelskiego. Jego zdaniem dziedzictwo powstań śląskich, spajające naród, winno być utrzymane w niepodzielnej całości. Podtrzymywał kontakty z polskimi działaczami narodowymi na Zaolziu i Śląsku Opolskim, gdzie wielokrotnie był zapraszany do uczestnictwa w uroczystościach narodowopolskich. W 1938 r. stanął na czele Komitetu Walki o Śląsk Zaolziański. Jego aktywność zakończyła się z początkiem II wojny światowej. Hitlerowcy uważali go za człowieka szczególnie niebezpiecznego dla III Rzeszy. Nazwisko K. Grzesika znalazło się w specjalnej księdze gończej: *Sonderfahndungsbuch Polen*. We wrześniu 1939 r. ewakuował się wraz z wojskiem polskim do Lublina, a następnie do Lwowa. Tam „na nieludzkiej ziemi" podzielił los polskich oficerów. Należał do pokolenia wielkiej wojny, będącego żywym symbolem męstwa, odwagi, bezgranicznego patriotyzmu, głębokiej wiary i woli zwycięstwa. Był wyróżniony: Krzyżem Virtuti Militari V kl., Krzyżem Walecznych, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi I kl., Gwiazdą Górnośląską i Złotą Odznaką Honorową Związku Hallerczyków.

ZDZISŁAW JANECZEK



Jestem, czyli jestem

60-letni dorobek twórczy artystów związanych z katowickim Okręgiem Związku Polskich Artystów Plastyków podsumowany został wielką wystawą środowiskową w katowickim BWA. Do udziału w niej zaproszono również grono twórców nie należących do Związku. W ten sposób obraz śląskiego środowiska twórczego stał się pełniejszy. Drugim członem zamysłu była wystawa prac artystów pt. *Odeszli*. Bo zamysłem organizatorów wystawy nie była wyłącznie prezentacja „związkowców", ale właśnie prezentacja dokonań artystycznych w minionym 60-leciu. Można więc śmiało potraktować te ekspozycje jako zaproszenie do dyskusji na temat kondycji sztuki na Śląsku w kontekście ogólnokrajowym. Kto tu tworzył i w jaki sposób, co kształtowało postawy artystyczne przed laty i obecnie, jakie wpływy są zauważalne. Czy „sztuka na Śląsku" jest taka sama jak w innych ośrodkach – Krakowie czy Warszawie, co ją odróżnia?

Jubileusz ZPAP współbrzmi z 60-leciem katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, obchodzonym w tym samym czasie. Istnienie tych instytucji pokazuje, że śląskie środowisko artystyczne miało wiele do powiedzenia, a jego dorobek twórczy ma znaczący udział w polskiej historii sztuki. Wprawdzie ZPAP jako organizacja istnieje już 95 lat, ale Śląsk nie pozostawał bierny w okresie międzywojnia, wszak działał tu Stanisław Ligoń, który w 1929 roku wraz z Józefem Kidoniem założyli Związek Zawodowy Artystów Plastyków Śląskich.

Z pewnością na twórczości artystów „stąd" swoje piętno odcisnęła graficzna proweniencja ich twórczości. I jest to charakterystyczny wyróżnik po dziś dzień. Malarstwo jako wydział na katowickiej ASP istnieje od niedawna, odkąd Akademia uzyskała samodzielność. Nadal jednak – co zauważa również Jacek Ryła, jest to malarstwo korzeniami tkwiące w grafice.

Wystawa w BWA jest świetną eksplikacją takiego sposobu uprawiania malarstwa przez „artystów górnośląskich", jak nazywa ich Irma Kozina. Nie można oczywiście traktować w ten sposób wszystkich twórców, wystarczy wspomnieć prace Olgierda Bierwiaczonka czy Jana Dutkiewicza.

Wszyscy natomiast stanowią grupę, którą Irma Kozina określa (za Donaldem Skupinem) New Old Masters. Kto to taki? Ano ci, którzy nie podążali za nowinkami światowego konceptualizmu, którzy „funkcjonowali na obrzeżach przestrzeni okupowanej przez konceptualistów". To swoisty powrót do akademizmu, do bycia „dawnym mistrzem" w najlepszym rozumieniu tego słowa. Nie wyklucza to autorskiego sposobu przedstawiania, używania autorskich technik graficznych czy nawet multimedialnych. Nieprzypadkowo więc katowicka wystawa nosi tytuł *Jestem*. Skoro jestem, to tworzę, to widzę, co się dzieje nie tylko w świecie sztuki, to rozmawiam i dyskutuję, może też pozostaję w odosobnieniu, w zamknięciu wewnętrznym. Tomasz Jura tak definiuje ten tytuł: „Jestem w przestrzeni ludzkiego doświadczenia i sensie ludzkiego pojmowania rzeczy, zjawisk – oznacza być stale obecnym, nieprzerwanie we wszystkich zdarzeniach, przytomności rozumu, pamięci innych i rezultatach działania". O owym byciu w czyjejś pamięci, o porozumieniu z tym, co powstawało wiele lat temu, przeciwstawianiu się temu bądź autorskiemu kontynuowaniu opowiada wystawa *Odeszli* w galerii ZPAP.

Obydwie wystawy pokazują więc ludzi-artystów, którzy są i tych, których już nie ma. Pokazują ich dzieła: malarstwo, grafikę, rzeźbę, także tkaninę artystyczną i obiekty multimedialne. A wszystko to ma być odpowiedzią na pytanie: w jaki sposób jestem. Spotyka się na wystawie kilka pokoleń artystów, a więc dzieli ich również kilka pokoleń sposobu traktowania dzieła. W sumie jednak obcujemy ze znajomymi, których prace się zna, ale dopiero w takiej masie widać czym tak naprawdę się różnią, a w czym są do siebie podobne.

Aranżacja przestrzeni w galerii BWA pozwala zderzać ze sobą różne postawy artystyczne, pozwala też przypomnieć nazwiska zapomniane, odkryć je na nowo. Wreszcie pozwala ogarnąć twórców jako całość, zobaczyć jak wielu znakomitych artystów związanych jest ze Śląskiem. Że nie tylko Kraków czy Warszawa, ale właśnie też Katowice ze swoją specyfiką, innością, która jest niepodważalną wartością. Jeśli pojawiają się takie nazwiska jak Rak, Malina, Steller, Suberlak, ale też Bernaś, Chudzik, Delekta, Romaniuk, Piech, jak Pomorski, Duda-Gracz, Palka, Nowotarski, Handermander, Sabalczyk, Maciuszkiewicz, Kowynia, jak Grabowski, Kalarus, Kula, to na tych tylko przykładach widać ogromną różnorodność, która cechuje śląskie środowisko od lat.

Oczywiste jest, że ZPAP pełnił w swej zasadniczej roli funkcje socjalne dla artystów. W czasach realnego socjalizmu wytyczał kierunki obowiązujące w sztuce i uznawane za jedynie słuszne, organizował, komentował, zezwalał lub wykluczał. Różne były jego koleje losu. Okazało się jednak, że ważniejsza ponad wszystko stała się możliwość rozmowy, pokazania się, zaistnienia. Dziś ZPAP nie legitymizuje artysty, lecz stara się ułatwiać, zwłaszcza młodym artystom, wejście w środowisko.

Skoro jednak Śląsk może chwalić się dorobkiem swoich artystów, może być w komfortowej sytuacji posiadania samodzielnej uczelni artystycznej, kilku galerii profesjonalnych, to, co stoi na przeszkodzie, by zaistniał tu wreszcie prawdziwy rynek sztuki, by pojawili się manszardzi, ale i odbiorcy. Co trzeba zrobić, by Katowice w obiegowej opinii postrzegane były jako miejsce dobre dla sztuki i artystów. Może trzeba zawierzyć owej inności, odmienności, poszukać niekonwencjonalnych sposobów na istnienie – jak chociażby powstające „Rondo sztuki", tworzyć miejsca, jakich nie ma nigdzie indziej, wreszcie promować artystów, jakich nie ma gdzie indziej?...

WIESŁAWA KONOPELSKA

***Jestem*. Wystawa śląskiego środowiska twórczego. BWA Katowice. Wernisaż 15 września 2006 r.**



Jacek Żurakowski, *MARTWA NATURA W SZAROŚCIACH*, olej, 73x100



Mariusz Wnukowski, *CISZEJ...*, olej, płótno 118x156



Jan Dubiel, z cyklu *DRZEWA – CHODŹ ZE MNĄ*, olej, 110x200



Stanisław Kowalczyk, z cyklu *POCZWARKI LUDZKIE – POCZWARKA II*, rzeźba – drewno, stal lakierowana, granit, wys. 168



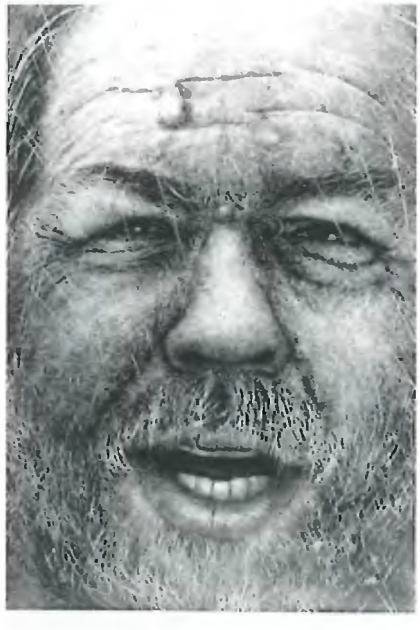
Ferdynand Szypuła, *BŁĘDNY RYCERZ*. druk cyfrowy, 61x90



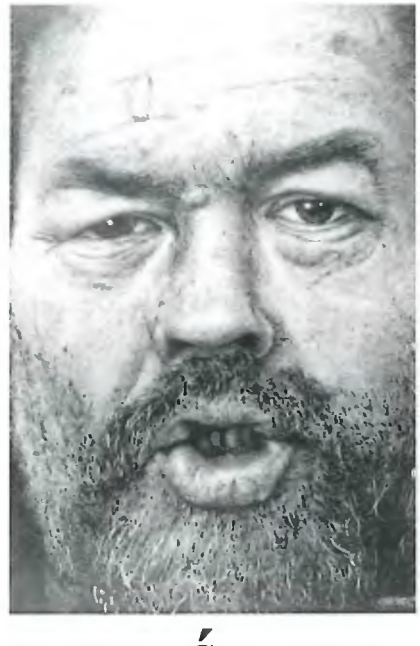
Monika Hartman, *I AE*, linoryt, 70x100



ć



ę



ś

Paweł Warchoł, *Ć, E, Ś*, rysunek, 70x100



Andrzej Urbanowicz, *Wschód. Tak oglądaj*, olej na płycie, 61x137



Urszula Broll, *Czarność*, olej na płycie



Zygmunt Stuchlik, *Nocny ogród*, olej płótno, 61x81, 1980



Henryk Waniek

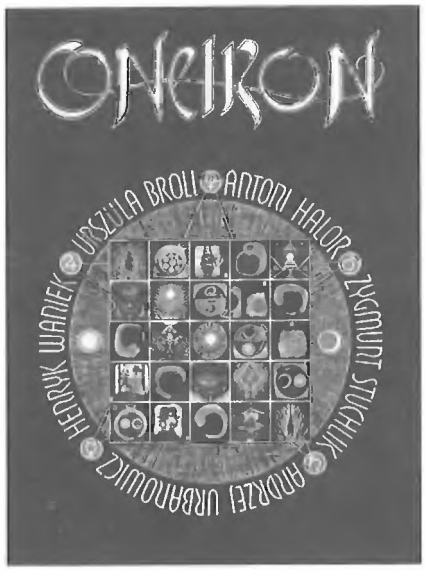


Antoni Halor, *Obraz*, olej na płycie

ONEIRON

Rozmowa
z ANDRZEJEM
URBANOWICZEM

Powrót do Kręgu Oneiron



Wystawie towarzyszy piękne wydana dwujęzyczna księga, będąca monografią Kręgu Oneiron, wydana przez Oberschlesier Landesmuseum w Ratingen i wydawnictwo KOS.

– We wrześniu w Muzeum w Ratingen otwarto wystawę przypominającą i prezentującą dorobek pięciu artystów, tworzących krąg Oneiron. Był Pan jego współtwórcą. Powróciliście zatem po niemal 40 latach do swych artystycznych i światopoglądowych korzeni. W jakich okolicznościach doszło do tej ekspozycji, wszak przez długie lata to niemieckie Muzeum specjalizowało się przede wszystkim w tradycyjnej sztuce śląskiej, etnografii i historii?

– Niedokładnie. Miało tam wystawy wielu śląskich fotografów i artystów jak Witold Palka i Jan Szmatłoch. Z panem Piotrem Mrassem, reprezentującym Muzeum w Ratingen, dyskutowaliśmy różne koncepcje pokazów. W pewnym momencie tych wielomiesięcznych rozmów otrzymaliśmy od niego propozycję pokazu Kręgu Oneiron. Przyjęcie tego wyzwania rozpoczęło długie, ponad roczne przygotowania, które uwieńczyła nie tylko ekspozycja, ale także towarzyszące jej wydawnictwo...

– ... bardzo piękne pod względem edytorskim. To coś więcej niż katalog. To wielka księga Oneironu, bogato ilustrowana i szeroko udokumentowana.

– To w istocie bogato ilustrowane materiały do monografii Kręgu. Tekst wprowadzający napisał Henryk Waniek. Przedstawia w nim naszą ówczesną sytuację, wewnętrzną i zewnętrzną. Mój tekst z kolei, będący rodzajem autorskiego kalendarium, pozwala błysnąć na chwilę minionym wydarzeniom. Książka zawiera również esej Piotra Mrassa analizujący i interpretujący Czarne Karty...

– To prace szczególnie ważne dla Oneironu. Wspólne dzieło Urszuli Broll, Antoniego Halora, Zygmunta Stuchlika, Andrzeja Urbanowicza i Henryka Wańka. Ale niestety tylko kilka mogło być pokazanych w Ratingen.

– Pokazaliśmy tylko sześć prac będących w naszym posiadaniu, natomiast większość znajduje się w Muzeum Historii Katowic, które podjęło decyzję o niewypożyczeniu Kart.

– Tłumaczono to potrzebą konserwacji...

– To ciekawe. 7 sierpnia byłem w Muzeum Historii Katowic, oglądałem te prace, pani kustosz Maryla Krysiakowa nie widziała przeszkód w wypożyczeniu tych prac, natomiast pani dyrektor już tego samego dnia zadecydowała, że nie wypożyczy. Muzeum w Ratingen zapewniało wszelkie standardowe muzealne zabezpieczenia, proponowało nawet oprawę Kart na własny koszt i przekazanie tych opraw muzeum katowickiemu. Widocznie, jakieś inne racje za tym stały.

– Jak przyjęto waszą twórczość?

– Bardzo milo. Ukazały się jakieś artykuliki w prasie, było sporo ludzi, jesteśmy zadowoleni z tej ekspozycji.

– Czy pytano was, skąd tak naprawdę „wzięliście się" w szarych, zadymionych Katowicach końca lat 60. i początku 70., i skąd w takim socjalistycznym pejzażu wyrodziło się zainteresowanie mistycyzmem, buddyzmem, okultyzmem?

– Nie, bo myślę, że takie pytania nasi gospodarze postrzegaliby jako nietaktowne a może nawet politycznie niepoprawne. Wystawę otwarto w atmosferze pełnej kurtuazji. Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem publicznie podczas wernisażu: ta współpraca mnie zaskoczyła, organizatorzy zadbali o wszystko i nie szczędzili wysiłków i nakładów także finansowych. Nie było jakiejś podejrzanej gry politycznej, tylko czysta współpraca. Wzorcowa wręcz. Gdyby nie Muzeum w Ratingen, to nie byłoby tej publikacji.

– Ona wejdzie w pełny krwioobieg kulturalny gdy wystawa przywędruje do kraju. Kiedy i gdzie będzie pokazywana? Czy jej aranżacja będzie identyczna?

– Na pewno nieco się zmieni. Wystawa będzie pokazana pod koniec listopada w Jeleniej Górze.

– Dlaczego tam?

– Pani Janina Hobgarska, dyrektorka tamtejszego BWA, jest otwarta na tego rodzaju zjawiska, tym bardziej że mieszka tam również Urszula Broll. Potem najprawdopodobniej ekspozycja pojedzie do Ostrawy, do Domu Umeni. Zapewne w maju będzie pokazana w Katowicach w Górnośląskim Centrum Kultury. Być może, jeszcze gdzie indziej.

– Co składa się na tę ekspozycję, poza sześcioma Czarnymi Kartami, o których już wspominaliśmy?

– Poza malarstwem olejnym, pastelami czy akwarelami naszej piątki są jeszcze Szuflady Oneironu. Znajdują się w nich dzieła sztuki, czasem rzeczy niedokończone, rysunki, książki, dokumenty, jakieś artefakty. Na przykład Zygmunt Stuchlik dostarczył maszkarę z empory z Łubowic. Za tą emporą siadywali Eichendorffowie, zaś Eichendorff ożenił się z córką Michała Sędziwoja – to część śląskiej mitologii, bo sugeruję w owym wydawnictwie, że być może Sędziwój, słynny szesnastowieczny alchemik, pochodził z terenu Chorzowa czy Katowic... Wynika to z dokumentów zachowanych w Uniwersytecie Drezdeńskim.

– Klimat i kontekst społeczno-artystyczny, w jakim grupa Oneiron powstawała, został dobrze opisany, m.in. we wspomnianej książce, głównie w tekście Wańka. Chciałbym zatem zapytać o finał. Dlaczego po bodaj siedmiu latach wasze drogi się rozeszły?

– To może nie tak, że cokolwiek musiało się rozchodzić. Działaliśmy wspólnie, kiedy jeszcze nazwy nie było. Nigdy nie stanowiliśmy sformalizowanej grupy, wystarczy, że pozostajemy w przyjaznych relacjach do dzisiaj. To naturalne, że każdy idzie drogą swego rozwoju...

– A co zostało w was z tamtych czasów, z tamtych idei? Najwcześniej chyba odeszliście od inspiracji filozofiami Wschodu czy buddyzmem?

– Nie podejmę się teraz oceny tego... Te inspiracje nie miały charakteru wizualno-estetycznego; raczej wiązać je trzeba z ówczesnymi prądami kontrkulturowymi czy alternatywnymi w Europie i na świecie, także z ruchem hippi. Te prądy ewoluowały, my też zmienialiśmy się, choć pewien rodzaj postawy wobec sztuki gdzieś w głębi nas trwa. To wtedy kształtowaliśmy się jako ludzie i jako artyści.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF KARWAT

O pierwszych kontaktach
z TYMOTEUSZEM KARPOWICZEM

We wszystkim będę pana słuchał

JANUSZ STYCZEŃ

Pierwszy raz z wierszami przyszedłem do Tymoteusza Karpowicza, do „Odry", w grudniu 1958 r. Byłem na drugim roku polonistyki. Karpowicz przeczytał od razu wiersze, były to rękopisy, nie miałem wtedy maszyny do pisania. Karpowicz powiedział, że jestem pod dużym wpływem Harasymowicza, obrazy w moich wierszach są w stylu Harasymowicza, niech pan przyjdzie do mnie za jakieś pół roku z nowymi wierszami.

Jednak w tamtych latach bardziej interesowała mnie proza. W jesieni 1959 r. przyniosłem Karpowiczowi opowiadanie. Pamiętam bardzo dobrze ten dzień: 15 października 1959 r., na ten dzień Karpowicz wyznaczył mi wizytę. – Witam Marcela Prousta, powiedział, gdy wszedłem do jego gabinetu w redakcji „Odry" na Podwalu. Ja na to, że fascynuję się Faulknerem, a nie Proustem. – Więc ten Proust jest u pana poprzez Faulknera, przecież Faulkner stale wraca do Prousta, jak mówi w wywiadach, i są u niego te długie zdania.

Byłem zbity z tropu rozmową o Faulknerze i Prouście, wciąż nie wiedząc, czy moje opowiadanie jest przyjęte. – Panie Januszu, widzę, że pan się niecierpliwi, więc uspokoję pana, będę publikował w „Odrze" pana opowiadanie.

Aż mnie zamurowało z radości. – Nie jest pan hłaskoidem – ciągnął Karpowicz. – Bardzo mnie to cieszy. Teraz wszyscy młodzi prozaicy piszą pod Hłaskę. – A pan zaproponował subtelną prozę psychologiczną w stylu Prousta, chociaż u pana Proust jest poprzez Faulknera, jak pan mówi.

– Która powieść Faulknera zrobiła na panu największe wrażenie? – zapytał Karpowicz. – „Azyl". – A na mnie „Absalomie, Absalomie". – Z fascynacją przeczytałem „Absalomie, Absalomie", ale najbliższy jest mi „Azyl". – A dlaczego „Azyl"? – Główni bohaterowie „Azylu": Temple Drake i Gowan Stevens są we mnie – powiedziałem i uczułem przerażenie, bo zacząłem za bardzo się odsłaniać, a życie już mnie nauczyło, że nie należy przed światem odsłaniać się.

Ale Karpowicz zareagował z wyrozumiałością. – To jest niebezpieczne dla pana, panie Januszu, że właśnie te postaci są w panu, niech pan będzie ostrożny.

Nie powiedziałem Karpowiczowi, jak bardzo są we mnie i Gowan Stevens, i Temple Drake, nie wiedziałem jeszcze, że w następnych latach sprawdzi mi się to dramatycznie w życiu, w relacji miłosnej z moją ówczesną sympatią z polonistyki, Jolką O.

– Będę ostrożny – zapewniłem Karpowicza. Ale jak pokazało życie w następnych latach, nie byłem ostrożny.

– Zmieniłem panu tytuł na „Requiem dla nieśmiałego", zgadza się pan?

Oczywiście, zgodziłem się. Już nie pamiętam, jaki był mój pierwotny tytuł. – I skreśliłem panu fragment – ciągnął Karpowicz. – Miał pan już zajęcia z poetyki u Trzynadlowskiego? – Tak, miałem – potwierdziłem. – Ten fragment był zupełnie z innej poetyki i wprowadzał zgrzyt do opowiadania. Zgadza się pan?

Oczywiście, zgodziłem się. – Bardzo mi się podoba końcowy fragment pana opowiadania: rozważania o Czasie – powiedział Karpowicz. Wrócił do Faulknera: – „Absalomie, Absalomie" – to powieść o Czasie. Trudno napisać o Czasie, Faulkner napisał Czas w „Absalomie, Absalomie", przedtem Proust napisał Czas. – Panie Januszu, wolałbym, żeby pan był wpatrzony bardziej w „Absalomie, Absalomie" niż w „Azyl". A który fragment najbardziej zafascynował pana w „Azylu"?

– Monolog wewnętrzny Temple Drake w szopie. – Przypomniałem Karpowiczowi ten monolog. – Panie Januszu, był taki czas, że też chciałem być kimś innym niż człowiekiem z ręką w czarnej rękawiczce. Spogląda pan na moją rękę w rękawiczce. Panie Januszu, rana fizyczna często jest połączona z raną duchową. O swojej ranie duchowej najlepiej opowiadać komuś, kto ma podobną ranę duchową. Inaczej można być kompletnie niezrozumianym.

Wtedy nie używało się słowa: trauma, mówiło się raczej: rana duchowa. Życie mnie przekonało, jak prawdziwe były słowa Karpowicza.

Karpowicz powiedział, że Faulkner tak prawdziwie i do końca przedstawia ludzi z ranami duchowymi. Ucieszyłem się, że Karpowicza i mnie łączy Faulkner. Kiedy zacząłem czytać Faulknera, poczułem dziwną bliskość z tym pisarzem, byłem pewny, że jest to pisarz, który by mnie zrozumiał, i który wytłumaczyłby mi wszystkie moje ciemne tajemnice.

W r. 2000 Karpowicz przyjechał z Chicago do Wrocławia i opowiadał o swojej wizycie w domu Faulknera, nocował w łóżku, w którym sypiał Faulkner, żył wtedy jeszcze brat Faulknera, Karpowicz i drugi jeszcze profesor z Uniwersytetu w Chicago spacerowali po rynku miasta Jefferson i usiedli na ławce pod gmachem tamtejszego sądu, Faulkner tam siadał i z otwartych okien gmachu sądu przysłuchiwał się rozprawom, skąd czerpał tematy do swoich pierwszych opowiadań. Wizyta Karpowicza w domu Faulknera to temat na osobny szkic.

W lutym 1960 r. ukazało się w „Odrze" „Requiem dla nieśmiałego", a w maju tego roku mój pierwszy wiersz „Niewymierność", zadedykowany Jolce, w rubryce „Młodzi poeci wrocławscy". Oprócz mnie w tej rubryce pokazali się: Bogdan Daleszak i Józef Ambroszko, studenci polonistyki tak jak ja.

Przyniosłem Karpowiczowi następne opowiadanie „Śmierć", i poznałem żonę Karpowicza. Karpowicz przedstawił mnie jako nowy talent, jego żona powiedziała mi, który fragment „Requiem dla nieśmiałego" najbardziej jej się podobał: opis zmieniającego się rytmu kroków bohaterki, chodzącej w damskich szpilkach.

Biegałem do Karpowicza z każdym utworem, jeżeli nie było go w „Odrze", łapałem go w Związku Literatów, Karpowicz był wtedy prezesem wrocławskiego oddziału, jeżeli miał zebranie, wychodził i brał ode mnie moje nowe utwory, nie przeszkadzało mu moje natręctwo, często mówił: – Panie Januszu, był pan na dobrej drodze, a te nowe utwory, niestety, są niedobre.

Miałem przyjętą do druku „Śmierć", a już przyniosłem Karpowiczowi następne opowiadanie. Dotąd przynosiłem utwory w rękopisach, tym razem Karpowicz poprosił sekretarkę „Odry", panią Kazię, o przepisanie mojego opowiadania na maszynie. Był sierpień 1960 r. Karpowicz ocenił moje ostatnie opowiadanie jako zupełnie złe. – Panie Januszu, w niewielkim odstępie czasu przyniósł mi pan dwa opowiadanie, jedno: „Śmierć" – bardzo dobre, a drugie (po latach nie pamiętam tytułu) – zupełnie złe. Dlaczego? Czeka nas poważna rozmowa. Zapraszam pana na kawę i ciastko do Empiku. Zrobię panu wykład z poetyki.

Szliśmy wolno Podwalem do Empiku, jakby zapatrzeni w dalekie horyzonty nieba literatury, dzień był słoneczny i ciepły, ale nie upalny. W pewnej chwili Karpowicz wyraźnie się rozchmurzył: – Pan ma 20 lat. – Z końcem listopada kończę 21 – wtrąciłem. – Wie pan, kiedy ja miałem 20 lat, tyle co pan – ciągnął Karpowicz – siedziałem w lasach, w partyzantce, pan ma wspaniałe perspektywy, może pan studiować, rozwijać się duchowo, artystycznie.

Spacer z Karpowiczem był dla mnie jak święto. Karpowicz wypytywał mnie o moje studia, o moją rodzinę. Już w Empiku wrócił do mojego ostatniego opowiadania: – Napisał pan o nudnych wakacjach u stryja na leśniczówce. Ale to opowiadanie jest nudne. Utwór o nudzie nie może być nudny, ponieważ jedna nuda niweluje drugą nudę, i nie zostaje nic. Czytał pan „Obcego" Camusa?

– Tak, czytałem.

– To jest powieść o nudzie. Ale ta nuda w „Obcym" przeraża.

– Czytałem „Obcego" z prawdziwym przerażeniem.

– Widzi pan. Nuda jest przerażająca. Najlepiej opisać coś poprzez coś innego. Wyjaśnię panu, na czym polega artystyczny efekt obcości.

Chciałem, żeby to spotkanie trwało jak najdłużej, czułem się, jak uczeń słuchający filozofa-perypatetyka w czasach greckich.

Karpowicz wciąż omawiał moje nieudane opowiadanie: – Kiedy w pana opowiadaniu doszedłem do polowania na dzika, myślałem, że w opowiadaniu coś zacznie się dziać, ale pan był tylko na obrzeżach opowiadania, stryj pana chronił, co było oczywiste. Pierwsze zdania opowiadania są jak u Prousta, jednak dalej pan się zagubił.

We wrześniu 1960 r. Karpowicz zorganizował w Związku Literatów spotkanie starszych pisarzy z młodymi pisarzami. Była kawa, ciasto, winogrona, jakieś inne owoce, zapamiętałem właśnie wielką tacę z winogronami, które były wtedy rzadkością. Na początku spotkania Elżbieta Drzewińska zapytała Karpowicza: – Czy odkrył pan nowy talent? – Tak. W prozie. Styczeń. W listopadzie będę publikował w „Odrze" jego bardzo dobre opowiadanie „Śmierć".

Jadłem winogrona, piłem kawę, słuchałem mowy wstępnej Karpowicza, który mówił, że młodzi pisarze powinni skorzystać z doświadczeń i wiedzy starszych pisarzy. – A co na to młodzi autorzy? – zapytał i popatrzył na mnie. – We wszystkim będę pana słuchał – wypaliłem. Karpowiczowi aż zaśmiały się oczy, uśmiechnął się całą twarzą: – Panie Januszu, jest pan kulturalnym, dobrze wychowanym młodzieńcem, ale niech pan czasami buntuje się przeciwko mnie.

Absolutnie nie chciałem buntować się przeciwko Karpowiczowi, którego uwielbiałem. Uwielbiałem jego wyobraźniową poezję, którą czytałem wciąż i bez końca, uwielbiałem jego kulturę bycia, wiedzę literacką, poczucie humoru. Ale skoro mistrz tego sobie życzy? Więc powiedziałem: – Czasami przeciwko panu będę się buntował. Staszek Pasternak potwierdził to: – Będziemy przeciwko panu się buntowali.



Foto: Janusz Stankiewicz

Janusz Styczeń

W październiku 1960 r. wziąłem udział w zjeździe młodych pisarzy Ziem Zachodnich w Poznaniu. Niestety, wszyscy młodzi prozaicy pisali pod Hłaskę. Karpowicz opublikował moje następne wiersze, w listopadzie 1960 r. ukazała się w „Odrze" „Śmierć", od lutego 1961 r. „Odra" stała się miesięcznikiem, dotąd była dwutygodnikiem, Karpowicz co jakiś czas kogoś odkrywał, kolejne moje wiersze pojawiły się już w miesięczniku, nie pamiętam już dokładnie kiedy, przyniosłem Karpowiczowi wiersz „Jabłko". Jest tam wers: „jabłko jest okrągłe i niezapisane". Karpowicz powiedział: – Zazdroszczę panu tego wersu. Wracał do tego wersu w kolejnych naszych spotkaniach. Po latach powiedział mi, że właśnie w tym wersie zobaczył, że mam także możliwości w poezji, nie tylko w prozie. „Jabłko" ukazało się w „Odrze" w 1963 r. razem z wierszem „Zdźbło". Jednak nadal Karpowicz widział mnie w prozie i czasami wracał do tradycyjnego dla nas rytuału: „Witam Marcela Prousta", „Ja fascynuję się Faulknerem, a nie Proustem".

W październiku 1965 r. będąc u Karpowicza w „Odrze", na zakończenie rozmowy zapytałem: – Czy odkrył pan nowy talent? – Tak. Nazywa się Rafał Wojaczek. Pisze wiersze. – Nie słyszałem o takim poecie. – Bo jeszcze nic nie publikował. Będzie miał debiut w pierwszym numerze „Poezji", nowego miesięcznika, z moim wstępem. Następnie Karpowicz opowiedział mi o wierszach Wojaczka, prezentujących zupełnie nowy antyestetyzm egzystencjalny, zacytował fragment słynnego później wiersza o kiełbasie, matce jadalnej. – Pan czasem mijał się z Wojaczkiem przed moim pokojem – mówił Karpowicz. – Ale z Wojaczkiem jest inny problem. Jak wychodzi z tego gmachu, zaraz na ulicy traci kontakt ze światem – Karpowicz opowiedział mi o nerwicach lękowych Wojaczka, o jego zmaganiach z problemami psychicznymi. Zapytałem, czy to mu nie przeszkodzi w poezji? – Wierzę, że poezja go uleczy – odpowiedział Karpowicz. Utkwiły mi w pamięci słowa Karpowicza, że jeszcze mi nieznanego Wojaczka poezja uleczy.

Z końcem 1966 r. wyszedł w Ossolineum mój pierwszy tomik poetycki „Kontury". Oczywiście wręczyłem go Karpowiczowi z dużym przejęciem. Wyznaczył mi wizytę, zapytałem o wrażenia z lektury tomiku. – Panie Januszu, pan mnie nie słucha – zaczął Karpowicz. I jakby chcąc podkreślić znaczenie tego zdania powtórzył: – Pan mnie nie słucha. ■

Iustitia et industria

Pod patronatem „Śląska"



Foto: ARC Muzeum w Gliwicach

„Hamlet gliwicki. Próba" oczywiście musiał mieć swą prapremierę w Gliwicach. Ale w grudniu obejrzy go także publiczność chorzowska.

Po raz czwarty zorganizowano tę ogromną imprezę, za którą stoi Muzeum w Gliwicach i jego dyrektor Leszek Jodliński, któremu każdorazowo udaje się wraz ze swymi współpracownikami przekonać do tej inicjatywy nie tylko władze miejskie, ale także inne instytucje i w ogóle znajdywać sojuszników. Muzeum nie ma być ciałem martwym – taka myśl zapewne pojawiła się na początku – lecz żywą materią, otwartą na różne działania w obszarze kultury. Ma przestać kojarzyć się z tym, co zmurszałe i statyczne. Zwracając się w przeszłość, ma dynamizować naszą zbiorową pamięć. Godzi się podkreślić, że wszystkie imprezy w ramach Gliwickich Dni Dziedzictwa Kulturowego są bezpłatne. Ściągają tysiące uczestników i widzów.

W tym roku hasło przewodnie brzmiało: „Iustitia et industria. Architektura utylitarna Gliwic". Nie zdołamy wymienić i nazwać tego wszystkiego, co zaproponowano w ciągu jednego z pięknych wrześniowych weekendów. Pomińmy zatem wystawy stale, dostępne we wszystkich oddziałach Muzeum. Dostrzeżmy przynajmniej te czasowe, z których większość blisko korespondowała z myślą przewodnią tegorocznych Dni. W Willi Caro obejrzeć można było (niektóre ekspozycje są otwarte do dziś): *Fenomeny i Fantomy. Gliwickie środowisko fotograficzne 1951-2000, W 210 rocznicę powstania Gliwickiej Huty. Korespondencja Johna Baildona ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach Oddział w Gliwicach* oraz *Dawny Teatr Victoria w dokumentach i zabytkach*. Ponadto organizowano spacery po mieście pod opieką Adama Bednarskiego, który wcześniej wygłosił wykład na temat osiedli robotniczych w Gliwicach. Odbył się także koncert wieczorny.

W Zamku Piastowskim otwarto wystawy: *Pierwsza Dekada. Gliwice 1945-1956, Rynek w Toszku – najnowsze badania Działu Archeologii Muzeum w Gliwicach, Szubienica w Lubaniu. Gdzie zbrodnia tam i kara – sprawiedliwość w wiekach nowożytnych.*

Na przedpolu Zamku czynne były kramy rzemieślnicze.

W Oddziale Odlewnictwa Artystycznego otwarto wystawę specjalną: *W 210 rocznicę powstania gliwickiej Królewskiej Odlewni Żeliwa. Rzeźbiarze i modelarze związani z Gliwicką Hutą do 1945 r.*, a w Muzeum Historii Radia i Sztuki Mediów, czyli dawnej Radiostacji Gliwice – *Czas na radiostację! Polskie zabytki na liście światowego dziedzictwa UNESCO* i przygotowano prezentację multimedialną *Panorama miasta z wieży gliwickiej Radiostacji*.

Szczególną uwagę poświęcono budynkom związanym z gliwickim sądownictwem. Zorganizowano zbiorowe wycieczki do starych i nowych siedzib sądów różnych szczebli. I otwarto kolejne ekspozycje: *Gliwickie sądy w starej fotografii, Pickelhauba i historie szpitalne, Z wojskowych dziejów Gliwic. Od koszar do gmachu sądu. Rewitalizacja obiektów zabytkowych, Czas zatrzymany. Ballestremowie i dyrekcja dóbr w Gliwicach*. W Palmiarni pokazano *Parki i ogrody Gliwic w starej fotografii*, a w Porcie *200 lat gliwickiego portu* (odbyły się także rejsy statkiem spacerowym Goplana). W Parku Chopina śpiewały chóry i grały orkiestry dęte. W ramach imprez towarzyszących na dziedzińcu pałacu w Pławniowicach odbył się koncert musicalowo-operowy. Ponadto zaproszono do Wielowsi (jeden z najciekawszych cmentarzy żydowskich) i do Toszka, ale także zwiedzano podziemia kopalni Sośnica. Odbył się rajd rowerowy.

Finał miał miejsce w Ruinach Teatru Miejskiego. Pokazano prapremierowy spektakl pt. *Hamlet gliwicki. Próba*. To najnowsze dzieło Videoteatru „Poza" Piotra (Petera) Lachmanna i Jolanty Lothe, z udziałem Zbigniewa Konopki i (wirtualnie w prologu) Stanisławy Łopuszańskiej. Temu zdarzeniu artystycznemu warto poświęcić więcej miejsca, bo było atrakcyjnym i wyjątkowo spektakularnym podsumowaniem Dni, których program łączył przeszłość z dniem dzisiejszym, odważnie wkraczając w sferę polsko-niemieckich stosunków, wyławiając z nich zarówno te elementy, z których możemy być dumni, jak i te, które antagonizowały oba narody.

Lachmann, urodzony jeszcze przed wojną w mieście, wówczas nazywającym się Gleiwitz, uczynił ze swej niezwykłej biografii materię twórczą, z której od lat czerpie pełnymi garściami – zarówno jako poeta (m.in. *Mniejsze zło*) czy eseista (m.in. *Wywołane z pamięci*), jak i reżyser czy vidżej (w czasie swych spektakli uruchamia na oczach widzów rozbudowaną maszynerię elektroniczną, czuwa nad przebiegiem całości, łączy plan rzeczywisty z wirtualnym). Bo też rzeczywiście w jego życiu w nierozerwalny węzeł splątały się wątki polskie, niemieckie, śląskie. To był (jest) los zdumiewający, nawet jeśli wiemy, że na Górnym Śląsku nierzadko dochodziło do bardzo dziwnych i zaskakujących splotów, decydujących o pogranicznym charakterze nie tylko samego regionu, ale i ludzi go zamieszkujących, ich świadomości. W przypadku tego artysty nie można mówić o kreacji, o pozie, o modnym wpisywaniu się w „wielokulturowość". To przypadek (może fatum? – jeśli ktoś woli) sprawił, że jego życie zostało przepołowione, a on sam musiał przejść narodową i religijną metamorfozę, skoro urodził się jako Niemiec i ewangelik a żyje jako Polak i katolik („i nowo/narodzony/zaczął kwilić/po polsku" – z wiersza *Metamorfoza*, dołączonego do programu). To nie on dokonywał wyboru, przynajmniej do jakiegoś czasu. Potem mieszkał i tu, i tam. Tworzył i tu, i tam. Używanie podwójnego brzmienia imienia nie jest więc artystyczną manierą, rodzajem oryginalnego pseudonimu. To zewnętrzny wyraz owego „przepołowienia".

Hamlet gliwicki. Próba zaczyna się od przejmującego monologu z *Obory* Helmuta Kajzara. Przez kilka minut obserwujemy na monitorach (i jednym wielkim ekranie) twarz Stanisławy Łopuszańskiej. Potem mieszać się jeszcze będą teksty z innych sztuk cieszyńskiego pisarza, no i Szekspira, ale potraktowanego tylko pretekstowo. Aktorzy – Jolanta Lothe i Zbigniew Konopka – zaaranżują coś w rodzaju teatralnej próby i opowiedzą o gliwickich losach Lachmanna. Żywy plan pomiesza się z tym, co na ekranie – starymi zdjęciami rodzinnymi, „transmisjami" z konkretnych miejsc w Gliwicach, które stanowiły punkty kardynalne w biografii autora.

To spektakl intymny, szczery, wiarygodny. W grudniu zobaczy go również publiczność chorzowskiego Teatru Rozrywki w ramach cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy".

KRZYSZTOF KARWAT

Ekspansja Ślązaków

FESTIWAL

W udzielonym „Twojej Muzie" wywiadzie (*Rekolekcje na smyczki?*, nr 4/17) dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" Tadeusz Wielecki mówi, że ten znalazł się obecnie „w całkiem nowym momencie swojej historii", gdyż minęły dawno czasy, gdy muzyka współczesna budziła ogromne zainteresowanie i można było ograniczać się do jej prezentowania w nobliwych salach Filharmonii Narodowej i Akademii Muzycznej. Festiwal „wyszedł w miasto", dla jego imprez szuka się miejsca w studiach, kościołach, halach fabrycznych, obiektach nowoczesnej architektury, plenerach. Zmieniła się też w ostatnich latach jego publiczność. Miejsce zainteresowanych nowościami muzycznymi profesjonalnych muzyków-kompozytorów, wykonawców, krytyków, coraz częściej zajmuje młodzież, i to niekoniecznie ta, która z muzyką wiąże swe plany życiowe, a po prostu zainteresowana jest tym, co dzieje się w kulturze. To dla niej wydaje się nawet specjalny quasi-przewodnik po festiwalowych wydarzeniach z zachęcającymi do udziału w koncertach efektownymi zapowiedziami np. „Podwodna inauguracja" (*Atlantis* Petera Eötvösa), czy „Śmierć i szaleństwo w Wytwórni Wódek" (*Tod und Wahnsinn* Arnouda Noordegraafa), albo „Dwanaście pięknych, starych odbiorników" (*Das atmende* Klarsein Luigi'ego Nona na flet basowy, mały chór i live electronics).

Nic dziwnego, że na koncertach Warszawskiej Jesieni fraki, smokingi i garnitury w wielu wypadkach ustąpiły miejsca dżinsom i swetrom, a gorącą atmosferę niektórych koncertów, zwłaszcza nocnych, podgrzewają piski i okrzyki zachwytu rodem z koncertów muzyki rockowej, zaś odpowiednie efekty świetlne, a bywa, że zachowania wykonawców, przypominają czasy modnych kiedyś happeningów.

Młodych melomanów do muzyki współczesnej najbardziej skutecznie przekonują młodzi wykonawcy, a wśród polskiej młodzieży muzycznej – studentów czy świeżo upieczonych absolwentów wyższych uczelni, zainteresowanych nowatorskimi prądami w sztuce nie brak, stąd w programach Warszawskiej Jesieni coraz częściej występują nowo powstałe, złożone z nich zespoły. Od kilku lat, jak we wzmiankowanym wywiadzie informuje dyrektor Wielecki, realizowany jest projekt młodzieżowego zespołu polsko-niemieckiego w ramach polsko-niemieckich warsztatów nowej muzyki, którym patronuje Festiwal „Warszawska Jesień" i Deutscher Musikrat. Z młodych zespołów, które zdobyły sobie już znaczną renomę w zakresie wykonawstwa muzyki nowej dwa znajdują się na Górnym Śląsku.

W ubiegłym roku bardzo dobre recenzje z Warszawskiej Jesieni otrzymała założona osiem lat temu przez Marka Mosia, mająca w swoim dorobku już kilka występów na Warszawskiej Jesieni, Orkiestra Kameralna Miasta Tychy AUKSO. Wykonaniem niezwykle trudnej kompozycji *Répons* Pierre'a Bouleza wsławiła się w ubiegłym roku Orkiestra Nowej Muzyki z Katowic, której szefuje kompozytor Aleksander Lasoń; po udanym zeszłorocznym występie zaproszono zespół również na ten rok i to z kolejnym wymagającym dziełem Bouleza – *Dérive 2*. Z Ensemble Phoenix z Bazylei wystąpił w tym roku znany z awangardowych dokonań młody kontrabasista i kompozytor katowicki Aleksander Gabryś. Jeśli dodać do tego maraton kwartetów smyczkowych w wykonaniu Kwartetu Śląskiego, trzy występy Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia" i zamykający 49. Warszawską Jesień koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, to można mówić o wyjątkowo dużym udziale muzyków naszego regionu w tegorocznym polskim święcie muzyki współczesnej.

Dodać należy, że również repertuarowo obecność muzyki rodem z Katowic została silnie w nim wyartykułowana. Utwory Witolda Szalonka, Henryka Mikołaja Góreckiego, Andrzeja Krzanowskiego, Aleksandra Lasonia i Eugeniusza Knapika stanowiły ważne pozycje w zdominowanym w tym roku przez polską muzykę Festiwalu.

Co zaprezentowano? Była Jesień przede wszystkim przeglądem dorobku polskich kompozytorów w zakresie kwartetu smyczkowego, od początku tego festiwalu po chwilę bieżącą. W dwóch podwójnych co do czasu trwania koncertach Kwartet Śląski wraz z Kwartetem „Dafô" wykonały w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej dziewiętnaście (!) kwartetów smyczkowych, począwszy od IV Kwartetu Grażyny Bacewicz, który dał jej zwycięstwo w Konkursie Kompozytorskim w Brukseli, a zaprezentowanego na I Warszawskiej Jesieni w 1956 roku, poprzez Kwartety W. Lutosławskiego, K. Pendereckiego, T. Bairda, Z. Krauzego, K. Meyera, A. Panufnika, P. Szymańskiego, A. Krzanowskiego, E. Knapika, A. Lasonia, S. Krupowicza, Barbary Buczek, Z. Bargielskiego, K. Knittla, W. Szalonka, H.M. Góreckiego i T. Wieleckiego, którego *Konieczność i przypadek* na kwartet smyczkowy i media elektroniczne miał na tegorocznej Jesieni swe prawykonanie. Wyczyn to niebywały, doceniony przez jury Nagrody „Orfeusz", które – przyznając to wyróżnienie „za szczególnie wartościowe wykonanie utworów kompozytorów polskich na Warszawskiej Jesieni" Andrzejowi Bauerowi (koncert w Warszawskiej Wytwórni Wódek „Koneser"), podkreśliło zarazem nadzwyczajną wartość dokonania artystycznego Kwartetu Śląskiego i Kwartetu „Dafô".

Przygotowana przez swego stałego dyrygenta Szymona Bywalca do kolejnej prezentacji dzieła Pierre'a Bouleza Orkiestra Muzyki Nowej z Katowic wystąpiła pod dyrekcją francuskiego Jeana Deroyera, wyspecjalizowanego w wykonawstwie muzyki wielkiego współczesnego kompozytora francuskiego. Występ w Studio Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego we wzbogaconej wyświetlanymi w tle dwujęzycznymi planszami Warszawskiej Jesieni 2006, przy tonącej w mroku estradzie i zaciemnionym audytorium, z pewnością wywarł na wypełniającej je publiczności duże wrażenie tak muzyką, jak i niezwykłą scenerią. Z trzech występów Cameraty Silesia najbardziej spektakularnym był występ z Canticum Canticorum Salomonis Krzysztofa Pendereckiego pod dyrekcją Petera Hirscha, również w Studio Polskiego Radia. Z niekłamanym podziwem przyjęto odznaczające się prawdziwą maestrią techniczną wykonanie.

Nie mniejsze wrażenie pozostawił występ w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina, w którym zespół w zmniejszonym składzie pod dyrekcją swej szefowej Anny Szostak wykonał *Das atmende Klarsein* Luigi'ego Nona. W trzecim swym występie „Camerata Silesia" wspomagała Chór Polskiego Radia w Krakowie w skomponowanym w 2005 roku monumentalnym dziele Eugeniusza Knapika *Introduction to Mistery* – prologu do dramatu muzycznego *Moby Dick* (według powieści Hermana Melville'a) na tenor, chór mieszany i orkiestrę, które to dzieło w znakomitym wykonaniu NOSPR pod dyrekcją Gabriela Chmury stanowiło efektowny finał tegorocznej Warszawskiej Jesieni.

Był to festiwal bogaty swą różnorodnością. Znalazły się na nim obok kompozycji znanych z poprzednich festiwali – kompozycje, które zdążyły już wejść w krwioobieg życia koncertowego, kompozycje nowe i najnowsze (ponad 20 prawykonań, ponad 30 pierwszych wykonań w Polsce). Wykonano monograficzny koncert twórczości chóralnej Henryka Mikołaja Góreckiego (bardzo dobry występ Chóru Opery i Filharmonii Białostockiej pod dyrekcją Violetty Bieleckiej w kościele św. Jacka), zaprezentowano trzy dzieła muzyczno-sceniczne (w tym premierę opery Zygmunta Krauzego *Iwona księżniczka Burgunda* według Witolda Gombrowicza w Teatrze Wielkim).

KAROL BULA



Na zdjęciu od lewej: Barbara Bielaczyc – Fiordiligi, Piotr Chmara – Ferrando, Jarosław Kitala – Guglielmo i Aleksandra Hruby – Dorabella.

MUZYKA

„Alkagran" i Mozart

Jesienny Festiwal Muzyczny „Alkagran" organizowany jest w Czechowicach-Dziedzicach od 1991 roku. W tym roku odbyła się jego XVI edycja. Od początku swego istnienia poświęcony jest pamięci przedwcześnie zmarłego kompozytora i akordeonisty Andrzeja Krzanowskiego. Urodzony w Czechowicach-Dziedzicach artysta pozostawił po sobie ponad 100 opusów, z czego ponad połowę stanowią kompozycje akordeonowe. Nazwa festiwalu wywodzi się z połączenia pierwszych sylab imion członków jego najbliższej rodziny (córki – Aleksandry, syna – Kamila, żony – Grażyny i imienia samego kompozytora - Andrzej). Organizatorami festiwalu są obecnie: Miejski Dom Kultury oraz Mała Akademia Muzyki w Czechowicach-Dziedzicach.

W trakcie trwania Festiwalu w dniach od 24 września do 1 października obok II Międzynarodowego Konkursu Akordeonowego im. A. Krzanowskiego i prezentacji jego kompozycji w wykonaniu uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach, odbyła się m.in. premiera opery Mozarta, koncert poetycki inspirowany wierszami ks. Jana Twardowskiego w wykonaniu: Krzysztofa Karcza, zespołu „Laudate" i zespołu „Freedom", a także koncert zatytułowany *Już się zmierzcha... Szymanowskiego góralska nuta*, w wykonaniu Marka Andryska, Aleksandry Krzanowskiej, Adama Musialskiego oraz Kapeli Góralskiej Jana Karpiela-Bułecki. Imprezy festiwalowe odbywały się w Miejskim Domu Kultury, Pałacu Kotulińskich, Liceum Ogólnokształcącym oraz w kościele NMP Królowej Polski.

Spotkania festiwalowe zainaugurowała inscenizacja opery komicznej w dwóch aktach Wolfganga Amadeusza Mozarta *Cosi fan tutte* w opracowaniu artystycznym Barbary Bielaczyc i Jarosława Kitali. Bielaczyc – sopranistka, absolwentka Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie prof. Krystyny Świder, od paru lat z uporem stara się realizować pełnospektaklowe widowiska operowe w Miejskim Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach. Wraz z młodym barytonem Jarosławem Kitalą, studentem Wydziału Wokalno-Instrumentalnego w Katowicach i grupą zaprzyjaźnionych studentów śpiewaków, nie dysponując niemal żadnymi środkami finansowymi, wystawia pełnospektaklowe widowiska muzyczne. Obecna premiera jest już trzecią z kolei w ciągu ostatnich kilku lat.

O początkach tej inicjatywy pisałem w numerze sierpniowym „Śląska". Przypomnijmy, że po przygotowaniu udramatyzowanych dwóch kantat barokowych: *Apollo i Dafne* Georga F. Händla oraz *Kantaty o kawie* Jana Sebastiana Bacha, we wrześniu zeszłego roku w realizacji młodych wykonawców odbyła się premiera opery Händla *Rinaldo*. Teraz kolej przyszła na operę komiczną Mozarta, w transkrypcji Mario Perentiego. Spektakl opracowany został w polskiej wersji językowej. Czołowe partie usłyszeliśmy w wykonaniu Barbary Bielaczyc jako Fiordiligi oraz grupy studentów Wydziału Wokalno-Instrumentalnego Akademii Muzycznej w Katowicach: Karoliny Widery – Despina, Aleksandry Hruby – Dorabella, Piotra Chmary – Ferrando, Jarosława Kitali – Guglielmo i Michała Ibroma – Don Alfonso.

Widowisko z powodu braku odpowiedniej liczby sponsorów tym razem zaprezentowane zostało z udziałem li tylko fortepianu, w akompaniamencie Aleksandry Krzanowskiej i klawesynu, na którym grał tegoroczny uzdolniony absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach Krzysztof Karcz. Godzi się podkreślić, że na Krzanowskiej, uzdolnionej i wielokrotnie nagradzanej na krajowych i zagranicznych konkursach pianistycznych artystce, spoczywał zasadniczy ciężar oprawy muzycznej widowiska. Usytuowana w drugim planie muzyka klawesynowa, pojawiała się dla podkreślenia kolorytu epoki Mozarta. W scenach zbiorowych śpiewakom towarzyszył kilkunastoosobowy czechowicki zespół kameralny Chóru Moniuszko.

Zrealizowany spektakl był wyłącznie wyrazem inicjatywy młodych artystów. Każdy z nich przygotował partię samodzielnie, bez pomocy profesorów, z wyjątkiem może Karoliny Widery, która partię Despiny śpiewa także w Operze Śląskiej. Z tego też powodu najnowszą premierę czechowicką można traktować jako chęć zademonstrowania tkwiących w młodych śpiewakach możliwości. Można przyjmować go również jako próbę zaistnienia na trudnym współcześnie rynku teatru muzycznego. Dodajmy – próbę udaną i dojrzałą.

Warto podkreślić, że Bielaczyc i Kitala od początku konsekwentnie realizują spektakle zgodnie z duchem epoki, w skromnych stylowych kostiumach i syntetycznej, skrótowej z konieczności zabudowie sceny. Także i tym razem nie przełamując operowych form, nie obalając schematów i konwencji, świadomie zdecydowali się na wymaganą sztuczność i koturnową przesadę. Dzięki temu dzieło Mozarta w Czechowicach-Dziedzicach ujrzeliśmy niemal w klasycznym kształcie. Jego mocną stroną były czysto zaśpiewane arie, a także odwołujące się do epoki kostiumy i zbudowana z najniezbędniejszych elementów architektonicznych scenografia. W konsekwencji spektakl trafił w oczekiwania czechowickiej publiczności i nie zburzył jej przyzwyczajeń. Skromne środki, jakimi dysponowali realizatorzy, sprawiły, że rozbudowane sceny zbiorowe ustąpiły na rzecz indywidualnych popisów. Dzięki temu zachowana została równowaga jak gdyby celowo zamierzonej skromności i równowagi formy całego widowiska pomiędzy muzyką, obrazem i śpiewem.

W życiu kulturalnym mniejszych środowisk miejskich tradycja realizacji własnych widowisk muzycznych, z udziałem zapraszanych gościnnie solistów, sięga na naszym terenie lat międzywojennych. Tego rodzaju praktyki miały miejsce już w latach trzydziestych m.in. w Bielsku, gdzie z udziałem miejscowej orkiestry symfonicznej i chóru „Echo" zrealizowane zostały m.in. opery Karola Kurpińskiego *Zabobon* i *Zamek na Czorsztynie*, a także Stanisława Moniuszki *Halka*.

Natomiast co do samego konkursu akordeonowego, to wzięło w nim udział 26 muzyków z Polski, Białorusi, Rosji i Ukrainy. Jury festiwalu pod przewodnictwem Grażyny Krzanowskiej po zakwalifikowaniu do drugiego etapu ośmiu młodych muzyków, przyznało trzy nagrody: pierwszą Eugeniuszowi Kubitowi, drugą Jackowi Małachowskiemu i trzecią Jurijowi Kipeniowi z Ukrainy. Ponadto przyznano pięć wyróżnień i jedną nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie kompozycji A. Krzanowskiego. Jedną nagrodę pozaregulaminową Dyrektora Konkursu oraz Kierownika Artystycznego Festiwalu „Alkagran" przyznano dla Antona Torbeeva z Rosji.

ANDRZEJ LINERT

MIĘDZY NUTAMI



Rok 1956 w muzyce polskiej

Lektura opublikowanego w 10. numerze „Śląska" bloku artykułów o październiku 1956 zmobilizowała mnie do spojrzenia na ów przełomowy czas w aspekcie wydarzeń w muzyce polskiej. Za sztandarowy znak przełomu czasu uchodzi w polskiej kulturze muzycznej pierwsza „Warszawska Jesień" – impreza powołana do życia, nie bez znanych już obecnie zakulisowych politycznych perturbacji, przez młodych kompozytorów świadomych potrzeby otwarcia osławionego „okna na świat". Nb. pierwszy festiwal warszawskojesienny został solennie omówiony na łamach katowickich „Przemian", i to w jakże świeżym, bojowym stylu! Nieznany mi Edmund Rustanowicz tak zakończył swoje sprawozdanie z festiwalu: „w wielu krajach socjalizmu istnieją warunki zapewniające artystom dobrobyt, a mimo to arcydzieła nie są zjawiskiem codziennym".

Łatwo cieszyć się popaździernikowymi reakcjami prasy muzycznej, ochoczym zrzucaniem okowów socrealistycznej nowomowy przez recenzentów i muzykologów. Można też już dzisiaj jawnie podziwiać harde deklaracje kompozytorów (nie Związku Kompozytorów Polskich, który wobec Października przyjął postawę – jak ją nazwał Tadeusz Szantruczek – wyczekującą), lecz indywidualności, takich jak Lutosławski czy Malawski – autor przypomnianego właśnie przez NOSPR hymnu na cześć Powstania Węgierskiego *Hungaria 1956*). Trudniej wyśledzić „odwilżowe" zachowania instytucji muzycznych – jak bowiem wiadomo, repertuar oper i filharmonii programuje się z kilkuletnim wyprzedzeniem (stąd premiera ostatniej polskiej opery socrealistycznej – *Komendanta Paryża* Witolda Rudzińskiego – odbyła się w 1962 roku). Są jednak przekazy, skryte na łamach nieopublikowanych pamiętników, które dokumentują prawdziwą erupcję rewolucyjnych zachowań publiczności muzycznej w 1956 roku. 14 października 1956 odbyła się w Poznaniu premiera *Holendra tułacza*. Było to drugie w powojennej Polsce wystawienie dzieła Wagnera. Spektakl, który prowadził Zdzisław Górzyński, został opisany w jego rękopiśmiennych *Notatkach do życiorysu*, z którymi dane mi było się zapoznać, jako wielka manifestacja na rzecz wolności myśli i wolności sztuki.

Inny epizod, o którym rozpisał się Górzyński, dotyczył wystawienia Straussowskiej operetki *Baron cygański* w noc sylwestrową kończącą „rok ów". Publiczność poznańska rytmicznie klaskała i tupała w takt nasyconej węgierskim kolorytem wojskowej muzyki operetki, solidaryzując się z braćmi z Budapesztu. Na następną taką manifestację trzeba było czekać – i w Poznaniu, i w innych ośrodkach muzycznych – do roku 1980. Jak zachowywała się w roku 1956 katowicka publiczność muzyczna? Oto ważne pytanie. Jeśli ktoś pamięta, niech napisze o tym do „Śląska".

NOSPR – podwójnie

NOSPR rozpoczęła nowy sezon dwiema na raz mszami Mozarta wykonanymi pod batutą Gabriela Chmury w kościele św. Piotra i Pawła. Znam pobożnych ludzi, którym nie wystarczy obecność na jednej tylko mszy dziennie. Zwłaszcza święta i odpusty wywołują w nich potrzebę odbycia podwójnej porcji modłów. Antropolog znalazłby w tym pewnie relikt pradawnej obrzędowości, z jej charakterystycznym elementem powtórzenia-zaklęcia. Jak jednak wytłumaczyć obecny trend do serwowania słuchaczom utworów muzycznych według hojnej „odpustowej" recepty? Współczesny bywalec koncertów filharmonicznych wysłuchuje nieraz po pięć koncertów solowych jednego wieczoru. Pianista zagra mu przynajmniej ze dwa cykle etiud w ramach jednego recitalu. Festiwale muzyki współczesnej znane są nie od dziś z predylekcji do układania muzycznych maratonów; tegoroczny mega-koncert „Warszawskiej Jesieni" będący całodzienną prezentacją starych polskich kwartetów smyczkowych, był już jednak „przegięciem".

Nie można tak oczywiście nazwać inauguracyjnej propozycji NOSPR – podwójny zestaw mszalny można uznać za pretekst do porównania stylu i emocji zawartych w dwóch Mozartowskich arcydziełach: *Mszy c-moll* KV 427 zwanej „Wielką" i *Mszy C-dur* KV 317 – „Koronacyjnej". Oba utwory to dobry materiał do porównań. Różnią się należycie czasem i intencją powstania, „kalibrem" środków muzycznych i wyrazem. Mieli w nich wielkie pole do popisu wykonawcy: sopranistka Iwona Sobotka, mezzosopranistka Urszula Kryger, tenor Ferdinand von Bortner, bas Robert Gierlach, krakowski chór radiowy i NOSPR pod dyrekcją Gabriela Chmury. Dyrygent uwypuklił dramatyczny wyraz obu mszy. „Wyciągnął" na pierwszy plan wirtuozowskie partie solistów, dobrze „podparł" brzmienie chóru. Usłyszeliśmy kreację tradycyjną, taką w „wielkim stylu". Koncepcyjnie – nie odkrywczą, wykonawczo – znakomitą.

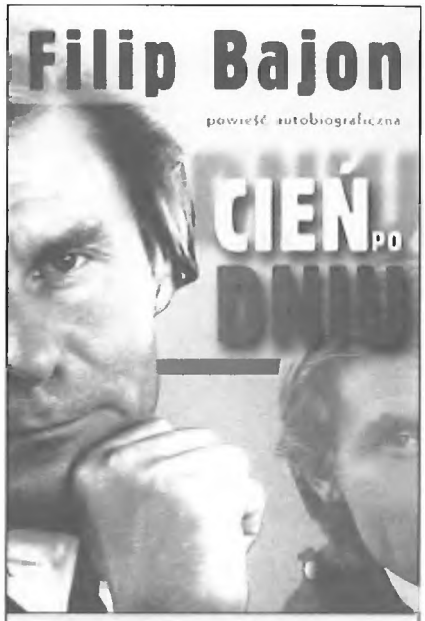
Robert i Klara

Bohaterami tegorocznej edycji organizowanego przez szefową Śląskiego Towarzystwa Muzycznego Magdalenę Lisak cyklu koncertów kameralnych i towarzyszących im wykładów (po wspólnym tytułem „Partnerstwo") byli Robert i Klara Schumannowie. W tle pojawił się Brahms - blisko zaprzyjaźniony z romantyczną parą. Komponując program, zasługujący na miano narracji, Magdalena Lisak potwierdziła swoje kulturoznawcze (dawniej zwane „renesansowym") zacięcie: muzykę odbieraliśmy w rozmaitych kontekstach, narzuconych przez tematy wykładów, albo i przez sam dobór utworów. Pierwszy koncert (18 września, studio radiowe) stanowił muzyczną prezentację Roberta, Klary i Johannesa Brahmsa. Dwugłos wykonawców: altowiolistki Elżbiety Mrożek (sonata altówkowa Brahmsa op. 120) i pianisty Zbigniewa Raubo (*Etiudy symfoniczne* Schumanna, *3 romanse* Klary) wskrzeszał atmosferę „muzykowań intymnych", tę samą, która zachowała się dla potomności w urywku listu Schumanna do narzeczonej (1833 – środek lata): „Będę grać jutro punkt o jedenastej Adagio z Wariacji Chopina, przy tym będę bardzo o Pani myśleć, wyłącznie o Pani. Mam tylko jedną prośbę, aby Pani to samo uczynić zechciała, byśmy się mogli duchowo ujrzeć i spotkać".

Czyniąc zadość obecnemu zapotrzebowaniu na polimedialność i intertekstualność, Lisakówna uzupełniła własny wykład o Klarze Schumann jako pedagogu projekcją filmu *Symfonia wiosenna* Petera Schamoni (9 października, Akademia Muzyczna). 16 października Magdalena Lisak muzykowała wspólnie z Piotrem Pławnerem. Odważne zestawienie „olimpijskiej" *Sonaty B-dur* KV 454 Mozarta z mroczną *Sonatą d-moll* op. 121 Schumanna mogło było stać się inspiracją modnych dumań o „stylu późnym", jednak zaproszony do wygłoszenia towarzyszącego koncertowi wykładu profesor Krzysztof Kłosiński skierował uwagę słuchaczy na całkiem inny tor. Mówił o idiomie „domowym" muzyki Schumanna i zachęcał, posiłkując się poglądami Rolanda Barthesa, do wejścia w bezkonfliktowy świat muzyczny „prostaczka z Zwickau" (to już mój dodatek) w sposób nowocześnie-odpowiedzialny, z poszanowaniem integralności – własnej i artysty.

MAGDALENA DZIADEK

Światłocień



Filip Bajon: *Cień po dniu*. Wydawnictwo Jeden Świat, Warszawa 2005.

Linia rapidografu była cienka, spokojna i wyrazista, a dopiero potem (...) tak się skłębiła, że wyciągnięcie jednej nitki byłoby już niemożliwe. Niemniej jednak spróbuję...

Filip Bajon – śmiałek i podróżnik, jakiemu „boski rapidograf" kreśli ścieżki życia niestrudzenie od 1947 roku, w którym pojawił się na świecie, w poznańskiej dzielnicy Jeżyce, w rodzinie adwokata i farmaceutki, rzuca wyzwanie pamięci. Ten sam przyrząd kreślarski znaczył miejsca na globie (Rosja, Albania, Knossos, USA, Florencja,) z jakich pocztówki śle Bajon w swojej nowej książce pt. *Cień po dniu*. Nie jest to pierwsza próba pióra reżysera m. in. *Arii dla atlety, Magnata,* czy *Wahadełka* (wymieniając tylko kilka z jego pokaźnego dorobku filmowego). W 1971 wydał powieść *Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody*, a później także opowiadania *Proszę ze mną na górę* (1979) oraz *Serial pod tytułem* i *Podsłuch* (1994).

Cień po dniu otwierają wizje dekadenckiej konsumpcji, przepełnione świadomością niezidentyfikowanego braku, przeczuciem śmierci. Kontrastują z nimi obrazy zapamiętane z dzieciństwa spędzonego w mieszczańskim domu kultywującym familiarne tradycje, szkice kreślone spokojnymi i wyrazistymi pociągnięciami, uwieczniające czas spędzony na zabawie z kolegami na stokach Cytadeli i w skrywającym tajemnicę bunkrze. Czyta się te fragmenty jak *Weisera Dawidka* Pawła Huellego (oczywiście ze względu na motyw inicjacji głównego bohatera, konfrontację świata dziecka ze światem dorosłych, ale także sposób przedstawienia w niej społeczeństwa), nie mogąc oprzeć się pokusie, by stwierdzić, iż autor celowo powieść chłopięcą czyni punktem wyjścia dla swojego opowiadania. Racja idącego tym tropem, skuszonego czytelnika, szybko okazuje się niepodważalna. U progu dorosłości, z jeżyckiego domu wychodzi w świat Filip. Odkrywając nowe miejsca, poznając ludzi, tworzy fabułę własnego losu. Konfabulując, bo przecież tworząc, a sztuka to, jak ironicznie stwierdza: „ulotna fikcja wykoślawionych umysłów, które wymknęły się spod kontroli miasta", staje się *homo viatorem* – człowiekiem w drodze. Wędrowcem na szlaku piszącym się dla niego, obiektywnie danym w pakiecie z kolejnym przeżytym dniem (po dniu), ale i także przez niego tworzonym, subiektywnym i wyobrażonym, a więc fikcyjnym. Zatem, w powieści autobiograficznej Filipa Bajona rzeczywistość i bajanie, czyli uzupełnianie luk pamięci przetrzebionej czasem, przeplatają się.

Cień po dniu jest książką pisaną w dużej części siłą wyobraźni. Reżyser patrzy na świat jakby okiem kamery – kolejne pocztówki z podróży imitują kadry filmu, istotny jest gest, mimika postaci, ważną funkcję spełnia światło, a także cień. Znaczącą rolę odgrywa fabuła momentami tocząca się symetrycznie w odniesieniu do czasu minionego. Bunkry i warownie z dziecięcych lat stają się dla dorosłego człowieka metaforami mieszczańskiego gorsetu, jak również zamknięcia na to, co nieznane. Bajon nie odziedziczył klaustrofobicznego lęku poznaniaków przed światem zza muru berlińskiego. Przeciwnie, ciągle powoduje nim chęć podróży, poznania. Jego rapidograf, skierowany na zachód, stukał cierpliwie w żelazną kurtynę, a także dorysowywał ścieżki ku wschodowi, by podróżnik mógł wreszcie znaleźć się w Azji – w opinii jego rodaków zapadłej i obcej. Owszem, atmosfera i zasady w domu rodzinnym sprawiły, że młody człowiek przywykł do milczenia. Przejawiało się to później, w dorosłym życiu, kłopotami z mówieniem o sobie i o swoich uczuciach. Bajon szybko jednak znalazł sposób, aby dać upust tłumionym emocjom. Odkrył, że wyrażanie i jednocześnie kamuflowanie siebie w chroniącym cieniu prywatności, umożliwia mu film. Działalność artystyczna, mająca swój początek już w teatrach studenckich, pozwalała mu bezpiecznie zanurzyć się w fikcji. Oglądając na przykład *Arię dla atlety*, można zauważyć zmysł artystyczny reżysera, z wprawą wykorzystującego zjawisko światłocienia, jaki raz przysłania, to znów wyostrza przekazane treści i w ten sposób domaga się ich kontemplacji. Niektórzy krytycy twórczości filmowej odnajdują w jego filmach „kadry stylizowane na obrazy Toulouse – Lautreca i rysunki Beardsleya". Po lekturze *Cienia po dniu* nie ulega wątpliwości zamiłowanie Bajona do sztuki; kontakt z nią nierzadko powoduje szok kulturowy, o czym w bardzo plastyczny sposób pisze w swojej książce. Fascynacja Toulouse-Lautrec'iem wypływa być może również z faktu szeroko opisanego w powieści Bajona. Mieszczański porządek, jaki charakteryzował poznańskie dzieciństwo reżysera, kontrastował z artystyczną bohemą, skupioną wokół osoby jego ciotki, Lody. Oni to stali się później bohaterami jednego z jego filmów, a także niewybaczalnym grzechem popełnionym przeciw komunistycznej władzy, urażonej brakiem pozytywnych cech tego, jakże specyficznego, kolektywu. Zatem, obu panów łączy zamiłowanie do cyganerii artystycznej, jaką starają się uwieczniać na obrazach – płótnach i kliszach filmowych. Natomiast skojarzenie twórczości autora *Cienia po dniu* z twórczością Beardsleya można argumentować wysublimowanym zastosowaniem światła i czerni.

Cień – opadający w tytule powieści autobiograficznej Bajona jest pamięcią o przeszłości o nieco rozmytych konturach, snującą się za człowiekiem, do którego należy, za którym podąża, domagając się uwagi. *Homo viator* pielgrzymujący dzień po dniu, zatem również autor książki – odpoczywa w cieniu, skąd wysyła pocztówki na adres teraźniejszości. Przeszłość stempluje znaczkami, na jakich widnieje kontur gwiazdy kremlowskiej – symbol jego moskiewskich wojaży, a także łuna nad miejscem, gdzie stały dwie zburzone wieże – Manhattan, będący wielką metaforą samotności i kruchości człowieka.

Dzień – to jednostka czasu i drogi, jaką pokonuje pielgrzym, a także tocząca się głowa pradziada Bajona. Owiana tajemnicą rodzinna legenda trwa i przypomina o łączności teraźniejszości z tym, co minione. Mijające dni w powieści reżysera relacjonowane są w charakterystyczny sposób. Metoda Bajona polega na tworzeniu trafnych puent i aforystycznej celności. Dzięki temu książka zyskuje lekkość, więc posiada niewątpliwy walor humorystyczny i zarazem jest intrygująca. Autor rezygnuje ze zgłębiania się w swoje życie erotyczne, skupiając uwagę na rodzinie (szczególnie na kontakcie z synami), przyjaźni i realizacji swojego wielkiego marzenia o reżyserowaniu.

Pocztówki – fiszki są dobrym sposobem budzącym pamięć o przeszłości. Czytelnik zapracowany, roztargniony i przede wszystkim szukający dobrej lektury, niech odnotuje: Filip Bajon: *Cień po dniu* – nie zapomnij!

EWA PILARZ



Katarzyna Tubylewicz: *Własne miejsca*. Agencja Wydawnicza Jacek Santorski i Co. Warszawa 2005, s. 224.

Uciekać przed przeznaczeniem

Katarzyna Tubylewicz – współautorka antologii opowiadań *Jestem mamą – zbiór prawdziwych historii o macierzyństwie* (2004) – zadebiutowała samodzielną powieścią. We *Własnych miejscach*, bo o nich mowa, porusza dwa zasadnicze wątki: nostalgię za ojczyzną oraz poszukiwanie tzw. miłości idealnej.

Polska literatura emigracyjna zajmowała się problemem wyjazdu z kraju, poczuciem wyobcowania w nowym miejscu i tęsknotą za ojczyzną dosyć obszernie. Bohaterowie wyjeżdżając jednak nie z własnej woli, uciekali przed reżimem i konsekwencjami niezgody na panujące prawa. Dlatego w innym miejscu czuli się „nie u siebie", zawsze obcy, wyalienowani, wzbudzali powszechne zainteresowanie, podejrzenie, współczucie. Ale co z człowiekiem, który nie musi uciekać? Który decyduje się na wyjazd z własnej woli, nie w pogoni za chlebem czy pracą, ale w pogoni za marzeniami o miłości na całe życie? Taka jest właśnie bohaterka książki – Marianna. Jej historię poznajemy z perspektywy czasu, dzięki prowadzonym *Zapiskom szwedzkim*, jakie po jej śmierci odnalazł syn. Paweł zaczyna uświadamiać sobie poświęcenie matki, która dla męża – Szweda Jona – opuściła rodzinny kraj, pozbawiając się tego, co można by nazwać „własnym miejscem pod słońcem". Początkowe problemy językowe, obyczajowe oraz poczucie wyobcowania okazały się nie do przezwyciężenia. Wprost przeciwnie, utrwaliły się, pogłębiły, mimo że Marianna wiedziała, że są tylko wynikiem – jak sama stwierdziła – „typowo polskiej zakompleksionej, schizofrenicznej megalomanii". Jedynymi rzeczami, podtrzymującymi ją jeszcze na duchu, są miłość męża i syna. Dzięki nim nie poddaje się, starając zachować w sobie odrobinę „polskości": chodzi do kościoła, celebruje polskie święta, nalega, by synowi dać polskie imię, mimo że w Szwecji jest ono niezrozumiałe. Prowadząc swój nietypowy dziennik, bohaterka dochodzi do ważnych wniosków. Po pierwsze, o kobietach takich jak ona, nie pisze się wierszy. Takie kobiety nie stają się bohaterkami powieści, z góry skazane są na zapomnienie, jakby ich emigracja nie była tak bolesna, bo dobrowolna. Po drugie, domem nie jest miejsce, w którym mieszkamy, ale ludzie, których kochamy. Przed śmiercią Marianna pisze, że jej domem nie jest już ani Polska, ani Szwecja, lecz serca Johna i Pawła. Stąd to do nich właśnie kieruje swoje zapiski.

Przyszła pora na drugi wątek poruszany we *Własnych miejscach*, na miłość. Wszyscy jej potrzebują, o niej marzą, ale autorka zdaje się mówić, że mit „miłość aż po grób" został skomercjalizowany, jak wszystko inne, że w świecie XXI wieku taka miłość już się po prostu nie zdarza. Tak sądzi Paweł, mieszkający z kobietą „wrażliwą, zakochaną, inteligentną i seksowną. I tej właśnie kobiety nie jest w stanie pokochać". Podobnie myśli też Dominika, która po nieudanej próbie stworzenia związku z ojcem swojego syna, mówi o sobie, że należy do grupy stęsknionych dziewczyn, będących „w stanie zakochać się w pilocie przelatującego samolotu lub kiju od szczotki. Ja też zakochiwałam się raz w tym, raz w tamtym, bez sensu, bez powodu, bez wzajemności". Skoro dzisiejsza miłość jest właśnie taka „bez sensu i bez powodu", to czy jest możliwa? Odpowiedź, jakiej zdaje się udzielać Tubylewicz, jest twierdząca. Mimo naszej wiedzy na temat miłości, nigdy nie przestajemy jej szukać, stale wierząc w przeznaczenie i drugą idealnie dopasowaną „połówkę". Przeznaczenie dopada także Pawła i Dominikę.

Ale czy pięć spotkań (o ile można w ogóle nazwać je spotkaniami) wystarczy, by zakochać się na całe życie? Tak – powiada autorka *Własnych miejsc*. Dotyk oczami, uśmiech, w końcu rozmowa, to tylko – a raczej aż – tyle. Spotkanie pierwsze: samolot relacji Sztokholm – Warszawa, uspokajający uśmiech podczas turbulencji. Spotkanie drugie: warszawska ulica, on jest z inną. Spotkanie trzecie: on obserwuje ją przez szybę restauracji. Spotkanie czwarte: tramwaje, patrzenie sobie w oczy, „być może właśnie to czwarte spotkanie przesądziło o naszym losie. Trwało siedem minut i czterdzieści dwie sekundy" – mówił potem Dominik. I w końcu spotkanie piąte: dłuższa rozmowa, spacer, zostawiony numer telefonu. Te pięć „spotkań" spowodowało, że Paweł wsiadł w samolot i szukał w całej Warszawie kobiety, której nazwiska nigdy nie poznał, a z którą – o czym był przekonany – chciał się zestarzeć.

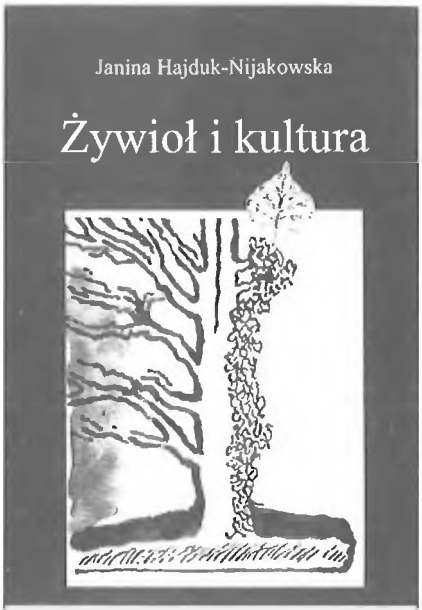
Dominika dłużej broni się przed tym uczuciem. Z jednej strony, próbuje przed nim uciec (wyrzuca wizytówkę Pawła) a z drugiej – wie, że przed przeznaczeniem nie ma ucieczki. Porównuje się z Teresą z *Nieznośnej lekkości bytu* Kundery, która potrzebuje spojrzenia ukochanego człowieka, by w ogóle istnieć. Dlatego takie wrażenie wywarły na niej owe „spotkania" z Pawłem. Przypomina też sobie wiersz Wisławy Szymborskiej *Miłość od pierwszego wejrzenia*. Bowiem wszystkimi bawi się los, zamieniający się w przypadek, będący przecież też przypadkiem.

Powieść Katarzyny Tubylewicz warta jest uwagi także ze względu na nietypową formę. Historię bohaterów poznajemy z pięciu źródeł: z *Zapisków szwedzkich* mamy Pawła, z relacji „wszystkowiedzącego narratora", monologów Dominiki i Pawła oraz z opowieści synka Dominiki – Kajtka. Ta nietypowa forma sprawia, że czytelnik spogląda na opisywane wydarzenia nie tylko z dystansu czasowego, ale także z dużą dozą obiektywizmu. Różne punkty widzenia tych samych sytuacji nakładają się na siebie, tworząc barwną opowieść o tęsknocie, losie, przypadku, przeznaczeniu. Kończąc czytanie *Własnych miejsc* dochodzimy do przekonania, że i w naszym życiu spotkaliśmy ludzi, o których pomyśleliśmy, że chcieliśmy, by „akurat ta jedna, jak wiele innych, przelotna znajomość, przekształciła się w los, w realizację misternego planu, jak dobrze skomponowany utwór, jak pewność, że tak naprawdę nic nie jest przypadkiem, chociaż wszystko nim się wydaje".

A jeśli nie, to jeszcze na pewno zdarzy nam się tak pomyśleć...

MAGDALENA BOCZKOWSKA

Kultura między żywiołem i ładem



Janina Hajduk-Nijakowska: *Żywioł i kultura. Folklorystyczne mechanizmy oswajania traumy*. Opole: Wydaw. Uniwersytetu Opolskiego, 2005, 232 s., 31 il. (w tym kolor); 23 cm (Studia i Monografie 361).

Rzadko się zdarza, by praca naukowa z dość niszowej dyscypliny, jaką jest dziś folklorystyka ogniskowała w sobie tyle kontrowersji i przeciwstawień tak aktualnych i znajdujących się do dziś w sercu dyskusji nie tylko kręgów elitarnych. Przede wszystkim dotyczy ona zjawiska tak wstrząsającego i sensacjonalnego zarazem, jak sytuacja kryzysowa, zjawiska, które skupia uwagę nie tylko dzięki manierom tabloidów, ale stanowi wręcz przedmiot powszechnej refleksji po 11 września 2001 r., a ciągle się przypomina i w Polsce, jak choćby ostatnio w katowickiej tragedii. Jest to bowiem wyczerpujące omówienie słynnej powodzi stulecia w 1997 roku na Śląsku.

Ale nie jest to tylko relacja ani kronika, ani nawet historia. Nie jest to też tropicielstwo zmierzające za wszelką cenę do ustalenia winnych – bo mieliśmy wszak do czynienia głównie z żywiołem (a więc „siłą wyższą"), owym tytułowym Żywiołem, który kulturę zaatakował – choć bardziej w dziedzinie cywilizacyjnych artefaktów, ale i zapłodnił – jako katalizator aktywności choćby tylko informacyjnej, i zarazem przeorał relacje wszystkich formalnych i nieformalnych interakcji społecznych, a zwłaszcza poddał surowej próbie sprawność wszelkich instytucji, zarówno administracyjnych, jak i informacyjnych. Autorka, nie tylko znana folklorystka i antropolog, ale i doświadczona dziennikarka telewizyjna opisuje ową kryzysową, powodziową sytuację wnikliwie i wszechstronnie, tworząc słowami jakby scenariusze obrazów, właśnie nie wymagające słownych komentarzy, bez z góry przyjmowanych tez, bardzo obiektywnie, a pasjonująco – przez samą wymowę faktów.

Przez książkę przewijają się niektóre z najbardziej podstawowych pytań naszych czasów z gatunku tych stawianych dość powszechnie, a na które odpowiedzi nieraz brak, albo są tylko rezonerskie i zdroworozsądkowe. Czy naprawdę folklor to dziś tylko reliktowe starocie lub „cepeliada"? (Już ostatnio, w 1981 roku amerykański filolog angielski J. H. Brunsvand w książce *Znikający włóczęga: amerykańskie legendy miejskie i ich znaczenia* określił te nowoczesne, ale krążące w obiegu nieformalnym opowieści właśnie terminem *urban legends*). Czy istnieje jeszcze jakaś „wieść gminna", jak ona się kształtuje, jakie jest jej znaczenie i relacja do tego, co naucza „czwarta władza"? Jaka staje się ta relacja „ludowych" (czy może tylko „popularnych") przekazów kulturowych do oficjalnej informacji i (jednak!) propagandy, zwłaszcza gdy sytuacja skrajna, kryzysowa, zaczyna stawiać większe i gniewniejsze wymagania nadawcom, niż (jak zwykle) odbiorcom? Czy w ogóle legenda jest zafałszowaną historią, czy też wszelka historia, nawet ta najnowsza, to tylko legenda? Jak *vox populi* ocenia dziennikarską i urzędniczą moralność i funkcjonalność informacyjną w sytuacji, gdy nie można wskazać konkretnego „kozła ofiarnego" w kraju ani nawet zagranicą, gdy „winnym" jest żywioł i przypadek? Oto tylko niektóre, ciągle powracające pytania. Nie ma na nie łatwych i prostych odpowiedzi, ale nie zanadto starano się też opisać całą gamę zachowań, reakcji i refleksji wywoływanych przez takie sytuacje. Recenzowana praca lukę tę w dużej mierze wypełnia.

Ale nie jest to jeszcze jedna propozycja dyskusyjna i teoretyzująca. Nie wynikają z niej „jednie słuszne", kategoryczne odpowiedzi na wymienione i inne pytania. Idzie w głąb opisywanych zjawisk i zagadnień, analizuje rozmaite ich odmiany i warianty, zarysowuje całe bogactwo alternatyw – nie tylko „do wyboru" – co do refleksji, z gatunku tych powstrzymujących przed uproszczonymi, demagogicznymi i prostackimi zwykle osądami i rozstrzygnięciami. Może to właśnie na Śląsku były szczególnie dogodne warunki, by powstała tam taka praca, nie tylko ze względu na powtarzające się od co najmniej 200 lat katastrofalne powodzie, ale przede wszystkim ze względu na splątanie ludzkich losów, sposobów myślenia i odmian samoocen i samookreśleń oraz ich (najczęściej niezawinione) dewiacje. Dlatego słusznie – jak dziś coraz częściej się zdarza – ostateczne sformułowania wniosków i ocen owego ludowego i urzędowego „oswajania traumy" pozostawiono czytelnikowi, jakże bogatych jednak dostarczając mu przesłanek. A jest to sprawa ogromnej wagi, skoro cenionym dobrem samym w sobie staje się znów władza. a jednym z głównych warunków utrzymania się przy niej jest umiejętność rozładowywania napięć społecznych.

Koniecznie trzeba też dodać, że myliłby się ten, kto sądziłby, że mamy do czynienia ze skondensowanym tekstem scjentystycznym. Erich Maria Remarque włożył w usta jednej ze swych postaci słowa: „Bohaterska postawa, chłopie... nadaje się do ciężkich chwil. Ale my żyjemy w rozpaczliwych czasach. W takich wypadkach jedynie uczciwą postawą jest humor". Znajdujemy tu więc i epickie panoramy faktów, i bohaterstwo bez patosu – i właśnie ów cięty, bynajmniej nie „wisielczy" samorodny humor – zarówno tylko zawadiacki, jak i ostro satyryczny, co sprawia, że jest to lektura wciągająca, a uogólnienia nie nużą, tylko po prostu „stawiają kropki nad i".

Oczywiście nie miejsce tu, by charakteryzować całą zawartość książki. Ale sądzę, że warto przytoczyć kilka przykładów uniwersalności zjawisk, zestawionych i nazwanych w związku z tą bardzo konkretną sytuacją w sposób daleko wykraczający poza „tu i teraz". Wymieńmy np. kulturową „obronność percepcyjną", aktywizację pamięci społecznej pod wpływem klęski, „zbratanie w gapiostwie" obok „zbratania ofiar", konkurencję i współpracę „gazety mówionej" z mediami drukowanymi i audiowizualnymi, potrzebę mówienia i celebrowania pamięci przechodzące w rytuał wycofania. A wszystkie te zjawiska opisano nie na podstawie dedukcji z jakichś ogólnych paradygmatów, ale na podstawie opowieści samych uczestników i świadków wydarzeń. Wiele z nich znalazło nawiązania i umocnienia w bardzo nieraz starych, lokalnych tradycjach i wierzeniach, daje się sprowadzić do pradawnych, także ogólnych elementów kultów i wierzeń.

Po książkę powinni więc sięgnąć nie tylko folkloryści i antropologowie, zwłaszcza ci, którzy mogą mieć trudności z dostrzeganiem empirycznych podstaw i uzasadnień rozbudowanych paradygmatów teoretycznych. Jest to też pożyteczna, a może i konieczna lektura dla wszystkich, którzy miewają rozterki na temat relacji między polityką (także informacyjną), indoktrynacją, informacją, nastrojami społecznymi - i tym, co nazywamy „etyką dziennikarską", tą rzeczywiście uwewnętrznioną, a nie zadekretowaną przez jakieś formalne ciała, wynikającą bardziej z poczucia społecznego i obywatelskiego, niż z arywizmu i doktrynerstwa. Dostarcza też refleksji na temat różnic między tymi relacjami w perspektywie „centralnej" i regionalnej („prowincjonalnej") – czego zresztą Autorka uprzejmie nie zaakcentowała. A wszystkich chyba czytelników może wzbogacić o sporą dozę empatii, wczucia się w traumę „nagiego życia", która jeżeli nie jest – to każdej chwili może być udziałem każdego z nas.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI



Bruno Jasieński: *Palę Paryż* / Paul Morand: *Palę Moskwę*. Red. i wstęp P. Kitrasiewicz. Wyd. Jirafa Roja. Warszawa 2005.

Paryż znów spalony

Pierwodruk *Palę Paryż* miał miejsce we francuskim dzienniku komunistycznym „L`Hummanité" w roku 1928. Tytuł powieści Brunona Jasieńskiego wiązano z tytułem noweli Paula Moranda *Je brûle Moscou*, teraz więc obydwa teksty pojawiają się we wspólnej edycji.

Rozdział początkowy przedstawia kilka ostatnich dni życia paryskiego robotnika – Pierre`a. Zwolniony z pracy, daremnie poszukujący źródła utrzymania, traci swoją dziewczynę. W miejskiej wieży ciśnień wyleje do wody zawartość dwóch probówek... Na rozdział kolejny składają się – poprowadzone „równolegle" – wątki odrębnych części: historia P`an Tsiang-Kueja, amerykańskiego przemysłowca Dawida Lingslaya (tu także rabiego Eleazara), rosyjskiego oficera Solomina i socjalistycznego działacza Lavala.

Bezpośrednią przyczyną zagłady stolicy okaże się dżuma. A wiemy, iż choroby – co analizowała Susan Sontag – „zawsze wykorzystywane były jako metafory wzmacniające oskarżenie społeczeństwa o korupcję, jak i niesprawiedliwość". Tak, w powieści Jasieńskiego mamy do czynienia z takim właśnie oskarżeniem. Fragmenty części pierwszej rejestrują symptomy narastającego kryzysu. Burżuazyjny Paryż przekroczył granicę tolerancji, skoro stał się współczesną wieżą Babel. Podział miasta na etnicznie, wojujące państewka ma być spełnieniem wyroków dziejowych.

Cechy budowy powieści Jasieńskiego wskazywał Tadeusz Bujnicki: adaptację elementów romansu brukowego, rozwiązania nowelistyczne, schemat reportażowo-publicystyczny. Co istotne: *Palę Paryż* jest ostatnim ogniwem futurystycznego bilansu Jasieńskiego. Miasto z wczesnych wierszy awangardystów znów stało się symbolem zła, a człowiek znalazł się w „obcym, niezrozumiałym świecie". Wzorcem precyzji była, do niedawna gloryfikowana, maszyna. W momencie, gdy Pierre trafia do więzienia, okazuje się jednak, iż „maszyneria kółek" została źle zestawiona w świecie pozornej wolności. Futurystyczny fetysz zawiódł. Maszyny zagrażają człowiekowi, gazety przestają być najwspanialszą formą poematu tworzonego przez Miasto i nadają się jedynie do okręcania nóg.

Jasieński spalił Paryż tak, jak futuryści palili biblioteki, a więc „symbolicznie". Zniszczył miejsce, w którym ten ruch się narodził. W powieści zbiegły się więc dwie tendencje destrukcyjne: samozniszczenie futurystyczne oraz – implikowana polityczną ideą – zagłada symbolu świata kapitalistycznego. Powieść przybliża spojrzenie na kulturę europejską – i eksfuturysty, i komunisty. Burzycielski gest futuryzmu może być wykorzystany – przy reinterpretacji oraz intelektualnym „dowartościowaniu" – ze względu na potrzeby nowej kultury komunistycznego uniwersum.

Palę Paryż – powieść godną dziś przypomnienia – można postrzegać jako rozrachunek polityczny i bilans najradykalniejszej wersji futuryzmu. Jasieński rozpoczynał proces budowy „lepszego świata" – znów utopijnego i, w swoim rodzaju, „futurystycznego". Przypłacił to życiem.

PAWEŁ MAJERSKI



Bruno Jasieński: *But w butonierce i inne wiersze*. Iskry, Warszawa 2006. stron 212.

Młody, genialny

„(...) gdy nastał Jasieński, / Bezpowrotnie umarli i Tetmajer i Staff" – buńczucznie pisał w wierszu *But w butonierce* ten, który w butonierce nosił czasem szczoteczkę do zębów. Bruno Jasieński zapowiadał przewrót w polskiej poezji – i tego przewrotu dokonał. Głosząc w 1921 roku (a więc w roku wydania tomiku *But w butonierce*) zerwanie z tradycjami, kult futuryzmu, dokonywał karkołomnych wyczynów, łącząc z ekwilibrystycznymi i egzotycznymi rymami klasyczną już poetykę wiersza sylabotonicznego, a przekomą manifestację antyortograficzną zespalając ze skandalem. Postawa ta była możliwa dzięki głoszeniu futuryzacji życia, a nie sztuki słowa – tradycyjna forma, sprawdzone systemy wersyfikacyjne miały być tylko narzędziem działania, nie zaś celem.

Choć prowokacyjna moc tekstów Jasieńskiego dawno już wygasła, twórczość przestała szokować, a sam artysta trafił do kanonu twórców polskiej literatury – wiersze jego nadal mogą zachwycać. W 2006 roku nakładem wydawnictwa Iskry ukazał się popularyzatorski wybór poezji *But w butonierce i inne wiersze*. Tomik zawiera dwa poematy – *Słowo o Jakubie Szeli* i *Pieśń o głodzie* oraz 35 wierszy Brunona Jasieńskiego (najwięcej oczywiście z *Buta w butonierce*, debiutanckiego tomiku; kilka z *Ziemi na lewo* oraz kilkanaście tekstów z czasopism i jednodniówek).

Książka ma z założenia przybliżać przeciętnemu odbiorcy twórczość Jasieńskiego, dobierano więc do niej teksty jak najbardziej uniwersalne, reprezentatywne bądź po prostu charakterystyczne (język zaumny w *Na rzece*, nowatorski sposób zapisywania wiersza w *Morzu*, przykłady uproszczonej fonetycznej ortografii futurystycznej). Do wyboru trafiły utwory, którymi zasłynął Jasieński i te, które zachwycają wykonaniem. Kilku tekstów próżno by szukać w krytycznym wydaniu poezji Jasieńskiego w serii Biblioteki Narodowej.

Z racji popularyzatorskiego charakteru tomiku zrezygnowano z większości przypisów, odnotowujących dokonywane na wierszach operacje i zmiany czy po prostu inspiracje poetyckie. Zostały jedynie objaśnienia trudniejszych zwrotów i nazwisk. W tym kontekście dziwić może nieco przydługi życiorys Jasieńskiego, zamieszczony w posłowiu. Wprawdzie Krzysztof Jaworski, autor wyboru, tłumaczy, że przytacza jedynie epizody z życia poety, konieczne dla zrozumienia jego wierszy, ale... w końcu Bruno Jasieński był przeciwnikiem biografistyki, wolał tworzyć na swój temat legendy i kontrolować informacje. Zbędne przy tym wydają się choćby szczegółowe wyjaśnienia genezy imienia i nazwiska poety. Zamiast rozwodzenia się nad życiorysem warto było poświęcić choć kilka stron na zagadnienia związane z futuryzmem, czy szerzej – z sytuacją poezji w Polsce okresu międzywojnia. Znacznie lepiej wyjaśniłoby to rozwiązania stosowane w poezji przez artystę.

W całej idei popularyzowania i przypominania twórczości Jasieńskiego nie do końca udanym posunięciem wydaje się być achronologiczne prezentowanie utworów. W 1923 roku Jasieński wyrzekł się rodowodu i postawy futurystycznej. Tymczasem autor wyboru wierszy w rozdziale pierwszym obok utworów z *Buta w butonierce* (rozrzuconych zresztą chaotycznie po całym tomiku) umieszcza teksty datowane na 1924 rok. Na szczęście na „skrzydełkach" okładki znajdują się daty pierwodruków.

Wielbiciele Jasieńskiego z pewnością sięgną po obszerniejsze i krytyczne wydanie dzieł poety. Ale dla tych, którzy jeszcze Jasieńskiego nie znają, tomik *But w butonierce i inne wiersze* może stać się preludium do znakomitej przygody z futuryzmem.

IZABELA MIKRUT



Krystyna Borkowska – *Na psa urok*. Sosnowiec 2006, Firma Poligraficzno-Wydawnicza WIKTOR.

Poezja nieujarzmiona

Krystyna Borkowska wydała nowy zbiorek wierszy „Na psa urok". Autorka okrzepła, co jest następstwem kilku spektakularnych sukcesów w poetyckich konkursach, gdzie została laureatką. Jurorami były osoby znane – pisarze i profesorowie: T. Sławek, F. Netz, J. Malicki, M. Kisiel, M. Szczawiński.

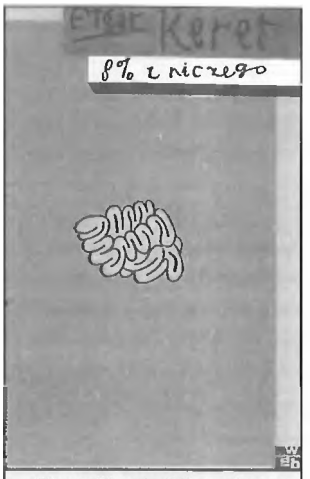
Książka traktuje o jej ukochanym psie Kellym. Dla mnie jest to jednak przede wszystkim książka o miłości. Nie jest ważne kto jest jej adresatem. Miłość jest jedna, ta właśnie, która odróżnia człowieka od reszty biologicznego świata, pozwala mu trwać i mądrzej żyć. Niektórym może wydać się dziwny – ten pies – który jest tu chyba katalizatorem spostrzeżeń i wynurzeń. Zwierzęta często do takich celów służą. W. Szymborska, noblistka, użyła do tego np. kota („Kot w pustym mieszkaniu"), a wiersz mówi przecież o śmierci.

Autorka tego zbiorku poprzez kochanego psa wyraziła miłość do świata, całego swojego otoczenia, przyrody. Krystyna Borkowska już w motcie własnego autorstwa konstatuje: *tu trzeba / niejedną łzę otrzeć / więc nie czytajcie / wy bez serc / bo nie na cielęcej spisane / nie na kamieniu / lecz na duszy mojej*. I na następnej stronie (chyba wtedy leczyła swego podopiecznego) *maleńką łyżeczką / zakraplaczem / noga za nogą / światło za światłem*. Poznajemy w kilku dłuższych, narracyjnych wierszach, całą ich historię, wzajemny stosunek. Dużo fragmentów urzekających piękną, poetycką jasnością i prostotą. Widać dużą intuicję poetycką, wyrażającą się w trafności sformułowań. I wiersze krótkie, kilka wersów, najbardziej do mnie przemawiające: *to tak / jakby na końcu korytarza / drzwi się zamknęły lub miłością karmiony / niesie ciepło mych dłoni / blask słów / tak-tak-tak / słyszysz? / serce* i jeszcze *rozrzucone na poduszce / źdźbła snu / krwawią albo śpi we mnie / a ja w nim / śnić nie przestaję / łąk naszych znajomych / śpiewu motyli / każdego źdźbła zapachu / i dotyk tak czuły/ jak muśnięcie światła*. I na zakończenie przytoczeń wiersz „Wielki Piątek 2005": *cisza / ludzie mają psy / po śladach chodzę / /Krysiu / żyjesz? / żyję /cha! cha! cha! / to dobrze / że żyjesz słyszę ciepły głos / niepełnosprawnej córki*.

Ten pies wrósł w jej rodzinę, był jakby jej członkiem. Kochali go wszyscy. Można odnieść wrażenie, że autorka, jakby zawiedziona brakiem powszechnej miłości wśród ludzi, w życiu, przeniosła i usadowiła uczucie w psie, jako pewny ekwiwalent jej odwzajemnienia i trwałości. Niedziwiłbym się takiemu postawieniu sprawy.

Są w tym tomiku również wiersze słabsze, ale ja nie mam zapędów zoila. A dlaczego „poezja nieujarzmiona"? Bo przed 4 laty zdobywszy się na odwagę, napisałem Borkowskiej ciepłą recenzję. Wtedy jeszcze „ustawiano ją" w najgorszych kątach, odradzając pisanie. Jej jednak poezja pomaga żyć, siedzi w niej i pozostanie, nigdy nie da się ujarzmić. Jest integralną częścią jej osobowości, niewiele się pomylę twierdząc, że w jej życiu spełnia również terapeutyczną rolę. Ja natomiast, z tamtej swojej odwagi dzisiaj się cieszę.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK



Etgar Keret: *8% z niczego*. Tłum. A. Maciejowska. W.A.B. Warszawa 2006.

100% życia

Najnowszy zbiór opowiadań Etgara Kereta „8% z niczego" to książka, która pod płaszczem humoru, ironii, kpiny traktuje o odwiecznej kondycji człowieka. Z jednej strony króluje tu żywioł tego, co zwyczajne, codzienne, z drugiej autor deformuje, wykoślawia przedstawiane aspekty rzeczywistości, chętnie sięgając po konwencję groteski. W tych na poły realistycznych, na poły fantastycznych opowiadaniach wszystko może się zdarzyć. Keret bowiem wtłacza swoich bohaterów w dziwne, absurdalne sytuacje, wrzuca w wir niesamowitych wydarzeń.

Na przykład, w opowiadaniu zatytułowanym „Zadowolenie" młody chłopak uświadamia sobie, iż kiedy on wzrasta o kolejne centymetry, o tyle samo jego rodzice stają się krótsi. Przerażony losem, skazanych na zniknięcie rodziców postanawia walczyć ze swoim rośnięciem. Odmawia sobie jedzenia, snu, pali dwie paczki papierosów dziennie. W końcu udaje mu się, a liczących już po zaledwie piętnaście centymetrów rodziców, może wkładać do kieszeni i zabierać na rowerowe wycieczki. W innym opowiadaniu znajdująca się na talerzu jednego z bohaterów ryba, przyznaje, iż choruje na depresję i prosi, by zostawić ją w spokoju, zaś oczekującej na narodziny potomka parze rodzi się konik pony.

W tym niewielkim tomiku prozy to, co codzienne, przedmiotowe, cielesne, z pozoru banalne staje się pretekstem do ukazania fundamentalnych kwestii dotyczących ludzkiego istnienia. W sposób dowcipny i błyskotliwy autor ukazuje różne odcienie i aspekty miłości, którą opisuje w sposób ckliwy, sentymentalny, ale też zmysłowy, czasem dosadny i wulgarny. Pisze o poczuciu zagubienia, alienacji, które nazywa humorystycznie „flipem", o urokach podróżowania, przyjaźni. Zaś w tekście traktującym o samotności czytamy, że najlepszym środkiem zaradczym na brudne rzeczy i wyzbycie się poczucia osamotnienia jest pójście do pralni, bowiem zawsze istnieje skrawek nadziei, że uda się tam z kimś zawrzeć znajomość. Prawdziwy majstersztyk to „Odkupienie" oraz „Myśl w kształcie opowiadania". W pierwszym kupno komputera staje się okazją do rozważań na temat śmierci, w drugim, autor, w sposób ironiczny i przewrotny, pisze o niemożności wyzwolenia się spod jarzma zastygłych form i konwenansów.

Bezpretensjonalny język, błyskotliwość spostrzeżeń, niebywała umiejętność operowania paradoksem, zwięzłość sprawiają, iż „8% z niczego" to zbiór mistrzowsko skrojonych miniaturowych narracji. Konwencja realistyczna bezustannie przeplata się w nich z groteską, absurd z ironią, humor ze smutkiem, a pod powłoką codzienności, tego, co wydaje się trywialne, autor szuka „metafizycznego konkretu", sensu egzystencji. Dostrzega wyjątkowe piękno śpiącej dziewczyny, doskonałość dziecięcej radości, rejestruje ulotne chwile, gesty, absurdalne sytuacje, okruchy codzienności, w której, jak pisze Jolanta Brach-Czaina, wszyscy bezustannie się krzątamy, i która zdaje się, mimo kulturowych różnic, jest wszędzie taka sama.

DARIA WEPS

Sztuka interpretacji



***Proza polska XX wieku. Przeglądy i interpretacje*. T. 1. Red. M. Kisiel, przy współudz. G. Maroszczuk. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 2005, s. 200.**

„*Proza polska XX wieku. Przeglądy i interpretacje* otwiera nową serię odczytań wybitnych, znanych, popularnych bądź charakterystycznych utworów literatury narodowej przeszłego stulecia" – pisze w *Słowie wstępnym* redaktor tomu – Marian Kisiel. Czynione na co dzień przez pracowników i ludzi związanych z Zakładem Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej UŚ w Katowicach interpretacje i literaturoznawcze rewizje zaowocowały otwarciem nowej serii wydawniczej, której zbiorem inicjalnym jest właśnie omawiana tu *Proza polska XX wieku*, na który złożyło się jedenaście szkiców. Można by powiedzieć, iż mamy tu do czynienia z badaniami w duchu mikrologicznym. Autorzy poszczególnych tekstów przypatrują się pojedynczemu utworowi, jednemu pisarzowi bądź też jednemu wątkowi. W polu ich zainteresowań znalazły się książki z różnych lat (z początku XX stulecia, jak *Młodość Chopina* Adolfa Nowaczyńskiego [1948] i z końca ubiegłego wieku, jak *Esther* Stefana Chwina [1999]), teksty zapomniane (*Zmowa mężczyzn* Jarosława Iwaszkiewicza), ale i powieści, które wywołały krytycznoliterackie burze (*Nic albo nic* Tadeusza Konwickiego). Słowem, pełna dowolność zarówno w doborze autora, jak i „materiału badawczego".

I tak: Wojciech Śmieja dokonuje rewizji dotychczasowej recepcji zapomnianej już dziś powieści Iwaszkiewicza – *Zmowy mężczyzn*. Do interpretacji prozy autora *Czerwonych tarcz* przykłada kategorie *gender*, by udowodnić, że książka ta jest swoistym palimpsestem, który – dzięki dekodowaniu strategii maskowania – kryje tematykę homoseksualną. Śmieja przygląda się rolom płciowym i używa strategii Rolanda Barthesa z *S/Z* o nieprzystawalności pola symbolicznego do pola płci biologicznych. W konsekwencji postrzega *Zmowę*... jako „fascynujący dokument kształtowania się nowoczesnej tożsamości płci w polu już nie biologicznym, lecz symbolicznym".

Arkadiusz Kołodziej rozprawia o *Sklepach cynamonowych* Brunona Schulza, pod lupę biorąc życie duchowe człowieka. Psychika, wyobraźnia i błądzenie będą tymi zagadnieniami, które stoją w centrum zainteresowań Kołodzieja, zaś teksty drohobyckiego autora analizuje za pomocą metafory labiryntu. Z kolei Ilona Pikulska pisząc o zapomnianej powieści Adolfa Nowaczyńskiego – *Młodości Chopina* – pokazuje „odbrązawianie" wizerunku polskiego wieszcza fortepianu.

Feliks Netz dokonuje drobiazgowej interpretacji samobójstwa Harey w „zakamuflowanym melodramacie", czyli w *Solaris* Stanisława Lema. Interesuje go zarówno aspekt psychologiczny, jak i strukturalny. Netz porównując wydanie książkowe z ekranizacjami, bez trudu udowadnia, że *Solaris* napisana została w duchu Conradowskim, zaś u fundamentów twórczych poszukiwań autora *Cyberiady* leży pytanie: „w imię czego mamy być ludźmi?" oraz problem odpowiedzialności za własne czyny.

Natomiast Elżbieta Dutka pisze o *Lekcji martwego języka* Andrzeja Kuśniewicza, zwracając uwagę na pomijane w recepcji powieści autora *Eroiki* drogi interpretacyjne otwierane przez kluczowe słowa „lekcja" i „kolekcja". Wniosek, jaki wyciąga badaczka, brzmi: Kuśniewicz w *Lekcji*... przekonuje, iż sens życia to poczucie śmiertelności swojej i świata, to „rozpoznawanie śladów pustki ukrytych w codziennej egzystencji".

Z kolei mieszaniu technik narracyjnych i przekształcaniu komunikatów użytkowo-naukowych w komunikaty literackie (czyli zjawisku częściowego mimetyzmu konstytuującego) – zabiegom służącym nadaniu tekstowi prozatorskiemu statusu autentyk przygląda się Jacek Gałuszka, w centrum swych badań lokując *Żywe wiązanie* Igora Newerlego – tekst o otwartej kompozycji, którego „spoiwem" byłaby duchowa biografia pisarza.

Piotr Bajer w *Dialogu z pejzażem*. O *Cieniach w pieczarze* Stefana Kisielewskiego rozprawia o obcości jako aksjomacie determinującym losy człowieka, za punkt dojścia wybierając Baumanowską koncepcję bytu „semiotycznie niedookreślonego". Zdzisław Marcinów zajął się *Nic albo nic* Tadeusza Konwickiego – książką, która wzbudziła spore kontrowersje wśród ówczesnej krytyki. Beata Nowacka pisze o ewolucji bohatera *Hebanu*. Jej zdaniem Ryszard Kapuściński jest nie tylko reporterem i pisarzem zarazem, ale i tłumaczem innych kultur, dzięki czemu potrafi pokazać przestrzeń i czas Afryki z perspektywy jej mieszkańców, używając właściwych dla Czarnego Lądu opisów.

Mikrologicznym światem Grażyny Maroszczuk jest *Gra z ogniem* Andrzeja Szczypiorskiego. W szkicu *„Pamięć garbata, pamięć kaleka..."* badaczka pokazuje ostatnią powieść autora *Początku* na tle jego wcześniejszej twórczości, przygląda się recepcji powieści, zastanawia się nad kategorią czytelniczego sukcesu i modelem budowania porozumienia z czytelnikami.

Tom zamyka tekst Marty Cuber *Żydówka w butach z safianowej skórki*, w centrum którego postawiona została tytułowa bohaterka wydanej pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia powieści Stefana Chwina. Mowa o *Esther*, która stała się pretekstem do snucia refleksji na temat żydowskości i starości nie tylko w zwężeniu do tej prozy, ale w kontekście całej twórczości autora *Hanemanna*.

Słowem, jedenaście różnych i pod względem tematycznym, i metodologicznym szkiców o „zacięciu" krytycznoliterackim oraz literaturoznawczym, pokazujących różnorodność dwudziestowiecznych polskich produkcji prozatorskich z jednej strony. Z drugiej zaś – stanowić mogą sprawdzian ich „kanoniczności" czy popularności lub są rewizją dotychczasowych poglądów. Drobiazgowość i trafność supozycji interpretacyjnych idzie w parze z pasją analityczną. Ponadto omawiany tu zbiór pokazuje, że do napisanych przed wieloma laty powieści można z powodzeniem przyłożyć nowoczesne, modne dziś kategorie czy strategie, uzyskując ciekawe rezultaty i na nowo odczytując zepchnięte do lamusa prozy.

AGNIESZKA NĘCKA

Julia Hartwig: *Wybrańcy losu*. Wydawnictwo „Sic!", Warszawa 2006, s. 144.

Przyznaję się do pewnej manipulacji. Skróciłem wybitnej poetce tytuł. Bo i na okładce, i na stronie tytułowej wydrukowana została lista owych „wybrańców". 11 nazwisk, wśród nich Szymborska, Miłosz, Iwaszkiewicz, Herbert. Lutosławski... Trudno tę książkę „zaszufladkować" Wydawca napisał, że to „wspomnienia spotkań". To nie do końca prawda. Owszem, Julia Hartwig opowiada o swoich relacjach ze znakomitościami polskiej literatury, muzyki, publicystyki, ale przywołuje też ich utwory, „odczytuje" swoich bohaterów także poprzez ich dzieło. Robi to subiektywnie (wybiera przecież tylko krótkie fragmenty z ogromu dokonań), przez co jest to także w jakiejś mierze książka o niej samej. To czyni lekturę jeszcze bardziej interesującą. Pozycja obowiązkowa dla „czytającej mniejszości". Tekst poprzedza króciutkie, ale ważne wyjaśnienie tytułu. Wybrańcy losu to nie „dzieci szczęścia", ale ludzie, którzy otrzymali dar ukazywania człowieka i świata w sztuce. I – co istotne – dar ów wykorzystali.

Wojciech Brzoska: *sacro casco*. Wydawnictwo „mamiko", Nowa Ruda 2006, s. 52.

To poezja jaką lubię. Dużo bawienia się słowem, czasem nieoczekiwanym rymem, jest humor, są nawet pytajniki stawiane „po norwidowsku". Pozornie „formalizm" – jak by powiedzieli socrealistyczni krytycy. A przecież za tymi zabawami kryją się niejednokrotnie obrazy bardzo liryczne, otwierające wyobraźnię albo budzące skojarzenia poruszające. Wiersz „po grabki": *„chodź, idziemy do piachu" – mówi matka/ do swojego synka*. Albo „zwierzęta i ludzie": *w „żabce" kartonowa pani/ reklamuje jakiś bank. // jest piękna, martwa i uśmiechnięta. // na jej policzku siedzi wesoła mucha/ i też udaje // nieżywą*. Inspiracją są rzeczy zobaczone, podsłuchane i – gdyby nie zamknięto ich w „klatce wiersza" – właściwie błahe. Nieoczekiwanie nabierają znaczenia, stają się nośne, nie ma wątpliwości, że to prawdziwa poezja. Brzoska, choć to człowiek młody (nie ma jeszcze trzydziestki) chłonie świat. Wielu innych „patrzy w siebie" i nudzi.

Antonio Negri: *Powrót. Alfabet biopolityczny*. Przekład: Maciek Żakowski. Wydawnictwo „Sic!", Warszawa 2006, s. 176.

Autor jest lewicowcem, działaczem politycznym i filozofem. Za udział w latach 60. i 70. w radykalnych ruchach robotniczych został skazany na więzienie. Zbiegł do Francji, wrócił, „kawałek" wyroku odsiedział. W swoim pisarstwie krytykuje cywilizację zachodnią. Po naszych doświadczeniach z marksizmem-leninizmem zachodni filozof o lewicowej (może nawet lewackiej) proweniencji zasługuje właściwie tylko na wzruszenie ramion. Ot, „pijane dziecko we mgle". A to, że wydawnictwo decyduje się na wydanie takiej książki teraz... No cóż, może musi udokumentować ze względów podatkowych straty. Ale – jak mówi przysłowie – lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zyskać. Negri w „alfabetycznych" rozmowach z Anne Dufourmentelle czasem denerwuje, prowokuje do polemiki, ale też zmusza do zastanowienia się nad tym, co nam poszło nie tak. Dlaczego wolność, demokracja, normalność – wszystko, o co nam szło, ma – jak Księżyc – tę stronę ciemną, której nie da się zobaczyć.

Piotr Cielesz: *Satyry, groteski, felietony i ... 1982-2005*. Wyd. „Serigraph", Bydgoszcz 2006, s. 102.

Obchodziliśmy w tym roku podniośle 26-lecie porozumień sierpniowych, przed nami 25-lecie stanu wojennego. W tym kontekście zbiór felietonów, satyr, aforyzmów Piotra Cielesza pomaga trochę namaszczoną „rocznicowość" odreagować. Myślę, że ludzie młodzi, dla których PRL jest nudną prehistorią, co nie przeszkadza im w uwielbianiu „kultowego" Bareji, właśnie z tej książki chętniej niż z „kombatanckich" opowieści uczyliby się naszych najnowszych dziejów. Choćby z historii wakacji pewnej niemieckiej Moniki w Polsce, która ze względu na swój skomplikowany, ogólnoeuropejski rodowód znała kilka języków, ale w żadnym nie mogła się tu dogadać, nie mówiąc już o zrozumieniu rzeczywistości (np. bankowy i czarnorynkowy kurs marki). Po roku 1989 satyrycy jakoś się zagubili. Zabrakło cenzury? Coś w tym chyba jest, bo otwierający zbiór *Pamiętnik tyrana* jest znacznie lepszy od zamykającego tom *Pamiętnika terrorysty*. Na szczęście autor zajmuje się nie tylko polityką.

Bolesław Ciepiela: *Encyklopedia Łagiszy. Sygnały biograficzno-tematyczne*. Wydawnictwo "Progres", Gródków-Łagisza 2005, s. 254.

Przeglądałem tę książkę z ciekawością, ale i swego rodzaju smutkiem. Bo oto Łagisza – wieś, która miastem została dopiero w roku 1969, dziś zaś jest dzielnicą Będzina, doczekała się współczesnej *Encyklopedii*, której „moje" Katowice nie mają. (Nie mają nawet poważnej monografii.) Bronisław Ciepiela napisał wcześniej 3 książki o tej miejscowości, która niby „nie ma historii", tymczasem tam odkryto jedno z najciekawszych cmentarzysk kultury łużyckiej sprzed 3 tysięcy lat... W *Encyklopedii* znalazły się hasła na temat zakładów pracy, organizacji, wydarzeń historycznych. Ale przede wszystkim notki o łagiszanach. Nie dziwię się, że prof. Włodzimierz Wójcik (też ma swoje hasło), w recenzji zamieszczonej w książce, otwarcie przyznaje się do wzruszenia, jakie towarzyszyło mu przy lekturze biogramów osób, które znał i pamięta. Publikacja została objęta patronatem honorowym przez prezydenta Będzina. Na końcu zamieszczono wykaz licznych sponsorów. I to jakby pointa do licznych dyskusji na temat edukacji regionalnej.

Ks. Jan Górecki: *Dowcipy szafarzy całkiem zwyczajnych*. Wydawnictwo HYLA, Bytom 2006, s. 360.

Wielu sądzi, że księża to osoby bardzo „seriozne", żeby nie powiedzieć ponure. Tymczasem są wśród nich świetni kawalarze, a niektórzy z kolekcjonowania żartów i anegdot zrobili sobie nawet hobby. Należał do nich m.in. ks. Józef Smandzich, który miał zapisane całe zeszyty anegdotami o barwnych, śląskich kapłanach. Znam nawet biskupa, który zgromadził niezłą bibliotekę „wiców" w różnych językach. Dzięki tej książce przekonałem się, że oto kolejny duszpasterz podtrzymuje dobrą tradycję „szafarza żartów". Zbiór zawiera aż 1320 dowcipów i anegdot o rzeczywistych postaciach. I właśnie w związku z tą „historyczną" częścią publikacji mam zastrzeżenie do tytułu. Jak to „szafarzy zwyczajnych", skoro pojawiają się w tych anegdotach papieże (cały rozdział poświęcony został Janowi Pawłowi II), biskupi (Bednorz, Jeż, Pieronek) oraz postacie tak wyraziste jak ks. prof. Tischner, nasi – ks. Stokowy, czy Kosyrczyk? Ale – oczywiście – jest dla tej książki humorystyczne „imprimatur". Bo to „śmiechu warte".

REDUTKI

IZABELA MIKRUT

Ściany brudne, gdzieniegdzie odpada tynk. Jedna słaba żarówka u sufitu. Po lewej i prawej stronie (na lewo, na prawo - oznacza kierunek od strony widowni) dwa zniszczone drewniane łóżka. W głębi po prawej stronie spora skrzynka, zbita z desek. Przez uchylone wieko widać laski dynamitu. Na skrzynce, w jednej trzeciej jej szerokości, licząc od lewej, stoi brudna szklanka. Obok wyszczerbiony nóż i solniczka. Nad łóżkiem po lewej stronie malutkie zakratowane okienko.

Na łóżku po prawej stronie leży mężczyzna (OO) w zielonym wyprasowanym mundurze. Mężczyzna jest barczysty, starannie uczesany, ogolony. Czyta książkę.

Z lewej strony wchodzi na scenę drugi mężczyzna (XX), nieco młodszy, w pogniecionym mundurze i w krawacie.

XX – Przyszłem. (OO przez chwilę nie reaguje, czyta dalej. XX nieco zdezorientowany siada na łóżku po lewej stronie i powtarza głośniej) Przyszłem.

OO – Przyszedłem.

XX – Wychodziłeś gdzieś?

OO – (wyjaśniająco) Mówi się: przyszedłem.

XX – Masz co zapalić? (OO bez słowa sięga do kieszeni i podaje XX pół papierosa. XX sięga do swojej kieszeni, wyjmuje pudełko zapałek, ogląda, chowa do kieszeni) Nie masz zapałek?

OO – (przerywa czytanie, siada w jednej czwartej długości łóżka) Po co mi zapałki? Przecież mieszkamy w reducie. Opuszczonej przez



wojsko. Ale nie przez amunicję. (robi nieokreślony ruch ręką) Chcesz, żeby to wszystko wyleciało?

XX – Dokąd?

OO – W powietrze.

XX – W powietrze? Nie chcę.

OO – A myślałeś, że dokąd?

XX – (rozmarzonym tonem) Do ciepłych krajów. Ja polecę do ciepłych krajów. Położę się pod palmą.

OO – (bez zainteresowania) I co?

XX – I będę pił zimne piwo.

OO – A potem?

XX – A potem przewrócę się na bok i tak będę leżał i leżał. I wszyscy będą mi usługiwać.

OO – Aha. A chcesz wiedzieć, jak to będzie?

XX – Już ci mówiłem.

OO – Nie, ja się pytam, czy chcesz wiedzieć, jak będzie naprawdę?

XX – (urażony) Jak wiesz lepiej...

OO – Oczywiście, że wiem lepiej. Polecisz do ciepłych krajów. Ale nie będziesz leżał na plaży. Całymi dniami będziesz harował jak wół, za marne grosze. Będziesz usługiwał innym. Nie napijesz się zimnego piwa, bo wszystkie pieniądze będziesz odkładał. Staniesz się niewolnikiem samego siebie.

XX – Przestań.

OO – Czy nie tak będzie?

XX – Nie tak.

OO – Ale nic się nie martw, wielu rodaków postępuje tak, jak ty. (XX wstaje, bierze do ręki wyszczerbiony nóż i robi krok w kierunku OO). No dobrze, już dobrze, niech ci będzie! Położysz się pod palmą i będziesz leżał całymi dniami, będziesz się kąpał w strumieniach chłodnego, pienistego piwa. Zadowolony jesteś? Lepiej ci teraz?

XX – Ty zawsze musisz wszystko zepsuć!

OO – Nie wszystko.

XX – Mniejsza o to. (wchodzi na łóżko i przywiązuje krawat do krat okienka)

OO – Nie lepiej byłoby się wysadzić?

XX – (wskazując na krawat) Już zawiązałem.

OO – To odwiąż. (XX odwiązuje krawat, schodzi z łóżka i bierze ze skrzyni laskę dynamitu). I tak nie mamy zapałek.





PODKOPKI

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Achim Ogiewa, plastyk bytomski o aparycji neapolitańczyka, z wielu wydarzeń i przygód bardziej zasłynął niż z czegokolwiek innego.

Zawsze ubrany z wyszukaną elegancją, najczęściej w czerniach komponujących się świetnie z jego ciemną czupryną.

Któregoś dnia, po jakieś tam podlanej imprezie odbytej ku czci otrzymanego honorarium, postanowił sprawić sobie nowe ubranie.

W jak na PRL-owskie czasy eleganckim salonie ubrań męskich wybrał coś tam i udał się do przymierzalni. Stwierdziwszy, że gang mu leży, już go nie rozebrał, spakowawszy stary rzucił go znajomemu kierownikowi sklepu do przechowania.

Czy jeszcze gdzieś po drodze wstąpił nie jest mi wiadomym, fakt że doszedł do domu lekko zmęczony. Gdy już dotarł do swego lokum na piętrze stwierdził brak kluczy co w starym zostały ubraniu, wracać było mu za daleko...

Wiadomym sobie sposobem dostał się na gzyms okalający budynek i zmierzał przytulony do muru w kierunku swego uchylonego okna, i stało się to, co można było przewidzieć. Achim spadł.

Wprost na dach zielonego kiosku owocowo-jarzynowego.

Co to się działo, pogotowie i milicja (kolejność być mogła tu inna).

– Zdemolował mi kiosk – zawodziła handlarka – tego się po panu nie spodziewałam Achimie.

Prócz drobnych potłuczeń Ogiewie nic się nie stało, najbardziej niestety ucierpiał garnitur...

– Wiesz – powiedział mi po opowiedzeniu tego zdarzenia w „Marcholcie" – chyba od wtedy przestałem jeść warzywa.

Historia fotografią pisana

Chyba żadna ze sztuk, tak jak fotografia, nie oddaje obrazu czasu, w którym się ona dzieje, tak nie utrwala rzeczywistości lub się jej przeciwstawia. Jest też odbiciem trendów panujących w sztuce w danym momencie, jak również – tak jak inne sztuki – polem eksperymentów i poszukiwań twórczych.

Przemiany w fotografii, jakie dokonywały się w ciągu minionych kilkudziesięciu lat znakomicie pokazuje wystawa jubileuszowa prac artystów związanych z Okręgiem Śląskim Związku Polskich Artystów Fotografików, który właśnie świętuje 60-lecie istnienia. Przy tej okazji trzeba podkreślić rzecz niebywałą – jego założycielką była Halina Holas – Idziakowa, dziś 90-letnia Honorowa Członkini ZPAF, szczycąca się legitymacją związkową nr 53! Tamten czas Halina Holas – Idziakowa wspomina bardzo skromnie: „Po śmierci mego ojca Józefa Holasa zostałam łącznie z moją matką Karoliną, współwłaścicielką zakładu fotograficznego w Katowicach. Zakład istniejący od roku 1887 był zakładem z dużymi ambicjami artystycznymi. Los chciał, że w latach 1950-1954 częściej zamieszkiwałam w Warszawie niż w Katowicach – i w tak naturalny sposób moimi najbliższymi zostali koledzy – fotograficy: Hartwig, Sępoliński, Mystkowski, Sunderland, Dederko, Dorys, Burzyński oraz małżeństwo Obrąpalskich z Poznania. Tym samym cała czołówka ówczesnego ZPAF była mi bardzo bliska. Skończyło się „niedobrze", zostałam wciągnięta, najpierw „do roboty", a potem do ZPAF. W Katowicach było prężne Katowickie Towarzystwo Fotograficzne, ale nie było nikogo w ZPAF-ie. Zostałam więc pierwszym delegatem ZPAF na województwo katowickie. Tym samym jestem założycielką Delegatury, a potem Okręgu Śląskiego ZPAF."

Halina Holas-Idziakowa, ciągle w znakomitej formie fizycznej, była obecna podczas wernisażu w galerii ZPAF, gdzie zgromadzono prace artystów różnych pokoleń – członków katowickiego ZPAF. Są też oczywiście prace Haliny Holas-Idziakowej. Ponadto można było zobaczyć fotografie tak różnorodnych stylistycznie autorów jak Jakub Byrczek, Waldemar Jama, Andrzej Koniakowski, Jerzy Lewczyński, Katarzyna Łata-Wrona, Stanisław Michalski, Janusz Musiał, Zbigniew Sawicz, Maciej Stobierski, Maria Śliwa, Józef Wolny, Jan Zegalski i innych. Jest też obecna fotografia otworkowa w wykonaniu Pawła Janczaruka (praca „Rejestracja drogi słońca. Czas naświetlania od 2 do 24 miesięcy").

Chociaż czas, w których zostały pokazane fotografie dzielą „lata świetlne", to wszystkie są „świeże" artystycznie, ciągle znakomite – a jak fotografie Lewczyńskiego o zacięciu komentatorskim – aktualne.

Jednakże w roku jubileuszu katowickiego ZPAF-u nie była to jedyna wystawa. Od maja tego roku do września zaprezentowano cztery ekspozycje, które ukazują niepowtarzalność śląskiej fotografii. Cykl ten otwierała „Specyfiki pejzażu śląskiego" (maj 2006) ze zdjęciami tuzów sztuki fotografii: nestora śląskiej fotografii Aleksandra Balickiego, Haliny Holas-Idziakowej, Leonarda Idziaka, Edwarda Poloczka, Jerzego Lewczyńskiego, Anny Chojnackiej, Adama Bogusza, Andrzeja Koniakowskiego. Oglądać można było zdjęcia, które dziś funkcjonują jak ikony Śląska, którego już nie ma, zdjęcia które znamy na pamięć. Pełne są – jak by na przekór swoim czasom – romantyzmu, zadumy, niebywałego piękna. Degradacja ziemi, zniszczenie krajobrazu, hałdy – wszystko to jest w tych fotografiach, jednak zobaczone okiem największych mistrzów. Co może zauroczyć artystę na Śląsku? Wszystko. Ta banalna odpowiedź aktualna jest do dzisiaj, chociaż Śląsk tak bardzo się zmienił – to, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu było żywą cząstką śląskiej przestrzeni (dymiące kominy, koła wyciągowe czynnych kopalń), dziś jest martwym elementem krajobrazu, jego reliktem, ale nadal urzekającym niepowtarzalnością i wyjątkowością. Jeśli do tego dodamy zabiegi techniczne stosowane przez niektórych autorów, jak chociażby solaryzacja czy zabiegi dające efekt reliefu na zdjęciach Adama Bogusza czy Franciszka Stobika, to efekty okazują się absolutnie zaskakujące. Najciekawsze w tym jest to, że po latach można powrócić do tych samych miejsc, wykonać te same ujęcia, często z tego samego miejsca – niby to samo, a jakże inne. Czynił już tak Andrzej Koniakowski wędrując po rybnickich hałdach odwiedzanych przez Edwarda Poloczka. Jak powiada Koniakowski jest jakaś konieczność ciągłego fotografowania tych miejsc, mimo iż nie są zaznaczone w żadnych przewodnikach. To jest po prostu zauroczenie.

Kolejne wystawy jubileuszowego cyklu to „Przestrzenie wyobraźni" prezentujące fotografię nastawioną na odkrywanie własnego wnętrza, kreowanie rzeczywistości z nierzeczywistego, sięganie do wspomnień z dzieciństwa, do wyobraźni, to tego co oniryczne, przeżyte, co niesie ze sobą światło i cień, czerń i biel, mrok i cień. W podróż w głąb samego siebie zapraszali m.in. Agnieszka Babińska, Ryszard Czernow, Antoni Kreis, Krzysztof Liszka, Jowita Mormul, Leszek Żurek i inni. Z kolei „Przestrzenie egzystencji" miały ujawniać miejsca, przestrzenie, czas. Inne to przestrzenie, inny czas, niż przed laty, kiedy na dyskusjach spędzano długie godziny, poświęcano problemom sztuki całe dnie, miesiące i lata. Inne to już klimaty. Jednak mimo to, wyraźna jest więź z tamtym czasem z tamtymi ludźmi. Niezmienne jest zawieszenie między rzeczywistością a wyobraźnią, między materialnością a ulotnością. Przetworzeniu ulega codzienność i banalność, czasem samo zdjęcie nie wystarcza – staje się ono częścią przedmiotu, owe materialnej rzeczywistości. Przetworzona rzeczywistość stapia się z żywą materią.

Osobne miejsce zajmowała w tym cyklu wystawa prac Anny Chojnackiej. To – jak ją określa Katarzyna Młynarczyk – wielka dama polskiej fotografii: w ZPAF od 1958 roku, wystawy krajowe i zagraniczne, z Japonią, USA i Kanadą włącznie, prace w zbiorach muzealnych na obydwu półkulach. Jej portrety urzekają do dziś, ale wyróżnione zostały już w 1962 roku. Byli to „Plastycy śląscy". Niezwykłe twarze malarzy – jak Teofil Ociepka i innych wybitnych ludzi Śląska – także Gustawa Morcinka do dziś są niedoścignione w swej doskonałości. To fotografie powściągliwe, skupione na człowieku, na jego egzystencji (nawet poprzez jego fizyczny brak na zdjęciach), na zmaganiach z samym sobą i otoczeniem, ze swoim naturalnym środowiskiem. To fotografie często wręcz ascetyczne, ale też (jak portrety Ociepki) pełne ruchu, pasji tworzenia, a zarazem domowego ciepła. Anna Chojnacka to obok Zofii Rydet postać niezwykła.

Jubileusz ZPAF-u pokazuje, jak wielu znakomitych artystów fotografów było i ciągle jest na Śląsku. Pokazuje, że Śląsk mocno stoi na swych artystycznych filarach: muzyce, plastyce (zwłaszcza grafice) i fotografii właśnie. Tej ostatniej chyba warto poświęcać jeszcze więcej uwagi, bo chyba ciągle jest jeszcze niedoceniana (nawet jeśli mówimy o tych największych jak Lewczyński, Rydet, Chojnacka, Poloczek czy Idziak) – bo może zbyt kameralna, zbyt ulotna, zbyt zakrzyczana przez inne, wchłaniające więcej przestrzeni...

WIESŁAWA KONOPELSKA



Anna Chojnacka



Andrzej Koniakowski



Jerzy Lewczyński



Edward Poloczek



Katarzyna Łata-Wrona

60 lat ZPAF

Okręg Śląski



Paweł Janczarek



Halina Holas-Idziakowa

Karczma w pełnej krasie

ZNAKI I TWARZE MIASTA

Giszowiec – dzielnica Katowic, odzyskała swój skarb – odrestaurowaną i wyremontowaną Karczmę Śląską. Jak przed laty, na początku XX wieku, jest jednym z najefektowniejszych budynków osiedla, w którym wówczas osiedlali się robotnicy i urzędnicy zakładów koncernu Georg von Giesche Erben.

Projektantami zabudowań osiedlowych byli Jerzy i Emil Zillmanowie z Charlottenburga koło Berlina. Architekci wzorowali się na wsi górnośląskiej oraz angielskich robotniczych osiedlach – ogrodach.

Karczma usytuowana była w centrum osiedla na placu Pod Lipami. Tuż obok swoje miejsca znalazły: szkoła, sklepy, poczta, administracja, nadleśnictwo, łaźnia, pralnia oraz domy noclegowe dla nieżonatych mężczyzn. Obok gospody znajdowała się muszla koncertowa, w której koncertowały orkiestry i odbywały się imprezy plenerowe.

Gospoda a dzisiejsza Karczma zawsze tętniła życiem: odbywały się tu biesiady, zabawy taneczne, koncerty, była więc centrum kulturalnym osiedla.

Karczma świetnie nadawała się do swej wielofunkcyjnej roli, bowiem w jej skład wchodziły: sala widowiskowa, restauracja, pokoje hotelowe, kawiarnia w ogrodzie oraz dwie sale klubowe. W pobliskich zabudowaniach mieściła się stajnia (dzisiejsza Gawlikówka, w której prezentuje się obrazy malarza Ewalda Gawlika), chlewnia, kurnik, powozownia, pralnia i magiel.

Po drugiej wojnie światowej ulokowano w Karczmie kino „Muza" prowadzone przez KWK „Wieczorek" (dawniej „Giesche") oraz mieszkania. W latach 60., kiedy rozpoczęła działalność kopalnia „Staszic" część zabytkowych domów wyburzono, a na ich miejscu wyrosło blokowisko. Na szczęście, karczma ocalała, bowiem zdecydowano o wpisaniu jej wraz z układem urbanistyczno-przestrzennym starego Giszowca do rejestru zabytków (w latach 1978 i 1987).

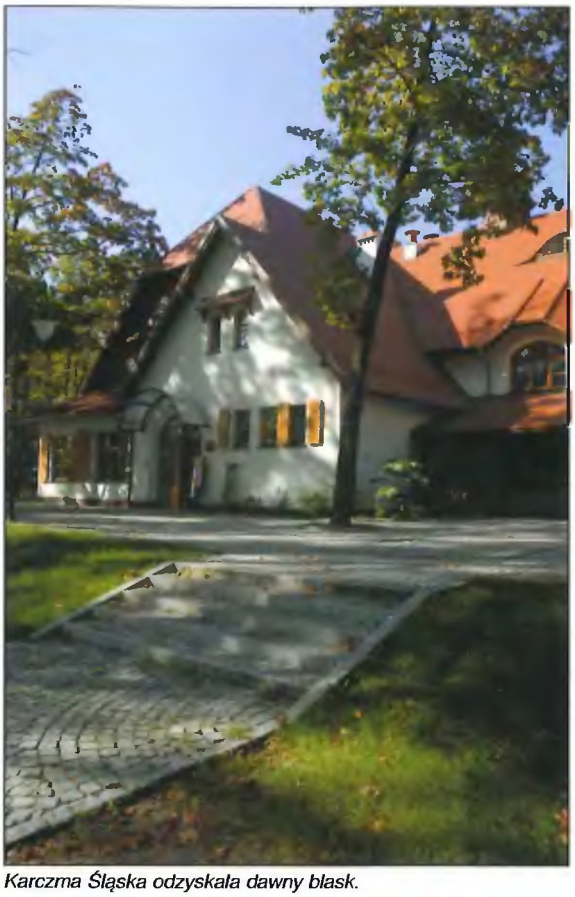
W latach 80. powstał pomysł, by powstał tu dom kultury, jednak urzeczywistnienie tego planu było możliwe dopiero w latach 90., kiedy to miasto Katowice stało się właścicielem karczmy.

7 stycznia 2006 roku otwarto tu imponujący dom kultury – filię Miejskiego Domu Kultury w Szopienicach.

Wyglądem budynek nawiązuje do lat przedwojennych. Ściany pokryto boazerią z jasnego dębu, na podłodze ułożono parkiet, żyrandole mają kształt łez. Jak dawniej jest tu sala widowiskowo-koncertowa, sala balowa, telewizyjna, komputerowa i konferencyjna. Działa również restauracja. Przy okazji remontu Karczmy postanowiono również wyremontować słynną „Gawlikówkę" – to unikatowe miejsce z autorską wystawą malarza „janowskiego".

Dziś w Karczmie odbywają się liczne zajęcia artystyczne dla dzieci i młodzieży, koncerty, klub seniora, klub żeglarski i wiele innych. Nawet – na czas remontu Filharmonii Śląskiej – Karczma stała się siedzibą Śląskiej Orkiestry Kameralnej, zyskał więc Giszowiec koncerty jednej z najlepszych orkiestr w kraju.

(wk)



Karczma Śląska odzyskała dawny blask.



Sala widowiskowa



Sala baletowa

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

Nr 20 • LISTOPAD 2006

XXX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej

CZĘSTOCHOWA

Poezja nieśmiertelna



Patronką konkursu nie przypadkowo jest Halina Poświatowska, tu bowiem w Częstochowie w „Gazecie Częstochowskiej" poetka debiutowała w 1956 r. Konkursowym poetyckim zmaganiom towarzyszyć będą tradycyjnie: **Turniej Jednego Wiersza, imprezy muzyczne, spotkania literackie, prezentacje recytatorskie, wieczory autorskie, dyskusje.** Konkurs umożliwia konfrontację twórczości poetyckiej, promuje utalentowanych poetów, integruje środowisko literackie i pobudza twórczą aktywność debiutujących autorów. Jak przystało na jubileusz – w programie same niespodzianki

Szczegóły tegorocznego konkursu:
www.rok.czestochowa.pl

25.11.

50 lat Śląskiego Jazz Clubu!

GLIWICE

Jubilat ma się dobrze

Historia Śląskiego Jazz Clubu sięga roku 1955, kiedy to grupka młodych gliwiczan – studentów Politechniki Śląskiej i absolwentów średniej szkoły muzycznej – postanowiła grać jazz. Uprawianie tego gatunku muzyki nie było dobrze widziane przez ówczesne władze. Niezależnego ruchu studenckiego i klubów jeszcze nie było. Przypadek sprawił, że w tym właśnie czasie kierownictwo Zakładowego Domu Kultury Huty „Zabrze" objął Jan Piotrowski – postać niezwykła: inwalida wojenny, jeden z bohaterów Powstania Warszawskiego, żołnierz pułku „Baszta" ps. „Tur". Do niego w końcu trafili młodzi ludzie z Gliwic pragnący grać jazz. Jan Piotrowski pisze: *„W trzecim kwartale 1956 roku przygotowaliśmy odpowiedni wniosek, podpisany przez 15-tu członków założycieli, i wysłaliśmy go do Prezydenta WRN w Katowicach. Z niepokojem oczekiwaliśmy na odpowiedź i chyba po trzech miesiącach doczekaliśmy się pozytywnej decyzji w sprawie zarejestrowania Śląskiego Jazz Clubu"*. Po roku Piotrowski wyjechał do Warszawy, a Śląski Jazz Club przeniósł się do Gliwic. Działa tu do dziś i „ma się dobrze".



Koncert jubileuszowy 50-lecia odbędzie się **30 listopada w sali Gliwickiego Teatru Muzycznego.** Będzie to szczególny i wyjątkowy *„Czwartek Jazzowy"*. W pierwszej części koncertu zaprezentujemy młodzież jazzową, swoich wychowanków, których namówił do jazzu, jeszcze w szkole średniej, nasz kolega **Andrzej Taraszkiewicz.** W drugiej wystąpi gwiazda, amerykańska kwintet **Vandermark Five.**



Koncert poprowadzą „andrzejkowi" solenizanci: **prof. Andrzej Schmidt** i **Andrzej Kalinowski.**

30.11.

XV Górnośląski Festiwal Sztuki Kameralnej Ars Cameralis

KATOWICE, BIELSKO, BYTOM, CHORZÓW, GLIWICE, MIKOŁÓW, PSZCZYNA, SOSNOWIEC, TARNOWSKIE GÓRY, TYCHY...

Pustynia rzeczywistości

Już po raz piętnasty odbędzie się Górnośląski Festiwal Sztuki Kameralnej. Od 12 do 26 listopada w Katowicach i największych miastach regionu wystąpią muzycy różnorodnych nurtów, zaprezentują się pisarze, otwarte zostaną wystawy plastyczne i fotograficzne. Zaplanowano ponadto pokazy filmowe, prezentacje teatralne i sesje popularnonaukowe. W sumie przygotowano ponad dwadzieścia prestiżowych wydarzeń artystycznych. Hasłem przewodnim jubileuszowej edycji Festiwalu jest **„Pustynia rzeczywistości".** Niektóre wydarzenia festiwalowe (np. przegląd filmów o pustyni lub spotkania literackie) bezpośrednio skonfrontują metaforyczną pustynię z jej artystycznym wyobrażeniem. Szereg innych zdarzeń przypomni, że współczesny przekaz artystyczny jest coraz częściej wiązką cytatów, czerpiących z wielu źródeł i zakorzenionych w różnych kulturach. Mimo to pozostaje autentyczny i oryginalny jako świadectwo niezgody na pustynię globalnej



rzeczywistości. Przy okazji, nieco przekornie, przyjdzie zmierzyć się ze stereotypem, w zgodzie z którym Śląsk uważany jest za pustynię kulturalną. Niezwykle bogaty jest program muzyczny. Po raz pierwszy w Polsce wystąpią m.in. **Stuart Staples,** lider legendarnej grupy Tindersticks (Wielka Brytania), oraz neapolitański artysta **Enzo Avitabile,** którego niepowtarzalny styl łączy tradycje ludowej muzyki włoskiej z jazzem i bluesem. Ekscytująco zapowiada się spotkanie publiczności z metafizycznym i jednocześnie mistycznym śpiewem **Faiza Ali Faiza** i egzotyką zespołu **Kora Jazz Trio,** kojarzącego instrumentarium i tradycje muzyczne Afryki zachodniej z amerykańskimi standardami jazzowymi. Dla miłośników kinematografii – przegląd filmów **Zbigniewa Rybczyńskiego,** jedynego polskiego zdobywcy Oscara w kategorii filmu animowanego. Reżyser zapowiedział swój przyjazd na Śląsk. W programie wystaw najbardziej atrakcyjnie zapowiada się ekspozycja **Pierre'a Alechinsky'ego,** malarza i grafika o międzynarodowej sławie, artysty o niezwykłej wyobraźni, zakorzenionej w sztuce orientalnej. Zostaną również otwarte wystawy **Andrzeja Urbanowicza,** malarza związanego ze Śląskiem, oraz fotografika **Michaela Ackermana.**



Gwiazdami prezentacji literackich będą Amerykanin **Ron Padgett,** wywodzący się ze sławnej Nowojorskiej Szkoły Poezji, oraz **Mahmud Darwisz,** bodaj najbardziej wybitny ze współczesnych poetów arabskich. Okazją do przypomnienia zmarłego w ubiegłym roku **Tymoteusza Karpowicza** będzie poświęcona mu sesja popularno-naukowa.

szczegóły s. 89

12.11.-26.11

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
ul. 1 Maja
tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BIELSKIE CENTRUM KULTURY
ul. J. Słowackiego 27
tel. 033 828-16-40
www.bck.bielsko.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Rynek 26
tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA BWA
obie sale
24.11. piątek
Obrazy jak malowane
(wideomalarstwo)
kurator: **Jarosław Lubiak**
współpraca: **Kamil Kuskowski**
Zwycięski projekt w konkursie dla kuratorów na scenariusz i realizację wystawy malarskiej „Bielska Jesień 2006"
czynna do 29 grudnia

sala dolna
Kopciogramy
Jerzy Wroński
Jerzy Pustelnik
Jerzy Wroński prezentuje w Galerii Bielskiej BWA swoje najnowsze wielkoformatowe fotografie wykonane w technice kopciogramu, którą sam stworzył. W efekcie powstają czarno-białe, przesycone światłem i cieniem, fantazyjne kompozycje graficzne. Współautorem obecnej wystawy jest cieszyński fotografik Jerzy Pustelnik, który od roku współpracuje z prof. Wrońskim przy tworzeniu fotogramów



Jerzy Wroński, współpraca Jerzy Pustelnik. Kopciogram, 2006

czynna do 19 listopada

sala górna
Marek Radke
ArtSpace
Retrospektywna wystawa artysty mieszkającego od ponad dwudziestu lat w Niemczech, tworzącego abstrakcyjne geometryczne kompozycje malarskie, obiekty i instalacje nacechowane dużą subtelnością kolorystycznych rozwiązań. Jednym z elementów wystawy będzie specjalnie przygotowana dla Galerii Bielskiej BWA instalacja składająca się z trójwymiarowych smukłych konstrukcji zawieszonych w przestrzeni galerii
czynna do 19 listopada

Joanna Rupik – drzeworyty z cyklu „Maski"
Wystawa wielkoformatowych drzeworytów z cyklu „Maski", powstałych w latach 2003-2004. Niezwykle ekspresyjny w formie i temacie cykl tworzą czarno-białe grafiki o ciekawej strukturze powstałej z cienkich linii, z którymi kontrastują szarpane plamy. Joanna Rupik – młoda bielska artystka, absolwentka Wydziału Grafiki ASP w Katowicach (dyplom 2003 roku) – specjalizuje się w technice drzeworytu oraz druku cyfrowego
czynna do 5 listopada



HOL RATUSZA
Polichromie Bielska-Białej
wystawa fotografii
Mieczysława Peterka
kilkadziesiąt fotografii polichromii przypominających bogactwo dekoracyjne wnętrz XIX-wiecznych (starszych także) bielskich kamienic i obiektów
czynna do 10 listopada

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Zofia Rydet
Zapiski
w ramach wystawy prezentowany jest film:
Nieskończoność dalekich dróg. Podpatrzona i podsłuchana Zofia Rydet A.D. 1989
czynna do 17 listopada

CHORZÓW

GALERIA MM
7.11. wtorek, godz. 17.00
wernisaż
Florian Nycz
malarstwo
wystawa pośmiertna
Urodził się 11 marca 1944 w Chorzowie. Studia artystyczne ukończył w ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach w 1971 roku. Uprawiał malarstwo, grafikę użytkową, architekturę wnętrz, mozaikę. Od 1972 r. był członkiem zwyczajnym Związku Polskich Artystów Plastyków. Zmarł 7 sierpnia 2006 r.
czynna do 27 listopada



CZELADŹ

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA"
17.11. piątek
W ramach projektu Motywy Śląska
Portrety górnicze
wystawa fotografii
Romana Hryciówa

Promienie Śląska
pokonkursowa wystawa fotografii

Asystenci 2006
czynna do 15 listopada

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
VI Triennale Sztuki Sacrum
Sztuka wobec zła
wystawa konkursowa

Wobec zła
wystawa problemowa
czynna do 26 listopada

Gdy słowo staje się obrazem
wystawa współczesnej ilustracji biblijnej
czynna do 5 listopada

REGIONALNE TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
PIWNICA MARGAUX
Adam Maruszczyk
Santorini
wystawa fotografii
czynna do 5 listopada

10.11. piątek
Mariusz Chrostowski
Powrót
czynna do 10 grudnia

KATOWICE

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
„Dyplom 2006"
ASP Katowice
czynna do 5 listopada

17.11. piątek
Pierre Alechinsky i Peter Bramsen:
40 lat artystycznej przyjaźni
Na wystawę „Peter & Pierre" składa się 160 litografii Pierre'a Alechinsky'ego. Wszystkie zostały wykonane w Atelier Clot, Bramsen & Georges w Paryżu. Przynosząca znakomite efekty współpraca pomiędzy Alechinsky'm a Bramsenem rozpoczęła się w połowie lat

GALERIE

sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Pierre Alechinsky urodził się w 1927 roku w Brukseli. Od 1951 mieszka w Paryżu. Studiował typografię i ilustrację książkową w brukselskiej Państwowej Wyższej Szkole Architektury i Sztuk Zdobniczych La Cambre. Współzałożyciel głośnej grupy COBRA. Rozwinął własny styl ekspresyjnej abstrakcji, zachowując uproszczone motywy figuralne
czynna do końca grudnia

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY
GALERIA „SEKTOR I"
Forma jest pustką pustka jest formą
czynna do 20 listopada

GALERIA „PIĘTRO WYŻEJ"
World Press Photo
czynna do 19 listopada

GALERIA 5
Wakacje z duchami. Billboard
Magdalena Kuwak
Wojciech Skrzypiec
Szymon Kobylarz
Wystawa studentów V roku katowickiej ASP, pracowni malarskiej Jacka Rykały. Wystawa odbywa się w ramach **Arterii – IV Festiwal Uczelni Artystycznych Województwa Śląskiego**
czynna do 17 grudnia

MIKOŁÓW
GALERIA 33
Kamila Laksa
Grafika
czynna do 3 listopada

GALERIA MDK
Florian Kohut
Malarstwo
czynna do 17 listopada

SOSNOWIEC
SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI
Obraz na desce
wystawa
Małgorzaty Jończyk-Linttner
czynna do 24 listopada

Deportacje Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku
wystawa historyczna
czynna do 26 listopada

TYCHY
GALERIA „OBOK"
10.11. piątek, godz. 18.00
wernisaż
wystawa fotograficzna
Jerzego Lewczyńskiego
czynna do 30 listopada

Ariana Kotowska Sarapata
Jacek Sarapata
Rzeźby
czynna do 4 listopada

MUZEA

BĘDZIN
MUZEUM ZAGŁĘBIA
ZAMEK
Historia zamku będzińskiego
PAŁAC
Fotografia z Będzina
Studio Arciszewskich
Około 100 zdjęć z Będzina z lat 1909-1938. Zbiór szklanych negatywów pochodzących ze studio Arciszewskich w Będzinie należy do najciekawszych archiwaliów fotograficznych w Polsce
czynna do 13 listopada

nowa wystawa stała
W łużyckiej osadzie i średniowiecznym grodzie



BIELSKO-BIAŁA
MUZEUM
Grafiki Albina Brunovskýego
Rzeźby w szkle Jána Zaričáka
czynna do 15 listopada

GALERIA ZAMKOWA
2.11. czwartek
Grupa 77
malarstwo i rzeźby
J. Chudzińskiej, A. Horoszko, E. Jaworskiej, I. Kruczkowskiej
czynna do końca listopada

7.11. wtorek, godz. 17.00
Stare kino w starym zamku
Boska Greta Garbo
w programie:
projekcja fragmentów filmów:
„Anna Christie"
„Królowa Krystyna"
„Anna Karenina"
„Dama kameliowa"
„Ninoczka" oraz dyskusja poprzedzona wykładem **Stanisława Janickiego**

BYTOM
MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
Dziecko w obiektywie historii
Górny Śląsk i pogranicze
czynna do 15 grudnia

80 lat archeologii lotniczej w Polsce
Piękne fotografie zaprezentują burzliwą historię archeologii lotniczej w Polsce. Wśród eksponatów znajdują się i te pierwsze zdjęcia wykonane z balonu, dokumentujące wyniki wykopalisk w Biskupinie, i zdjęcia robione z helikopterów wojskowych, a także najnowsze, które z powietrza pozwoliły odkryć nieznane na ziemiach Polski obiekty zabytkowe np. neolityczne kultowe kręgi nad Odrą. Wystawa powstała w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie
czynna do końca grudnia

CZĘSTOCHOWA
MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE
RATUSZ
Malarstwo Juliette Binoche i fotografie Juliette Binoche
autorstwa Marion Stalens – siostry aktorki

Dzieje Miasta Częstochowy
Etap pierwszy:
od pradziejów do końca XVIII w.
wystawa historyczna

PAŁAC ŚLUBÓW
95-lecie Harcerstwa Ziemi Częstochowskiej
dokumenty, zdjęcia, plansze okolicznościowe, wydawnictwa harcerskie, medale, odznaki, militaria, mundury, sztandary, proporce i inne akcesoria harcerskie

Cztery pory roku według Włodzimierza Puchalskiego
wystawa fotografii ze zbiorów Muzeum Przyrodniczego Oddziału Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym
czynna do 13 grudnia

wystawa autorstwa
Ani Muradyan Huszer
Wspomnienia...
Wystawa malarstwa i ceramiki, opartej o reminiscencje kulturowe młodej artystki pochodzącej z Armenii, wykształconej i żyjącej w Polsce. Wystawa przyciąga uwagę oryginalnością form czerpanych z tradycji ormiańskiej oraz wysokim poziomem artystycznym

RATUSZ
wystawa fotograficzna
Piotra Wacheckiego i Konrada Kucharskiego
Katedra, część 1

GLIWICE
WILLA CARO
14.11. wtorek
Malarstwo flamandzkie
Judyta
Obraz, zaliczany do szkoły flamandzkiej, datowany na przełom

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BYTOMSKIE CENTRUM KULTURY
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 389-31-09
www.bckbytom.pl

CHORZÓW

MIEJSKA GALERIA SZTUKI „MM"
ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI
ul. M. Konopnickiej 1
tel. 246-19-31
www.teatr-rozrywki.pl

CZELADŹ

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA"
ul. Dehenelów,
teren kopalni „Saturn"

CIESZYN

MUZEUM ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
ul. T. Regera 6
tel. 033 852-15-77
www.muzeum-cieszyn.ox.pl

TEATR IM. ADAMA MICKIEWICZA
plac Teatralny 1
tel. 033 858-16-52
www.teatr.cieszyn.art.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
aleja NMP 64
tel. 034 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

REGIONALNE TOWARZYSTWO ZACHĘTA SZTUK PIĘKNYCH
al. Wolności 44
tel. 034 324-55-81
www.net.galeria.art.pl

MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE
al. NMP 45 A
tel. 034 360-56-31
www.czestochowa.pl

TEATR IM. A. MICKIEWICZA
ul. J. Kilińskiego 15
tel. 034 360-56-50
www.teatr-czestochowa.pl

FILHARMONIA CZĘSTOCHOWSKA
ul. Wilsona 16
tel. 034 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

REGIONALNY OŚRODEK KULTURY
ul. Ogińskiego 13a
tel. 034 324-46-51
www.rok.czestochowa.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
plac Wolności 1
tel. 262-20-61
www.palac.art.pl

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

KATOWICE

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
al. Korfantego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-43-69
www.gck.org.pl

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
ul. Wita Stwosza 16
tel. 608-15-24



XVI i XVII wieku, wyróżnia się piękną kolorystyką i ciekawą kompozycją. Dzieło, zatytułowane „Judyta", i jego motywy ikonograficzne będą przedmiotem *Spotkania z obrazem*, które poprowadzi kustosz Muzeum w Gliwicach, Jolanta Wnuk
prezentacja dzieła do 26 listopada

19.11. niedziela, godz. 12.00
Spotkanie z obrazem

Fenomeny i Fantomy. Gliwickie środowisko fotograficzne 1951-2000
czynna do 19 listopada

ODDZIAŁ ODLEWNICTWA ARTYSTYCZNEGO
Imaginarium Tanatosa. Malarstwo Tadeusza Rusa

Wyrazić sacrum. Rzeźba Henryka Fojcika
czynna do końca listopada

Międzynarodowy projekt wystawienniczy
Żeliwo europejskie. Gliwice-Berlin-Sayn
do 17 grudnia

KATOWICE

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
Ad rem Aldony Mickiewicz
wystawa malarstwa i rysunku
czynna do 7 grudnia

MUZEUM ŚLĄSKIE
Mikalojus Konstantinas Čiurlionis (1870-1911)
czynna do 5 listopada

Zamyślenia Malarstwo Czesława Gałużnego
Retrospektywna wystawa jubileuszowa sosnowieckiego artysty, przygotowana z okazji 30-lecia pracy twórczej
czynna do końca listopada

„Dąbrówki 9" Wokół malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach
Prezentacja prac kilkudziesięciu wykładowców i absolwentów Wydziału Malarstwa katowickiej ASP
czynna do stycznia 2007

Śląsk okiem naukowca w ramach projektu Nauka w obiektywie 2006
Ekspozycja, przygotowana na wzór popularnego „World Press Photo", prezentuje naukowe projekty badawcze realizowane przez pracowników i studentów Uniwersytetu Śląskiego, organizatora wystawy
czynna do 12 listopada

nowa stała wystawa
Przemysł śląski w produkcji zbrojeniowej XIX i XX wieku

CENTRUM SCENOGRAFII POLSKIEJ
...jestem grze ich przytomny... Przestrzeń teatru w obiektywie Wojciecha Plewińskiego
wystawa fotogramów
W. Plewińskiego inauguruje zamierzony na kilka najbliższych lat cykl prezentacji pod wspólnym tytułem *„Teatr polski w obiektywie"*, dokumentujący nawybitniejsze zjawiska we współczesnej plastyce teatralnej
czynna do 17 grudnia

MUZEUM HISTORII KATOWIC
Od Katowic do Stalinogrodu
czynna do 5 listopada

Przez fiordy Grenlandii. Fotografie Jerzego Strzeleckiego
...to plon tygodniowego rejsu przez największe fiordy świata – fiordy północno-wschodniej Grenlandii. Przepłynęliśmy ponad tysiąc kilometrów wśród majestatycznych gór pooranych setkami jęzorów lodowców i wśród bezkresnych obszarów kolorowej, jesiennej tundry
czynna do 5 listopada

RACIBÓRZ

MUZEUM
10.11. piątek, godz. 17.00
Architektura sakralna Raciborza
promocji publikacji towarzyszyć będzie koncert **Agnieszki Wiśniewskiej**

Szkoło! Szkoło! Gdy cię wspominam
ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie
czynna do 7 grudnia

RYBNIK

MUZEUM
Prezentacja siedmiu pracowni technik graficznych ASP w Katowicach
czynna do 10 grudnia

SOSNOWIEC

MUZEUM
21.11. wtorek, godz. 14.00
Tatry i Podhale w twórczości artystycznej Walerego Eljasza Radzikowskiego (1840-1905)
Ekspozycja przygotowana przez Muzeum Etnograficzne w Krakowie we współpracy z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim. Wystawa przypada w stulecie śmierci Walerego Eljasza Radzikowskiego i jest poświęcona jego pasji fotografowania Tatr i Podhala, co jest widoczne na 50 zaprezentowanych pracach. Ten wielki miłośnik gór był zaangażowany w popularyzację regionu nie tylko w ten sposób utrwalając krajobraz, ale również jako artysta-malarz, autor przewodników tatrzańskich, czy współzałożyciel Towarzystwa Tatrzańskiego



czynna do końca grudnia

Koń w malarstwie polskim od połowy XIX do początku XX wieku
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie
P. Michałowski, J. Suchodolski, J. Matejko, W. Kossak, H. Rodakowski, J. Brandt, M. Gierymski, J. Chełmoński, A. Wierusz-Kowalski
oraz prace artystów nieco dziś zapomnianych
czynna do 15 listopada

75 lat Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zagłębiu Dąbrowskim
Na wystawie przedstawiono archiwalia, odznaki, legitymacje, fotografie, proporczyki i inne przedmioty dokumentujące działalność PTT
czynna do 30 listopada

Ołomunieckie klimaty...
wystawa fotografii ze zbiorów Muzeum w Ołomuńcu Republika Czeska
czynna do 17 grudnia

Spotkania artystyczne Sosnowiec 2006
Patronat artystyczny nad wystawą objął profesor Wiktor Zin. Do udziału w plenerze zostało zaproszonych 24 artystów z wo-

MUZEA

jewództwa śląskiego. Są wśród nich malarze, graficy oraz fotograficy
spotkania trwają do końca grudnia

7.11. wtorek, godz. 17.00
Wieczór z Martą Eggerth
w programie m.in.:
prezentowany będzie film
o życiu prywatnym
i karierze zawodowej artystki,
na zakończenie koncert
w wykonaniu
Orkiestry Kameralnej
„Camerata Impuls"
pod dyrekcją
M. Kaniowskiej

Wykłady z cyklu
„Akademia Tatrzańska"
8.11, 15.11, 22.11, godz. 16.00

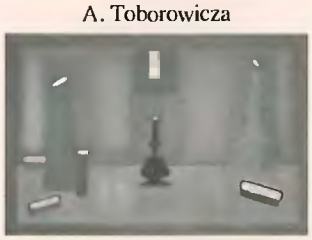
TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Ziemia tarnogórska
w akwareli
i rysunku Adolfa Munda
(1889-1959)
prezentacja daru
Ulricha Munda, syna artysty
czynna do końca listopada

Bolesław Lubosz
wystawa poświęcona pamięci
tarnogórskiego literata,
w piątą rocznicę śmierci
czynna do końca listopada

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
14.11. wtorek, godz. 16.00
Sztuka w przestrzeni miasta.
Artyści znani
z tyskich kościołów
Na wystawie można zobaczyć
obrazy, grafiki i rzeźby:
J. Nowosielskiego,
R. Kalarusa,
J. Piech, S. Kluski,
A. Romaniuka,
I. Botora,
A. Toborowicza



J. Nowosielski „Martwa Natura"

czynna do 24 lutego

23.11. czwartek, godz. 17.00
Popołudnie Czwartkowe
Historie krzyży
i kapliczek przydrożnych
w Tychach i okolicy
dr M. Lipok-Bierwiaczonek

Akademia Historii Sztuki
wykłady autorskie J. Dębskiego
w każdą środę o godz. 16.30

TEATRY

BĘDZIN

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
4.11. sobota, godz. 16.00
O krasnoludkach
i sierotce Marysi
reż. A. Klucznik

18.11. sobota, godz. 16.00
MOMO czyli przypowieść
o złodziejach czasu
reż. M. Pasieczny

25.11. sobota, godz. 17.00
premiera!
Robinson Crusoe
reż. Dariusz Wiktorowicz
kostiumy Ewa Kochańska
scenografia, światło i pokazy
multimedialne
Paweł Dobrzycki
muzyka Grzegorz Turnau

BIELSKO-BIAŁA

TEATR POLSKI
Duża Scena
4.11. sobota, godz. 19.00
Korowód
według Marka Grechuty

10.11. piątek, godz. 19.00
premiera!
11.11. sobota, godz. 19.00
12.11. niedziela, godz. 19.00
15.11. środa, godz. 10.00
16.11. czwartek, godz. 10.00
Testament Teodora Sixta
reż. Robert Talarczyk

14.11. wtorek, godz. 19.00
Bielska Scena Kabaretowa

16.11. czwartek, godz. 19.00
28.11. wtorek, godz. 19.00
29.11. środa, godz. 19.00
Testosteron
reż. W. Patlewicz

17.11. piątek, godz. 19.00
19.11. niedziela, godz. 19.00
Pół żartem, pół sercem
reż. M. Sławiński

22.11. środa, godz. 19.00
25.11. sobota, godz. 19.00
Misery
reż. A. Celiński

26.11. niedziela, godz. 19.00
Tamara
reż. T. Dutkiewicz

30.11. czwartek, godz. 19.00
Do łez
koncert Andrzejkowy

Mała Scena
3.11. piątek, godz.19.00
Zła opinia
piosenki Georgesa Brassensa

5.11. niedziela, godz. 19.00
Dostojewski
reż. S. Kuśmider, Z. Stryj,
R. Talarczyk

18.11. sobota, godz. 19.00
Tequila
reż. J. A. Fręś
gościnnie Piotr Warszawski

TEATR LALEK BANIALUKA
5.11. niedziela, godz. 11.00
Baśń o Rycerzu bez konia
reż. J. Ryl-Krystianowski

12.11. niedziela, godz. 11.00
Zielony wędrowiec
reż. P. Aigner

19.11. niedziela, godz. 11.00
Kot w butach
reż. L. Sypniewska

26.11. niedziela, godz. 11.00
O Zwyrtale Muzykancie
wg K. Przerwy-Tetmajera
reż. K. Dworakowski

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
Inauguracja sezonu
na Dużej Scenie
Opery Śląskiej

18.11. sobota, godz. 18.00
premiera!
19.11. niedziela, godz. 16.00
Kot w butach
kierownictwo muzyczne:
Piotr Warzecha
choreografia i inscenizacja:
Anna Majer
scenografia:
Małgorzata Słoniowska

23.11. czwartek, godz. 18.00
Traviata
reż. W. Ochman
Przedstawienie galowe
z udziałem
Bogdana Paprockiego
w 60. rocznicę debiutu Artysty
na scenie Opery Śląskiej,
z gościnnym udziałem
Iwony Hossy
i Agnieszki Bochenek-Osieckiej
w partii tytułowej
oraz Adama Zdunikowskiego
i Juliusza Ursyna-Niemcewicza
w roli Alfreda

26.11. niedziela, godz. 18.00
Wiedeńska krew
gościnnie:
Gliwicki Teatr Muzyczny
spektakl z udziałem
Grażyny Brodzińskiej

26.11. niedziela, godz. 11.00
sala im. A. Didura
Salon poezji i muzyki
Anny Dymnej

26.11. niedziela, godz. 18.00
sala im. A. Didura
Recital mistrzowski
Konstanty Andrzej Kulka

28.11. wtorek, godz. 18.00
Nabucco – po raz 467!

MUZEUM ŚLĄSKIE
al. Korfantego 3
tel. 258-56-61 do 63
Centrum
Scenografii Polskiej
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 251-57-14
www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM
HISTORII KATOWIC
ul. ks. Szafranka 9
tel. 256-21-34
mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI
Rynek 2, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ
GCK, plac Sejmu Śl. 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

TEATR BEZ SCENY
tel. 203-09-03

ŚLĄSKI TEATR LALKI
I AKTORA „ATENEUM"
ul. św. Jana 10
tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

IPiUM „SILESIA"
ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA
ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 251-93-38
www.estradaslaska.pl

NOSPR
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 251-89-03
www.nospr.org.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA
ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
plac Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

CENTRUM
SZTUKI FILMOWEJ
ul. Sokolska 66
tel. 351-12-20
www.csf.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO
ul. św. Jana 24
tel. 206-97-95
www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „ŚLĄSK"
ul. Zamkowa 3
tel. 034 357-63-40
www.slask.art.pl

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY GALERIA 33
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikolow.eu

INSTYTUT MIKOŁOWSKI im. Rafała Wojaczka
ul. 1 Maja 8
tel. 738-07-55

PSZCZYNA

PSZCZYŃSKIE CENTRUM KULTURY
ul. Piastowska 1
tel. 210-45-51
www.pszczyna.bip.info.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15
tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RYBNIK

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ
ul. Podmiejska
tel. 739-18-96
www.kultura.rybnik.pl

RYBNICKIE CENTRUM KULTURY
ul. Saint Vallier 1
tel. 422-21-32
www.kultura.rybnik.pl

Po raz ostatni w legendarnej realizacji! Spektakl galowy w 20. rocznicę śmierci **Napoleona Siessa** – wybitnego dyrygenta, dyrektora Opery Śląskiej

30.11. czwartek, godz. 11.00
Halka
reż. M. Weiss-Grzesiński

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
3.11. piątek, godz. 19.00
Reakcja chemiczna
choreografia J. Łumiński

24.11. piątek, godz. 19.00
Laboratorium Choreograficzne
Przenikanie
choreografia
S. Hefczyńska-Lewandowska

3.11.–5.11.
Ogólnopolskie warsztaty tańca współczesnego

25.11.–26.11.
Ogólnopolskie warsztaty terapii przez ruch

4.11. sobota
Ogólnopolskie warsztaty tańca integracyjnego

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI
4.11. sobota, godz. 19.00
premiera prasowa!
5.11. niedziela, godz. 19.00
7.11. wtorek, godz. 19.00
Canterville Ghost
reżyseria: Dariusz Miłkowski
scenografia: Marceli Sławiński
kostiumy: Elżbieta Terlikowska
choreografia:
Jolanta Gabor-Chavez
kierownictwo muzyczne:
Joseph Herter, Jerzy Jarosik

6.11. poniedziałek, godz. 18.30
z cyklu:
„Górny Śląsk – Świat najmniejszy"
Jak nas widzą i piszą w stolicy (czyli w „Polsce")

9.11. czwartek, godz. 16.00
i godz. 19.00
17.11. piątek, godz. 14.30 i 19.00
18.11. sobota, godz. 19.00
West side story
musical
reż. L. Adamik

11.11. sobota, godz. 16.00
Scena w Galerii
Shirley Valentine
reż. D. Miłkowski

11.11. sobota, godz. 19.00
Mirosław Czyżykiewicz
koncert

12.11. niedziela, godz. 19.00
„Ars Cameralis"
Enzo Avitable & Bottari
koncert

13.11. poniedziałek, godz. 19.00
Edyta Geppert
recital

14.11. wtorek, godz. 19.00
15.11. środa, godz. 19.00
Krzyk
wg Jacka Kaczmarskiego

18.11. sobota, godz. 16.30
19.11. niedziela, godz. 16.30
Scena w Galerii
Pomalu, a jeszcze raz!
reż. R. Talarczyk

20.11. poniedziałek, godz. 19.00
Touch of Ireland
koncert Carrantouhill

21.11. wtorek, godz. 18.30
22.11. środa, godz. 18.30
23.11. czwartek, godz. 18.30
West side story
reż. L. Adamik

24.11. piątek, godz. 18.30
Tord Gustavsen Trio
koncert

25.11. sobota, godz. 19.00
„Ars Cameralis"
Stuart A. Staples
koncert

26.11. niedziela, godz. 19.00
La dolce NRD
recital Janusza Radka

CIESZYN

TEATR
IM. A. MICKIEWICZA
11.11. sobota, godz. 17.00
Uroczysta Sesja Rad Gmin Związku Komunalnego Ziemi Cieszyńskiej
Wręczanie laurów
Srebrnej i Honorowej
Złotej Cieszynianki

17.11. piątek, godz. 18.00
Mistrzowskie interpretacje nad Olzą
wystąpią: Waldemar Malicki
Filharmonia Śląska
Śląska Orkiestra Kameralna

20.11. poniedziałek godz. 19.00
Stare Dobre Małżeństwo
koncert

23.11. czwartek, godz. 16.30
Koncert
uczniów Państwowej Szkoły Muzyczne
im. J. I. Paderwskiego
w Cieszynie

CZĘSTOCHOWA

TEATR
IM. A. MICKIEWICZA
Duża Scena
4.11. sobota, godz. 19.00
premiera!
5.11. niedziela, godz. 19.00
11.11. sobota, godz. 19.00
Ożenek
M. Gogol
reżyseria Gabriel Gietzky

9.11. czwartek, godz. 19.00
Koncert nadzwyczajny
z udziałem
Piotra Machalicy
Aleksandra Machalicy
oraz Tria
Andrzeja Jagodzińskiego
15.11. środa, godz. 18.00
środa studencka
Coś Ty uczynił ludziom Mickiewiczu...
Koncert specjalny
przygotowywany z okazji
jubileuszu 50-lecia
nadania
częstochowskiemu Teatrowi
imienia Adama Mickiewicza

13.11. poniedziałek,
godz. 17.00 i 20.00
Kuchnia i uzależnienia

19.11. niedziela, godz. 19.00
Koncert specjalny, połączony
z nadaniem teatralnemu foyer
imienia Marka Perepeczko
Marku: Twoje foyer!
reżyseria koncertu
R. Dorosławski
scenografia S. Kulczyk

25.11. sobota, godz. 17.00
XXX Ogólnopolskie Konfrontacje Poetyckie im. H. Poświatowskiej

26.11. niedziela, godz. 16.00
Dokąd pędzisz koniku?
reż. J. Popławski
gościnnie Śląski Teatr Lalki
i Aktora „Ateneum"
w Katowicach

30.11. czwartek, godz. 19.00
spektakl Andrzejkowy
Testosteron
reż. W. Patlewicz
gościnnie Teatr Polski
w Bielsku-Białej

Scena Kameralna
10.11. piątek, godz. 17.00
12.11. niedziela, godz. 19.00
Jabłko
reż. T. Dutkiewicz

22.11. środa, godz. 18.00
środa studencka
23.11. czwartek, godz. 19.00
24.11. piątek, godz. 19.00
Mayday
reż. W. Pokora

Klub Utopia
22.11. środa, godz. 20.00
Czytanie współczesnego dramatu

GLIWICE

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY

3.11. piątek, godz. 18.00
Wybory Miss „Nowin Gliwickich"

4.11. sobota, godz. 18.30
Księżniczka czardasza
reż. R. Talarczyk

5.11. niedziela, godz. 18.00
Zorba
insc. i reż. J. Szurmiej

9.11. czwartek, godz. 18.00
Zemsta nietoperza
reż. J. Chmielnik

11.11. sobota, godz. 18.00
Uroczysty koncert z okazji Narodowego Święta Niepodległości
oraz oficjalnego zakończenia **Dni Tadeusza Różewicza**
w Gliwicach

12.11. niedziela, godz. 12.00
XV Salon poezji

17.11. piątek, godz. 19.00
Pomału, a jeszcze raz!
reż. R. Talarczyk
gościnnie Teatr Rozrywki w Chorzowie

19.11. niedziela, godz. 17.00
Koncert Charytatywny Fundacji „Nadzieja Dzieci"

21.11. wtorek, godz. 19.00
Jazz Sessions
m.in. koncert zespołu



Kora Jazz Trio

25.11. sobota, godz. 18.30
Wiedeńska krew
reż. M. Rosiński
z udziałem
Grażyny Brodzińskiej

26.11. niedziela, godz. 18.00
Michał Bajor
30/30 największe przeboje
na program recitalu „30/30", a także płyty pod tym samym tytułem, składa się 30 piosenek wybranych przez artystę

28.11. wtorek,
godz. 10.00 i 18.00
Serca dwa
spektakl muzyczny
GTM Junior

30.11. czwartek, godz. 19.00
Koncert Jubileuszowy z okazji 50-lecia Śląskiego Jazz Clubu

KATOWICE

TEATR ŚLĄSKI
Duża Scena
4.11. sobota, godz. 18.00
5.11. niedziela, godz. 18.00
24.11. piątek, godz. 18.00
Wieczór kawalerski
reż. J. Szydłowski

8.11. środa, godz. 18.00
9.11. czwartek, godz. 18.00
16.11. czwartek, godz.18.00
17.11. piątek, godz. 18.00
Manekin czyli Kochanek Hitlera
reż. A. Rozhin

11.11. sobota, godz. 18.00
12.11. niedziela, godz. 18.00
18.11. sobota, godz. 18.00
Mayday 2
reż. M. Sławiński

14.11. wtorek, godz. 12.30
15.11. środa, godz. 12.30
23.11. czwartek, godz. 12.30
Król Edyp
insc. H. Baranowski
reż. G. Kempinsky

19.11. niedziela,
godz. 17.00 i 20.00
26.11. niedziela,
godz. 17.00 i 20.00
Mayday
reż. W. Pokora

20.11. poniedziałek, godz. 18.00
premiera!
Kot w butach
kierownictwo muzyczne:
Piotr Warzecha
choreografia i inscenizacja:
Anna Majer
scenografia:
Małgorzata Sloniowska
gościnnie:
Opera Śląska w Bytomiu

27.11. poniedziałek, godz. 18.00
Wesoła wdówka
reż. H. Konwiński
gościnnie:
Opera Śląska w Bytomiu

29.11. środa, godz. 18.00
Intryga i miłość
reż.: K. Babicki

Scena Kameralna
3.11. piątek, godz. 18.30
4.11. sobota, godz. 18.30
Beztlenowce
reż. I. Villqist

11.11. sobota, godz. 18.30
12.11. niedziela, godz. 18.30
18.11. sobota, godz. 18.30
Gąska
reż. K. Materna

24.11. piątek, godz. 18.30
premiera!
25.11. sobota, godz. 18.30
Sinobrody – nadzieja kobiet
Dea Loher
reżyseria Grzegorz Kempinsky
scenografia Bożena Pędziwiatr
Przewrotna baśń dla dorosłych... czyli o wirażach miłosnych uniesień

28.11. wtorek, godz. 12.30
Oskar i pani Róża
reż. G. Kempinsky

Scena w Malarni
14.11. wtorek, godz. 19.00
15.11. środa, godz. 19.00
Pan Paweł
reż. G. Kempinsky

22.11. środa, godz. 19.00
23.10. czwartek, godz. 11.00
Pod lodem
reż. M. Ratyński

TEATR KOREZ
4.11. sobota, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów
realizacja zbiorowa

5.11. niedziela, godz. 19.00
Mecz
reż. M. Ferlak

9.11. czwartek, godz. 20.30
Kabaret Mumio-Mumio

10.11. piątek, godz. 19.00
Kwartet dla 4 aktorów
reż. M. Neinert

11.11. sobota, godz. 19.00
Homlet
reż. A. Celiński

12.11. niedziela, godz. 15.00
27.11. poniedziałek,
godz. 19.00
Cholonek wg Janoscha
reż. M. Neinert, R. Talarczyk

12.11. niedziela, godz. 19.00
Niedźwiedź. Oświadczyny
reż. M. Ferlak

14.11. wtorek, godz. 19.00
„Ars Cameralis"
The Cracow Klezmer Band
koncert
promocja książki
Piotra Czekańskiego pt. „Zimno"

15.11. środa, godz. 19.03
Kabaretowa Scena Trójki
Krzysztof Piasecki (gość) oraz **Kabaret Długi** (gospodarze)

16.11. czwartek, godz. 17.00
IX Wieczór Teatralny
Wiekowy przegląd aktorstwa
gospodarz: Grzegorz Noras

SOSNOWIEC

SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI
ul. Zamkowa 2, tel. 297-90-76
www.zameksielecki.pl

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebia.pl

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Rynek 1
www.muzeumtg.art.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Katowicka 9, tel. 327-18-20

TEATR MAŁY
ul. kard. A. Hlonda 1
tel. 227-20-67
www.teatrmaly.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY
plac Teatralny 1
tel. 271-32-56
www.teatrnowywzabrzu.art.pl

FILHARMONIA ZABRZAŃSKA
ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM MUZYKI I TAŃCA
ul. gen. D. Gaulle'a
tel. 271-47-17
www.dmit.zabrze.pl

ZBROSŁAWICE

STODOŁA POD STRZECHĄ
ul. Wolności 13, tel. 33-38-109

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

wystąpią teatry:
Bezscenni, Standard,
Etiuda, Koma, Studencki

18.11. sobota, godz. 19.00
Sztuka
reż. A. Celiński

25.11. sobota, godz. 19.00
Ballady kochanków
i morderców
reż. R. Talarczyk

TEATR BEZ SCENY
gościnnie na scenie
Teatru Korez
17.11. piątek, godz. 19.00



Noc śpiewa piosenki
reż. A. Dopierała

TEATR „ATENEUM"
18.11. sobota, godz. 16.00
Wesołe historie
reż. zespołowa

19.11. niedziela, godz. 16.00
Kopciuszek
reż. B. Nauka

25.11. sobota, godz. 16.00
Mały duszek
reż. B. Nauka

26.11. niedziela, godz. 16.00
O Czerwonym Kapturku
i Księżniczce
na ziarnku grochu
reż. M. Wit

RYBNIK

TEATR
ZIEMI RYBNICKIEJ
19.11. niedziela, godz. 18.00
premiera!
Europa moich marzeń
widowisko muzyczne
scenariusz i reżyseria
Krzysztof Piotrowski
gościnnie
Gliwicki Teatr Muzyczny

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA
4.11. sobota, godz. 18.00
5.11. niedziela, godz. 18.00
Tańce w Ballybeg
reż. K. Deszcz

9.11. czwartek, godz. 12.00
10.11. piątek, godz. 17.00
25.11. sobota, godz. 18.00
26.11. niedziela, godz. 18.00
Mistrz i Małgorzata
reż. A. M. Marczewski

11.11. sobota, godz. 18.00
12.11. niedziela, godz. 18.00
24.11. piątek, godz. 18.00
Sztuka kochania
czyli sceny dla dorosłych
reż. K. Jasiński

17.11. piątek, godz. 18.00
premiera!
28.11. wtorek, godz. 12.30
29.11. środa, godz. 12.30
30.11. czwartek, godz. 12.30
Pamiętnik narkomanki
B. Rosiek
reżyseria i scenografia
Henryk Rozen
muzyka
Edward Stachura

18.11. sobota, godz. 18.00
19.11. niedziela, godz. 18.00
Prywatna klinika
reż. J. Fedorowicz

TYCHY

TEATR MAŁY
12.11. niedziela,
godz. 17.00 i 20.00
Kura na plecach
reż. Fred Apke
Teatr Na Woli z Warszawy
wystąpią: M. Klubowicz,
A. Barciś, M. Zbrojewicz

16.11. czwartek, godz. 20.00
„Ars Cameralis"
Bóg Niżyński
scenariusz i reż.
Piotr Tomaszuk
Teatru Wierszalin z Supraśla

18.11. sobota, godz. 16.00
premiera!
Magiczna trupa
Robinsona Bluesa
Teatr Wielkie Kolo w Będzinie

20.11. poniedziałek, godz. 18.30
Kabaret
Grzegorz Halama Oklasky

23.11. czwartek, godz. 18.30
Księżniczka czardasza
reż. W. Adamczyk
Gliwicki Teatr Muzyczny

24.11. piątek
I Tyski
Festiwal Monodramu
MoTyF 2006

25.11. sobota, godz. 19.00
20-lecie Teatru BELFEgoR
Przepraszam, że umarłem
Teatr BELFEgoR

Cóż za smutna epoka,
w której łatwiej rozbić atom,
niż zniszczyć przesąd
Albert Einstein

BĘDZIN

Muzeum, Pałac
19.11. wtorek, godz. 16.00
Popołudnie z gitarą
i fortepianem
koncert kameralny

BIELSKO-BIAŁA

BIELSKA GALERIA BWA
23.11. czwartek, godz. 20.00
„Pustki" w galeriach
koncert zespołu
„Pustki" oraz „Próba sił"
film dokumentalny o zespole

ART CLUB PIĄTAWKA
kawiarnia
9.11. czwartek, godz. 20.00
Koncert JazzMe3

24.11. piątek, godz. 21.15
Włodzimierz Nahorny Duo
Włodzimierz Nahorny
zagra z młodym,
utalentowanym skrzypkiem
Tomaszem Muchą

CZĘSTOCHOWA

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
17.11. piątek
Koncert symfoniczny
J. Swoboda – dyrygent
wystąpią: M. Dmochowski.
Kwartet dęty muzyków
Filharmonii Częstochowskiej
w programie:
P. Czajkowski, W. A. Mozart

KATOWICE

NOSPR
10.11. piątek
Koncert
dyrygent – Yan Pascal Tortelier
Chór Polskiego Radia
w Krakowie
w programie:
H. Berlioz, C. Debussy
R. Strauss

FILHARMONIA ŚLĄSKA
3.11. piątek, godz. 19.00
Koncert
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
J. Kosek – dyrygent
wystąpi: B. Baranowska
w programie:
J. Brahms, G. Mahler,

9.11. czwartek,
godz. 11.00 i 17.00
Młoda Filharmonia
Z dziejów muzyki polskiej
M.J. Blaszczyk – dyrygent
wystąpi: J. Sojka
w programie: L. Różycki,
I. F. Dobrzyński, S. Moniuszko

11.11. sobota, godz. 10.30
Archikatedra Chrystusa Króla
Oprawa muzyczna mszy
w intencji Ojczyzny z udziałem
Chóru Filharmonii Śląskiej
w programie: W. A. Mozart

11.11. sobota, godz. 18.00
Koncert
M. J. Błaszczyk – dyrygent
wystąpią: Z. Raubo, J. Sojka
w programie: F. Chopin,
I. F. Dobrzyński, W. Kilar

17.11. piątek, godz. 19.00
15-lecie Agencji Wydawniczej
Radia Katowice
Koncert
M. J. Blaszczyk – dyrygent
wystąpią:
A. Bochenek-Osiecka,
A. Sava, P. Łykowski,
J. Frakstein
w programie: G. F. Händel

19.11. niedziela, godz. 17.00
Podwieczorek muzyczny
wystąpią:
Śląska Orkiestra Kameralna,
Studenci Wydziału Jazzu
AM w Katowicach

24.11. piątek, godz. 19.00
Koncert
J. Domarkas – dyrygent (Litwa)
wystąpi: J. Domańska
w programie: L. van Beethoven,
J. Brahms

INSTYTUCJA PROMOCJI
I UPOWSZECHNIANIA
MUZYKI SILESIA
7.11. wtorek, godz. 17.00
MBP, ul. Grzyśki
14.11. wtorek, godz. 17.00
MDK Koszutka
Fantazja polska

13.11. poniedziałek, godz. 18.00
studio koncertowe PR
X-Quartett

16.11. czwartek, godz. 17.00
Muzeum Archidiecezjalne
Koncert muzyki polskiej

19.11. niedziela, godz. 17.00
MDK Koszutka
Muzyka – moja miłość

21.11. wtorek, godz. 17.00
BŚ, Sala Parnassos
28.11. wtorek, godz. 17.00
Koncert pofestiwalowy
Ulubieńcy publiczności

27.11. poniedziałek, godz. 18.00
Teatr „Ateneum"
Młoda wokalistyka

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK"
18.11. sobota
Rybnik
Teatr Ziemi Rybnickiej
24.11. piątek, godz. 16.00
Cieszyn
Teatr im. A. Mickiewicza
W Europie ze Śląskiem

25.11. sobota, godz. 19.00
Bytom, Opera Śląska
Koncert okolicznościowy

MUZYKA

MIKOŁÓW
MIEJSKI DOM KULTURY
11.11. sobota, godz. 17.30
Wieczornica listopadowa

18.11. sobota, godz. 17.00
X-lecie Chóru Gloria

23.11. czwartek, godz. 16.00
Koncert jesienny

RYBNIK
RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY
24.11. piątek, godz. 18.00
Trio RGG feat.
Thomas Gustafsson

24.11. piątek, godz. 19.45
Zbigniew Namysłowski
Quintet

25.11. sobota, godz. 18.00
Janusz Muniak Quartet

25.11. sobota, godz. 19.45
Jarek Śmietana Quartet

SOSNOWIEC
SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI
3.11. piątek, godz. 17.00
Maciej Granat
recital fortepianowy

10.11. piątek, godz. 17.00
Jazz Castle S
koncert jazzowy

17.11. piątek, godz. 17.00
Jaka piękna jest operetka
koncert

TARNOWSKIE GÓRY
Muzeum
22.11. środa, godz. 11.00
koncert pod renesansowym stropem
Zaczarowane flety II
w wykonaniu
kwartetu fletowego „Syrinks"

ZABRZE
FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA
2.11. czwartek, godz. 19.00
kościół św. Anny
Koncert pamięci wszystkich zmarłych Zabrzan
dyrygent: S. Chrzanowski

ZBROSŁAWICE
STODOŁA POD STRZECHĄ
2.11. czwartek, godz. 20.00
Zaduszki jazzowe
Beata Przybytek Quintet

ZAPROSZENIA

DĄBROWA GÓRNICZA
PAŁAC
KULTURY ZAGŁĘBIA
7.11. wtorek, godz. 10.00
sala teatralna
Wesele Zagłębiowskie
widowisko

13.11. poniedziałek, godz. 11.00
sala teatralna
Uczczenie
Święta Niepodległości
inscenizacja w wykonaniu młodzieży
ze szkół gimnazjalnych i liceów

18.11. sobota, godz. 10.00
sala kinowa
XXIX Literacki Hyde Park

19.11. niedziela, godz. 18.00
sala teatralna
Aj waj! Czyli historie
z cynamonem
Grupa Rafała Kmity

30.11. czwartek, godz. 18.00
sala kameralna
Czwartkowe
Spotkania z Muzyką
Gospodarzami wieczoru będą soliści Zagłębiowskiej Sceny Muzycznej

MIKOŁÓW
MIEJSKI DOM KULTURY
5.11. niedziela,
godz. 8.00-13.00
Rynek
Jarmark staroci

PSZCZYNA
PSZCZYŃSKIE
CENTRUM KULTURY
4.11. sobota, godz. 17.00
sala widowiskowa
Koncert jubileuszowy
z okazji 15-lecia działalności
Pszczyńskiego Zespołu
Kameralnego „Con fuoco"

10.11. piątek, godz. 17.00
sala widowiskowa
Obchody Święta Niepodległości
Kiryl Keduk
w recitalu fortepianowym
Kiryl Keduk jest studentem Akademii Muzycznej w Gdańsku w klasie prof. W. Wojtala, laureatem młodzieżowych konkursów muzycznych w Mińsku, Kijowie, Antoninie

26.11. niedziela, godz. 17.00
sala widowiskowa
Cholonek
reż.: M. Neinert, R. Talarczyk
Teatr Korez w Katowicach

XV GÓRNOŚLĄSKI
FESTIWAL
SZTUKI KAMERALNEJ
12.11.–26.11.

12.11. niedziela, godz. 19.00
Chorzów, Teatr Rozrywki
Koncert zespołu
Enzo Avitabile and Bottari
Włochy

13.11. poniedziałek, godz. 18.00
Kinoteatr Rialto w Katowicach
Przegląd filmów z motywem pustyni
Hiroshi Teshigara
„Kobieta z wydm"

14.11. wtorek, Teatr Korez
Promocja książki
Piotra Czakańskiego
pt. „Zimno"
i koncert zespołu
Cracow Klezmer Band

15.11. środa, godz. 18.00
Studio koncertowe PR
Kwartet Śląski
Witold Szalonek
i jego muzyczne fascynacje
koncert w piątą rocznicę śmierci kompozytora

15.11. środa, godz. 18.00
Tarnowskie Góry
Galeria „Pod-Nad
Spotkanie poświęcone twórczości
Tymoteusza Karpowicza

16.11. czwartek, godz. 17.00
17.11. piątek, godz. 17.00
Mikołów, Instytut Mikolowski
Konferencja naukowa
Stan skupienia,
czas rozproszenia
Współczesna poezja polska

16.11. czwartek, godz. 20.00
Tychy, Teatr Mały
Bóg Niżyński
Piotr Tomaszuk
Teatr Wierszalin

18.11. sobota, godz. 18.00
Bytom, BCK
Myślałam, że będę mówić
Spektakl teatralny III LO
w Chorzowie

19.11. niedziela, godz. 19.00
Pszczyna, Muzeum Zamkowe
Philippe Jaroussky
z zespołem Artaserse
Muzyka w czasach kastratów
na dworze wersalskim

20.11. poniedziałek, godz. 18.00
Kinoteatr Rialto
Przegląd filmów z motywem pustyni
Raymond Depardon
„Niedotknięty przez Zachód"

21.11. wtorek, godz. 19.00
Gliwice, GTM
Koncert zespołu
Kora Jazz Trio
„Part Two"
Senegal

22.11. środa, godz. 18.00
Bytom, Galeria Kronika
Half life
wystawa prac
Michaela Ackermana

22.11. środa, godz. 19.00
Bielsko-Biała, Klub Aquarium,
Koncert grupy Psi vojáci
Czechy

23.11. czwartek
Katowice, BWA
Pierre Alechinsky
i Peter Bramsen:
40 lat artystycznej przyjaźni
wystawa litografii

23.11. czwartek
GCK, Galeria Sektor I
Andrzej Urbanowicz.
Kolekcje. Obiekty i subiekty
z lat ostatnich

23.11. czwartek, godz. 11.30
Sosnowiec, Uniwersytet Śląski
Spotkanie z poetą
Ronem Padgettem
i dyskusja o współczesnej poezji amerykańskiej

24.11. piątek
The Hilliard Ensemble
Terje Rypdal
Marek Moś & Aukso
koncert z okazji 60-lecia ASP w Katowicach

24.11. piątek, godz. 18.00
Kinoteatr Rialto
Zbieg poetycki Na Dziko
Prezentacje poetyckie
m.in. **Ron Padgett** (USA),
Andriej Bondar (Ukraina)
oraz koncert **Jacka Lachowicza**

25.11. sobota, godz. 19.00
Chorzów, Teatr Rozrywki
Koncert Stuart A. Staples
Anglia

26.11. niedziela, godz. 17.00
Centrum Sztuki Filmowej
Przegląd filmów
Zbigniewa Rybczyńskiego

26.11. niedziela, godz. 19.00
Pszczyna, Muzeum Zamkowe
Koncert muzyki barokowej
Pierre Hantai – klawesyn
Francja

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK" – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami (do 2 fotografii) prosimy przesyłać do 15. każdego miesiąca • Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel./fax 206-82-71 (wtorki, godz. 11.00-14.00) • e-maill: slask@neostrada.pl, wikslask@poczta.onet.pl

Nowe Katowice

Debata nad wizją kształtu architektonicznego katowickiego rynku trwała dobrych kilka lat. Pojawiały się przeróżne koncepcje, jednak żadna nie doczekała się realizacji. Przyczyna była oczywista – Katowice to nie tylko rynek, by go przebudować, unowocześnić i doprowadzić do tego, by stolica województwa miała wreszcie rynek z prawdziwego zdarzenia, trzeba było podjąć szereg prac służących rozładowaniu komunikacji miejskiej. Większość z nich już wykonano. Ponadto, trudno brać się za przebudowę tego, co na powierzchni rynku, nie wymieniając stuletniej infrastruktury podziemnej.

Po latach dyskusji Miasto Katowice mogło spokojnie ogłosić największy jak dotąd konkurs dla architektów, którego efektem miał być projekt, który zostanie wcielony w życie.

W październiku konkurs został rozstrzygnięty. Spośród 11 nadesłanych na konkurs prac za najlepszy uznano projekt architekta Tomasza Koniora (Konior Studio). Głównym założeniem projektu jest stworzenie centrum w rejonie obecnej alei Korfantego. Zasadniczą jego zaletą jest to, że łączy rozdzielone dotąd części miasta – wschodnią z uniwersytetem i zachodnią przyległą do ulicy Sokolskiej. Twórca projektu zakłada, że przestrzeń alei Korfantego zostanie zabudowana obiektami zaprojektowanymi przez najlepszych światowych architektów. Ma powstać nowy gmach ratusza miejskiego, który będzie łączył funkcje z centrum kultury i promocji miasta. Obiektami wolno stojącymi ma być budynek teatru muzycznego i scena kameralna. Zachowane zostaną budynki zabytkowe, a te wywodzące się z lat 60. powinny zostać poddane renowacji i przeróbkom, dostosowującym je do obecnych wymagań. Ponadto projekt zakłada przywrócenie miastu rzeki Rawy.

Jury konkursu przyznało również drugą nagrodę – jej laureatem został zespół architektów Małgorzata Pilinkiewicz i Tomasz Studniarek (Archistudio s.c.) oraz Bogusław Bogacz (Firma Projektowa „Bogacz"). Nagroda trzecia przypadła projektantom z Biura Studiów i Projektów Architektonicznych Franta & Franta.

Przedstawione pod ocenę prace miały jednak charakter wyłącznie koncepcyjny, a nie realizacyjny. Zwycięzcy przystąpią do opracowania miejscowego planu przestrzennego zagospodarowania miasta, ponadto będą musieli w projekcie realizacyjnym uwzględnić sugestie jurorów. Nie wszystko bowiem co narysowane, jest możliwe do przełożenia na język miejskich realiów.

Skoro jednak już wystartowano z przebudową rynku (a właściwie całego kwartału miasta), można mieć nadzieję na w miarę rychłą realizację wizji nowych Katowic.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska" Motywy Śląska

W dniach 14-19 listopada br. realizowany będzie przez Okręg Śląski ZPAF oraz Bibliotekę Śląską, ASP w Katowicach, Uniwersytet Śląski, Wyższą Szkołę Mechatroniki w Katowicach oraz Galerię Sztuki „Elektrownia" w Czeladzi projekt nazwany „Motywy Śląska w fotografii i filmie". Program projektu przewiduje sympozjum (wykłady i spotkania autorskie),wystawy i wernisaże fotografii, pokazy i projekcje filmów o tematyce śląskiej, konkurs fotograficzny „Motywy Śląska", warsztaty praktyczne – plener „Śląskie tereny poprzemysłowe", a zwieńczeniem tych działań będzie wydawnictwo – katalog.

Autorami wystaw indywidualnych będą m.in.: Waldemar Jama. Andrzej Koniakowski, Stanisław Michalski, Roman Hryciów, Katarzyna Łata-Wrona, Janusz Musiał, Maria Śliwa, Antoni Kreis, Maciej Sobierski, Arkadiusz Gola. Prace wymienionych artystów gościć będą w galeriach Katowic: ZPAF I i II, Bibliotece Śląskiej, Galerii Czakram, ASP w Katowicach, galerii „Magiel", Muzeum Historii Katowic, Teatrze Śląskim, Kinoteatrze Rialto, „Za Kulisami", galeriach Tarnowskich Gór. Czeladzi, Sosnowca. Osoby zainteresowane fotografią będą mogły wysłuchać wykładów Jerzego Lewczyńskiego, Andrzeja Urbanowicza, Waldemara Jamy, Elżbiety Łubowicz, Józefa Wolnego i innych.

60 lat katowickiej ASP

60 lat ma już katowicki Wydział Grafiki ASP w Krakowie, natomiast ASP w Katowicach zainaugurowała 5 rok swojej samodzielnej działalności. Rok akademicki 2006/2007 jest więc rokiem wyjątkowym dla katowickiej uczelni.

Dlatego też władze uczelni zaplanowały niecodzienną, bo kilkuetapową inaugurację. Wszystko rozpoczęło się 9 października br. wystawą 16 asystentów z Katedry Grafiki Warsztatowej i Katedry Malarstwa, Rysunku i Rzeźby w Galerii Sztuki „Elektrownia" w Czeladzi. W wystawie uczestniczyli m.in. Aleksander Kozera, Marcel Sławiński. Piotr Kossakowski, Judyta Bernaś, Dorota Nowak, Michał Minor, Kamila



Foto. Zbigniew Sawicz

Promocja albumu i wystawa w Muzeum Śląskim.

Zielkowska, Dominika Kowynia. Następnego dnia w Muzeum Śląskim odbyła się promocja albumu „Dąbrówki 9 – wokół malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach" połączona z wystawą, którą określić można „mistrz i uczniowie". Album prezentuje zarówno dorobek profesorów czyli mistrzów jak również dorobek poszczególnych pracowni. Kolejne albumy zaprezentują dorobek Akademii w dziedzinach grafiki i projektowania.

Zasadnicza inauguracja miała miejsce w BWA w Katowicach. Wykład inaugura-



Foto. Zbigniew Sawicz

Uroczystość w BWA.

cyjny wygłosił dr Mieczysław Juda nt. „Po co nam Akademia?". Otwarta została również wystawa prac dyplomowych tegorocznych absolwentów ASP w Katowicach.

Katowicka uczelnia w roku jubileuszu otrzymała we władanie od samorządu Katowic galerie mieszczące się w kopule na rondzie. Jeśli tylko kopula zostanie oddana do użytku, galeria otworzy swoje podwoje dla twórczości nie tylko katowickich artystów.

Śląski Szlak

W Tyskim Muzeum Piwowarstwa przy Browarze Książęcym w Tychach odbyła się uroczystość otwarcia nowego, regionalnego produktu turystycznego – Szlak Zabytków Techniki. To pierwszy w Polsce tematyczny, szlak turystyczny o zasięgu regionalnym. obejmujący obiekty związane z dziedzictwem przemysłowym wojewódz-

Jednym zdaniem

■ W Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum" w Katowicach odbył się koncert „Szkice do opery", podczas którego usłyszeć można było wybrane fragmenty „Traviaty" G. Verdiego w wykonaniu solistów: Beaty Witkowskiej, Rafała Majznera i Macieja Bartczaka.

■ II Przegląd Orkiestr Dętych powiatu bieruńsko-lędzińskiego odbył się 24 września w Bieruniu.

■ Również powiat bieruńsko-lędziński prezentował w Centrum Inicjatyw Gospodarczych w Bieruniu II Wystawę Dorobku Wydawniczego gmin tego powiatu.

■ Kwartalnik Kulturalny „Opcje" był organizatorem Festiwalu Literackiego Polifonia, z udziałem twórców najnowszej prozy i poezji, redaktorów oraz krytyków literackich, m.in. Karola Maliszewskiego, Dariusza Nowackiego, Gali Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Artura Burszty, Pawła Dunin-Wąsowicza i innych.

■ 75-lecie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zagłębiu Dąbrowskim obchodzono w Muzeum Sosnowcu.

■ W Spichlerzu z Warszowic w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie odbyła się wystawa fotograficzna Antoniego Kreisa pt. „Z życia drzew".

■ „Z tęsknoty za Mistrzem" to tytuł sesji naukowej z udziałem m.in. Krzysztofa Maliszewskiego, dra Jacka Kurka, Jaka Turalika, prof. Krzysztofa Wieczorka, która odbyła się w Miejskim Domu Kultury „Batory" w Chorzowie.

■ W Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej otwarto wystawę rzeźby Andrzeja Gronowskiego.

■ Uroczystość wręczenia Nagród Prezydenta Bytomia w dziedzinie kultury „Muza 2006" (otrzymali je Sylwia Hefczyńska – Lewandowska, Przemysław Nadolski, Zespół „Piccolo", zespół „Segars" i Jarosław Świtała) odbyła się 14 października w Bytomskim Centrum Kultury.

■ Prelekcja prof. Andrzeja Gwoździa, koncert w wykonaniu „Laura Band" i projekcja filmu „Die Grosse Liege" złożyły się na spotkanie zorganizowane przez Miejski Ośrodek Kultury w Siemianowicach Śląskich, z okazji 100. rocznicy uro-

twa śląskiego. Tworzy go 29 wyselekcjonowanych obiektów związanych z tradycją górniczą i hutniczą, energetyką, kolejnictwem, łącznością, produkcją wody oraz przemysłem spożywczym. Szlak ten ma stać się najbardziej interesującą trasą turystyki industrialnej w kraju i – jako jeden z głównych markowych produktów turystycznych województwa śląskiego – charakteryzować region na turystycznej mapie Polski i Europy. Projekt zrealizowany został przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego, przy wsparciu Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach i Śląskiej Organizacji Turystycznej.

W trakcie imprezy otwarcia zaprezentowano ponad 100 zdjęć obiektów wchodzących w skład Szlaku. Wystawie towarzyszyły specjalnie przygotowana na tę okazję ścieżka dźwiękowa, w której wykorzystano industrialne odgłosy maszyn i urządzeń.

Zabrze centrum międzynarodowym

W dniach 15-16 września br. odbyła się w Zabrzu III międzynarodowa konferencja naukowo-praktyczna pn. „Dziedzictwo przemysłowe jako szansa rozwoju turystyki europejskiej". Konferencja organizowana jest przez Urząd Miejski w Zabrzu wspólnie z Górnośląską Wyższą Szkołą Handlową przy współpracy Ministerstwa Gospodarki. Podczas pierwszej konferencji opracowano dokument pn. „Rezolucja Zabrzańska", w którym podkreśla się wartość dziedzictwa przemysłowego jako świadectwa historii i kultury i zwraca się uwagę na rolę jaką turystyka powinna odgrywać w ratowaniu i ochronie obiektów przemysłowych. Postulaty zawarte w powyższym dokumencie znalazły odzwierciedlenie w pracach Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego w Brukseli oraz Światowej Organizacji Turystycznej z siedzibą w Madrycie. Poparto tam inicjatywę utworzenia w Zabrzu pierwszego międzynarodowego ośrodka, który pod patronatem Światowej Organizacji Turystyki, władz polskich i miejskich w Zabrzu, mógłby służyć wymianie doświadczeń międzynarodowych w zakresie wykorzystania dziedzictwa przemysłowego dla turystyki i rekreacji. Przedstawiciele obu tych organizacji rokrocznie uczestniczą w konferencji).

Ze względu na specyfikę miasta jak i całego regionu ponownie na miejsce konferencji wybrano miasto Zabrze. Śląsk to jeden z najciekawszych w Europie regionów przemysłowych, o dużym zagęszczeniu i zróżnicowaniu, niezwykle atrakcyjnych zasobach dziedzictwa przemysłowego.

Powstało śląskie pismo

W Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbyła się prezentacja „Pisma Śląskiego". Silesiana to pierwszy i jedyny w Polsce krój pisma powstały na potrzeby władz samorządowych, reprezentujący Śląsk poprzez charakterystyczne cechy wizualne pisma. Wykorzystywany będzie m.in. w materiałach promocyjnych, listach dedykacyjnych, dyplomach itp. Inicjatorką projektu jest Ewa Gołębiowska, dyrektor

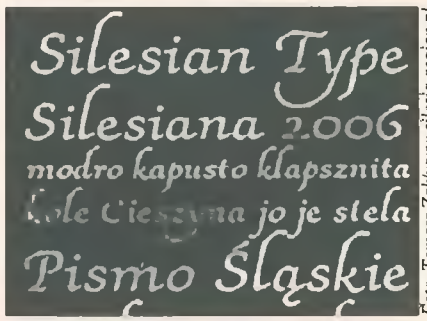


Foto. Tomasz Zak/www.silesia-region.pl

Śląskiego Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie, a autorami Henryk Sakwerda, projektant pism drukarskich i dr Artur Frankowski, projektant graficzny. Krój pisma nawiązuje do działalności literniczej Hieronima Wietora, XVI-wiecznego śląskiego wydawcy i typografa oraz do śląskiej kurrenty, odręcznego pisma wywodzącego się z gotyckiej bastardy.

Podczas wernisażu wystawy dr Artur Frankowski przedstawił wykład „Wpływy regionalne w polskiej typografii".

Śląskie Oskary wręczone

„To co na Śląsku najlepsze i to co dla Śląska najlepsze" – to dewiza przyświecająca Kapitule Nagród Promocyjnych Śląski Oskar, która przyznała po raz szósty Śląskie Oskary. Uroczystość wręczenia oskarowych statuetek odbyła się w Bibliotece Śląskiej w Katowicach.

Spośród ponad 100 kandydatów zgłoszonych do redakcji „Gońca Górnośląskiego", Kapituła pod przewodnictwem rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. Janusza Janeczka, wybrała 12 przedstawicieli świata nauki, medycyny, kultury, samorządów terytorialnych, a także instytucji publicznych i przedsiębiorstw działających w naszym regionie. „Ich działalność tworzy nową wizję Śląska na miarę przyszłych pokoleń" – uzasadniono wybór.

Podczas gali w Bibliotece Śląskiej statuetkami Śląskiego Oskara uhonorowani zostali m.in.: Josef Byrtus – Konsul Generalny Republiki Czeskiej w Katowicach, prof. Kornel Gibiński – nestor śląskich internistów, Barbara Ptak – wybitna scenograf, prof. Bogusław Maciejewski – dyrektor Centrum Onkologii w Gliwicach, Muzeum Śląskie w Katowicach, Samodzielny Publiczny Wojewódzki Szpital Chirurgii Urazowej w Piekarach Śląskich oraz Główny Instytut Górnictwa.



Foto. Zbigniew Sawicz

Oskara odbiera Barbara Ptak.

„Zamyślenia" Gałużnego

17 października w Muzeum Śląskim w Katowicach odbyło się otwarcie retrospektywnej wystawy sosnowieckiego pastelisty – Czesława Gałużnego. Ekspozycję przygotowano z okazji jego 30-lecia pracy twórczej. Ekspozycja obejmuje głównie pastele, w których artysta osiągnął mistrzostwo (potwierdzają to liczne wyróżnienia w tej dyscyplinie, m.in. zdobycie I Nagrody na II Międzynarodowym Biennale Pasteli w Nowym Sączu w 2005 roku). Ponadto prezentowane są rysunki i akryle. Prace układają się w cykle: Spotkania, Obszary, Maski.



Czesław Gałużny, z cyklu Spotkania 2, pastel.

Artysta uczestniczył w licznych plenerach malarskich, w ponad 300 wystawach zbiorowych-środowiskowych, ogólnopolskich i międzynarodowych. Zorganizował 38 wystaw indywidualnych. Za swą twórczość był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Jest laureatem m.in. Nagrody Artystycznej Miasta Sosnowca za rok 2000, odznaczony Srebrną Odznaką Zasłużonego w Rozwoju Województwa Katowickiego. Jest założycielem i członkiem Stowarzyszenia Pastelistów Polskich.

Kuratorem wystawy w Muzeum Śląskim jest Henryka Jarema.

---

dzin Michaela Jarego (Maksymiliana Jarczyka), siemianowiczanina, „króla szlagierów".

■ Koncert pt. „Olmaryja, czyli o miejscu" w wykonaniu Tadeusza Sławka (słowo) i Bogdana Mizerskiego (muzyka) odbył się w Muzeum Historii Katowic.

■ Z kolei galeria „Magiel" Muzeum Historii Katowic otwarła wystawę fotografii pt. „Ginące klimaty katowickiej dzielnicy Załęże", będącą wynikiem akcji fotograficznej zainicjowanej przez Ewę Rosiek-Buszko, artystę plastyka, związaną z MDK w Katowicach-Załężu.

■ Pod patronatem ZPAF w Muzeum w Gliwicach odbyła się wystawa pt. „Fenomeny i fantomy. Gliwickie środowisko fotograficzne 1951-2000", która uświetniła jubileusz 55-lecia powstania Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

■ Inna wystawa – malarstwa Sabiny Woźnicy-Borowskiej pt. „Rzeczywistość i fikcja wg Gabriela Garcii Marqueza" odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ Na wystawę pt. W kręgu paryskiej „Kultury" – w 100-lecie urodzin Jerzego Giedroycia, zapraszała Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu.

■ W „Małej Galerii" Biblioteki Śląskiej gościła wystawa prac Tadeusza Łukaszewicza.

■ Wystawę poświęconą przemysłowi śląskiemu i produkcji zbrojeniowej XIX i XX wieku otwarto Muzeum Śląskie.

■ Beata Raszkiewicz, solistka Opery Śląskiej w Bytomiu, obchodząca 15-lecie pracy artystycznej wykonała podczas jubileuszowego koncertu najpiękniejsze arie W.A. Mozarta

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich odbyła się wystawa „XX-lecie Siemianowickiej Grupy Plastycznej Spichlerz'86" a także wykład ks. prof. Andrzeja Zwolińskiego nt. politycznych obowiązków katolików w świetle nauki Jana Pawła II.

■ Wielki chór męski z Kolonii (założony w 1842 roku) „Kölner Männer Gesang Verein" koncertował z Radiową Orkiestrą Symfoniczną z Krakowa, po raz pierwszy w Polsce, w Górnośląskim Centrum Kultury 5 października br.

■ Katowicki Oddział IPN był organizatorem konferencji naukowej „Wrzesień 1939 na Górnym Śląsku".

■ Książka Jana Pawła II „Pamięć i tożsamość" została uhonorowana Śląskim Wawrzynem Literackim 2005.

■ Wpływ hutnictwa na rozwój aglomeracji miejskich na przykładzie miasta Gliwice był tematem konferencji zorganizowanej w gliwickim Ratuszu przez SIiTPH, GZUT i Hutę Łabędy SA. pod honorowym patronatem prezydenta Gliwic Zygmunta Frankiewicza.

■ Premiera monodramu bluesowego „Kobieta bez instrukcji" odbyła się 29 września br. w Teatrze Korez w Katowicach.

■ Muzeum w Sosnowcu zapraszało na I Międzynarodową Konferencję Naukową „Polsko-czeska współpraca muzealna. Dorobek i perspektywy" oraz towarzyszącą jej wystawę „Ołomunieckie klimaty".

■ Gości wystawy pt. „Spotkania artystyczne, Sosnowiec 2006" byli tacy artyści jak: Andrzej Czarnota, Tadeusz Drążkiewicz, Czesław Gałużny, Janusz Karbowniczek, Piotr Kossakowski, Ryszard Twardoch. Ireneusz Walczak i inni.

■ 7 października br. odbyła się premiera sztuki Stanisława Dejczera pt. „Manekin czyli kochanek Hitlera".

We fraku i tenisówkach

Geniusz miejsca sprawił, że na andrychowskim podwórku przy ul. Garncarskiej wychowało się trzech aktorów – Jan Peszek, Marian Szczerski i Cezariusz Chrapkiewicz, który już w ochronce brał udział z powodzeniem w jasełkach. Ogromne wrażenie zrobiły na młodym Czarku „Siostry Do-Re-Mi". Przybyły do Andrychowa na występy i musiały bisować kilkanaście razy. Czarkowi spodobał się aplauz i postanowił zostać aktorem.

Był rok 1950. Mama wyposażyła go w trzy kotlety, dziesięć jaj, bochen chleba, sto zł i krzyż na drogę. 16-letni Czarek pojechał do poznańskiej szkoły dla instruktorów teatrów ochotniczych. Trafił tam również Roman Wilhelmi. Po przeszkoleniu Czarek został instruktorem w sandomierskiej wiosce. Kiedy nocą wracał do domu, wpadł do gnojówki. Przez dwa tygodnie prał ubrania. – Boże, będzie tak do końca życia? – pomyślał, że trzeba pomóc losowi – zdać na studia do Krakowa.

Wyłoniły się dwie przeszkody. Do sześciu miejsc na pierwszym roku PWST kandydowało 360 osób. Poza tym szkoła, którą ukończył, nie dawała uprawnień maturalnych. Czarek liczył na nieuwagę pracowników uczelni i nie zawiódł się. Andrychowianin miał jednak coś, co nobilitowało go w gronie rówieśników. Była to biała koszula, którą pożyczył od szwagra na egzamin. W tej koszuli przystąpili do egzaminu także Maciej Prus i Jerzy Biniczycki. Z tym drugim miał wiele wspólnego. Starano się usuwać ich z uczelni za absolutny brak postępów w nauce. Poprzestano na III roku, gdy dyr. Starego Teatru Wł. Krzemiński zauważył, że skoro dopiero teraz akademicy zorientowali się, iż Biniczycki z Chrapkiewiczem to tumany, to jacy z nich profesorowie... Los, król paradoksu, sprawił, że Biniczycki został później jednym z następców Krzemińskiego na dyrektorskim fotelu krakowskiej sceny.

Życia artystycznego Cezariusza Chrapkiewicza nie sposób zamknąć na wąskiej szpalcie. Mimo studenckich perypetii już w 1964 roku otrzymał nagrodę ZG SPATiF za Malcolma w „Makbecie" w Olsztynie. Grał główne role w niemal wszystkich polskich teatrach, by w końcu zakotwiczyć w Bielsku-Białej, gdzie zasłynął jako tępiciel chamstwa. Jedna z licznych anegdot mówi, że podczas spektaklu uciekł ze sceny... Nagle rozległy się krzyki na balkonie. To Czarek szamotał się z młodzianem, który – jak się okazało – strzelał do niego z procy...

Cezariusz miał szczęście do pięknych niewiast i niefortunnych małżeństw. Zawsze oddychał pełną piersią wielkiego artysty, którym jednak nie zawsze bywał. Paradował we fraku i wdziewał tenisówki na zimę. Wygrał pół mld zł w konkursie Czasu Krakowskiego. Był to finansowy kres gazety i Czas niebawem padł. Organizował uczty i bywał w tanich jadłodajniach. Tam też jadałem z nim przy stoliku; tym samym, spod którego odszedł wybitny charakteryzator Ryszard Paluch. Cezariusz Chrapkiewicz odszedł rok później, 9 października; długo leczony na kręgosłup zamiast na raka. Spoczął w rodzinnym Andrychowie. Po niespokojnym życiu nareszcie zmorzył go spokojny sen.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Świadectwa wysokiego poziomu

Polski Ośrodek Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów dla Dzieci i Młodzieży (ASSITEJ) przyznał Teatrowi Lalek Banialuka za 2005 rok aż trzy „Atesty", czyli Świadectwa Wysokiej Jakości i Poziomu Artystycznego. Nagrodzono w ten sposób „Zielonego Wędrowca" Liliany Bardijewskiej w reżyserii Pawła Aignera (kostiumy Zofia de Ines, scenografia Sławomir Lewczuk, muzyka Roman Opuszyński, ruch sceniczny Marzena Biesiadecka), „Siała baba mak" Krystyny Miłobędzkiej w reżyserii Jacka Malinowskiego (scenografia Halina Zalewska-Słobodzianek, muzyka Piotr Nazaruk) oraz „Piękną i Bestię" Jana Ośnicy w reżyserii Mariána Pecki (kostiumy Eva Farkašová, scenografia Pavol Andraško, muzyka Robert Mankovecky). „Atesty" wręczono w październiku w czasie finału Międzynarodowego Festiwalu Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak 2006" w Warszawie.

Ćwierć wieku bez Kronholda

28 września w Domu Narodowym z miłośnikami swej poezji spotkał się Jerzy Kronhold. Był to pierwszy od 1980 roku wieczór autorski cieszyńskiego twórcy w... Cieszynie. Przez ponad ćwierć wieku nowofalowego poetę, współtwórcę grupy poetyckiej „Teraz", w rodzinnym mieście znano z nieco innej działalności niż pisanie wierszy. Był antykwariuszem, felietonistą Głosu Ziemi Cieszyńskiej i Gazety Prowincjonalnej, radnym powiatowym, urzędnikiem państwowym, działaczem Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, konsulem RP w Ostrawie i dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Bratysławie, a nawet kandydatem na wojewodę śląskiego.

Dobrze się stało, iż PiS nie było łaskawe powołać go na to stanowisko, gdyż – być może – literatura polska straciłaby wiele wierszy z zapowiadanego, szóstego już tomu poezji pt. „Sekrety", które Jerzy Kronhold przedstawił licznym wielbicielom swej twórczości. Nowe wiersze autora „Niżu" są na ogół mocno osadzone w realiach pogranicza polsko-czeskiego. Jerzy Kronhold pisze o postaciach, które zaludniały Śląsk Cieszyński z takim zaangażowaniem emocjonalnym, jakby sam przeżył to, co było ich udziałem podczas licznych „lekcji historii". Nowy tom wierszy Kronholda powinien się ukazać na początku przyszłego roku.

Zmarł założyciel SFR

10 października 2006 roku odszedł fotografik i operator filmowy Mieczysław Poznański. Urodził się 21 lipca 1923 roku w Blachowni Śląskiej. Pasjonował się fotografią, gdyż sporą część dzieciństwa spędził w zakładzie fotograficznym ojca. Przez cztery lata był więźniem Oświęcimia. Należał do założycieli bielskiego Studia Filmów Rysunkowych.

W 1947 roku przypadkiem spotkał w sklepie w Katowicach organizatora grupy rysowników i filmowców przyszłego Studia Filmów Rysunkowych Zdzisława Lachura i odtąd związał się z Bielskiem-Białą. Współpracował ze znanymi twórcami animacji, zarówno w SFR, jak i w studiach w Warszawie i Krakowie. W SFR wykonał zdjęcia do ponad 200 filmów. To właśnie Mieczysław Poznański zarejestrował swoją kamerą pierwszy film nowego studia pt. „Czy to był sen?" Był m. in. odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Oświęcimia.

Jednym zdaniem

■ Od 12 do 14 października w Bielsku-Białej trwał XI Festiwal Kompozytorów Polskich pod patronatem Henryka Mikołaja Góreckiego – poświęcony Grażynie Bacewicz i Henrykowi Wieniawskiemu.

■ W Żywcu reaktywowano pismo regionalne „Gronie", a jego naczelnym redaktorem został socjolog ATH w Bielsku-Białej, żywczanin Ireneusz Jeziorski.

■ 7 października w Teatrze Polskim odbyła się premiera spektaklu pt. „Dostojewski", na podstawie „Białych nocy", „Łagodnej" i „Idioty" w reżyserii Szymona Kuśmidra, Zbigniewa Stryja i Roberta Talarczyka.

■ 8 października w Teatrze Lalek Banialuka odbyła się premiera spektaklu „O Zwyrtale Muzykancie" Jana Wilkowskiego wedle Kazimierza Przerwy-Tetmajera, w reżyserii Konrada Dworakowskiego, scenografii Mikołaja Maleszy i do muzyki Piotra Klimka.

■ W październiku w Galerii Bielskiej BWA prezentowano wystawę wielkoformatowych drzeworytów z cyklu „Maski" Joanny Rupik.

■ 16 września w Bielsku-Białej odbyła się premiera kabaretu „Bazyliszek" do tekstów i muzyki Juliusza Wątroby.

■ Pięć grafik Rembrandta prezentowano od 22 do 28 września w Galerii Środowisk Twórczych w Bielsku-Białej.

■ W kościołach Cieszyna i Czeskiego Cieszyna odbyły się w październiku koncerty XVII Międzynarodowej Dekady Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej.

■ „Wierzę w przeżycie" to tytuł wystawy prac Andrzeja Szewczyka, którą prezentowano w piątą rocznicę jego śmierci w Domu Narodowym w Cieszynie.

■ Irek Głyk Trio wybitnego wibrafonisty wystąpiło 22 września, a Jazz Quartet Macieja Barabaszu zagrał 6 października w bielskim klubie jazzowym „Piątawka".

Na dobry początek

Nowy sezon artystyczny rozpoczęły dwie najbardziej prestiżowe instytucje kulturalne działające w Częstochowie. Filharmonia kolejny rok swojej działalności podkreśliła mocnym operowym akcentem. W programie koncertu inauguracyjnego sięgnięto po muzykę z oper Verdiego i Wagnera. Muzycy wystąpili pod dyrekcją Jerzego Salwarowskiego – dyrektora artystycznego filharmonii. Ważnym wydarzeniem stał się również koncert „Nadzieje muzyczne Częstochowy", który odbył się w ramach II Światowego Kongresu Częstochowian. Obok filharmoników wystąpili młodzi artyści, m.in. Barbara Michoń, Artur Janda, Judyta Wrona, Aleksandra Szymczak. Koncert ukazał przede wszystkim potencjał artystyczny muzycznego środowiska w Częstochowie.

We wrześniu zawitał do filharmonii również pierwszy gość. Zaproszono doskonałego pianistę i najlepszego w Polsce managera muzyki poważnej, Waldemara Malickiego. W programie koncertu znalazły się utwory „muzycznego środka", m.in. kompozycje mistrza muzyki akordeonowej, Astora Piazzoli oraz Krzysztofa Komedy. Malicki zaprezentował również publiczności częstochowskiej własne kompozycje. Nowy sezon artystyczny w Filharmonii Częstochowskiej zapowiada się bardzo ciekawie i z prawdziwymi gwiazdami. Planowane są występy Adama Makowicza oraz Rafała Blechacza.

We wrześniu odbyła się również pierwsza premiera w Teatrze im. Adama Mickiewicza. Warto przypomnieć, że ostatni rok nie był dla częstochowskich aktorów łatwy, ale wydaje się, iż nowej dyrekcji udało uspokoić się rozniecone emocje w teatrze i wokół niego. Jeszcze przed premierą publiczności zaprezentował się – i to śpiewająco – nowy dyrektor artystyczny teatru, Piotr Machalica, który wystąpił z własnym recitalem, podbijając szybko serca słuchaczy, co absolutnie nie może dziwić, gdyż Machalica przedstawił własne interpretacje piosenek Okudżawy i Brassensa.

Na pierwszą premierę nowego sezonu wybrano sztukę współczesnego kanadyjskiego dramaturga Verna Thisena, „Jabłko". Spektakl wyreżyserował Tomasz Dutkiewicz, aktor, reżyser i dyrektor teatru Komedia w Warszawie. Na scenie zaprezentowało się doskonałe trio aktorskie: Agata Ochota-Hutyra, Paula Kwietniewska oraz Marek Ślosarski. Akcja sztuki, mimo iż zamknięta w klasycznym już trójkącie (mąż, żona i „ta trzecia") wychodzi daleko poza banalne schematy fabularne. Spektakl cieszy się dużym powodzeniem, o czym wymownie świadczy fakt, iż zakup biletów na kolejne spektakle wcale nie jest rzeczą łatwą. W propozycji programowej nowa dyrekcja pozostawiła również spektakle z ubiegłego sezonu cieszące się największym powodzeniem wśród widzów, m.in. sztukę Gombrowicza „Iwona, księżniczka Burgunda" w reżyserii Katarzyny Deszcz (spektakl zdobył Złotą Maskę za reżyserię) oraz farsę R. Cooney'a w reżyserii Wojciecha Pokory, która nie może zejść z afisza już od kilku lat. Z zaprezentowanego programu wynika również, iż teatr kierowany przez Roberta Dorosławskiego nie obawia się konfrontacji z innymi scenami i chętnie będzie zapraszał gości z Polski. W najbliższym czasie pokazany zostanie „Świętoszek" w reżyserii Bogdana Michalika z Teatru Zagłębia z Sosnowca.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Wspólne miejsce

Już po raz drugi odbył się Światowy Kongres Częstochowian. Do swojego rodzinnego miasta z różnych stron świata powrócili ludzie, dla których Częstochowa pozostaje wciąż miejscem ważnym, mimo iż wielu z nich wyjechało stąd już bardzo dawno. Celem imprezy jest nie tylko integrowanie środowiska kulturalnego miasta – zaproszenie otrzymały również osoby, które uczestniczą w życiu społecznym i kulturalnym miasta – ale także promowanie Częstochowy w Polsce i na świecie.

W trakcie dyskusji panelowych zastanawiano się nie tylko nad przyszłym rozwojem miasta, ale również nad tym, jakie podjąć działania, aby w pełni wykorzystać potencjał miasta. Kongres zgromadził prawie pół tysiąca gości, reprezentujących różne profesje i, co szczególnie wydaje się ważne, ludzi aktywnych zawodowo, pragnących pracować również dla innych. Uczestnikom kongresu towarzyszyły słowa Jana Pawła II „Częstochowa to dobre miasto".

Kongres stal się również okazją do przybliżenia mieszkańcom miasta działalności zaproszonych gości. W Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater" (organizator kongresu) odbyła się promocja tomiku poetyckiego Tadeusza Chabrowskiego „Dusza w klatce". Poeta (rocznik 1934) mieszka na stale w USA, jego wiersze publikowane były m.in. w londyńskich „Wiadomościach" i paryskiej „Kulturze". Wieczór autorki z udziałem Tafeusza Chabrowskiego z wielkim literackim wdziękiem poprowadziła prof. Elżbieta Hurnikowa.

Nie tylko dożynki

Jasnogórskie dożynki przyciągają do Częstochowy rzesze rolników; w tym roku na sumę dziękczynną przyjechało około osiemdziesiąt tysięcy rolników z całej Polski. Homilię wygłosił metropolita krakowski ksiądz, kardynał Stanisław Dziwisz, a wśród zaproszonych gości nie zabrakło również prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W tym samym czasie zorganizowano XV Wystawę Rolniczą oraz VII Dni Europejskiej Kultury Ludowej; w ramach których już po raz trzeci odbywał się również Ogólnopolski Konkurs Sztuki Ludowej. Częstochowskie Aleje stały się jednym wielkim targiem. Na tle nowoczesnych maszyn rolniczych można było obejrzeć i kupić wszystko to, co produkuje polska wieś. W centrum owego „rolniczego szlaku" na placu Biegańskiego odbyły się targi sztuki ludowej.

Gospodarzem Dni Europejskiej Kultury Ludowej był Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa". W ramach imprezy odbyły się koncerty zespołów ludowych z Austrii, Białorusi, Estonii i Polski, a na zakończenie tej rozśpiewanej i roztańczonej jej części, na scenie Filharmonii Częstochowskiej, zaprezentował się Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk". W Muzeum Częstochowskim odbyła się wystawa prac zgłoszonych do Ogólnopolskiego Konkursu Sztuki Ludowej.

Osiemdziesiąt lat „Niedzieli"

W Muzeum Częstochowskim odbyła się wystawa upamiętniająca 80. rocznicę powstania tygodnika „Niedziela". Ekspozycja stała się okazją do zaprezentowania historii tego jednego z najstarszych pism katolickich wydawanych w Polsce. To właśnie w Częstochowie w roku 1926 biskup Teodor Kubina powołał do życia pismo „Niedziela". Jest to najdłużej wydawany tygodnik w mieście. Wystawa przypomniała wszystkie dramatyczne chwile w dziejach „Niedzieli", m.in. aresztowanie jej redaktora naczelnego przez władze komunistyczne w roku 1947 (ks. A. Marchewka) oraz zawieszenie działalności redakcyjnej w 1953 roku.

Redakcja „Niedzieli" ma jeszcze jeden powód do świętowania; w roku 2006 minęło dwadzieścia pięć lat, od chwili, kiedy na jej czele stanął ks. Ireneusz Skubiś. I to za jego redagowania – od roku 1981 – „Niedziela" przeżyła swoje wręcz rewolucyjne zmiany, co zaprezentowała także wystawa.

Malarstwo gwiazdy

W Muzeum Częstochowskim zaprezentowano malarstwo znanej francuskiej gwiazdy kina, Juliette Binoche. To nie przypadek, że wystawa odbywała się w Częstochowie. Okazało się bowiem, iż rodzina aktorki posiada korzenie częstochowskie.

Binoche-malarka koncentruje swoją uwagę artystyczną na ludziach jej bliskich. Z iście ekspresjonistycznym temperamentem maluje portrety. Wystawie towarzyszy prezentacja zdjęć aktorki wykonanych przez jej siostrę Marion Stalens. Niezwykle intymne fotografie – głównie czarno-białe portrety – ukazały przede wszystkim piękną, dojrzałą kobietę; nie zabrakło również zdjęć wykonanych na planie filmowym.

Jednym zdaniem

- **Na Jasnej Górze w sali o. Koreckiego prezentowano wystawę: „Portrety Jana Pawła II we współczesnej fotografii i malarstwie chorwackim".**
- **W Miejskiej Galerii Sztuki można obejrzeć prace artystów regionu częstochowskiego, poświęcone Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.**
- **W klubie „Utopia" odbył się koncert legendarnej już formacji punk-rocka „Farben Lehre".**
- **W Muzeum Częstochowskim (Dworek Krasińskich w Złotym Potoku) prezentowana była kolekcja znaczków wydanych przez Pocztę Polską, ukazujących Jana Pawła II.**
- **W Teatrze From Poland odbył się wernisaż, otwierający wystawę fotografii Piotra Krasa.**
- **W galerii Regionalnego Ośrodka Kultury prezentowano wystawę fotografii Antoniego Kresa zatytułowaną „Na szlaku drewnianej architektury województwa śląskiego".**

Wojna w mediach?

Dawno w Opolu nie widziano tak wielu znanych dziennikarzy i naukowców jak podczas konferencji „Wojna w mediach". Wzbudziła emocje uczestników, duże zainteresowanie publiczności, wypełniającej Aulę Błękitną Uniwersytetu. Mówiono o wojnie na rynku medialnym, obrazie wojny i wojnie na idee. Niektórzy paneliści sugerowali, by mówić raczej o konflikcie, unikając ostro zarysowanego tytułu, ale nie ulega wątpliwości, że wojna w mediach trwa. Wojna o władzę, pieniądze, czas antenowy, udział w rynku.

Walczą magnaci medialni, politycy, nadawcy, dziennikarze, terroryści i szansoniści.

Przekaz obrazkowy dominuje, kiedy połowa społeczeństwa nie czyta i ma kłopoty ze zrozumieniem kilku zdań tekstu (mówią o tym wyniki badań), ale wszyscy mają telewizory. Jeśli telewizja „coś" pokazuje, to znaczy, że to „coś" jest ważne, samo w sobie staje się wartością, im dłużej i częściej pokazywane. Stanisław Lem powiedział: „Telewizory, monitory, czaty, internety, tłoczą w nas krwawy bigos, nazywany powszechnie obiektywną informacją". Komercyjna strategia największej oglądalności uczyniła media cichymi sprzymierzeńcami terrorystów, jedni i drudzy potrzebują na czołówkę drastycznego newsa. Ceny czasu reklamowego, oglądalność, sięgają wtedy apogeum, dlatego media potrzebują terrorystów a terroryści mediów. Profesor T. Goban-Klas (UJ) wystąpił z tezą, że po zamachu 11. września w Nowym Jorku dziennikarze stali się kapłanami prowadzącymi przestraszoną trzodę, kapłanami ocierającymi łzy. Inny gość konferencji, red. Maciej Iłowiecki, kulisy medialnych manipulacji odsłonił w książce „Krzywe zwierciadło". Era wolności okazała się mitem, cenzura kapitałowa zastępująca polityczną przybrała równie bezwzględne oblicze. Powtarzaniu mantry o wolności, nie towarzyszy mówienie o odpowiedzialności za słowo. Opozycja polityczna (niezależnie od barwy), domagająca się niezależności mediów publicznych, przejmując władzę traktuje te media jak łupy zwycięzców.

Znani dziennikarze stali się idolami, ich wizerunek, życie osobiste, produktami na sprzedaż, żerem dla brukowców. Komentatorzy, spikerzy, zamiast opisywać i tłumaczyć świat, są szolmenami programów rozrywkowych w stacjach telewizyjnych tworzących programy o sobie i swoich pupilach. Nawet na opolskim deptaku na przechodniów spoglądają uśmiechnięci dziennikarze regionalnego radia i gazety, ale zamiast budzić zaufanie z bilbordów, plakatów reklamowych, przywołują skojarzenia, że obsadzono ich w roli komiwojażerów. Nieśmiałe głosy upominające się o misję, edukację kulturalną, obywatelską, spotykają się z odpowiedziami – „tyle misji ile abonamentu: nie będziemy dla trzystu tysięcy widzów emitować spektakli teatralnych: ludzie nie chcą oglądać kultury". Nie tyle nie chcą, co nie dano im szansy wyboru, spychając nieliczne wartościowe programy gdzieś po północy do ramówki dla nietoperzy. Od wielu lat tandetny „hamburger umysłowy" wypiera to, co ma edukować i skłaniać do refleksji a elity zbliżające się do mas zwiastują czas upadku wartości i kultury. Skutki tych zjawisk dostrzegamy w zachowaniu nie tylko młodego pokolenia. Odbiorca przekazu medialnego jest plasteliną, przedmiotem a nie podmiotem, adresatem wybranych informacji, komentarzy, konsumentem reklamy.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Śląskie seminarium

„Polska – Śląsk-Niemcy. Współpraca Polaków i Niemców wobec nowych wyzwań" to wiodący tytuł Śląskiego Seminarium, które od 25 do 30 września odbyło się już po raz jedenasty w Zamku w Kamieniu Śląskim. Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej do udziału zaprosił kilkudziesięciu znaczących przedstawicieli świata polityki, kultury, nauki, stowarzyszeń związanych ze Śląskiem, ze strony polskiej i niemieckiej. Kolejne dni seminarium poświęcone były następującym tematom: Stosunki polsko-niemieckie. Gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy: Kościoły a stosunki polsko-niemieckie. Wymiana listów biskupów polskich i niemieckich: Polska, Śląsk, Niemcy wobec Europy: Mniejszość niemiecka w Polsce. Wizje, wyzwania, plany na przyszłość: Górnośląski krajobraz kulturowy: Młodzież mniejszości niemieckiej a migracja zarobkowa.

W kontekście opolskim jedna z ciekawszych dyskusji toczyła się wokół perspektyw mniejszości niemieckiej, wyboru kierunków jej działania, roli w życiu społeczno-kulturalnym w Polsce i na Śląsku. Na pytanie – co ważniejsze było dla mniejszości, inwestowanie w gminne wodociągi, kanalizację, drogi, czy też w zachowanie kultury i naukę języka, odpowiadali m.in. publicysta Marek Świercz oraz liderzy mniejszości niemieckiej – wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Opolskiego Bernard Gaida i wicemarszałek Józef Kotyś. Obradom seminarium towarzyszył bogaty program imprez kulturalnych.

Wspominając Październik

Na Węgrzech w słynnym mieście koronacyjnym węgierskich królów Szekesfeherwarze, miejscowa Polonia zorganizowała z dużym rozmachem uroczyste obchody 50. Rocznicy Powstania Węgierskiego, na które zaproszono gości z Opolszczyzny. W sali koncertowej Wojewódzkiego Centrum Kultury otwarto wystawę „Polacy – Węgrzy: spotkania pod komunizmem", przygotowaną przez Ośrodek KARTA. Oryginalne reprodukcje zdjęć fotograficznych, cytaty z wypowiedzi świadków wydarzeń i dokumenty z października 1956 roku oraz ich aranżacja złożyły się na wysoki poziom wystawy.

W części artystycznej wystąpił z recitalem fortepianowym Maciej Lamm, uczeń Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Opolu w klasie prof. Celiny Hellerowej. Pomimo młodego wieku został już laureatem wielu konkursów o randze ogólnopolskiej i międzynarodowej, a także stypendystą „Złotej Spinki" Nowej Trybuny Opolskiej, największego dziennika regionalnego Opolszczyzny. Bardzo dobrym wykonaniem programu, na który złożyły się utwory Ferenca Liszta i Fryderyka Chopina młody pianista udowodnił, że oprócz talentu posiada wysokie umiejętności artystyczne.

Festiwal Beethovenowski

Z okazji dwusetnej rocznicy pobytu na zamku w Głogówku Ludwika van Beethovena odbył się XIV Śląski festiwal jego imienia, którego animatorem jest muzykolog Zbigniew Pawlicki, dyrektor Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa" z Warszawy. W programie wiele uwagi poświęcono wykonaniom utworów kompozytorów polskiego baroku Bartłomieja Pękiela, Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, a także urodzonego w Grodkowie Józefa Elsnera.

Podczas tegorocznej edycji koncertowało wielu wybitnych wykonawców m.in.: Stanisław Drzewiecki, Krzysztof Jakowicz, Julian Gembalski, Kaja Danczowska, Warszawska Orkiestra Smyczkowa i Affabre Concinui.

Jednym zdaniem

■ „Pulpa fikcyjna" – to najnowsza powieść Zbigniewa Górniaka, opolskiego dziennikarza, który do jej lektury zachęcał gości na spotkaniu autorskim w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu.

■ Uniwersytet Opolski uroczyście rozpoczął kolejny rok akademicki, inauguracyjny wykład „Czy język jest zjawiskiem przewidywalnym?" na dziedzińcu Collegium Maius wygłosił profesor Jan Miodek.

■ Rosyjski pianista Stanisław Sołowiew z Sankt Petersburga wystąpił z recitalem pianistycznym w ramach „Wieczorów Lisztowskich" w sali koncertowej brzeskiego zamku.

■ Wystawę rękodzieła i sztuki ludowej otwarto w Muzeum Regionalnym w Oleśnie, dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

■ Nyska Grupa Artystyczna, stanowiąca wizytówkę kulturalną swojego miasta, tym razem wystawiła swoje prace w Opolu w galerii „Pierwsze Piętro" ZPAP.

■ Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu zorganizowała spotkanie z Kazimierzem Kowalskim, które uświetniło obchody jubileuszu 80-lecia pisarza.

■ „Między obcością a bliskością, Polacy – Niemcy" – to tytuł wystawy przygotowanej przez Bibliotekę Narodową z Warszawy, otwartej z okazji Dni Kultury Niemieckiej w Muzeum Diecezjalnym w Opolu.

■ Z okazji Dnia Podziemnego Państwa Polskiego w Opolu odbyły się oficjalne uroczystości z udziałem kombatantów, młodzieży szkolnej i wojska. Pod pomnikiem Armii Krajowej obecni byli parlamentarzyści oraz najwyżsi rangą przedstawiciele władz samorządowych, państwowych i kościelnych.

Po filmowym maratonie

W niedzielę, 24 września zakończył się w kinie „Kosmos" w Trzyńcu czternasty festiwal Trzynieckie Lato Filmowe, organizowany przez zaolziański Klub Kultury. Przez cztery festiwalowe dni kinomani mogli obejrzeć prawie 40 filmów polskich, czeskich., słowackich i węgierskich reżyserów w kategoriach: „Hity sezonu", „Dokument", „Retrospekcja" oraz „Konkurs debiutów". Oprócz kina „Kosmos" seanse odbywały się tradycyjnie także w kinach w Bystrzycy i Cierlicku.

Chociaż uroczyste zamknięcie imprezy zwanej popularnie „TrzyLaFem" odbyło się w niedzielę, już w sobotni wieczór nastąpiło ogłoszenie wyników konkursu debiutów. Wzięło w nim udział 9 filmów młodych reżyserów, które oceniało zarówno jury, jak i publiczność. Widzom najbardziej podobała się filmowa adaptacja bestselleru czeskiego pisarza Michala Viewegha „Účastníci zájezdu" w reż. Jiřego Vejdělka. Jurorzy natomiast wahali się w finałowym głosowaniu między słowackim filmem „Ticho" (reż. Zuzana Liová) i polską „Odą do radości (reż. Anna Kazejak-Dawid). W końcu po laury sięgnął pierwszy z nich.

Jak ocenia festiwal jego dyrektor, Tadeusz Wantula? – „Uważam, że było nieźle, chociaż taka ocena należy głównie do festiwalowej publiczności. Z frekwencją było na pewno lepiej niż przed rokiem, wielkim powodzeniem cieszyły się zwłaszcza ostatnie hity czeskiego kina. Ale przy niektórych seansach widownia świeciła pustkami, i to nawet przy naprawdę ciekawych filmach. To wielka szkoda. Miejmy nadzieję, że za rok będzie większe zainteresowanie wszystkimi filmami.

A za sam festiwal chciałbym przede wszystkim podziękować wspaniałej grupie młodych wolontariuszy, która była świetnie zgrana ze sztabem organizacyjnym. To dzięki nim te cztery dni z filmem były naprawdę udane" – dodał Wantula.

Jak co roku, towarzyszyło „TrzyLaF-owi" – w sobotę – spotkanie organizatorów i gości na Trójstyku, gdzie stykają się granice RC, Polski i Słowacji i trzech przygranicznych gmin: Hyrczawy, Jaworzynki i Czernego. Po ogłoszeniu wyników konkursu zagrał dla uczestników imprezy zaolziański zespół rockowy „Blissten".

Częścią festiwalu były też projekcje dla uczniów szkół podstawowych i średnich. Jeszcze w poniedziałek np. uczniowie wyższych klas podstawówek mogli obejrzeć przedpremierową projekcję nowego polskiego filmu „Szatan z siódmej klasy" nakręconego wg głośnej książki Kornela Makuszyńskiego. Po seansie jego reżyser, Kazimierz Tarnas, spotkał się z młodymi Zaolziakami. Nie dotarł natomiast na Zaolzie słynny polski aktor Krzysztof Majchrzak. Obiecał jednak zjawić się na przyszłej edycji trzynieckiego festiwalu.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Teatralny pomost

Dwie nowe małe sceny – „Kotłownia" w Teatrze Cieszyńskim (TC) w Cz. Cieszynie oraz „Malarnia" w Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie – powinny być jednym z efektów współpracy między tymi dwoma instytucjami, która odbywa się w ramach projektu pn. „Teatr Mostem". Poinformowali o tym 29 września w kawiarni TC dziennikarzy oraz przedstawicieli władz województwa morawsko-śląskiego obu Cieszynów i instytucji kulturalnych z obu stron Olzy – w ramach Dnia Otwartego – dyrektorowie Karol Suszka i Andrzej Łyżbicki.

– *Teatr może być takim fikcyjnym mostem łączącym dwa narody, dwa miasta. Z tej podstawowej myśli zrodził się cały projekt* – wyjaśnił K. Suszka. – *Jeśli chodzi o naszą „Kotłownię", taka mała scena, na której można by było wystawiać bardziej kameralne spektakle czy realizować inne kulturalne przedsięwzięcia, marzy nam się od wielu lat. Ciągle jedna brakowało nam środków na realizację pomysłu. Dzięki nowemu projektowi, który zrodził się przed rokiem, a do którego włączył się także Euroregion Śląsk Cieszyński, idea mogłaby się stać realna.*

A. Łyżbicki z Teatru im. A. Mickiewicza opowiadał o „Malarni", która ma się mieścić w budynku magazynowym teatru, który podobnie jak „Kotłownia" służyłby po remoncie także amatorskim zespołom z obu Cieszynów. Z kolei sekretarz czeskiej części Euroegionu, Václav Laštůvka, powiedział, że małe sceny powinny stać się centrum kulturalnym, symbolem otwarcia granic pomiędzy polską a czeską stroną regionu, ofertą nieformalnej komunikacji i współpracy. – *Ale to tylko część projektu. Dotyczy on bowiem różnych form współpracy między teatrami. O tych jednak będziemy rozmawiać później.*

Laštůvka dodał, że na realizację projektu będzie potrzeba ok. 56 mln. Kc. Część kosztów zostanie pokryta z programu unijnego Interreg IIIA. Autorzy projektu liczą też na pomóc władz wojewódzkich i miejskich z obu stron Olzy.

Zmiany w „Zwrocie"

Zarząd Główny PZKO zadecydował o tym, iż nowym redaktorem naczelnym miesięcznika „Zwrot" będzie od 1 stycznia 2007 r. Kazimierz Kaszper. Rada redakcyjna „Zwrotu" określiła jego koncepcję zwiększenia poczytności za odważną, ale w zasadzie potrzebną.

Przypomnijmy, że K. Kaszper, długoletni redaktor „Zwrotu", był redaktorem naczelnym miesięcznika „Zwrotu" w latach 1979-1981. Ze stanowiska został wówczas usunięty za opublikowanie artykułu Tadeusza Nyczka o młodym teatrze w Polsce, w którym – zdaniem ówczesnych władz PZKO – autor „szkalował obowiązujący wtedy w kulturze styl realizmu socjalistycznego".

O zaolziańskiej poezji

Bardzo cenną dla naszego regionu publikację wydał we wrześniu Wydział Bohemistyki i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Chodzi o książkę znanego także na Zaolziu poety, tłumacza i literaturoznawcy Libora Martinka pn. „Polska poezja na Zaolziu po 1920 r." („Polská poezie českého Těšínska po roce 1920").

Praca Martinka nawiązuje do wcześniejszego projektu autora – zbioru szkiców „Literatura polska na Zaolziu po 1945 r.", wydanego przez opawski uniwersytet 2004 r., rozwija i pogłębia dotychczasową wiedzę.

Autor nie stara się przedstawić całościowej, historycznoliterackiej syntezy literatury polskiej naszej mniejszości narodowej, lecz strukturalizowany obraz rozwoju twórczości poetyckiej autorów z Zaolzia. Martinek zajmuje się życiem literackim Polaków na Zaolziu m.in. w zestawieniu z życiem literackim polskiego i czeskiego Śląska, pisze o jego powiązaniu z polską i czeską literaturą narodową. Spojrzenie uzupełnia informacja o twórczości poszczególnych pokoleń literackich, wybitniejszych twórców (m.in. Paweł Kubisz, Adolf Fierla, Henryk Jasiczek, Władysław Sikora, Wilhelm Przeczek) i ich poetykach, a także krytycznej recepcji ich dorobku.

Jednym zdaniem

■ **Elżbieta Stróżczyk zrezygnowała ze stanowiska redaktora naczelnego miesięcznika społeczno-kulturalnego PZKO, „Zwrot".**

■ **W ramach edycji pietwałdzkiego wydawnictwa „Alisa" pn. „Poeci trzeciego tysiąclecia" ukazał się tomik wierszy młodego zaolziańskiego poety Mariana Palowskiego.**

■ **Scena Polska Teatru Cieszyńskiego – w ramach tzw. Małej Sceny – wystawiła sztukę „Prezydentki" Wernera Schwaba w reż. Moniki Strzępki.**

■ **Polskie Centrum Pedagogiczne zorganizowało w dniach 21 i 22 września Konferencję Polonistyczną.**

■ **Prawdziwym maratonem folklorystycznym było „Fedrowanie z folklorem", nowa impreza, którą 23 września zorganizowali w górnosuskim Domu Robotniczym miejscowi pezetkaowcy.**

■ **W kościele pw. Podwyższenia Świętego Krzyża w Karwinie Frysztacie odbył się we wrześniu Karwiński Festiwal Muzyki Organowej.**

■ **Czeskocieszyńska polska podstawówka podpisała umowę o współpracy z cieszyńską SP nr 7 oraz słowacką szkołą podstawową w Luczencu.**

■ **Tytułem „Talent roku 2006" oceniły władze Hawierzowa Zespół Regionalny „Błędowianie".**

■ **Chór Kameralny Cieszyńskiego Ośrodka Kultury zaśpiewał 7 października na tradycyjnej imprezie Piękne Głosy, organizowanej przez MK PZKO w Mostach k. Jabłonkowa.**

Rozwój Rudy Śląskiej służyć ma jednak nie tylko jej mieszkańcom. Miasto położone jest w centrum aglomeracji górnośląskiej, doskonałą komunikację z innymi częściami regionu zapewniają autostrada A4 oraz Drogowa Trasa Średnicowa. Dlatego naszym celem jest uczynienie z Rudy Śląskiej ośrodka, w którym inwestować, leczyć się, uczyć i wypoczywać będą mieszkańcy całej aglomeracji.

Koniec ery dominacji przemysłu ciężkiego stanowi duże wyzwanie dla miasta tak blisko związanego z górnictwem i hutnictwem. Naszym sposobem na unowocześnianie miasta jest priorytet dla edukacji i usług wyższego rzędu, takich jak na przykład lecznictwo, stąd u nas znalazł siedzibę Oddział Kliniczny Ginekologii i Położnictwa Katedry Zdrowia Kobiety Wydziału Śląskiej Akademii Medycznej. Rozwój szkolnictwa wyższego – działa już Wyższa Szkoła Handlowa oraz filia AGH w Krakowie, trwają rozmowy z kolejnymi uczelniami – umożliwia naszej młodzieży spełnienie wymagań obecnego rynku pracy. Aby utworzyć miejsca pracy dla absolwentów powołaliśmy instytucje wspierające przedsiębiorców, takie jak Rudzka Agencja Rozwoju „Inwestor", Rudzki Inkubator Przedsiębiorczości czy utworzony wraz ze Świętochłowicami Śląski Park Przemysłowy. Tu powstaje Górnośląski Inkubator Technologiczny, którego misją jest tworzenie sprzyjających warunków dla przedsiębiorstw o innowacyjnym charakterze działalności.

Planując przyszłość miasta nie zapominamy o ekologii. Kojarzona przez wielu wyłącznie z kopalnianymi szybami Ruda Śląska jest jednym z najbardziej zielonych miast w regionie. Jedną czwartą powierzchni zajmują tereny zielone, realizujemy programy oczyszczania ścieków i ograniczania zanieczyszczeń powietrza. W takim otoczeniu przyjemnie jest mieszkać. Aby to umożliwić budujemy mieszkania komunalne, socjalne i w ramach TBS. Przygotowujemy tereny pod budownictwo jednorodzinne i apartamentowe, realizowane przez deweloperów i miasto.

Wybiegamy myślami w przyszłe lata, ale równie ważna jest dla nas przeszłość. Bogactwem miasta są liczne zabytki położone na obszarze całej Rudy Śląskiej. Górnicze i hutnicze korzenie miasta widoczne są na każdym kroku. Taki klimat mają osiedla we wszystkich dzielnicach. Do dziś nasze miasto to jedna z największych gmin górniczych w Europie. Dlatego przygotowujemy do celów muzealnych nieczynne szyby kopalniane, przywracamy blask starym kamienicom. Obecnie przeprowadzane są prace mające na celu przywrócenie świetności Szybom Mikołaj i Andrzej. Powstaną tam galerie sztuki. ■

Ruda Śląska to miasto z przyszłością. Nie zapominając o swoich korzeniach i tradycjach, realizujemy plany rozwoju na miarę XXI wieku. Tworząc nowe oblicze Rudy Śląskiej udowadniamy, że miejscowość poprzemysłowa może być miejscem, w którym warto mieszkać i pracować.

Oblicza Rudy Śląskiej





Zdjęcia: UM Ruda Śląska

Inauguracja roku akademickiego Ośrodka Dydaktycznego AGH w Rudzie Śląskiej.

Osiedle Magnolia w dzielnicy Ruda.

Urząd Miasta Ruda Śląska
Plac Jana Pawła II 6
41-709 Ruda Śląska
tel. (032) 248 62 81-9
www.rudaslaska.pl
e-mail: miasto@rudaslaska.pl
promocja@rudaslaska.pl



Pawilon C Szpitala Miejskiego



TBS w dzielnicy Wirek



Zabytkowa kamienica w dzielnicy Nowy Bytom



Park Strzelnica w dzielnicy Bielszowice



Węzeł Wirek – autostrada A4

Oblicza Rudy Śląskiej





Doroczny kolarski wyścig o Puchar Prezydenta Miasta



Kryty basen w dzielnicy Ruda



Sztafeta Augusta Jakubika

Zdjęcia: UM Ruda Śląska

351674

Budująca firma

Polimex Mostostal

Polimex-Mostostal jest jednym z liderów polskiego rynku inżynieryjno-budowlanego, na którym działa na zasadach generalnego wykonawstwa. Spółka oferuje unikalne połączenie usług i produkcji dla następujących branż:

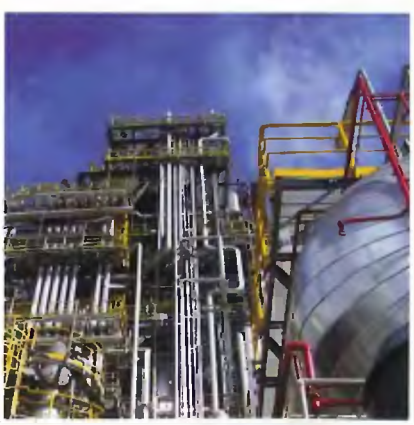
- naftowej, gazowej i chemicznej
- energetycznej
- ochrony środowiska
- budownictwa przemysłowego, ogólnego i mieszkaniowego
- budownictwa drogowego i kolejowego.

Polimex-Mostostal w oparciu o doświadczoną i profesjonalną kadrę zdolny jest do samodzielnej realizacji wszystkich faz projektu inwestycyjnego zarówno w kraju, jak i za granicą.
Spółka jest też niekwestionowanym liderem w zakresie wielkoprzemysłowej produkcji wyrobów stalowych oraz nowoczesnych systemów zabezpieczeń antykorozyjnych. Firma oferuje też usługi komplementarnego serwisu urządzeń przemysłowych w branży petrochemicznej i energetycznej.

www.polimex-mostostal.pl







Najważniejsze realizacje

Budowa baterii koksowniczej nr 5 i modernizacja wydziału węglopochodnych w Koksowni "Przyjaźń" • Modernizacja wytwórni olefin dla PKN Orlen • Budowa instalacji polietylenu i polipropylenu dla Bassel Orlen Polyolefins • Modernizacja turbozespołu w Elektrociepłowniach Warszawskich • Budowa fabryki szkła dla firmy Pilkington w Moskwie • Centrum Dystrybucji Tesco w Teresinie i wiele innych.